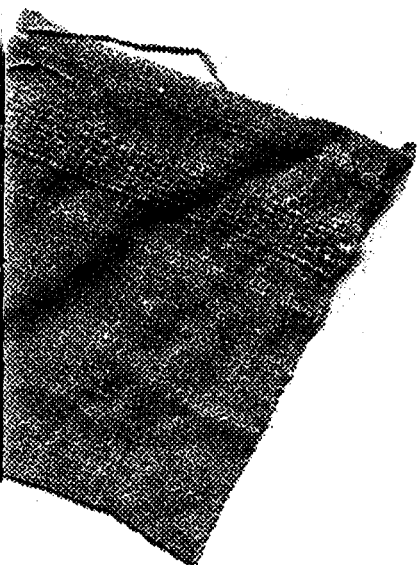


Teresa Lubkiewicz-Urbanowicz
BOŻA PODSZEWKA



ROZDZIAŁ I

Maryśka zapamiętała z dzieciństwa jedno, wielkie - niekochanie. Może zaczęło się to już wtedy, kiedy siedmiomiesięczna leżała w gęsim puchu przy piecu i nikt w Juryszkach nie wierzył, że przeżyje. Pokurczona łupina coś tam smoktała, krowie czy matczyne mleko. Dziewiąta z kolei, bez wielkiego uszczerbku dla rodziny mogła w tym puchu pozostać. Pochować ją można będzie w metalowym pudełku po herbatnikach - przemknęło przez myśl matce, Marii.

Pochylały się nad nią wielkie twarze rodziców, ciotek; cmokały, dziwiły się, a ona żyła i nawet rosła.

A może to niekochanie zaczęło się już w matczym brzuchu? Może to przez nie skakano z wysokiej komody, z drabiny, z wyżek? Może już w pierwszych miesiącach czekano niecierpliwie, czy nie wypłynie? Nie była przecież mocnym pierworodnym, drugą, do pary dziewczynką ani trzecim synem, co wyskoczył jak z procy. Ośmioro ich przyszło na świat w swoim czasie, a ona jedna - nie.

- Ja byłam siedmiomiesięczna, ledwo co wyżyłam - tłumaczyła się potem przed ludźmi.

Marię z Juryszek, jej matkę, bóle chwyciły akurat przy żniwach, kiedy pilnowała na polu pochylonych nad sierpami bab. Ktoś poleciał z krzykiem do dworu, ktoś zaprzęgał w pośpiechu konia, ktoś rzucił snopki na wóz, a wszystko to w letnim upale, w sam czas żniw, o wiele za wcześnie. Zamieszanie, krzyk, pełna miska krwawej wody, a kiedy zapiszczała po raz pierwszy, Walukiewiczowa, co odbierała wszystkie dzieci w Juryszkach, powiedziała do położnicy: - Pani niepotrzebnie było tak cierpieć, to tylko dziewczynka, i już aniołeczek. O, jaka kruszyna. Malenieczkajak ten palec. - A matka, Maria, spocona, cała jeszcze we krwi, kazała ją podnieść do góry, żeby spojrzeć na nią po raz pierwszy i ostatni. Było to siedemnastego sierpnia 1901 roku. Zaraz też dali jej imię, żeby bez tego nie umarła. Pospieszne to były chrzciny, a ksiądz huknął na nich z góry, że Maria jest tylko jedna: Matka Boska, a wszystkie po niej mogą być tylko Marianny. Ale w kresowych Juryszkach to imię brzmiało całkiem obco, i tak została Maryśką.

Kiedy zaczęła chodzić, nie mogła się czepiać matczynej

spódnicy, bo wisiało już przy niej kilkoro silniejszych. Kazali ją niańczyć siostrze, siedmioletniej Elżutce. Piastunka opędziała się od dziecka, jak mogła, ale Maryśka dreptała za nią uparcie, wołając: - Elżutka! Nieś telka! Lej lika! Łóż mećka!

Elżutka chowała się po kątach, ale mała odnalazła ją wszędzie i ciągnęła do pieca, gdzie w pieczurce stało ciepłe mleko. - Widzisz ją, jaka dochodna! - dziwiła się akuszerka Walukiewiczowa. - Patrzaj, pani, nikt nie myślał, że przeżyje! - cmokała ze zdumienia. - Żyrkajest, to przez to żyje. - Cóż, taka widać wola Boża - godziła się pobożnie Maria - widać nie było jej sądzone. Daj jej „lika”, Elżutka! - krzyczała na starszą córkę i leciała do obory albo do pola.

Elżutka wzruszała ze złości ramionami, bo Maryśka tylko by jadła i jadła. Robiła też małej różne sztuki. Nakładała na butelkę nie przekłuty smoczek i Maryśka ciągnęła łapczywie samo powietrze, albo smoczek z dziurką, ale butelka pusta, albo jeszcze gorzej - lała zamiast mleka jakieś gorzkie ziółka, przeważnie piołun, którymi ich ojciec, Andrzej, ratował się od bólów brzucha. - Pij, Marysiu, pij - zachęcała obłudnie - Mniam! Mniam! Pij „liko”.

Od tego czasu Maryśka wiedziała, że pochylona nad nią twarz siostry nie wróży nic dobrego. - Czego ty chcesz ode mnie?! - krzyczała potem starsza siostra. - Ja sama gorzkie jeszcze dziecko byłam! Matka winna, nie ja! Czego nas tyle rodziła?! Kto jej kazał?!

Maria z Juryszek też nie chciała mieć aż tyle dzieci, ale miała męża, któremu trzeba było dogadzać, bo poszedłby zaraz do innych bab. I tak chodził, bo bab w okolicy było pełno: piersiatych, szerokich w biodrach, usłużnych, głodnych na przednówku, ochotnych do zabaw zimą, kiedy śniegiem nawiewało pod same strzechy. Za kańczarek słoniny, za kwaterek mąki można było w nich przebierać, szukać co młodszych, bardziej łaskotliwych. Choćby taka, tuż pod ręką, Walunia, służąca. Mocna jak paru chłopów, co to worek ze zbożem zarzuci na plecy i jeszcze będzie z nim tańczyć, nogami przebierać.

Walunia znana była z tego, że spała twardo jak kamień. Można było ją zgarnąć do pościółki, przenieść pod płot, w pokrzywy, a ona tylko przeciągała się słodko, nie budząc się wcale. A kiedy nie spała, to śmiała się od rana do wieczora.

- Nos ma jak bulwa, gęba od ucha do ucha, oczy szpareczki - mówili o niej kawalerowie z Krzywil.

- No i co z tego? - broniła jej pani z Juryszek. - Ale ile w tej twarzy radości, ile śmiechu - zachwalała, żeby ją wydać za mąż, lecz kawalerka nie kwapiła się jakoś.

- Pani, co ja z taką zrobię? - wybraniał się przyciśnięty do muru parobek - na taką to nawet ręki nie podniesiesz, bo odwinie się i odda. Zanadto silna - krzywili się i brali za żonki co słabsze dziewczyny.

Aż któregoś dnia sam pan Andrzej odkrył, że Walunia ma wszędzie łaskotki, po całym ciele. Wystarczyło tylko dotknąć, a zaraz rozlegał się przyduszany pana ręką wysoki śmiech. To odkrycie bardzo pana ucieszyło, bo nie trzeba już było daleko szukać.

Walunia latem spała w odrynie i to był dobry do takich rzeczy czas, ale znów zimą ochota była większa, więcej nocy. Rano Walunia przecierając oczy sama nie wiedziała, czy to pan Andrzej był przy niej na sienniku, czy tak jej się wydawało. I cała jeszcze w sennych przeciąganiach, szła doić krowy, skoro świt, mamrocząc pacierz. Wtedy często spoza paciorkowych „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z tobą...” wyzierała nagle twarz pana i trzeba było zęgnąć się szeroko, odganiać grzech.

Tak było i tego ranka. Skrzypnęły wrota od obory, krowy zamruczały rzucając łbami. Dziewczyna poszukała po omacku stołka i moszcząc się usiadła pod Kwietką, zwaną też Holenderką. Od niej zaczynała dojenie, bo kiedy do obory przylatywała pani, Walunia już miała pełne wiadro, co znaczyło, że nie próżnowała. Siadła pod Kwietką mrużąc sennie: - Mileńka ty moja, rodnieńka, przypuść mleka, przypuść, nie żałuj. - Ale dojki były puste, choć wymię pełne jak balon.

- A żeb ciębie karszun! - zakłęta Walunia, ale co było robić, jak co dzień trzeba było śpiewać, bo inaczej Kwietką nie dawała mleka. - „Przylecieli husi z dalokoho kraju - zawiodła - zamucili wodu, zamucili wodu na tichym dunaju...”

I mleko zaczęło biczować dno wiadra pienistą strugą. Nawet nie skrzypnęły drzwi, kiedy do obory wszedł cicho pan. Przyciżił się za siedzącą dziewczyną, przechylił ją ze stołkiem do tyłu.

- Aj! - pisnęła przerażona.

- Śpiewaj! - syknął - śpiewaj, jakby nigdy nic! Śpiewaj, durna!

I dziewczyna darła się głośno, coraz głośniej, aż do krótkiego krzyku. W głębi skrzypnęły wrota, weszła zmienacka pani, za nią dreptała czteroletnia Maryśka.

- Walunia! - krzyknęła pani od progu - pod którą ty krową siedzisz?

- Pod Kwietką - pisnęła dziewczyna, gramoląc się na stołek.

- A kto tam z tobą jest?

- Nikto! A chto ma być?

Pan chciał przeturlać się pod krowi żłób, przywarować, ale potknął się i rozciągnął na słomie jak długi. I wtedy wszystko stało się jasne.

- Ty bezwstydnica jedna! - krzyknęła pani i skoczyła do dziewczyny. Zakotłowało się. Mała, czteroletnia Marysia patrzyła ciekawie, aż dojrzała blisko siebie wiadro z mlekiem. Zrobiła parę kroków, uchwyciła się jego brzegu, przechyliła do siebie, chciała pić, ale mleko wylało się na słomę, na jej boscie nogi.

- Daj lika, daj! - zagadała i zaczęła taplać się w nim radośnie.

- Mańka! - ryknął ojciec. - Weź tego niedonoska! Tego durnego stołbuna! Weź, bo go zabiję!

To Walunia chwyciła ją na ręce i wyniosła krzyczącą ponad ich głowami. Od tego czasu Maryśka polubiła łązić po Waluni, kiedy ta spała na swoim sienniku rozłożonym na ławie. Wszędzie było miękko i przytulnie... I na szerokich piersiach, i na wypuszczonym brzuchu. Ciągnęła dziewczynę za włosy, wsadzała palce do nosa a najbardziej polubiła miętoszenie za uszy. Polubiły to obie tak, że Walunia prosiła często: - Panienczka pomiętoś ucho, a to jakości skuczno na duszy, obojętnie...

- Coś podobnego - dziwiła się Maria. - Jak ona do tej słuchownicy przywykła.

Już wtedy chyba Maryśka wiedziała że coś z nią nie tak. Ojciec wracał z Ejszyszek, z rynku, wyciągał przed siebie wielkie buty z cholewami. Dopadały do nich dzieci, ścigały z nóg, ona też.

- Idź ty, nieudałoto! - krzyczał ojciec.

- Idź ty! - krzyczały za nią dzieci.

A potem siadały wszystkie dookoła i czekały na cukierki. Ojciec

wyciągał z kieszeni szeleszczącą paczuszkę i każdemu dawał po jednym karmelku, ale kiedy dochodził do Maryśki, cofał rękę.

- A mnie, tatko?! - wołała. - Mnie?!

- Tobie się nie należy - mówił.

I tę cofniętą ojcowską rękę zapamiętała na całe życie.

- Co ty sobie ubzdurałaś?! - dziwiła się po latach siostra Józia. - To niemożliwe. Ojciec był zawsze dla nas sprawiedliwy.

- Nie dał mi nigdy cukierka, nigdy - wołała Maryśka. - Wszystkim dawał, tylko mnie jednej nie!

- A jeżeli nawet - godziła się siostra - jeżeli nawet tak było, to kto by tam pamiętał takie głupstwa! A zresztą - dodawała surowo - trzeba było sobie na to zasłużyć.

- Czym zasłużyć? - wołała. - Byłam taka sama jak wy! Jak wszystkie dzieci! Czym się różniłam?! Czym?!

- Zostawmy lepiej ten temat - mówiła Józia sznurując usta.

- Jaka ja byłam?! Siedmiomiesięczna, tak?! Niedonoszona?! Tak?! Wszystkie mądre, udałe, tylko ja nie?!

I tak ta opinia już potem zawsze szła za nią, że Maryśce nie należy się to albo tamto. Nawet jej nie bili, bo szkoda było się wysilać. Kładli się na ławie bracia, kładły się siostry czekając na zasłużoną karę, ale kiedy dochodziło do niej, machali lekceważąco ręką. Raz sama przyniosła pęk wymoczonych specjalnie różeg. - Tatko, bo ja wypuściłam ordynaryjne świnię w szkodę. To ja - przyznała się wtykając mu w rękę różgi. - Ty świnię w szkodę?! Gdzie ty zdolna do takiego czegoś - usłyszała. I to też zapamiętała. Nie było kary, nie było nagrody. - A mnie tatko tak zerznął tyłek, że siedzieć nie mogę! - chwalili się bracia - i jeszcze długo nie siądę!

- Walunia - pytała służącą - czemu mnie tatko nigdy nie bije tak jak innych?

- A panienczka, mileńka moja, rodnieńka, nie bierz tak do głowy - pocieszała ją Walunia. - Najdzie kiedy na niego wielka złość, to zbije, nie ma obawy, byle tylko złość naszała...

- Siedmiomiesięcznych nie biją? Powiedz! Nie biją?

- Nie wiem, panienka - przyznawała Walunia. - Dalbóg, nie wiem, jak to u panów jest. Musi, co nie biją.

Kiedy miała siedem lat, zaczęła pilnie obserwować swoje rodzeństwo.

- Anusiu - spytała kiedyś najłagodniejszą z sióstr - powiedz mi, jaką ja mam głowę.

Anusia, puciołowata, bladawa, najczęściej lubiła się modlić i cała rodzina szykowała ją do klasztoru.

- Co mówisz? - oderwała nieprzytomne oczy od różańca.

- Powiedz, jaką ja mam głowę - prosiła Maryśka.

- A co, boli ciebie?

- Nie, ale jaka ona jest? Czy... czy stołbunowata?

Siostra przyjrzała jej się, machinalnie przesuwając w palcach ziarenko różańca.

- Włoski masz słabe - stwierdziła po chwili.

- To po naszej mamie. Też ma takie siano, ale głowa?

- Módl się - poradziła zniecierpliwiona siostra - módl się do Boga. Zaufaj mu.

- Czy Bóg da mi taką głowę, jak mają wszyscy? - wątpiła Maryśka - jak ty i jak Józia?

- U Boga wszystko jest możliwe - szepnęła siostra.

Elżunia, ta, coją tak niechętnie karmiła w dzieciństwie, kwitowała jej pytanie krótko: - Masz taką głowę, bo za dużo jesz! Kto wczoraj wypił śmietanę w składziku? Myślisz, że nie wiem?

- A ty słodką śmietanką myjesz sobie twarz! - wypomniała Maryśka. - Sama widziałam!

- Bo chcę wyjść szybko za męż - spojrzała na nią z wyżyn swoich trzynastu lat siostra.

Józia, z mocnym charakterem, co już od dziecka, jak było trzeba potrafiła znaleźć tatkę u najdalszej z bab, na takie pytanie zaczęła mocno ubijać masło w maselnicy.

- Bo ty jesteś leniwa - stwierdziła krótko. - Wszystkie choroby biorą się z lenistwa - dodała chlupiąc mocno ubijaczką.

- Ależ ja jestem zdrowa! - oburzyła się Maryśka.

- Zdrowa? To czemu tatce przy młóceniu nie pomagasz?

- Boję się tatki - wyznała Maryśka.

- Phi! - prychnęła siostra - ciebie to nawet nikt nigdy nie uderzy! - dodała pogardliwie.

- Ciotka Bogusia mówiła że kobiety nie bije się nawet kwiatem - ratowała się Maryśka.

- Takie myśli to biorą się głównie z lenistwa - skwitowała surowo siostra.

Tylko Janka podeszła do sprawy ze zrozumieniem. Ta całymi dniami latała z braćmi po polach, zastawiając wnyki na zające. I teraz coś majstrowała z Kostusiem przy starym żelastwie.

- Pokaż tą głowę! - rozkazała - nie chowaj jej pod pachą!

- Czy ona... czy ona jest taka duża?

- Aż taka to nie - przyznała łaskawie siostra.

- Ciekawe, czy weszłyby do wnyków - zainteresował się Kostus i kłapnął jej przy nosie trzymanym w rękach żelazem. - Maryśka, kupa gówna, nikomu nierówna, tylko temu gawniaczku, co leży przy krzaczku! - krzyknął za uciekającą.

A Maryśka poleciała, jak zwykle, na przełaj, do sadzawki pełnej żab i kijanek. Poіło się tu krowy, konie, ale woda biła z dna mocnym źródłem i sadzawka nigdy nie wysychała. Maryśka pochyliła się nad nią, rozgarnęła kijem zieloną rzęsę. Jakbym się utopiła - pomyślała - to płakałaby po mnie tylko Walunia. - Poszukała swego odbicia, ale woda była mętna, niewyraźna...

- Co tam robi?! - krzyknął nad nią jakiś głos. - Topić się zamierza?!

Nad sadzawką stał duży chłop w wielkiej zszarganej burce. Nie opodał na furmance siedział folwarczny woźnica.

- Jedziem, Bartłuk! Jedziem! - poganiał. - A to pan kazał, żeby za dnia dojechać! Trzeba nam szybko do obory! Kwietka może paść.

- Job twaju mać! - zniecierpliwiał się chłop w burce. - Ja sam sobie panem! A ty czyja? - zapytał Maryśki.

- Pana Andrzeja z Juryszek córka - szepnęła w strachu.

- Nu tak chodź! - krzyknął wesoło. - Nam jedna droga! Takie piękne panienki nie powinny w wodzie przyglądać się za długo. - Wyciągnął do dziewczynki rękę. Śmiał się, gadał coś po cygańsku czy po żydowsku. Po burce, po kołnierzu łąziły mu wszy.

- Niech panienka się odsunie - doradził woźnica - do niego nikt nie zbliża się zanadto, bo te wszy to uczone są, skaczą jak koty! Jego do zamawiania bydła okoliczne nie biorą, bo zrazu po nim pościel trzeba palić i pierzyny, ale tatuś panienki szkodzi Kwietka. Krowa jak ta łań, a padnie - biadolili.

- Nie boj się, dziecka, nie boj się - przygarnął ją do siebie zamawiacz. - Cipun jemu na język!

Śmierdział wódką, zarośnięty był, brudny, ale patrzył na nią uważnie, bystro.

- Wiele tobie lat, dziecina? - zapytał.

- Na ósmy idzie - wyjąkała.

- Ot, hłań! Malenieczka, a pienkna! - zachwycił się pijacko.

- Jestem mała, bo... byłam siedmiomiesięczna - wyznała cicho.

- Jaka?! - parskał śmiechem. - Jaka? A czego ty po kątach chowasz się, dzieciuku jeden?! A patrz ty na słońce, co zachodzi! A jakie ono jest? Może ono też siedmiomiesięczne, aa? A jak grzeje! Nikto nie pyta, chto je zrodził i kiedy!

- Panienska odkręca od niego głowę, bo z gęby jego jak z gorzelni jedzie! - upomniał woźnica.

- Karszun tobie na język! - rechotał radośnie zamawiacz, strzepując z kołnierza wesz.

Zajechali z fasonem pod sam juryski ganek.

- Jezus Maria! - krzyknęła na ich widok pani. - Jezus Maria! Kogo ty przywiózł?! Bartłomieja?! Przecie po nim wszystko palić trzeba! On jak zaraza!

- Pan tak nakazał - powiedział woźnica. - Kazał, to przywiózł.

Bartłomiej gramolił się z wozu, chwycił na ręce Maryškę, zsadził przed gankiem.

- A ta skąd się tu wzięła? - zdumiała się Maria.

- Ot, córeczka jak malowanie! - cmoknął ni to Żyd, ni to Cygan. - Topić się chciała. Ośmiorojeszcze pani ma, ale ta tylko ma pienkną duszę. A teraz wszystkie won ode mnie! Pan też! - krzyknął na wychodzącego pana. - Gdzie obora? Tamuj?! Sam tam wejdę, bez nikogo!

I Żyd albo Cygan, najlepszy zamawiacz na okolicę, pospieszył do obory. Co tam robił, nie wiadomo, ale wiadomo było jedno, że żadna krowa już nie padnie od moru, bo kiedy on już tam wszedł z tą swoją mocą, zaraza zginęła. Kwietką zaraz potem chwyciła ze ściółki trochę słomy do pyska. Potem ni to Żyd, ni to Cygan kadził jeszcze oborę jakimiś duszącymi ziołami, ale nikogo przy tym też nie mogło być.

- Andrzej, ja mu chyba pościółkami pościelę - powiedziała pani - bo nie dam na zmarnowanie pierzyny i powłoczek...

- Pościelesz mu jak panowi! - nakazał pan. - Dasz mu pierzynę i czyste obleczenie! Za Kwietkę własną skórę bym dał!

Wieczorem w kuchni Bartłomiej rozdział się z burki, ale pod spodem też miał same łachy. Mocny jeszcze, z kręconymi, czarnymi na piersiach włosami, wodził rozgrzanym od wódki i jedzenia okiem za Walunia. Raz chwycił ją nawet za rękę. Maryśka patrzyła na to wszystko zaszyta na ruskim, szerokim piecu. Schowała się tam między sita od mąki i inne rupiecie. Ciągnęło ją do niego. Walunia też błyskała zalotnie szpareczkami oczu, trząsał się jej od śmiechu bulwiasty nos.

- Pan - powiedział ni to Cygan, ni to Żyd do gospodarza - dorzuci pan do zapłaty swoją służońcą?

- Za Kwietkę - odparł pan - niczego nie pożałuję.

- Oj, bo zaraz wróci! - błysnął zębami zamawiacz. - Ja bym ją wywyższył, wiadajesz, pan, ja bym ją wywyższył do szlachcianki - bredził już podpity.

- Walunię do szlachcianki? - zdumiał się pan. - Pewno. Chciałaby dusza do rajy, ale grzechy coś nie puskają! Walunia dobrze wie, gdzie jej miejsce.

- Za takiego wszarza za nic nie pójdę! - plasnęła rękoma Walunia. - Mam lepszych.

Pan szczerwieniął na takie coś po same oczy i wyszedł z kuchni.

Raniutko ni Żyd, ni to Cygan śpiewał coś, mruzczał, jeszcze raz kadził oborę. Kwietka rzucała łbem przeżuając siano. Kiedy wyjeżdżał, Maryśka stała w ogródku, i inne dzieci też. A zamawiacz krzyknął do nich:

- Ej panienska! Ta pienkna!

- To do mnie - domyśliła się Elżunia.

- Nie, nie ta panienska! Tamta! - pokazał palcem na Maryskę - najmniejsza ale najudalsza. - Potem stanął na bryczce wielki, w poszarpanej burce i pokłonił się Maryśce nisko, do samej ziemi. Inne dzieci patrzyły na to głupimi oczyma.

ROZDZIAŁ II

Długo po jego wyjeździe myli i szorowali kuchnię, zlewali wrzątkiem łóżko, na którym spał, spalili siennik i obleczenie. A Kwietką wyzdrowiała. W niedługi czas potem zechciała do byka i cieluczek urodził się w swoim czasie zdrowy, zdrowiuteński.

Maryśce uzdrowiacz-zamawiacz śnił się po nocach. Raz przychodził jak święty z palmami w rękę, a raz chwycił ją, podnosił wysoko, sadzał na bryczkę. Lecieli razem nad sadzawką, nad łąką i śmiali się, śmiali bez końca.

- Waluniu, gdzie jest ten uzdrowiacz? - pytała. - Kiedy znowu przyjedzie?

- Ten wszarz? A po co on panience potrzebny? - dziwiła się służąca. - Gadają w Lewkiszkach, że zapił się na śmierć. Wódka jemu zapaliła się w gardle sinym płomieniem...

- Sinym płomieniem? - nie rozumiała.

- Wiadajesz, panienka - tłumaczyła jej Walunia - jak wódka zapali się w gardle, to baby trzeba na gwałt, żeby do gardła nasikała. Polecieli po sąsiadkę, ale ona nie chciała...

- I co?

- I spaliła go ta gorzała na śmierć.

- I nic... i nic po nim nie zostało?...

- A co miało zostać?! - ruszyła ramionami służąca - musi tylko te wszy na kołnierzu - zaśmiała się. - A co panienka płacze? Dajcie spokój! - plasnęła rękoma. - Śłozы lecą jak groch! - dziwiła się.

- A ty?! Czemu tyjemu nie nasikałaś?! Czemu?! - mazgaiła się Maryśka.

- A co to, mój chłop był czy jak? - oburzyła się służąca.

- A tatce...

- Co tatce?

- Tatce byś nasikała?

- Co wy tu za bzdury opowiadacie?! O jakimś sikaniu? - naszła na nie pani. - A ta czego znowu płacze?

- A kto ją zgadnie, u niej oczy na mokrym miejscu - zagadywała służąca cała w pąsach.

Pewnego dnia Maria postanowiła, że Maryskę, choć ma słabą głowę, też trzeba uczyć, tak jak inne dzieci.

- Czy ona co pojmie? - powątpiewał ojciec. - I skąd na to pieniądze nastarczyć?

- Chcesz się uczyć? - spytała dobrotliwie Maryskę matka.

- Chcę, mama! Ja już czytam z książeczki do nabożeństwa!
Anusia mnie pokazała!

- No i to już jej starczy - zdecydował ojciec.

- No wiesz! - oburzyła się żona. - Jak ty schłopiałeś! Boże mój! Andrzej! Nie poznaję ciebie! Ty, szlachcic z dziada pradziada! Herbu „Poraj”!

- Wszystkie będziesz uczyć? Musi być choć jedno durne! Nie?

Maryska słyszała to wszystko, bo dom był mały, ciasny, miał tylko trzy pokoje, a te rozmowy prowadzili przeważnie nocą, kiedy dzieci już spały, tylko jedna Marysia nie. Potem łóżko rodziców zaczęło skrzypieć. Tej nocy przyśniła zamawiacza całego w wielkim płomieniu i słodko jej się zrobiło, dziwnie. Ten płomień lizał jej brzuch ciepłym, wielkim jęzorem.

- Co robisz, Marysiu?! - usłyszała nad sobą głos. - Gdzie trzymasz ręce?! Połóż na kołdrze! - rozkazała matka stojąca nad nią w długiej płóciennej koszuli.

- Dlaczego na kołdrze? - spytała rozbudzona. - Dlaczego?

- Patrz na Anusię, jak ona śpi! Jak aniołek! Tak jakby się modliła...

Od tej pory jednak Maryska też się uczyła. Pani Jacuńska, sąsiadka, poleciła domokrężną nauczycielkę, Domicellę, co jeździła po okolicznych dworach i dworkach.

- To dziecko - mówiła nauczycielka o Marysce - nie jest zbyt pojętne, długo uczy się wierszyków, ale według mnie zdradza pewną wrażliwość, szczególnie na poezję.

- Na co? - spytał ojciec.

- Na poezję - tłumaczyła cierpliwie panna Domicella - te same przymioty znajduję w jej bracie Adamie, bo jeżeli chodzi o Bogdana i Kostusia, to umysł mają wyjątkowo praktyczny, trzeźwy, tylko że to śmierdzące lenie.

„Śmierdzące lenie” gapiły się tępo na nauczycielkę, kiedy rozkładała kajety i ołówki.

Panna Domicella, pulchna stara panna pełna patriotycznego zapału deklamowała *Odę do młodości* Mickiewicza, mówiła o carskim ucisku, o styczniowym powstaniu, wynalazła nawet gdzieś

w pobliskim lesie starą powstańczą mogiłę, na którą zaprowadziła dzieci. Trochę niedowidziała i było to powodem do robienia jej różnych psikusów, szczególnie kiedy zatapiała się w poezji. Kiedyś nagle tuż przed nią ktoś położył na książkę małą, szarą ropuszkę. Panna Domicella przybliżyła do niej oczy - ropuszka gapiła się wyłupiasto - a skończyło się to wielkim krzykiem panny. Nie mogła ona pojąć prostej zasady, że kiedy chłopcy siedzieli cicho, wiadomo było, że coś knują. Panna Domicella po lekcjach wstawiała z krzesła i okazywało się, że ktoś przybił jej dół spódnicy do podłogi, bo kiedy Kostuś i Adaś wpatrywali się w nią tępo, cali zasłuchani, Bogdan z Bronisem działali potajemnie na podłodze. Wzięła się potem na sposób i usadowiwszy dzieci za stołem, krążyła wokół czujnie. Tylko jedna Marysia wkuwała zapamiętałe wierszyk: „Czemuś tak smutna, ptaszyno mała, czy ci serduszek żal gniece? Powiedz, ach, powiedz, wiedzieć bym chciała, czy ci źle bardzo na świecie? We mnie radości już nie ma wcale i tylko ledwo co żyję, bo kto niegodny zabija dzieci, niechaj wpierw matkę zabije”. Marysia dochodząc do tego momentu zawsze płakała. - Czemu płaczesz, Marysiu? - pytała zdumiona nauczycielka. - Bo ona ma oczy na mokrym miejscu - tłumaczyła Józia. - Ale dlaczego aż tak wzruszają ten ptaszek? - nie mogła zrozumieć nauczycielka. - Bo ona jest niedonoszona! - krzyczał Bogdan. - Nieudałota! Hramazda! - darli się Adam z Bronisem.

- Ja bardzo proszę - mówiła panna Domicella czerwieniąc ze złości - ja bardzo proszę nie opowiadać takich bzdur! Broniś na przykład nie zna tabliczki mnożenia! I jak nazwiemy takiego ucznia, który nie wie, ile jest sześć razy siedem?! Po prostu tępym, leniwym chłopcem! - krzyczała strzepując nieuważnie podłożoną jej na książkę włochatą gąsienicę. Zrywała się cała w pasach i szczupłymi palcami chwyciła Bronisia za ucho. Kręciła je, miętoszyła, chłopiec darł się, a z całego zamieszania natychmiast korzystały inne dzieci.

- Durna ta nauczycielka - mówił potem Broniś rozcierając bolące ucho. - Durne paleno! Ja nie potrzebuję się uczyć. Tatka ma sto hektarów ziemi, to mnie nie trzeba znać żadnego mnożenia.

- Boże! I to są moje dzieci? - dziwiła się matka, która jedna z całej rodziny lubiła czytać książki. Wyniosła to ze swego domu.

Czasem wieczorem, kiedy wszyscy już spali, paliła świecę i przy jej nikłym świetle szeleściła odwracanymi kartkami.

- Czego to nosem dziobie w książkę?! - budził się leżący przy jej boku mąż. - Co tam ślepić, darmo światło palić? Szkoda świecy - zdmuchiwał nikły płomień. - Co tam wyczytała? - ironizował i odwracał się pogardliwie do żony plecami. - Szkoda czasu i atłasu - kwitował zasypiając, a Maria długo jeszcze leżała z otwartymi oczyma, pełna goryczy i żalu, że on, Andrzej, nic a nic nie rozumie z tego, co ją wzrusza, co jej daje chwilę oddechu przed rannym dojeniem, po całym dniu w polu przy babach, po wieczornym obrządku.

- Jak jeszcze raz zobaczą, że pali na darmo świecę, to podpalę książkę - odgrażał się rano. - Zobacz. Dalbóg, podpalę!

- Ależ, Andrzej - mówiła - jakież ty przykład dajesz naszym dzieciom! Po innych dworach to uczą się nawet francuskiego. Taka Bogusia, moja cioteczna siostra, bardzo uczona. Ona jak pojedzie do Surkontów, gdzie zbiera się całe towarzystwo, to mówi po francusku. Ma inne życie...

- At! - machnął ręką - znam ja te dwory, dwóch siedzi, gada po francusku, a reszta tylko gęby rozdziawia i ni be, ni me, kes ke se, co pani gada, gul, gul, niech pani siada! W głowach mają poprzewracane. U nas takiego czegoś nie będzie, nie ma obawy. Lepiej leć do obory, dziewczyn przypilnuj! - polecił, owijając onucą nogi. - Trzeba - mówił - nakłaść słomy do butów, a to za wielkie, noga lata jak w odrynie.

- No właśnie! Wielki pan na Juryszkach, a słoma wyłazi z cholewy! Gdzie tu mówić o książkach! Żeby wyszła za Dowgiałkę z Jurył, to ten by mnie zrozumiał, ale ty?! Przy tobie to tylko kury macać i krowy paść.

- A gdzież ten twój Dowgiałto? Gdzie? - śmiał się stukając butem. - Zapiałto, zaszumiałto i poleciałto! - rechotał. - Uciekł od ciebie aż na Sybir!

- Dowgiałto to był wielki patriota! Ojca za powstanie zesłali, a on pojechał odnaleźć jego mogiłę. Takie piękne listy do mnie pisywał! Ty to mu do pięt nie dorastasz!

- Taki patriota jak Bogusi bracia. Mądrzyli się tu w Leszyszkach: „Polska Polska”! Jakież tu krążki zakładali, pieśni śpiewali

zakazane, i co? Dostali zsyłkę i co tam robią na tej Syberii, co? - nacierał. - Pożenili się, wzbogacili i teraz kupcy całą gębą!

I to była akurat prawda, z tymi Bogusi braćmi. Nie tak dawno temu zjechała do Juryszek wzburzona i czytała swojej stryjecznej siostrze list z dalekiej Syberii, w którym bracia donosili, że im dobrze się żyje, że Pan Bóg obdarzył ich dziećmi i jej, siostrze w Leszyszkach, „żełają uśpiechów”.

- Ba! Jak oni mogli?! Jak można było tak się zniszczyć?! „Żełają uśpiechów”! A ja tu po nich, ja tu po nich oczy wypłakałam - wściekała się Bogusia, cała w czarnych koronkach. - Leonard i Walery! Wyklnę ich! A tak ich kochałam, tak kochałam!

- Sprzedaj te Leszyszki i do Wilna się przenieś - radził Andrzej.

- Tak, tak, Bogusiu, przecież ty sobie z tym chłopstwem dookoła, sama kobieta na folwarku, nie poradzisz. Nie masz już rodziców, nikogo...

- Nie dam Leszyszek nikomu! - zacięła usta Bogusia. - Będę gospodarzyć! Tak mi dopomóż Bóg.

Ale pomagała jej, jak mogła, Maria i jej mąż. A to jej ziarno na siew podrzucili, a to pożyczyci pieniądze na zakup dodatkowego konia. Andrzej nawet często tam podjeżdżał, ale po którejś jego wizycie Bogusia przyjechała do Marii, tym razem cała w bieli, z jakimś zetlałym żabocikiem pod brodą, spiętym starą kameą po zmarłej matce. Oczy jej ciskały błyskawice. Znalazła Marię przy robieniu masła. Dwie dziewczyny mlaskały ubijakami w maselnicy, zawodząc jakąś białoruską piosenką o dzikich gęsiach. Maria wtórowała im cicho.

- Ba! - powiedziała Bogusia - odpraw służbę, Marysiu! Chcę z tobą porozmawiać!

- Co się stało? Choć, przejdziemy do salonu - Maria poprowadziła ją do jednego z trzech pokojów, zwanego salonem. - Co się stało, Bogusiu?

- Ba! - popatrzyła na nią z wyższością Bogusia. - Podziwiam, że ty tak schłopiałaś! Śpiewać z dziewczkami! Hańba!

- A co to złego, to piękna piosenka, taka tęskna - tłumaczyła się przed kuzynką Maria - o miłości...

- Tęskna! O miłości! A wiesz, co to jest miłość, wiesz?! Wstrętnie, oślizgłe, ogierowate nasienie!

- Bogusiu - jęknęła Maria - co ci jest? Chora jesteś?

- Tak, chora! Ze wstrętu. I proszę cię, Maryniu, żeby więcej twój mąż do mnie nie przyjeżdżał - oznajmiła.

- Ależ dlaczego? - zdziwiła się Maria. - Nie rozumiem...

- Ba! On zachowuje się wobec mnie nieprzyzwoicie!

- Andrzej! - skoczyła potem do męża Maria - coś ty jej zrobił?! Boże! Nie wiedziałam, gdzie oczy ze wstydu podziąć - lamentowała.

- Komu ja co zrobił? - pytał niepewnie Andrzej, bo ostatnio miał tego trochę na sumieniu. - Nie słuchaj tej durnowatej Emilki!

- Boże! To i Emilka?! Boże! Zresztą co mnie obchodzą te twoje ciemne, proste baby! Ale Bogusi?! Mojej kuzynce?! Mów! Co jej zrobiłeś?!

- Bogusi? - zdumiał się Andrzej. - Bogusi?! A daj spokój! - parsknął śmiechem. - Wiesz, co jej zrobiłem, wiesz?! Powiedziałem, że loszkę musi pokryć, jeżeli chce na Wielkanoc mieć parsiuszka na zakłucie! Ot, co zrobiłem!

- Poboż się - nakazała pani. - Poboż się, to ci uwierzę!

- Dalbóg, to prawda! - grzmotnął się w piersi.

Teraz już wszyscy w okolicy gadali, że panienka Bogusia nienawidzi mężczyzn. Pomagała jej w gospodarce młoda dziewczyna, którą nazywała „kobieta”. - Kobieta - mawiała do niej z pańska - niech kobieta powyrzyna wszystkie kogutki, co do jednego!

- Jezus Maria, panienka, a coż będziem z nich robić? Do nas nikt nie przyjeżdża, to chto to zje!

- Nikt. Kobieta odda to chłopstwu, rozumie kobieta?

I doszło do tego, że w Leszyszkach nie trzymano żadnych samców, tylko same kobyłki, krowy, kury. Nawet kiedy przed Bożym Narodzeniem stary chłop z Powieleńc przynosił z Dzitwy ryby na Wigilię, to Bogusia żądała potwierdzenia, że to tylko samiczki, tylko z ikrą...

- A panienka, czy ja im pod ogon zaglądał? - bronił się stary.

- Może być, trafi się jakiś mleczak, chto to tak zrazu rozpozna?

- Wobec tego nie będzie ryb na Wigilię - ucinała Bogusia - obejdzimy się z kobietą smakiem - i odprawiała chłopca.

- Boże - żaliła się do męża Maria - ta Bogusia zupełnie dziwaczeje. Co robić?! Co to za dziwna choroba? - zastanawiała się Maria. - Wszyscy już o tym gadają...

- To nie żadna choroba, ale chroniczne skąpstwo. Ona nie tylko samczyków nie je, ale w ogóle jeść przestaje i tą swoją „kobietę” głodzi, bo ubzdurała sobie, że jak dobrze podjesz, to ochoty nabierasz, wiesz do czego...

- Ach, nawet mi nie mów. Jest w tym może trochę prawdy! - odpowiadała Maria patrząc z niesmakiem, jak mąż dziesiąty blin kładzie na talerz.

Ale tak zawsze z Bogusią nie było. Maria pamięta, że kiedyś, kiedy jeszcze Bogusia cała w czerni, rozpaczając po zesłanych na Sybir braciach, pisywała do nich długie listy, zjawił się w Leszyszkach młody geometra. Coś tam mierzył po polach, a kiedy doszedł do sadu, Bogusia zawołała go z ganku na posiłek. Wiosna była gorąca, cała w ptasich trelach i rechotach żab. Geometra zamiótł nisko czapkę przed gankiem i potem jedli razem kwaśne mleko z kartoflami. Po tygodniu wszyscy mówili, że geometra lada dzień oświadczy się Bogusi.

- Ach! Jak to dobrze! - cieszyła się Maria. - Jak to dobrze, że na tym pustkowiu ktoś taki się znalazł!

W niedługi czas po tej wiadomości wybrała się do kuzynki, dowiedzieć się, co i jak, od niej samej. Bogusia siedziała w czerni na ganku z rozłożoną na kolanach książką. To po niej widać, że zakochana, że radosna! - myślała Maria. - Pewnie niedługo rzuci te czarne stroje.

Uściskały się.

- Przemokła ci bluzka - zauważyła chłodno Bogusia.

- To od mleka - powiedziała Maria. - Kostusia karmię i tyle mam tego, że nie masz pojęcia! Zdajam, zdajam, a tu, o, ciągle przybywa...

- A fe! - skrzywiła się Bogusia. - Co ty opowiadasz?! Przecież możesz wynająć mamkę, jakąś prostą babę do takich spraw.

- Mamkę? Chcę sama karmić mojego syna. Zobaczysz kiedyś, jaka to przyjemność! Zobaczysz!

- Jak to: zobaczę? - uniosła brwi Bogusia. - Nie myślisz chyba, że się tak spospolituję?

- Dajmy temu spokój - pojednawczo powiedziała Maria. - Taki piękny dzień, a ty tak sama? A gdzie...

- Kto gdzie? - ucięła Bogusia.

- No... no ten geo... geometra - wyjąkała pod jej surowym spojrzeniem Maria.

- Ba! - ruszyła ramionami Bogusia - ten hołysz! Już go nie ma i nigdy nie będzie!

- Ależ, Bogusiu, jak to: hołysz? Ma przecież zawód! Młody jest, jeszcze się dorobi...

- Masz! Poczytaj sobie! - rzuciła jej list Bogusia. - Przeczytaj, co on tu powypisywał!

- To jakiś wiersz? - zdziwiła się Maria.

- Czytaj! Na głos! - rozkazała tamta.

- „O przepiękna ma królewno - czytała Maria - wniądź do mojej biednej chatki, ale zabierz swe manatki, bo hołotę znajdziesz u mnie. Na śniadanie śpiew słowika, a na obiad szmer wietrzyka. Przez dziurawą moją strzechę zobaczysz niebo gwiazdziste...”

- I co ty na to?

- Piękne ma pismo. To... to chyba taki sobie żart...

- Ba! Ładny mi żart! Goły jest jak święty turecki! Nie mówmy o tym więcej. No idź już! - Wstała z godnością z bujanego fotela.

- Nakarm tego twojego Kostusia!

Maria biegła od niej do Juryszek na ukos, przez łąki i ni z tego, ni z owego poczuła się taka szczęśliwa. Chmury zaciągały horyzont, parno było przed burzą, a ona przypomniła sobie taką starą pieśń: "Na cichym dunaju łabędzie płyną, zapowiedzi wyszły, ksiądz ślubu nie daje. Porąbać, posiekać łabędziowe skrzydła, przez ludzkie języki nam kochanie zbrzydło".

Błysnęła przez całe niebo małanka, błyskawica bez burzy, deszcz lunął, ściekał jej po bluzce razem z mlekiem. Biedna Bogusia - myślała Maria - biedna, biedna Bogusia...

Kiedy weszła do domu, cała mokra, tyle jeszcze miała tego w sobie, tej dziwnej radości.

Mąż siedział w kuchni i wydawał dyspozycje parobkom. Podeszła do niego i oparła głowę o jego plecy.

- Andrzej - szepnęła - jak dobrze!

- Czego chce? - nie zrozumiał.

- Niczego. Mam wszystko, czego mnie potrzeba - szepnęła.

- Jak ma, to i dobrze - skwitował nieuważnie i odwrócił się do parobka który wlepił oczy w twarz Marii, bo taka mu się wydała inna.

- Hłań, pan - powiedział - jaka ta nasza pani! Jak wypienkniała!

A geometra wyjechał po jakimś czasie do dalekiej Ameryki i potem ludzie gadali, że bardzo się wzbogacił; nigdy już nie miał okazji, żeby napisać do panny taki jak wtedy wierszyk.

- Ba! Pan Bóg mnie natchnął, że go nie wziętam tu do Leszyszek. Takiego hołysza! - ruszała ramionami na te wieści Bogusia.

- Przecież bogaty jest! - mówili. - Kupiłby ciebie i sprzedał!

- Ale nie ma moich Leszyszek - kwitowała Bogusia. - Nie ma na moje Leszyszki ceny - dodawała. - Sama będę gospodarzyć.

Jakież to było gospodarzenie, pozał się Boże. Perz porastał pole, obora tonęła w gnoju, służąca młoda jeszcze, ale już bez wieku, latała między stodołą a podpartą kijami odryną, a Bogusia kombinowała po całych dniach, jakie by wydać dyspozycje co do obiadu, tak żeby nie wzbudzić niezdrowych myśli u dziewczyny i jednego starawego, kulawego parobka. Kończyło się to zwykle na podkłótce, czyli kluskach z kartoflami na wodzie zasmażanej zjełczałą słoniną. Bogusia miała swoje jaśniepańskie zrywy, podkłótkę podawano na wyszczerbionej porcelanie i choć wszystko, co młodsze, szukało służby po innych dworach, tych dwoje czuło przynajmniej, że są u prawdziwej pani, z dziada pradziada. Może mieli nadzieję, że któregoś dnia to wszystko się odmieni, że Leszyszki staną na nogi, dość, że co rano kornie stawali przed gankiem i czekali na dyspozycje pani.

Przeważnie wyglądało to tak, że kiedy parobek donosił, że brakuje już słomy na podściółkę dla krów, Bogusia stwierdzała, że dzieje się tak przez jego wyjątkową rozrzutność, i nakazywała wyciągać słomę spod żłobów, spod ścian obory. Parobek kłął pod nosem, ale kuśtykał posłusznie, żeby spełnić nakaz pani. I tak miał dużo szczęścia, że jako mężczyzna mógł służyć u panienki. Co do służącej, to ta dziwaczała tak jak i jej pani, a zresztą nie miała gdzie pójść, bo czasy były ciężkie, po folwarkach nie brakowało służących.

Bogusia zresztą i tych dwoje trzymała w ciągłej niepewności co do ich dalszego losu. - Ciężko u panienki - pogadywali na boku - ale może tak jeszcze być, że „przyjdzie święty Jery, to idzi za dźwiery” - bo wzorem innych folwarków służbę zmieniano na

świętego Jerzego i Bogusia też każdego roku przedłużała im łaskawie pobyt jeszcze najeden rok; raz nawet dała służącej chustkę na głowę, a parobkowi zetlała kapotę po jednym z ukochanych braci.

- Panienka, to dla mnie? - zapytał niedowierzająco, bo wiedział, jak panienka wietrzyła co lata przyodziewek po braciach, jak gładziła czule miękkie sukno.

- Niech Florek bierze! I niech mi się nie naprzykrza! - rzuciła gniewnie.

Przypadł jej do rąk, obiecywał nosić tylko do kościoła.

- Niech Florek tego używa do gnoju! - rozkazała.

- Wiedajesz - mówił Florek do parobka z Juryszek - wiedajesz, nasza panienka musi całkiem zdumiała. Dała mnie kapotę po naszym paniczu, Bóg jej rozum odebrał.

- A ordynarię tobie płaci? - zapytał tamten.

- A gdzie tam!

- Ot, tobie na! To czegoś ty u niej siedzisz?! - zdziwił się temten. - Poszedłby do Juryszek albo do Jurel.

- Durny! - powiedział Florek - ze wszystkim durny. W Juryskach pana od parobka nie rozróżnisz, a po naszej paniencie z daleka widno, chto ona. Nie to, co te twoje pany! Słoma wyłazi z cholewy!

- A u was to i słomy nie najdziesz! - odciął się tamten.

Ciotkę Bogusią Maryśkę zapamiętała na całe życie z tego, że kiedyś dała jej miodu z lipcowego plastra. Odwiedziła ciotkę z Kostusiem i Bogdanem, ale ciotka tylko jej jednej dała tego miodu.

- Ile ty masz lat, Marysiu? - spytała.

- Siedem, ciociu.

- To dobrze, gdybyś była starsza, nie mogłabym ci dać miodu, bo on działa na namiętność.

Chłopcy kopali się pod stołem, chichocząc w kułak, a ciotka Bogusia wyniosła na porcelanowym talerzu biały plaster ociekający słodyczą. - Jedz! - powiedziała. Chłopcy przełknęli ślinę, wygrając Maryśce za plecami ciotki.

- Czemu masz taką płacziwą minkę? - spytała ciotka. - Jedz!

- Ja... ja nie mogę, ciociu, bo oni mnie dadzą gruszki...

- Gruszki? - zdziwiła się ciotka. - Nie lubisz gruszek?

- To nie takie, ciociu, biorą tak dwa palce i zakręcają na głowie...

Kostuś przejechał palcami po swoim gardle w geście zemsty.

- Ja... ja... nie mogę jeść, ciociu, bo Kostuś mnie poderżnie szyję...

- To ty jesteś Kostuś? Tak? - zmarszczyła brwi ciotka.

Kostuś, ze stojącą na sztorc czupryną, utworzył ze zdumienia usta, ale przytaknął, że tak, że to on.

- Ba! I to przez takie coś twoja matka pełna była mleka! Ba! Trzeba było utopić w beczce jak kota!

I Maryśka jadła ten miód na oczach braci. Wysysała plaster pełen słodyczy. Nigdy potem żaden miód tak jej już nie smakował. Ociężała od tej dobroci, senna, jechała drogą bezpiecznie, bo ciotka Bogusia kazała odwiedzić dzieci Florkowi, a Kostuś i Broniś siedzieli cicho ze strachu przed parobkiem. Maryśce tłukła się po głowie piosenka: „Jadą, jadą dzieci drogą, siostrzyczka i brat, i nadziewić się nie mogą, jaki piękny świat. I nadziewić się nie mogą, jaki piękny świat! Tu się kryje biała chata pod słomiany dach, przy niej wierzbą rosochata, a w konopiach strach! A w konopiach strach!”

Zasnęła z tej słodyczy, aż trzeba ją było wnosić na rękach do juryskiego domu.

ROZDZIAŁ III

Do Juryszek przychodzili różni dziwni ludzie. Niektórzy mieli swoje pory roku. I tak latem pojawiał się zwykle filozof Rupejko, badacz kamieni. Ten wszystko, co miał, nosił zwykle przy sobie. Nie wiadomo było nigdy, skąd przychodził i na jak długo, bo kresowa zasada gościnności nie pozwalała pytać o to wprost.

Rupejko budził szacunek nawet u pana, bo był to człowiek uczony, rozważający istotę wszechświata. Służył zresztą za dobry przykład na to, że od nadmiaru nauki można zgłupieć do reszty. Rupejce dawano jeść w osobnym pomieszczeniu, bo mimo jego marnego przyrodziewku nikt by się nie odważył posadzić go przy wspólnej misce ze służbą.

Rupejko wychodził rano w pole i całymi dniami przesiadywał na kruszniach - miejscach, gdzie zrzucano zebrane na polach kamienie. Mierzył je sznurkiem, ważył w rękach, porównywał kształt, kolor, wielkość. Twierdził, że kamienie zmieniają kolor w zależności od światła, i przekonywał wszystkich, że każdy z nich powstał w innym miejscu wszechświata.

- To może pan, panie Rupejko, pozbiera trochę kamieni na polu - proponował Andrzej, chcąc jakoś upraktyczyć badania uczonego.

- Jak pozbierać? - udawał, że nie rozumie, Rupejko.

- Bo nikt ich nie sieje, nie orze, a pełno tu tego dookoła.

Rupejko na taką propozycję obrażał się śmiertelnie i mówił, że prawdziwemu badaczowi wystarczy zastanawianie się nad samą istotą rzeczy, nic ponadto. Rupejko co ciekawsze eksponaty przynosił ze sobą i siedząc w kuchni przy ruskim piecu mógł godzinami wpatrywać się w jakiś tam kamień. Kiedyś zrobił straszną awanturę Waluni, która zebrała te jego kamienie i wyłożyła nimi okrągły klomb przed gankiem, pełen nasturcji i maciejki. Krzyczał, pomstował, że dziewczyna zniszczyła mu materiał badawczy.

- Nigdy tego więcej nie rób! - upomniała ją Maria. - Niech ma te swoje kamienie. To jego jedyne bogactwo.

Chłopcy wpadli na inny pomysł. Jeden z jego ulubionych kamieni wysmarowali gównem. Kiedy Rupejko wziął go do rąk, mówiąc o duszy tego okruchu nieba, bo według niego kamienie spadały z niebieskich przestworzy, wszyscy poczuli wielki smród.

Po tym zdarzeniu badacz załamał się, zebrał swoje rozłożone na piecu worki, na których spał, i poszedł z Juryszek, a ten jego ulubiony kamień wyrzucono do ogrodu.

Wiosna i jesień to był czas odwiedzin Maryli. Nikt nie wiedział, jak się naprawdę nazywa ani skąd pochodzi. Ona sama podawała, że ma tam gdzieś rodziców Damiana i Damianę.

- Co ty gadasz?! Któż tak się nazywa?! - śmiała się Maria. - To jakaś bzdura! Wzięłaś to, ot tak, z głowy.

- Może być i z głowy - śmiała się Maryla, a w brudnej twarzy bieleły tylko zęby - ale to nie ja wydumała, pani, a mój dur.

- Dobrze już - machała ręką pani - jak raz pranie namoczone, pomożesz Waluni.

I Maryla rozkładała na ruskim piecu swój węzełek, rozdzwiewała się do płóciennej koszuli i stawała za balią, drąc się na cały głos: „Sztob ja eto znała, szto za mužem lichu, to sidziałyby, bulbu jętałyby u matulenki ticho”. - Ale nie zawsze Maryla brała się do pomocy, bo miała swoje złe dni, złe godziny.

- O, Maryla! - witała ją Maria - dobrze, że przyszłaś, a to okna wszystkie brudne. Pomyjesz, to i podjesz jak człowiek, i na drogę dostaniesz.

- A co to, pani, za dzień dzisiaj? - pytała Maryla.

- A czwartek.

- Czwartek, to nie budu myć.

- A czemuż to?

- Bo mój dur nie pazwalajet.

Maryla dwa razy przemierzała sześćdziesiąt kilometrów do Wilna, do Ostrej Bramy. Szła z długim kijem, mamrocząc pacierze, a dzieciarnia i kundle wyły po zagrodach. Toteż na przełaj szła, polami, zachodząc na noclegi do odległych folwarków i kolonii.

Kiedyś przyniosła Marysi z Ostrej Bramy blaszany medalik.

- A czemuż to Marysi dajesz? - zdumiała się matka.

- A bo to dzieciuczek jeszcze, malenieczka taka - błysnęła białymi zębami żebaczka.

- A co robi twój dur? - pytała ją Maryśka.

- Moj dur, panienczka, odstąpił ode mnie, poszedł na suche pola, na suche lasy!

- Mama! - wołała Maryśka - mama! Dziś Maryla niedurna!
Daj jej blina z maczaniem!

Po tej rozmowie Maryśka zapamiętała że dur to coś takiego,
co przychodzi nie wiadomo skąd i odchodzi na suche lasy.

Przychodził też do dworu Półtorak, wielki jak tyka chłop, który
lubił gadać do siebie. Znał się na stolarce i zawsze coś tam napra-
wiał, a to ubijaczkę do masła, a to trzonek do piły, a to beczkę, z
której dno odpadło. Rozprawiał sam z sobą, gestykulując.

- Półtorak! Z kim tak Półtorak gada? - pytała Maryśka.

- A z mądrym człowiekiem gadam, panienka - mówił.

- A kto to?

- A to nikto inny, tylko ja sam! - stukał się w piersi.

- To nie jest zwykły chłop - mówiła pani - to zubożały
szlachcic. Widać to po nim.

Którejś jesieni Maryśce przydarzyło się coś dziwnego. Do
Juryszek przyjechał stryj Władysław. Stryj dorabiał się prowadząc
po okolicznych dworach rachunki. Czego się zresztą tknął,
wszystko mu wychodziło. Zdolny, obrotny, kipiący energią. W
młodości był w Niemczech, dokąd wysłał go jakiś dziedzic, i tam
miał pełno planów i pomysłów. Ale Andrzej był oporny na takie
nowinki, jak płodozmian, zakładanie sadu czy wprowadzanie
nowych odmian zbóż. Wszystko to według niego były wymysły i
machał ręką niechętnie na perswazje stryjecznego brata.

- Daj ty mnie żyć po swojemu - bronił się. - Sadek u mnie
niewielki, parę grusz i jabłoni, ale za to gatunki przednie! Czy
jadł ty kiedy takie gruszki jak nasze sapieżanki? To pokosztuj!

- Te twoje sapieżanki dziczeją, mało co jest na gruszy. Jabłka
jak orzeszki. Założyłby ty nowy sad, nowe odmiany wprowadził...

- A po cóż nowe, kiedy stare smaczniejsze? - dziwił się
Andrzej.

Bardzo też niechętnie reagował na to, że po wielkich dworach
mówi się o uwłaszczeniu. - Tfu! W głowach tym chłopom
przewraca się! - mówił.

- Wszystko to idzie stamtąd, z Rosji, od Dumy państwowej -
tłumaczył stryj Władysław. - Nie masz pojęcia co się dzieje.
Litwa podnosi głowę. Chcą litewskich szkół, wolności. Czytał ty
„Kurier Litewski” z Wilna?

- „Kurier”? - wzruszał ramionami Andrzej. - A widział ty figę?
- Co? - wytrzeszczał oczy Władysław.
- O, taka! Figa z makiem! Patrzaj! - podsuwał mu pod nos złożone palce. - Ot, co będzie z tej twojej Dumy! Dumajesz, nie dumajesz, a i tak carom nie budziesz!
- Co ty tam opowiadasz, panie bracie! - obruszał się Władysław. - Czasy takie ciekawe po tej japońskiej wojnie nastąpiły, że prosto żyć chce się - wywodził.
- Wiesz co, Władziu, ja tobie coś doradzę. Ty zajdź Walunię od tyłu i połaskocz! Połaskocz, nie pożałujesz!
- Przy czym tu Walunia?! - gorszył się Władysław.
- Przy niczym, ale ty za mało baby łaskoczesz. Ot, podejdz od tyłu, tak ni z tego, ni z owego, podejdz i połaskocz! Masz na to moje pozwolenstwo.
- Głupoty jakieś! - oganiał się od niego Władysław. - Ta twoja Walunia prosta dziewczka, nie ma zielonego pojęcia o świecie, żyje jak ta lebioda.
- No, no, lebioda, a dodaj do niej kislego mleka czy serwatki, to jak ją świnię ordynaryjne żrą, aż mlaskają! - wywodził Andrzej.
- I zdrowe i wesołe są!
- Daj mi spokój z takimi porównaniami! - oburzał się Władysław. - Nie może to być, żeby światły człowiek, szlachcic herbu „Poraj”, tak się spospolitował! Tak schłopiał! U ciebie żonka światła, książki czyta, a ty, co ty zrobiłeś dla niej? Dziećmi ją tylko obarczyłeś. Co rok prorok!
- Kiedy ona to lubi. Dalbóg, lubi! Popytaj się jej. Już przy Bogdanie, przy piątym, ja pomyślał, że dość, starczy tego dobrego, całe Juryszk i kiedyści rozdrapia, rozdziela, a ta leży przy mnie i gada: „Andrzej, przesuń się na moją stronę, bo mnie już pieluszki pachną”. No tak przesuwał się, co było robić? A ty ile zmajstrowałeś? Dwoje?
- Dwoje, Palusia i Welę, ale ja cegielnię zakładam w Szybakach pod Lidą.
- I dobrze robisz, mądrze, ale bieda, że bab macać nie lubisz! Podśluchała tę rozmowę Maria. Maryśka zastała matkę w sypialni całą we łzach.
- Co mamie? - spytała, bo matka znana była z tego, że

poganiała wszystkich ostro, spięta, niedostępna, wiecznie zajęta czymś praktycznym, a tu płacze? To niepojęte.

- To nic, dziecko, to nic - odpowiedziała - przynieś mnie octu z wodą, albo nie, zawołaj Józję, albo nie, Anusię, ona mnie da kompres.

- Ja mamie zrobię, mamó - prosiła Maryśka.

- A gdzie ty co potrafisz?! Nieudałota taka! Wołaj Anusię!

W całym domu pachniało octem, a Maria leżała w sypialni z okładem na głowie.

- Widzisz - mówiła do Władysława - widzisz, jakiej mam tu życie. Sam widzisz. Tylko z tobą można o wszystkim porozmawiać. Andrzej - wzdychała - pracowity jest nad podziw, ale zupełnie nie rozumie duchowych potrzeb człowieka. To wróg książek. Sam nie czyta i mnie czytać nie daje.

- Ciężki w pożyciu - stwierdził Władysław - wyjątkowo ciężki.

I kiedy tak siedział, zwały się, wielki, z czarną brodą, i rozprawił o tej cegielni, Marii przemknęło przez głowę, że chciałyby, żeby jej dotknął.

- Zmień mi okład na głowę - poprosiła - bo z tego bólu aż pęka!

Zapachniało octem, ale kiedy nachylał się nad nią, zmroził ją nie wiedzieć czemu jego oddech, trochę taki jak z psiego pyska, a ją ten smród zawsze doprowadzał do migreny. Zaraz mnie polizę językiem! - przemknęło jej przez głowę i odsunęła jego rękę szorstko.

- To mówisz, że Paluś ma już sześć lat, a Welunia raczkuje? Muszę was kiedy odwiedzić...

- Obowiązkowo - powiedział - pokażę ci, jak u mnie idzie cała gospodarka, cegielnia, wszystko jak w zegarku. - Gorąca jest ta Marynia - pomyślał - gorąca i podobam jej się. Mogą być z tego jakieś perturbacje - zaniepokoił się.

Ale nie było żadnych. On myślał, że ona walczy ze sobą, a ona od tej pory robiła wszystko, żeby być z nim na dystans, i to z powodu tego oddechu zgonionego psa.

- Czy przeszkodziłoby ci kiedyś - zwierzała się swojej przyjaciółce Jacuńskiej - czy przeszkodziłoby ci to, że... że mężczyzna... pachnie... psem?

- Jezus Maria! Co ty mówisz?! Psem?!
- No wiesz, taki oddech ma jak psu z pyska...
- Ależ, Maryniu! - oburzyła się przyjaciółka. - Nie opowiadaj takich rzeczy!

- Powiedz! Bo to ważne! - Śmiała się lekko Maria.
- No wiesz, ja nie wiem, jak... jak... pachnie mężczyzna - wyznała tamta, cała czerwona ze wstydu.
- Mój Andrzej nie pachnie psem. A twój?
- Ja... ja... nie wiem... Nie zbliżam się aż tak...
- Jak to nie zbliżasz się? Przecież masz troje dzieci?
- To nie ma nic do rzeczy. Dzieci Bóg daje - ucięła czerwona jak rak przyjaciółka.

Stryj Władysław siedział cały tydzień, żeby „odgościć” dawniejsze odwiedziny Andrzeja; a może coś innego go zatrzymywało? Dość, że siedział długo. Popijali z Andrzejem gorzałkę, jedli wędliny z chlebem albo soloną słoninę, krajaną w grube plastry, z cebulą, zapijali herbatą z samowara.

Stryj zawiadywał również lasami w Berdówce, wielkim majątku pod Lidą, skonfiskowanym za styczniowe powstanie i oddanym we władanie rosyjskiemu panu.

- Piękny to majątek! - cmokał Władysław - po ogrodzie pawie chodzą, wielkie jak strusie...

- Czy trusie cicho chodzą? - pytała zasłuchana Maryśka.
- Nie trusie, ale strusie, durniu jeden! - krzyczał ojciec.
- Ależ, Andrzeju - mitygował go brat - tak nie można, dziecko nie wie, to pyta...

- To ty nie wiesz - objaśnił go Andrzej - że to niedonosek? Ona nigdy nic nie wie!

Maryśka wycierała rękawem nos, ale nie wyszła z pokoju, choć Józia poradziła jej niby dobrotliwie, żeby poszła się wysikać, bo to pomaga na płacz.

Więc w Berdówce chodziły po zdziczałym parku wielkie pawie i pałac był piękny, z kolumnami. A w środku zamiast polskiego pana był ruski. Niby to dobry dla służby, niby to nikogo nie gnębił, nawet częstował herbatą z cukrem na prikusku, ale kiedyś zażądał od stryja, żeby ten dostarczył mu parę zajęcy.

- Nie można teraz na zajączki polować - objaśnił Władysław.

- Jak nie można?! - rzucił się tamten gniewnie. - Dlaczegoż to?!

- A dlatego, że teraz samice kotne są. Jest zakaz polowania - wyjaśnił stryj.

- Jaki zakaz?! - rzucił dumnie głową tamten. - Zakazy to my tutaj wydajemy! My naznaczamy, co można, a czego nie!

- Widziałeś, jaka swołocz z niego wylazła?! - mówił Władysław. - Od tego czasu nigdy u niego nie pił herbaty. A kiedyś ja przyszedł do pałacu jak raz, jak Dumę rozwiązali w Rosji i policjanty latali po wsiach i brali do więzień, kogo się dało. Powiedzieli mi o tym on sam, siedząc rozwalony za biurkiem. „I co, pan Władysław, napijesz się herbaty ze mną?” - I wierci tym wzrokiem, świdruje. Ale nie spuściłem oka, wytrzymałem. „Nie”, mówię twardo, „Ja już po herbacie”. Czerwony się zrobił ze złości jak indor.

- Mógł Władysława posadzić - wtrąciła się Maria.

- A za co? Że herbaty nie chcę pić? Nie miał nic innego na mnie, a takiego gajowego jak ja długo by szukał.

Stryj Władysław lubił polowania. Kiedyś szedł ze strzelbą przez wioskę nocą, patrzy, a tu na dachu świeci się dwoje oczu i coś rusza się, skrada po strzesze. O - myśli sobie - pewno to kuna albo inny zwierz. Złożył się, wycelował i wystrzelił. A to coś jęknęło, a potem zawyło ludzkim głosem. - ...We mnie serce zamarło - opowiadał stryj.

- I co, i co? Co to było? Jaki to zwierz? - dopytywały się dzieci.

- Nijaki zwierz, to był złodziej! Dobierał się przez dach do słońiny, co wisiała pod sufitem, wędziła się w dymie, bo chata była kurna, jak to na wiosce. Rozpowiedział ja o tym wszystkim dookoła i wiadomo było potem, kto to był. Nie mógł siedzieć ani chodzić, bo cały tyłek miał pełen mojej śruciny.

Na Maryškę najwięcej podziały dwa opowiadania stryja. Jedno o babie na cmentarzu. Stryj jechał nocą, bo majątki objeżdżał, po gorzelniach rachunki wyprowadzał i zdarzało mu się późno wracać do domu. Jadą koło cmentarza, mróz ciśnie, kaptury od burki naciągnęli na uszy, atu słyszą: ktoś jakby płacze. - Zatrzymaj konia! Posłuchamy! - nakazał stryj woźnicy. - A panoczek mileńki, rodnieńki, uciekajmy! - prosił szcękając zębami przestra-

szony parobek. - Stój! - nakazał stryj. Zlazł z sań i podchodzi do cmentarza. Zaspy tam duże, nawiane na mogiłach, a w głębi stoi drewniana kaplica. Stryj zatrzymał się - słucha, a tam coś jęczy coraz głośniejszy, jakby ze środka...

- I wszedł tam stryjek? - pytała bez tchu Maryśka.

- Najpierwej ja przez szczelinę zajrzałem. Jedna świeca tam paliła się pomalutku, ale dojrzeć można było, że na środku kaplicy stoi trumna, a w niej siedzi baba i jęczy. Wszedł ja do środka, strach chwytają, ale widzę, że baba żywa tak jak ja. Siedzi w trumnie, wieko odrzucone, włosy z głowy rwie i zawodzi.

- O Jezu! - zajęczała Walunia słuchając stryja - o Jezu!

- Baba była żywa jak ja teraz - tłumaczył stryj - i co było z nią robić? Sukienka czarna, cienka, pantofle szmaciane. Ściągnął ja burkę z pleców, babę okrył i idziem razem do sani. Woźnica, jak nas zobaczył, to uciekł przez śnieg, przez pola, tylko śmigł! Ona powiedziała, skąd jest, z jakiej woski, ale nie wiedziała, czemu w trumnie była. Plunął ja na woźnicę i zawiózł ja do jej chaty. Noc, stukam w okno i krzyczę: - „Żyje wasza nieboszczka! Żyje!!!” I co powiecie? Chłop mnie chatę roztworzył, a jego matka padła na serce, jak to posłyszała...

- Czy Władysław czasem nie koloryzuje? - pytała Maria nieufnie.

- Co do tego nie, ja dam głowę! - zapewnił Andrzej. - Tak było. Znam tę wieś i znam tą babę...

- No wiesz, to byłoby dziwne, żebyś ty nie znał którejkolwiek baby w okolicy - docięła mu żona. - Znając ciebie, to mogłeś nawet sprawdzić, czy ona... czy ona jest... całkiem żywa.

Andrzej spojrzął na żonę z podziwem:

- Patrząc, jaka ta moja baba! Ja nawet nie pomyślałem, a ona już wie!

- A ja to czasem wiem bez żadnej myśli, tak sam z siebie - mówił Władysław. - Ciekawość, skąd się to we mnie bierze. W młodości, jakem żonki nie miał ni dzieci, jechali my raz na wozie: Żyd pachciarz, dwóch parobków i ja. Gorońco było, lipiec, jedziem, a tu od Lidy chmura nadciąga wielka. Czarno zrobiło się, straszno, grzmoty przelewają się po niebie. Parobczaki byli młode, dwa siksuny, a Żyd pachciarz znajomy mnie, jeździł po dworach z młotem i powidłem. Porządny Żyd z kośćcami. Często my z nim

jajka w samowarze gotowali. Zajedziem do Łoździan czy gdzie indziej, do czeladnej nas zaprowadzą, samowar gotujący się wniosą, to my tam jajek nakładziem, żeby byli na twardo. I ja, bywało, tak z Żyda żartuję: on pięć jajek do samowara kładzie, a ja po cichu jeszcze dziesięć dołożę. I wyciągam potem te jajka z samowara i wyciągam, a Żyd takie oczy robi! „A skąd tyle ich - pyta - toż było pięć?” „Ot, widzi - mówię - wzięli i rozmnożyli się!” I śmieję się oba te jajka jedząc. Tak i wtedy, w ten letni czas, jechali my. A ta chmura nałazi wielka, czarna, niebo całe zaciągnięte. Myślím, już nie uciekním przed burzą, bo i jak raz piorun dał blisko, wíater zerwał się, świszczy, piasek drze. „Pan! - krzyczą parobki - trzeba nam chować się!” Co było robić, stanęli my, pościółkę na konia zarzucili, a sami włązím pod wóz i skuliwszy się siedzím popod deskami jak te koty. A tu znów grzmotnęło, i znów! Coraz straszniej. A ja nagle krzyknął: „Uciekajmy, chłopy! Piorun Żyda zabije!” Wyleciał ja spod tego wozu, parobki za mną - i w krzaki! I co powiecie? Błysnęło, trzasnęło i trafiło w Żyda, co został się pod wozem. Jak burza odeszła, wyleźli my, lecím, a tam Żyd leży nieżywy. Czemu ja tak wtedy krzyknął? Dalbóg, nie wiem. Miał potem kłopotu, bo rozeszło się między ludźmi, to dawaj mnie palcami pokazywać, schodzić się do mnie jak do jakiego dochtora. Mógłby, o tak, przed progiem siaść i wszystkiego by mnie nanieśli: jajek, słoniny, płótna. Gadał ja, tłumaczył: „Ludzie, nie wiem, skąd się to wzięło we mnie, nie wiem, czemu ja wtedy tak krzyknął. To było ten jeden raz, więcej się już nie powtórzy!” Ale nie słuchali. Musiał ja stamtąd uciekać. Prosto wziął i poszedł w inne strony.

- I nie powtórzyło się? - pytała Maria.

- Tak to już nie, ale ja coś takiego mam w sobie, nie zaprzeczę, choć z wiekiem tego jakby coraz mniej.

- Bo zanadto o tej cegielni myślisz, zanadto kombinujesz - zaśmiał się Andrzej.

W parę dni po tej opowieści stryj Władysław namówiony przez żonę Andrzeja zaczął go przekonywać, że jednakowoż dzieci warto uczyć, bo czasy idą inne, światlejsze i nie hektary będą ważne, ale to, co masz w głowie. Chytrze do tego podszedł, sypał różnymi przykładami z życia dowodami na takie czy inne korzyści z czytania książek i posyłania do szkół w Wilnie.

Andrzej był wyjątkowo oporny na taką agitację, ale raz po sutym obiedzie dał się wciągnąć w dyskusję.

- To co, gadasz, że z Wieluńców dwoje do gimnazjum posyła?

- A pewnie, że posyła - przytaknął Władysław. - Z Wieluńców i z Lebedziszek, i z Rakowa, nie mówiąc już o Hermaniszkach!

- Znaczący się, same wielkie pany, a nie szaraczki, hreczkosiejce - zauważył Andrzej.

- A gdzież tam! W Wieluńcach i Lebedziszkach mniej ziemi jak u ciebie, a w Trokielach, a u Jacuńskich!

- To samo mówię! - potakiwała Maria.

- Toż i do nas Domicella przyjeżdża, czort wie, po co i na co.

- Domicella to za mało, to tylko początki. Żeby do szkół jakichś, wyżej, w tym rzecz. Chłopcy już po kilkanaście lat mają, dziewczęta też rosną jak dziczki.

- Takie Pietrańce, czterdzieści hektarów, a syn u nich będzie kształcony - dolewała oliwy do ognia Maria.

- Co ty powiedziała? Pietruszewicz syna uczy? Nie może to być?!

- A jak! Do gimnazjum postąpił.

- Jak Pietruszewicz może, to i moje syny sroce spod ogona nie wypadli! - zezłościł się, aż Maria plasnęła rękoma z radości, że dał się przekonać.

Teraz zaczęło się kucie żelaza, póki gorące, dopóki stryj Władysław gościł w Juryszkach. Rozważano, kogo dać do szkół i do jakich.

- Kostuś, pierworodny, potajemny, uparty, twardy - rozważał Andrzej. - Z niego możesz skórę pasami drzeć i solić, a on głosu nie wyda. Każesz kłaść się jemu na ławie, to nie położy się z dobrowoli, każesz gacie spuścić, to jak spojrzy, aż miękko tobie zrobi się w kolanach, dopiero jak mocno jego przyszpilisz do ławy pięścią, to leży, ale musisz pilnować, żeby nie odwinął się i nie skoczył tobie do gardła. Świńszys jemu nad głową różgami, to ani drgnie, przez tyłek przejedziesz raz, drugi, dziesiąty, to tylko leży i zębami zgrzyta. Wstanie, ty jemu rękę do pocałowania dajesz, to kły pokaże jak wściekły pies!

- Ambitny jest - łagodził ten wywód stryj.

- Ale do czego on się nadaje? - zastanawiała się Maria. - Ja

wiem, że on taki, ja wiem, ale pierworodny, najmilszy sercu, tak lubiłam go karmić mlekiem.

- Jeszcze poczujesz go nożem w sercu, zobaczysz! Poiłás go miodem, a on ciebie napoi piołunem, wspomnisz moje słowa - straszył mąż.

- Ale do czegoś się chyba nadaje? Tylko nie trzeba jemu tak charakteru łamać - radził stryj - popuścić trochę cugli. Wybryka się i złagodnieje.

- Aha, złagodnieje! Rożen jeden! Chyba w piekle!

- Andrzej! - krzyknęła Maria. - Jak ty o swoim synu?! Andrzej! Trzeba dać go do szkół jakich...

- A dajmy, dajmy - uśmiechnął się krzywo mąż - zaraz stamtąd go wyrzucą, a wtedy wróci tu do mnie - powiedział z błogim wyrazem twarzy.

- No, widzi Władysław, sam widzi, jak można z nim co postanowić! Teraz się sam przekonał! - biadoliła żona.

- A czy ja co mówię? Pójdzie do szkół! - zdecydował mąż.

- A Broniś? Co będzie z Bronisiem? Domicella mówi...

- A tam, z twoją Domicella! Z Bronisia to śmierzący leń. Lelum polelum, ciepłe kluski, ale do jednej rzeczy dochodny będzie. Do bab.

- Nawet wiem, po kim to odziedziczył - rzuciła kwaśno żona.

- A ja nie wiem - skwitował mąż - bo to do nikogo niepodobne - zaśmiał się szeroko.

- Jak to: do bab? Przecież ma jeszcze mleko pod nosem? - zdumiał się Władysław.

- Otóż to! Ajuż pod wygódką siedzi i podgląda która jak sika.

- Boże! - jęknęła pani. - Co ty opowiadasz?!

- To, co słyszysz.

- Prostych bab nie podgląda, bo one w konopie chodzą albo za odrynę. To kogo on podgląda, kogo?! Własne siostry! Jezus Maria! - zerwała się. - Czemu mnie wcześniej nie powiedziała?! Posiekam mu ten tylek różgami!!!

- Obsiądź - uspokoił ją mąż. - On niedawno zaczął, jeszcze uśpiejesz...

- No dobrze, ale ma może jakieś zdolności, co Domicella mówi? - pytał stryj.

- Domicella! Co ona może mówić, kiedy ona to jak posadzi ich wszystkich za stołem, to nawet policzyć nie umie. Wszystkie siedzą z kajetami, a Broniś przeważnie pod stołem buszuje, te jej różowe halki i majtki ogląda, a czasem i co więcej, co ma takie kręcone, czarne - rechotał Andrzej.

- A ty skąd wiesz? - skoczyła żona.

- Co skąd wiem?!

- Jakie Domicella ma majtki?!

- O, masz tobie! Skąd wiem? Sąsiad mnie powiedział. Uspokoj się, kiedyś Domicella szła przez łąkę z zakasaną spódnicą, bo po deszczu było, a jak ja raz siano przewracał, to widział - tłumaczył niedbale mąż.

- Ach, dajmy spokój Bronisiowi - westchnęła żona.

- Jego na gospodarce trzeba będzie zostawić, pod bokiem tu mieć, do roboty gonić!

- No, ale Adama to koniecznie musicie kształcić! Ten najbardziej zdolny - zauważył stryj.

- Zdolny! Zależy, do czego.

- Tak ogólnie. Nie widzisz tego?! - nacierała żona. - Na imieniny Domicelii ułożył wierszyk, że aż się popłakała, tak ją wzruszył, tak rozczulił! No, co tak zamilkłeś?! Powiedz sam!

- Adam - zamyślił się Andrzej - Adam, to nikt nie wie, co w nim siedzi. Czy czort jaki? Każesz jemu kłaść się na ławę w kolejności, to on zanim położy się, coś takiego powie, że nie zgadniesz, do czego to przypięte. „Czy tatkój jest pewny, że zasłużyłem sobie na karę? Czy to rzeczywiście moja wina?” Ciebie już ręka świerzbi, a ten patrzy ci w oczy i gada: „Ostatecznie mogę ponieść zasłużoną karę, ale zasłużoną.” „Kładź się!” - krzyczę, bo już dłużej toby nawet święty nie wytrzymał. Owszem, na takie coś położy się, ale jeszcze na ławie gada. Ty jego sieczesz, a on jak ta zanuda! Rozważa. Nie powiem, potem w rękę ciebie pocałuje, ale ty wiesz i on wie, że swoje myśli. Tylko ty nie wiesz co, a on wie. I co z takim robić?

- Ten to musi iść do gimnazjum! Obowiązkowo! Andrzej, ja mam takie przeczucie, że to będzie wielki człowiek, wybitnie uzdolniony! Domicella nachwalić się go nie może. Mówi, że to będzie drugi Mickiewicz!

- Ten sam herb mamy - powiedział Andrzej - z tej samej szlachty - dodał z dumą.

- Ucz się pilnie jak Mickiewicz w Wilnie! - zaśmiał się stryj.

- Niech idzie do gimnazjum!

- To wiele my już ich mamy? Czekaście! - zastanawiał się Andrzej. - Marynia, ile u nas synów?

- Kostuś, Broniś, Adam i Bogdan!

- A prawda, Bogdan! Ten to chitry, sprytny nad podziw, gdzie chce, tam wlezie, też będzie baby lubił...

- Wszyscy kiedyś będą je lubić - śmiał się stryj - jak podrośną.

- Ale Broniś i Bogdan specjalnie, nie tak jak wszyscy!

- A co?! Już mnie nie mów, że Bogdan też podgląda? Nawet nie mów! No, czego zmlkł?! - denerwowała się pani. - Co on robi?!

- On nie ma co podglądać, bo on już wie - skwitował mąż.

- Co wie?! Co wie?! - nacierała.

- Wie! Wie! Jaka baba jest w środku!

- Boże! Nie chcesz chyba powiedzieć, że... że...

- Ja nic nie muszę mówić, bo ja wiem. Dwa dni temu z Walunim go zdjął! Wczepił się jak pijawka! Ledwom go odciągnął.

- Głupstwa gadasz! Wierutne bzdury!!! - rozkrzyczała się żona. - W coś takiego to ja nie uwierzę! Nigdy!!

- Ja też by nie powierzył, ale fakt faktem!

- Czekaście, czekaście, nie pobijcie się - łagodził stryj - to nie ma nic wspólnego ze szkołą!

- On, on... jemu... tylko to na myśli... tylko to... wszędzie tylko to widzi... - jąkała się z oburzenia Maria. - Bogdan to gorzkie dziecko, do Waluni przywiązany tak jak Marysia, co tak lubiła po niej raczkować... On... on tak samo...

- Może być - uśmiechnął się chytrze Andrzej - może być, że on raczkuje... Nie przeczę. A chytry niemożliwie. Na ławie to krzyczy, płacze, aż tobie uszy puchną, a kręci się, wierci jak fryga, byle ten swój tyłek uratować. W rękę to ciebie dziesięć razy przedtem pocałuje, żeby tylko nie bić. Tak kręci, tak męci, że tobie złość przejdzie. Machasz ręką.

- Dobrze, a co będzie z dziewczynkami? - przypomniał stryj.

- A co ma być? Wyda się je za męż. Ile tego jest?

- Józia, Anusia, Elżunia, Janeczka, Marysia - przypomniała żona.

- Józia? - zastanowił się Andrzej - pracowita, dokładna, złote ręce do szycia, do wszystkiego ma dryg, ale charakter z piekła rodem! Skąpa, z gówna by plewkę zdarła, garnie do siebie i garnie. Jak ja wracał z rynku w Ejszyszkach, to dzieciom cukierki dawał. Już jak z wozu złąził, to dzieciuki do mnie. Jeden bat brał, drugi lejce o żerdkę okręcał, trzeci pościółkę z nóg ściągał, inny za karzinkę chwytął, ciągnął do domu, żeby tylko zasłużyć się. Siadę ja, nogi przed siebie wyciągnę, to aż roją się przy butach, bo na cukierki czekają. A Józia zapyta, ile te cukierki kosztowały, pomyśli, czy nie trzeba było na innym straganie kupić, u innego Żyda.

- Taka praktyczna - wtrącił stryj.

- Ale niech Władysław posłucha. Nu, rozdaję ja wszystkim, nikogo nie przeoczę, ale tylko tych, co zasłużyli, bo tych, co nie, omijam...

- Przeważnie Marysię - westchnęła żona.

- A Józia też dostanie, zawsze dostanie przed innymi, bo robotna, to jak nie wynagrodzić? Ale myśli Władysław, że ona tego cukierka posmokcze? A skąd! Dzieciuki od razu wszystkie wkoło posiadają, liżą i tylko patrzą, czy drugiego dostaną, a Józia? Nie ma jej. Zginęła gdzieś. A kiedyś okazało się, że każdy cukierek odkłada na potem.

- To prawda - wtrąca się Maria - ma ona swój kuferek, co jej Władysław kiedyś podarował, i ściąga do tego kufereka jak szczurek. Ani jednego cukierka nie zjadła!

- Wszystko wie, co w polu trzeba zrobić, co koło gospodarstwa. Zjadła taka do pracy, że nie daj Bóg! Prosto denerwuje człowieka! Bo siedzi, siedzi i wypali: "A tatko konieczyny nie zwiózł spod krzyżówki! Zalenił się czy jak?" Uch! Chce się dać przez łeb, ale myślisz: ma rację, i ręka opada.

- Ona za męż pójdzie, ale nie daj Boże, nie życzę jej nikomu - przytakuje, tym razem zgodnie, Maria.

- Janeczka to do polowania dochodna. Psy weźmie, Budrysa i Junę, i całymi dniami może szastać się po polach i przysiekach.

- A moja chrześniaczka? - spytał Władysław.

- Anusia? O, ta to świętą będzie - powiedziała z przekonaniem Maria. - Nic, tylko modli się i modli. Ta do zakonu pójdzie. I zdolna, i mądra i dobra nad podziw.

- Święta! Każdy święty ma swoje wykrety! - studził mąż.

- Ta to już nie ma! Żadnych! Szczególnie modli się za ciebie, Andrzej! - przypomniała surowo żona. - Jest za co Boga przeproszać, jest!

- Jajedną z dziewczyn uczyć będziem. Do Nazaretu pójdzie. Do gimnazjum. - zdecydował Andrzej.

- No, to już wszystkie? - zapytał Władysław.

- Jak wszystkie? A Elżunia? Andrzej, zapomniałeś o Elżutce?!

- Elżutka to cielęcina, a już do kufra na posag zbiera. A wiele ma tych lat? Czternaście, piętnaście? U tej to wiecznie muchy pod nosem. Ani się nie zaśmieje, ani zatańczy, kwaśna jak ocet.

- Jeszcze o kimś zapomniałeś, Andrzej! - odezwała się żona.

- O kim to?

- A Marysia? Najmłodsza?

- Nawet mnie nie wspominaj. Nieudałota. Głowa jak ten stołbun, niedonosek, wyskrobek! Chyba śliną zrobiona - oburzył się Andrzej.

- Ale serce ma bardzo dobre, każdemu by pomogła z każdym się podzieliła...

- Serce! Do pracy dwie lewe ręce! Tylko by się myła i myła! Widziałeś coś podobnego! - zwierzał się stryjowi Andrzej. - Ja jej każę do pola iść, bab pilnować, a ta płacze, bo umyć się nie zdążyła. Za mąż też lekko nie wyjdzie, bo jak to rozejdzie się po okolicy, to żaden swat tu nie zajdzie.

Władysław i Maria kiwali głowami potakująco, zmęczeni już tą rozmową. Świeca dopalała się do końca sen oczy kleił. - Chodź, Andrzej! - ziewnęła żona. - Idziem do sypialni!

- Ja jeszcze budynki obejdę z fanarem - powiedział Andrzej - czy tam kto ognia nie zaproszył, bo coś tak Juna szczeka, aż zanosi się. A, o! I Budrys wtóruje. Słyszają?

- Tylko żebyś gdzieś tam nie zboczył z drogi - upomniała żona, otwierając drzwi do sypialni, ale te nagle stawily opór i nie puszczały mimo szarpania.

- Co to jest? Ktoś drzwi zastawił? - zaniepokoiła się pani.

- Pchnij mocno! - doradził mąż.

Pchnęła. - Tam chyba ktoś jest, Andrzeju! - szepnęła. - O Boże! - Oświetliła świecą. - Ktoś tu śpi za drzwiami. - Była to Maryśka zwinięta w kłębek. - Widzisz! Widzisz! Znów podsłuchiwała! - oznajmiła matka. - Ciekawe, czy słyszała to... o sobie?

- No i dobrze. Kto podsłuchuje, ten zawsze na siebie usłyszy.

- Czekajcie - powiedział stryj, pochylając się nad Maryską. - Śpisz, dziecko? - zapytał.

- Nie - pokręciła głową i zasłoniła rękoma twarz.

- Czego się boisz? Marysiu, nie bój się. - Oderwał jej ręce od twarzy.

- Ja... ja... - rozpłakała się. - Ja chcę iść do szkoły! - wykrztusiła.

- Marysiu, idź spać! - rozkazała matka. - Połóż się przy Józii! I nie myśl o żadnych głupstwach!

- Stryjku - uczepliła się rękawa stryja Maryśka - stryjku, ja chcę spać ze stryjkiem.

- Wezmę ją ze sobą - uprzedził rodziców stryj Władysław i zabrał Maryskę ze sobą za przepierzenie. - Czemu nie chcesz spać z Józią? - zapytał.

- Bo Józia cały siennik zajęła. Specjalnie - wyszeptała. - Stryjku, ja wszystko słyszałam, wie stryjek?

- Eee, tam! Nie było czego podsłuchiwać! - zachnął się. - Takie głupoty! Jak starsi gadają, to czasem dzieciom nie ma czego słuchać, bp nic nie rozumieją. Będziemy spali na waleta? Co, dziecko?

- Ja... ja nie rozumiem... stryjku - wyznała zasypiając - dla czego oni mnie tak nienawidzą...

Stryj Władysław przesunął po sienniku jej chude nogi. Jak to tak? - zatroskał się w myślach - jak to tak można mówić o własnym dziecku?

Jakiś czas po wyjeździe stryja Władysława Maryśka zaczęła chodzić we śnie. Którejś nocy Marię zbudził jakiś stuk w pokoju, gdzie spały dzieci. - Andrzej! - szturchnęła chrapiącego męża - nie śpij!

- Daj spokój, Marynia, dziś sił nie mam - stęknął przewracając się na drugi bok. - Cały dzień przy młockarni tańczył...

- A kto ciebie do czego zmusza?! - obruszyła się żona. - Ty lepiej posłuchaj, co tam takiego barabani w salonie?

- Co? Dzieci śpią.

- Jak śpią, to nie słychać, a tam ktoś chodzi. Słyszysz?!

Przynaślany przez nią zwałóknął się z łóżka i ciągnąc po podłodze tasiemki od kalesonów poszedł zobaczyć. Dzieci świstały przez sen, któryś z chłopców coś mamrotał. Już miał wrócić do żony i powiedzieć, że nic się nie dzieje, kiedy coś poruszyło się w kącie. Szaro było w pokoju od śniegu za oknem, dojrzał więc gołym okiem, że ktoś siedzi, skulony, wysoko na piecu. Przeraził się. Obleciał go chłód. Poszedł powoli i zobaczył, że to była Maryśka. Jak ona tam wlaźła?! - przemknęło mu przez głowę - jak mogła wleźć na wysoki piec, pod sam sufit?! Przetarł oczy. Siedziała tam w długiej płóciennej koszuli. Sterczały spod niej bose nogi.

- A... a co ty tam robisz?! - zapytał. - Jak tam wlaźłaś?!

- Ja nic, siedzę sobie - zamamrotała dziewczynka.

- Siedzisz sobie? - nic nie rozumiał. - Jak to, siedzisz?

- Zwyczajnie - szepnęła - siedzę.

Podrapał się w głowę. Podstawił stołek, wlaźł na niego, wyciągnął ręce. - Chodź! - powiedział - chodź do mnie! - Zniósł ją z tego pieca. Oczy miała niewidzące, zasnutę jakąś mgłą. Jezus Maria! - pomyślał - toż ona śpi! - Maryśka! - potrząsnął nią przestraszony - Maryśka!

Wzdrygnęła się cała, popatrzyła przytomnie. - Tatko! - krzyknęła na cały głos - tatko! Nie zabijaj mnie! - rzuciła mu się do nóg - mileńki, rodnieńki, nie zabijaj! - rozkrzyczyła się na dobre, budząc wszystkich.

Ogarnęła go złość. - Za co mam ciebie zabijać?! Durna! To ja! Twój tatko! - krzyczał trzęsąc nią, żeby oprzytomniała. - Za co?!

- Boja... boja... mam taką głowę - mamrotała, cała zdrętwiała ze strachu.

- Co? - nie rozumiał - co masz?!

Przybiegła Maria, powstawały dzieci.

- Czemu wlaźłaś na piec? - pytała matka. - Powiedz, czego polazłaś na piec?! - nie mogła opanować krzyku.

- Gdzie wlażłam?
- Na piec! Na samą górę!
- Ja... ja nie wiem... Ja nigdzie nie wlażyłam - płakała Maryśka.
- To Koszuś mnie tam posadził, albo Broniś!
- Kłamie! Znowu kłamie - stwierdziła rozsądna Józia - ona tak ciągle.

Długo tego nie mogli zrozumieć. Dziecko w nocy wlaży wysoko na piec i nawet nie wie, jak się tam wdrapało? Rano Maria obejrzała dokładnie piec, kazała wlażyć Janeczce, ale nawet ta nie poradziła sobie bez przystawionego krzesła.

Co to było? - zachodziła w głowę matka. I kazała Maryśce leżeć cały dzień w łóżku. To był dobry dla Maryśki dzień. Styczniowe słońce rozjarzyło śnieg za oknami, aż zaczął się topić. Maryśka leżała przy oknie. Woda ściekała z sopli na parapet. Dalej za oknami cały sad skuty był jeszcze lodem, tylko tu na oknie odliga. Maryśka otworzyła lufcik, wleciało pachnące śniegiem i słońcem powietrze. Wąchała je leżąc w ciepłe pod pierzyną i powtarzała w myślach swój ulubiony wierszyk: „Czemuś tak smutna, ptaszyno mała, czy ci serduszko żal gniecie, czemuż, ach, czemuż, wiedzieć bym chciała, czy ci źle bardzo na świecie?” Przyszła matka, przyniosła jej cały kubek herbaty z parzonych malinowych różeg. - Pij, Marysiu - mówiła łagodnie - pij, to cię rozgrzeje. - Mama, kiedy mnie ciepło - powiedziała, ale piła posłusznie, pełna jakiejś nieznannej słodyczy.

I tak to zapamiętała na całe życie. Zapach malinowych różeg pomieszany ze śniegiem, słońcem i skapującą wodą - to coś najlepszego, co może być!

- Czemuś ty, Marysiu - pytała cicho matka, żeby jej nie przestraszyć - czemu ty, dziecko, wbiłaś sobie do głowy, że tatko cię zabije? Skąd takie głupoty na cię naszyły? Co?

Maryśka pochyliła głowę nad parującym kubkiem. - Przecież tatko tak mówił wtedy do stryja, że tych, co są mądrzy, zostawi, a mnie zabije.

- Przeżegnaj się! - nakazała matka. - I nikomu więcej takiego czegoś nie opowiadaj! To bzdury! Nie durz głowy!

- Mama - ośmieliła się Maryśka - mama, a czy... czy ty... czy ja dla ciebie taka sama jak wszystkie?

Maria spojrzała na nią i nagle się rozpłakała. Wycierała ręką płynące strumieniem łzy. - Dziecko - mówiła - dziecko, patrz na moją rękę! No patrz! Na jedną i drugą - rozstawiła przed nią szeroko palce - ile na niej palców? No ile?

- Dziesięć - wyszeptwała Maryśka.

- No widzisz, dziesięć, skalecz jeden, to tak samo boli. I ten, i ten, i ten! Tak samo i z dziećmi, tak samo. Choć dziewięć jest, ale każdy tak samo miły, tak samo bliski...

- A Kostuś?

- Co Kostuś?

- On ukręcił łeb sroce i zatknął na rożenek! A mamie tak samo bliski?

- Tak samo - westchnęła Maria. - On tak zrobił, żeby inne sroki odstraszyć na wiosnę od kaczuków i pisklaków. Śpij sobie, Marysiu, śpij, to zaraz wyzdrowiejesz.

- Ja nie jestem chora - kręciła głową Maryśka - mnie tylko dobrze.

Matka zaśmiała się do niej tak młodo, serdecznie i Maryśka natychmiast wszystko jej wybaczyła: że urodziła ją siedmioletnią, że mówiła ciągle o jej głowie, że nie chciała jej uczyć, że wymyślała jej od nieudałych, lewych rąk. Wszystko w tej chwili zostało zapomniane, aż do następnego razu. Ale nie będzie następnego razu - myślała sobie leżąc - nigdy nie będzie, zawsze będzie tak lekko na duszy jak tej wodzie za oknem, co spływa sobie, spływa, tak wesoło jak tym bąbelkom.

Maria opowiedziała o wszystkim przyjaciółce Jacuńskiej. Ta słyszała coś o lunatyzmie.

- Co to jest? Lunatyzm? Jaka to choroba? - niepokoili się Maria. - Czy to można leczyć?

- Nie wiem - mówiła Jacuńska. - Może trzeba do doktora do Wilna pojechać?

- A gdzie Andrzej da jechać? Taki szmat drogi, pieniędzy trzeba, a tu ciągle ich mało - zatroskała się Maria.

Stara Walukiewiczowa, akuszerka, co umiała zamawiać różę, wiedziała o tym chodzeniu po nocy więczej.

- Tak bywa, pani, tak bywa - mówiła - jak miesiąc świeci, to takich przyciąga takie to mogą i na dach wleźć...

- To zabiją się?

- Nie, nie, same zlezą, byle tylko nie wołać ich po imieniu, to zleżą, bo one śpią, a jak imię krzykniesz, to obudzą się i wtedy spaść mogą z samego strachu. Można nawet z nimi gadać, byle nie budzić imieniem, co na chrzcie świętym dane.

- Coś podobnego! - dziwiła się Maria. - Andrzej, ty pamiętaj, jak Maryśka kiedy jeszcze gdzie wlezie, to żebyś nie wołał jej po imieniu! Pamiętaj! Bo nie daj Bóg, spadnie.

- Na drugi raz to wezmę dziażkę i przez tyłek przejadę! Dziażka najlepiej obudzi! - zawyrokował.

Ale drugiego razu nie było. Za to dochodziły inne gorszące cechy Maryśki. Dajmy na to takie chodzenie po okolicznych łąkach i deklamowanie wierszy. Na dwunasty rok jej szło, a rozumu jakoś nie przybywało, a nawet przeciwnie, bo po łąkach chodziło się tu tylko po to, żeby stwierdzić, czy trawa nadaje się już do skoszenia albo czy siano przeszło, ale tak, dla samego wałęsania się? Kto to widział?

- Co ty tam robisz, Marysiu, rano na łące? - pytała matka.

- Ona do siebie gada! Jak Półtorak! - donosiła rodzicom Józia.

- Nie, mama, ja tylko mówię wiersze - broniła się Maryśka.

- Dureń pierwszy, kto pisze wierszy - skwitował ojciec.

- Ona raniutko wstaje i leci kąpać się do sadzawki - donosił Bogdan.

- Kąpać się? - nie dowierzał Andrzej.

- A pewnie. Rozdziewa się do koszuli! - skarżył brat.

Nie wiadomo, co było gorsze: mówienie wierszy czy kąpanie się. Ale i jedno, i drugie wystarczająco niezrozumiałe. A Maryśka wymykała się z domu, bo lubiła wstawać z kurami. Ten zwyczaj akurat by 1 dobry, bo na gospodarce zawsze tak wstawano, tylko że nikt przy zdrowych zmysłach nie zaczynał dnia od jakichś tam kapieli. Maryśka otwierała cicho drzwi do kuchni, mijała chrapiącą Walunię, wychodziła do sieni, gdzie zawsze spała na żerdkach jakaś zabłąkana kokoszka z dziobem pod skrzydłem. Obudzona pod progiem Juna unosiła pysk, wlepiła w dziewczynę smutne, krowie oczy, Budrys szczeakał przez sen, machał ogonem.

Zostawiała to wszystkim za sobą, byle jak najdalej od domu. Do sadzawki szło się cały czas łąką zbiegałą od rosy. Nad wodą

pachniało zieloną pleśnią, tuż przy brzegu pełno było pijawek, wązki chwiały się na trzcinach, ale spod spodu biła krynica. Maryśka nauczyła się pływać „po pieszku”. Czuła pod brzuchem zimny, kryniczny strumień. Potem siadała na brzegu, lniana koszula oblepiała jej chude ciało, i schła w coraz mocniejszym słońcu. Tego ranka odważyła się zdjąć koszulę i siedziała tak, dygocąc z zimna i podniecenia, bo własne ciało wydało jej się niezwykle: patyczkowate nogi, między nimi wypukły pagórek, wyżej płaski brzuch, pokryty gęsią skórką, a nad nim sterzące ciemne sutki. Wiedziała już, że Walunia i matka są i tu, i tam zupełnie inne. Ciekawe, myślała, czy to mi urośnie? A może siedmiomiesięcznym nie rośnie? Może po tym można je poznać? Rosło takiej Józki czy Elżuni, a jej nie. Kogo o to zapytać? W dole brzucha coś bolało, gniozło. Może jakaś pijawka tam się dostała do środka? Włożyła rękę między nogi, żeby sprawdzić, i tak jakoś zrobiło jej się ciemno i słodko. W strachu przed tym, co może jeszcze być, przestała szukać tej pijawki w brzuchu. Bezpieczniej było zaśpiewać piosenkę o pięknej Wandzie i Edwinie, kochankach rozdzielonych na wieki przez śmierć.

Tego dnia ta piosenka też brzmiała jakoś inaczej, a szczególnie pierwsza zwrotka:

Pośród drzew gęstej altany
Swej kochanej ścisnął dłoń
Rycerz, który w krwawym boju
Wkrótce miał podnieść swą dłoń.

To „ściskanie dłoni” nie wiadomo czemu było podobne do szukania pijawek w brzuchu, więc przeskakiwała szybko do drugiej zwrotki:

Wieczór w ogrodzie, milczenie,
Lubą wonią pachnie kwiat
I słowików wdzięczne pienie
Umila kochankom świat.

I dalej, już bez dreszczu, bo to słodkie „ściskanie dłoni” kończyło się smutno:

Lecz nie dla nich śpiew słowików
I nie dla nich zapach róż,
Bo ich serce żal przenika,
Że się nie zobaczają.

Dlaczego ciągle myślała o tym „ściskaniu dłoni”? A „luba woń”? Czy to to, czym pachną teraz jej palce? Nie! To tylko pijawkowa pleśń. I jakiś jeszcze inny zapach, zupełnie obcy. W każdym razie to, co teraz robi, to nic dobrego, bo matka każe zawsze trzymać ręce na wierzchu. A kiedyś podejrziała, że Anusia miała ręce pod kołdrą cały wieczór i wyciągnęła je szybko, kiedy matka weszła ze świecą, żeby sprawdzić, czy śpią.

Anusia miała już czternaście lat i zakrywała rękoma oczy, kiedy kogut siadał na kurze i dziobał ją po głowie. Kiedyś Maryśka widziała, że kryjąc się przed wszystkimi prała w wiadrze jakieś krwawe szmaty. Taką jedną szmatę znalazła w łóżku siostry. - Skaleczyłaś się, Anusiu? - zapytała, ale Anusia zamachała na nią gniewnie rękoma, czerwona aż po szyję.

Tyle było tajemnic. Jedno na drugie wchodziło, szczepiało się, odpadało. Juna z Budrysem wygniatali grządki w ogrodzie, aż Walunia krzyczała, że psy znów się szczepiły i trzeba lać wodą, bo się nie rozerwą.

Maryśka odkryła niedawno, że ojciec tak samo lubił łązić po Waluni jak ona sama, kiedy była dzieckiem. Powiedziała nawet o tym Anusi, ale ta nie chciała o niczym słyszeć. Zatkawszy uszy uciekła przed nią i wtedy dopiero Maryśka zrozumiała, że to nie o takie łożenie chodzi jak jej w dzieciństwie. Myślała o tym teraz, siedząc na łące i machinalnie mrużąc piosenkę o Wandzie i Edwinie.

A w dole brzucha coś cisnęło niemożliwie. Włożyła na wpół obeschłą koszulę. Wciągnęła kretonową kusą sukienkę. Ktoś szedł od Juryszek, pod słońce, na ukos, łąkami. Była to matka.

- Mamo! - zawołała radośnie Maryśka. - Mamo! Też przyszłaś się pokapać?! - Ale matka milczała z gniewną twarzą. Boże! Skąd ona wie, że trzymałam tam palce?! - pomyślała z przerażeniem Maryśka. - Mamo, ja... Myślałam, że pijawka mi tam weszła - jąkała się ze strachu. - Bo mnie boli brzuch! - Ale matka spojrzała na nią nieuważnie. Nie, to nie o to chodziło. -

Gdzie idziesz, mamoo?! Słyszysz! - zawołała. - Boli mnie brzuch!
- Nie trzeba było tyle podkłótki jeść na wieczór - powiedziała matka. - Chodź - rozkazała - chodź ze mną!

Przyszło jej do głowy, że matka prowadzi ją gdzieś, żeby ukarać, i szła za nią pełna dławiącego strachu.

Maria weszła w wysokie trawy, tam gdzie łąka była jeszcze nie skoszona, pełna buczących trzmieli. Od Juryszek biegła tu wydeptana ścieżka i dziś już ktoś po niej szedł. Widać było wyraźnie odcisnięty w rosie ślad. Matka szła za tym śladem milcząc. Jeżeli skręci w kierunku olszyny, to znaczy, że tam jest ojciec i razem mnie zabiją - przemknęło Maryśce przez głowę. W tej olszynie kiedyś parobek powiesił psa, Pikusia. Wszyscy go lubili, bo przymilny był, zmyślny nad podziw, ale zaczął dusić kury, najpierw parobkowskie, potem pańskie. Dusił i zakopywał. Przybiegał karnie na każde zawołanie, kręcąc ogonem, z pyskiem pełnym piór i krwi.

Po którejś kurze zapadł na niego wyrok. Stary Wismont, który znał się na tym, zabrał go do olszyny i tam powiesił. Maryśka płakała ale Wismont powiedział tylko: - Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. - I to była sprawiedliwa kara. A ona co zrobiła? Trzymała ręce nie tam, gdzie trzeba, i jeszcze się temu przyglądała.

- Mamo - jęknęła biegnąc za matką - ja już nie będę! To ostatni raz! - Ale nagle radośnie jej się zrobiło, lekko na duszy, bo matka ominęła olszynę i szła w kierunku chaty Emilii po tych śladach. - Idziemy do Emilii?! Tak?! - zawołała Maryśka. - Dzisiaj niedziela! Idziemy na bliny do Emilii!

Matka odwróciła głowę. - Na bliny? Co ty bredzisz?! Skąd ci to przyszło do głowy?

- Bo... bo tatko mówił, że... że Emilka najlepsze bliny robi!

- Boże! - jęknęła matka - to on już i dzieci w to wciąga?! Boże! - Przyśpieszyła kroku.

Chata Emilii, młodej wdowy stała w dolince, przyciśnięta do zmurszałej wierzby. „Tu się kryje biała chata pod słomiany dach, przy niej wierzba rosochata, a w konopiach strach, przy niej wierzba rosochata, a w konopiach strach!” - przypomniała się Maryśce dziecinna piosenka.

- Co ty gadasz? - spytała matka.

- Nic, śpiewam sobie...

- Śpiewasz sobie... śpiewasz sobie... - zamruczała nieuważnie matka.

Nawet furtka nie skrzypnęła, kiedy weszły na podwórze. Maria położyła palec na ustach i podeszła do wysokich, rosnących w kącie pokrzyw. Walały się tu stare garnki, zeszcłte klepki od balii. Matka zrywała pokrzywy przez fartuch, żeby nie parzyło. Będzie mnie pewnie bić po nogach - pomyślała Maryśka i przysiadła, żeby ochronić swoje chude łydki, ale matka nie zwracała na nią żadnej uwagi. Z wiązką pokrzyw w ręku szła w kierunku chaty. Nagle rozmyśliła się, wyrzuciła pokrzywy. Spróbowała otworzyć drzwi, ale były zamknięte od środka na skobel. Jakaś kura zakodkodakała głośno, sfruwając pod jej nogi.

- Otwórzcie!!! - łomotała w drzwi matka. - otwórzcie!!!
Stukaj, Maryśka! Stukaj! Wołaj ojca!

- Ojca?! - zdziwiła się Maryśka. - Przecie to Emilki chata?!

- Wpuść, Andrzej!!! - krzyczała matka. - Wpuść, a to siekiera drzwi rozwalę! Dalbóg, rozwalę!!! Maryśka! Dawaj siekierę!!!

- Mama! - pisnęła Maryśka. - A gdzie siekiera?!

W chacie coś zastukało, odezwały się jakieś głosy. Maria narpała ramieniem na drzwi. - Pomóż! - rozkazała córce. - Weź polano, tam leży, przy drewnitni. Daj tu szybko!!!

Naparty mocno obie i nagle drzwi puściły. Wpadły do sieni, zabarabaniło stojące w przejściu wiadro. Drzwi do izby były otwarte, od ruskiego pieca buchało żarem. Na przypiecyku stały trojnożki, na nich patelnia, ale wszystko już wystygłe, pogaste. Maria chwyciła do ręki czepiołę, metalowy uchwyt do patelni na drewnianym kiju. i ruszyła z nią w głąb, pod okno. Teraz dopiero Maryśka zobaczyła łóżko z odsuniętą w kąt pierzyną. Emilia siedziała na brzegu z rękoma do góry - upinała warkocz, a ojciec skakał na jednej nodze, usiłując wciągnąć but. Emilia wstała, błada, z rozplątanim warkoczem. Maria ruszyła do niej, zaślepiona z gniewu, nieprzytomna.

- Zabiję! - krzyczała - zabiję i ciebie, i jego!!!

- Pan, ratuj! - wrzasnęła Emilka, zaślaniając się rękoma przed Marią.

Ale pan nie spiesząc się zbytnio wciągnął drugi but, przytupnął.

- A ta co tu robi?! - ruszył do Maryśki - co tu ona robi?!

Szpieguje mnie ten niedorozwój?! Przyszła tu za mną i tobie pokazała drogę?! O żeż ty! Do tego to ma głowę!!!

- Zostaw to dziecko! - krzyknęła Maria. - Nie dotykaj jej!!! Ty knurze!!! Ty sprośny buhaju!!! Ty psie!!

Tyle było w tym pasji, że ojciec machnął tylko ręką i wyszedł z chaty. Zakotłowało się. Emilia się broniła, zasłaniała od ciosów matki, chwyciła za trzonek czepioły. Nagle otworzyło się z trzaskiem małe okno, ojciec wsadził przez nie głowę.

- Marynia! - krzyknął. - Czy parobki poszli już do siana?!!

Matka opuściła na chwilę czepiołę. - Jak do siana? Toż niedziela?!

- Do siana! Do siana! Kopki trzeba postawić! Chmura od Koleśnik idzie wielka! Już brzuchem po ziemi **szoruje!!!** Ja lecę! Wygonię ich!!!

- Leć! - odkrzyknęła machinalnie matka. Emilia dyszła ciężko z pochyloną głową. Przez rozciętą płócienną koszulę widać było śniade, gładkie ciało.

- Emilka, spójrz mnie w oczy! - nakazała Maria. - Hłań!

- Nie, pani, nie - zajęczała wdowa, zasłaniając rękoma twarz.

- Nie magu! Dalbóg, nie magu!!! Ubij mnie!!! Jak zarazę! Jak drenne nasienie! - prosiła.

- Za co mam ciebie zabijać? - powiedziała spokojnie Maria.

- Czy to warto? Czy to ty? On winien.

- Nie, pani, nie - przypadła jej do rąk Emilia - żeby suczka nie chciała, toby pies nie wziął! To ja, pani! To ja! Dalbóg, ja sama!!!

Maryśka, stercząca w kącie, dygocząca ze strachu, ujrzała ze zdumieniem, że matka uśmiechnęła się lekko. - Ach - powiedziała - to wszystko jedno, naprawdę wszystko jedno. Czy to takie ważne? Czy to takie ważne wobec tego... wobec tego... - zadrwiła - że burza idzie od Koleśnik? Że siano nie uprzątnięte?... - Emilka patrzyła na nią nic nie rozumiejącymi oczyma. - Ładne masz włosy - zauważyła Maria - nie to co ja, takie rzadkie...

- W wodzie cukrowej zamaczałam - wyjaśniła wdowa.

Przez okno wdzierało się łąkowe powietrze, nagrzone, mocne. Maria podeszła do okna, oparła głowę o futrynę, otworzyła je szerzej, wypuściła zbłąkanego za szybą trzmiela. Odleciał bucząc głośno.

- Trzeba nam iść - powiedziała do Maryśki. - Trzeba nam wracać...

- Pani - jęknęła Emilka - sięść! Ja... ja blinów napiekę! Ja zaraz... - ruszyła do pieca. - Pani! - gięła się cała w ukłonach.

- Nie trzeba - powiedziała surowo Maria. - Śmieszysz mnie, ty i te twoje bliny. Chodź, Marysiu!

Jaka ta matka jest - myślała Maryśka - jaka... wspaniała! Wyszły od Emilki; rosa już obeschła i chmura przeszła bokiem, grzmiało daleko za lasem. Maria szła wolno. Jakaś błoga cisza ogarnęła dziewczynę.

- Mamo - wyrwało jej się - mamu, co mama miała Emilce wybaczać?

Matka nachyliła się nad cienką mietliczką, urwała trawkę, włożyła do ust.

- To wszystko irunda na postnym maśle - powiedziała - nikt nigdy niczego nie zrozumie, a reszta to nieważne... Chodź do sadzawki! - skrzyła w lewo. - Wykapiemy się!

I ten ranek Maryśka zapamiętała na całe życie. Wystarczyło przywołać w pamięci zapach nie skoszonej łąki. Boże - myślała wtedy - teraz umrzeć; jak dobrze, jak radośnie!

Zdjęły wszystko z siebie. Maryśka odwróciła od matki wstydlive oczy. Włożyły do wody. Okazało się, że matka nie umie pływać. Wyrzucała do góry białe jak ser ramiona, starała się dosięgnąć dna. Wyszły z wody parszczając.

- Mamo, ja... mamu, ja... Powiedz, mamu, czemu ty mnie urodziłaś?

Matka wciągała właśnie spódnice, rozprostowała fałdy. - Sama nie wiem... Tak ci, dziecko, źle na tym świecie? - spytała. Maryśka kiwnęła głową. - Bo jesteś leniwa. Ojcu, mnie nie pomagasz - wróciła do rzeczywistości matka. - Wszystko to może przez to, że jesteś niedonoszona...

- Niech mama tak nie mówi!!! - krzyknęła Maryśka. - Nigdy!!! Bo ja... bo ja... się zabiję!

- Ba! - ruszyła ramionami matka - żywa do ziemi nie poleciesz. Wracamy do domu! - rozkazała.

Maryśka poczuła nagle jakieś ciepło w dole brzucha. Ciepło i wilgotno. Co to może być?! - pomyślała ze strachem.

- Co tak tam marudzisz?! - zawołała matka.

Maryśka szła rozstawiając szeroko nogi.

- Co ty?! Koziniec masz w nogach?!

Dziewczynka potaknęła głową.

- Odwróć się! - rozkazała matka. Na spódnicy była wielka czerwona plama. - Patrz, co się stało! - zdumiała się matka. - Przyszedł na ciebie twój czas.

- Mamo, ja nic nie zrobiłam! - tłumaczyła się Maryśka. - Ja nic, naprawdę! Ja nie wiem, skąd to! - Maria spojrzała na córkę i odwróciła się do niej plecami. - Co to jest, mamó? Co robić?

Ale matka milczała, odwrócona od niej, obca i czegoś zła.

- Zapierz to! - powiedziała. - Zapierz to w sadzawce! Teraz będzie tak co miesiąc. Stałaś się kobietą.

- Kobieta? Czy to dobrze, czy źle? - zapytała Maryśka. Plecy matki drgały, chowała przed nią twarz. Czy matka płakała? Tak! Chyba tak. To znaczy, że być kobietą to nie jest nic dobrego. Żal ścisnął serce. - Mamo - powiedziała - niech mama nie płacze. - Ja... ja... pomodlę się do Pana Boga, to mnie to przejdzie!

Potem podsłuchiwała, jak matka mówiła do ojca: - Andrzej, opamiętaj się! Nie grzesz więcej! Czy ty wiesz, czy wiesz, że Maryśka dostała swój czas? Trzeba jej pilnować, lata po łąkach, a durnowata, wiadomo, jeszcze kto ją wykorzysta! Żyj ty po bożemu, Andrzej! Idź do spowiedzi! Proś Boga o przebaczenie!

A Maryśka wiedziała już od Elżuni, że nie pomogą prośby do Pana Boga, że tak już musi być, co miesiąc, aż do końca. - Do jakiego końca? - spytała - Do końca życia - powiedziała siostra.

ROZDZIAŁ IV

Tej zimy, w 1913 roku, w adwencie, poszła do spowiedzi Walunia, bo wiadomo było, że ta to ma się z czego spowiadać, i posłuszniejsza była od pana Andrzeja, który odkładał spowiedź, jak tylko mógł.

Walunia już cały miesiąc przedtem myślała, jak to ona pójdzie, klęknie przed konfesjonałem i wyzna to, co ma na sumieniu. Ona, co zawsze sen miała twardy, teraz nie spała po nocach, przewracając się na bok, jęcząc i wzdychając.

- Mamo! Walunia chyba chora! Dziś znowu nie kolacjowała!
- donosiła matce Maryśka.

A Walunia, im bliżej spowiedzi, tym **dziwniej** się zachowywała. Raz kazała Maryśce bić siebie po twarzy, targać za włosy. Podstawiła pod jej ręce tę swoją wielką głowę i prosiła: - Bij mnie, panienczka, bij! - A za co, Waluniu? - pytała zdziwiona Maryśka.

- Nadto ja nagrzeszyła - wyznawała Walunia. - Boga w sercu nie miała.

- Eee, takie tam twoje grzechy! - nie dowierzała dziewczyna.
- Ja to mam ciężki grzech, bo powiedziałam tatce, że Kostuś go zabije.

- Jezus Maria! Co panienczka gada?! Panicz zabije naszego pana?!

- Tak sam mówił. Nóż na osełce ostrzył i gadał, że to na tatkę.

- A panienczka, nie opowiadać nawet takich rzeczy! - machała rękoma służąca.

- Ale to ja Kostusiowi zmarnowałam zająca! Powiesił go za oknem, a ja go ściągnęłam i dałam Junie i Budrysowi. Kostuś myślał, że psy go same ściągnęły, a to ja! Psy go rozszarpały! Tego zająca. Raz w życiu się najadły.

- Panienka - szepcze Walunia rozglądając się na boki - niech panienka nie mówi o tym nikomu! Bo wszyscy na panienkę nasiądą!

- Ty też tego nie mów, a ja nie powiem, że tatko do ciebie w nocy przychodzi.

- Boże! - zajęczała Walunia - ukarż mnie grzeszną! Ukarż! A czemu panienka tak zrobiła?! Czemu?!

- Bo mnie tu wszyscy nienawidzą. Wiesz? Wszystkie siostry i bracia.

- Tfu! Panienska, wypluń to słowo. Trzeba ich kochać!

- A ty kochasz tatę?

- I pana, i panią, i paniczów, i panienki. Wsiech! Niech panienka uderzy mnie w twarz! Mocno! Raz z jednej, raz z drugiej strony! To mnie ten dur przejdzie.

- Ja... ja nie umiem - broniła się Marysia - poproś kogo innego...

- To niewinna istota musi być, ze wszystkim niewinna! - jęczała Walunia.

- Aleja nie jestem niewinna, ja już jestem kobietą. To Walunia nie wie? Nie wie, co mi się zrobiło?

- A panienczka! - chwyciła ją w ramiona służąca. - Mileńka moja, gorzki dzieciuk!

I tak któreś adwentowej niedzieli Walunia umyła się, uczesała i z czerwoną, błyszczącą twarzą padła do nóg pani, pana i dzieci, przepraszając ich za wszystko zło, co komu zrobiła. Tylko Bogdan schował się przed nią do spiżarki i nie wyszedł stamtąd, choć łomotali do drzwi.

Potem Walunia odziała się w stary kożuszek Marii, przepasała się dziażką, wzięła do rąk walonki, bo mróz chwycił pierwszy, i boso po grudzie, bo walonki miała założyć dopiero przed kościołem, poszła do Ejszyszek.

- A gdzież to ona skręca? Nie na prawo, a na lewo? - dziwiła się patrząca za nią przez okno Józia. - To ona nie idzie do Naczy?

Parafia była w Naczy, ale Walunia nie bez powodu bała się jak ognia nackiego księdza. To był znajomy panów i jak tam, nie daj Boże, słówko do nich szepnie, to na święty Jery pójdzie Walunia za dźwiery. Tak sobie kombinowała, że Ejszyszki daleko od dwom i nikt jej tam nie zna, a baby z litewskich wiosek gadały, że ksiądz tam nowy, przystępny.

Dziewczyna leciała tych kilkanaście kilometrów prawie biegiem, bo piekło od spodu w bosc stopy jak ogniem. Przed samym miasteczkiem usiadła, obuła się w walonki i jak jaka pani w kożuszku i kraciastej wielkiej chustce, bijąc niskie pokłony, weszła do kościoła. Ludzi było mało, ale baby już czekały, skulone, przed konfesjonałem. Walunia bijąc się głośno w piersi sunęła do kon-

fesjonału na kolanach. Patrzyła na nią z głównego ołtarza Matka Boska Niepokalanego Poczęcia, a z prawej nawy święty Krzysztof przenoszący dzieciątko przez wodę. Walunię ścisnęło w dołku ze strachu, tak jakby miała tam skręcony kłębek drutu, łzy ciekły jej po twarzy i taka cała roztrzęsiona zobaczyła tuż przed sobą, za kratkami, księżowskie ucho.

- „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego” - przeżegnała się szeroko. Za kratkami coś się poruszyło. - U spowiedzi świętej - zaczęła Walunia - byłam...

- Kalbek lietuviškai!¹ - usłyszała gniewny głos księdza.

Walunia jeszcze raz przeżegnała się i zaczęła: - U spowiedzi świętej byłam...

Ucho za kratkami pokraśniało ze złości.

- Eik iš čia² - podniósł głos ksiądz. - Iš pradžiū išmok lietuviškai po to ateisi!³ Eik iš čia!

Ucho przesunęło się na drugą stronę konfesjonału, a Walunia klęczała, nic z tego nie rozumiejąc.

- Odejdzie lepiej! Czego miejsce innym zajmuje?! - syknęła na nią jakaś babina.

Walunia wstała z klęczek i odprowadzona zgorszonymi spojrzzeniami kobiet przeszła w głąb kościoła, zaszyła się w bocznej nawie.

Płacząc i siąkając nosem biła tam czołem przed świętym Krzysztofem, bo nie śmiała z takim brzemieniem stanąć przed głównym ołtarzem.

Wyszła z kościoła kulejąc jak zbity pies, ale po drodze zaczęła podnosić hardo głowę. A niech tam! - myślała idąc. A niech tam! Nie chce Pan Bóg przyjąć moich grzechów, to nie trzeba! A niech tam!

Szła sobie teraz wolno, bo mróz odtajał, ale nie zdjęła wołoczków. Wrony kłaniały się jedna przed drugą na śniegu, w rowie pełno było zajęczych śladów, na wierzbach jak stare szmatki wisały suche listki, a Waluni zamajaczył, nie wiedzieć czemu, przed oczy-

¹ Mów po litewsku!

² Odejdź!

³ Naucz się po litewsku - to wtedy przyjdiesz!

ma obraz panicza Bogdana, szczególnie wtedy, kiedy śmiał się błyskając białymi zębami i kiedy kładł jej rękę na piersi, która zaczynała pod tym dotykiem falować i nabrzmiwać.

Zmierzchało się już, kiedy dochodziła do mogiłek. W dole czerniały dachy Juryszek. Minęła lodownię, pobieloną po wierzchu śniegiem jak cukrem, rozpięta na piersiach kozuch, bo gorąco się zrobiło od tych myśli.

- Co ci ksiądz zadał na pokutę? - spytała ją w domu pani.

- Pani, ja nie pamiętam - wykręcała się dziewczyna. - Dalbóg, nie pamiętam!

- A gdzie ty u spowiedzi byłaś?! W Naczy czy Ejszyszkach?

- Ajaka to różnica pani! - ruszyła ramionami Walunia. - I tam, i tam także samo jest ksiondz!

- Czekaj ty! Zapytam ja księdza Żyrmunta! Zapytam!

- I grzechy moje też pani znać chce?! - odcięła się hardo Walunia i nie spuściła wzroku przed spojrzeniem Marii. - Tak jak ksiądz?

- A tej co się stało? - Maria opowiedziała to zdarzenie córce Józii. - Co ona tak po tej spowiedzi zhardziała?! - nie mogła się nadziwić.

Po niektórych kościołach, w Ejszyszkach i gdzie indziej, szła wojna między Litwinami a Polakami. Jak baby po jednej stronie kościoła zawodziły po polsku: „Zacznijcie, wargi nasze, chwalić pannę świętą...”, to druga strona kościoła energicznie i zgodnie intonowała litewską pieśń religijną. Kłóciły się te głosy, przekrzykiwały, czasem spory przenosiły się przed kościół, gdzie po wyjściu z nabożeństwa skakano sobie do oczu. Dochodziły wieści, że w święciańskim i ludzkim powiecie skończyło się to nawet rozlewem krwi.

- Toż tam najmniej Litwinów żyje?! - dziwiła się Maria, słuchając tych wieści od kuzynki Oleńki spod Lidy.

- Ano właśnie, i dlatego tam najwięcej macą - wyjaśniła kuzynka. - Słyszałaś, że w Kalwarii Suwalskiej polała się krew?! Nawet wojsko musieli zawołać. Jeden ksiądz w Lidzie powiedział, że tak nie będzie, żeby polscy księża uczyli z ambony gramatyki polskiej! Tak dosłownie powiedział.

- Boże! Co to się porobiło! Żyliśmy sobie spokojnie, wioski

litewskie, polskie, białoruskie obok siebie, jak bracia, a teraz jakby sam diabeł namieszał. Słyszysz ty, Andrzej, co Olesia opowiada?! Słyszysz! - wołała do męża pani. - A powiedz ty mnie, Andrzej, jaki to ksiądz jest w Ejszyszkach?

- Jaki? Litwin podobnież tam nastał! Zakuty Litwin! Emilia... to znaczy słyszała ja gdzieś, nie wiem od kogo - zacukał się - że jak dziewczęta śpiewały w kościele po polsku, to odszedł od ołtarza i nawi myślał im od ostatnich!

- A słyszeliście, że ten Basanavičius z Wilna memoriał wystął na nas do Rzymu? Oskarża nas, że występujemy w kościołach przeciwko Litwinom.

- A któż tam to ich litewskie bałakanie zrozumie? - śmiał się Andrzej.

- Ależ nie po litewsku! Posłali memoriał po włosku! Ale Korwin-Milewski dał im do wiwatu. Papież jego posłuchał, nie ich.

- Koniec świata chyba będzie, żeby tak ludzi dzielić! - zauważyła Maria.

- Do Lidy przyjechał taki litewski nacjonalista, to opowiadał wprost oburzające rzeczy: że Litwa katolicka, mówiąca czy to po polsku, czy białorusku, należy do jednego szczepu - litewskiego.

- Litewskiego?! To nie mieści się w głowie! - dziwiła się Maria.

- Wiecie, co on powiedział?! Wiecie?! Że tu, na Litwie, nie ma wcale Polaków, tylko Litwini mówiący po polsku.

- Widzisz, Andrzej, widzisz, trzeba pojechać do Wilna po różne patriotyczne książki, żeby dzieci czytały. Bogdan włóczy się po litewskich wioskach, jeszcze mu w głowie przewróca.

- A czego on tam chodzi? - zdziwiła się kuzynka.

- No wie Oleńka, jak to jest. Jak tylko trzeba bab do żniw albo kopania, to od nich bierzemy. A robotne te baby, jedna w jedną! A czyste! Ile ja sama tych litewskich piosenek znam! Zaśpiewać wam?

- Daj spokój, Maryniu! - zatkała uszy kuzynka. - Daj spokój! Dość tej obrzydliwej mowy! Nie jestem w stanie wysłuchiwać ich piosenek. Nie puszczajcie tam Bogdana! Jeszcze się wam zlitwini!

- Nie ma obawy - machnął ręką Andrzej - on tam tylko do dziewczyn podłazi, Litowki gorońce!

- Co ty gadasz! - zakrzyczała go pani. - Co ty za bzdury

opowiadasz! Bogdan na szczęście za młody na to! Nie słuchaj go, Oleńko!

Ale Marii coś po tej dyskusji zaświtało w głowie. Kiedyś wieczorem, kiedy Walunia ziewając rozkładała siennik na ławie i mościła sobie postanie, pani Maria spytała ją, czy odmawia co wieczora pacierz.

- Odmawiam. Dalbóg, pani - ziewała szeroko Walunia.

- A dlaczego nie byłaś u spowiedzi? - spytała wprost pani. Dziewczyna aż przysiadła ze strachu na sienniku. - Widzisz - powiedziała pani - widzisz, ja wszystko wiem. Nic się przede mną nie uchowa.

- Bo... bo - jąkała się Walunia - ksiondz na mnie nakrzyczał, przegonił od konfesjonału.

- I nie dziwię się wcale...

- Ale nie o to. Kazał po litewsku gadać.

- A ty nie umiesz?

- Po prostemu umiem, po prostemu...

- Ciekawe - zaśmiała się pani - grzeszysz po pańsku, a gadasz po prostemu. Pójdiesz w tą niedzielę do księdza Żyrmunta, do Naczy! - nakazała.

I dopilnowała tego, żeby Walunia poszła. Dziewczyna wróciła złamana, pokorna, bijąca co wieczór czołem przy łóżku.

- Widzisz! - powiedziała Maria. - Widzisz, jak pomogło!

Ksiądz Żyrmunt nigdy nie pisał ani słowa o czym mu Walunia naszeptowała przy konfesjonale, bo zawsze mówił o sobie, że on jak ta studnia, co wpadnie w ucho, to już nie wyjdzie. Tajemnica spowiedzi. Tylko tyle, że kiedy na Wielkanoc przyjechał święcić stół, szepnął do pani, żeby Waluni dobrze pilnować, a najlepiej byłoby w ogóle odprawić ją gdzie indziej. Pani skojarzyła to sobie z kilkoma hardymi odpowiedziami dziewczyny i postanowiła, że na świętego Jerzego dajej odprawę. Tak lepiej będzie i dla domu, i dla niej samej. Tak też radziła Jacuńska, mądra, stateczna przyjaciółka. - Tak wszystkie robią, kiedy służba zanadto dokazuje - powiedziała. - Kiedy ona nie dokazuje, tylko... - Ależ, moja żłota, sama mówiłaś, że nie chciała się spowiadać! Sama mówiłaś!

Ale Marii żal było dziewczyny, więc postanowiła odmienić jej los. Żył tuż obok Juryszek, w Krzywdach, zbiedniały stary szlachcic, Mickiewicz. Żona umarła mu niedawno, on sam podupadł

mocno na zdrowiu, gospodarka marniała w oczach. Całe Krzywile były skłócone z panem Andrzejem. Nie kłaniali się sobie, patrzyli na siebie wilkiem w kościele, a chodziło o jakieś tam zajęte przez wioskę łąki, o jakieś tam miedze, o nieużytki, na których pasają się konie. Najpierw wioskowe i te ze dworu razem, potem już tylko dworskie, bo Andrzej zakazał tym ze wsi wchodzić na jego wygon. O to poszła niezgoda. Ale pani biegała czasem do Krzywil, kiedy trzeba było leczyć kogoś od nagiej choroby albo ratować przed ostateczną nędzą.

Maria któregoś dnia odwiedziła Mickiewicza. Na porośłym niską trawą podwórku pasł się jeden chudy, nigdy nie strzyżony baran, który na widok obcego tupał groźnie nogą. Wałęca się chałupa była pełna starych rupieci, po stole chodziła kura. dziobiąc kruszynki chleba. Kolo kurzych kupek leżał różaniec i obrośnięta woskiem świeca. Sam Mickiewicz siedział przy stole w wyszarganej rubaszce. Kroił kozikiem chleb na małe kęski i wkładał je do bezzębnych ust. Żuł powoli, popijając wodą z kubka. Na ten widok ścisnęło się współczuciem serce Marii, ale jak zawsze, kiedy ją coś wzruszało, natarła ostro:

- Mickiewicz! Bój się Boga! Co tak brudem zarósł?! A kysz! - wrzasnęła na kurę.

Stary nie przestawał kroić chleba.

- Sama jaśnie pani z Juryszek pofatygowała się - powiedział drwiąco, mieląc ustami chleb. - Patrzajcie, ludzie! - pokręcił głową.

- A pofatygowałam się - stwierdziła Maria. Zgarnęła ręką brud z ławy i usiadła. - Długo tak będzie Mickiewicz żył? - spytała.

- Do śmierci, pani, do samej śmierci - powiedział.

- Nawet mowy nie ma! - zawyrokowała Maria. - Pora z tym skończyć!

- A co, szanowny pan Jurewicz wykurzyć mnie chce z Krzywil?

- Nie opowiadać takich bzdur! - oburzyła się Maria. - Mój mąż nie ma nic do rzeczy! Ja przysłałam Mickiewicza wyswatać!

- Wyswatać? - stary przełknął głośno kąsek chleba. - Wyswatać?! A cóż to opowiada? Moja ścieżka dawno trawą zarosła. Babę ja tylko co pochowałam.

- Drugi rok już poszedł, jak Mickiewiczowa pomarła. Śniła mi się niedawno, wie Mickiewicz?

- Panie świeć nad jej duszą, niemożliwie mnie już ostatnio nadokuczyła.

Maria mimo woli parsknęła śmiechem.

- Tym lepiej - powiedziała - należy się Mickiewiczowi choć trochę odmiany.

- Odmiany? - podniósł brwi stary. - A jakiejż to odmiany?

Tu pani wyniszczyła, z czym przyszyła: ma dla niego dobrą, robotną dziewczynę, taką, co w mig zaprowadzi porządek. Kury znajdują się na swoim miejscu, na żerdce w kurniku, baran potłuscieje, nie mówiąc już o samym Mickiewicz.

- A gdzież to taki kwiatusek rośnie? W którym ogródku? Przy której krynicy wodę pije? - zapał drwiąco Mickiewicz.

- Bliziućko, blisko, tak blisko, że prawie niedostrzegalny - odparła tym samym tonem Maria. - Mam ja taką na widoku, niemożliwie silną. Robota pali się jej w rękach. A czysta, a ochotna do śmiechu jak ta ptaszyna...

- Jak ta ptaszyna? - zamyślił się stary. - A któż to taki?

- Nasza Walunia. Zna Walunię?

- Walunia? Służąca Jurewiczów? - zapał ze zdziwienia stary.

- Tak, tak, nasza Walunia! Dziewczyna jak złoto!

- Nu, złoto, szerniałe trochi, drennego sortu musi?

- Co gada?

- Czasem złoto do złota nie pasuje, pani Jurewiczowa.

- A pewnie, że nie pasuje! Do tego brudu! Do tej biedy z nędzą! - oburzyła się Maria. - Ona, taka czyściocha!

- A kogóż to mnie tak rai, toż Walunia nie szlachcianka, a z chłopów pochodzi.

- Jezus Maria! - skoczyła z ławy pani. - Co Mickiewicz gada?! Mickiewicza szlachectwo kury zasrały!

Na takie słowa Mickiewicz też dźwignął się i nagle, ni z tego, ni z owego, zaśmiał się samymi szpareczkami chytrenkich oczu.

- Obsiądź, pani! - powiedział. - Kupić, nie kupić, potargować można. Nu, ja owszem, czemu nie, jałoweczkę stargować chcę, tyle że kłopot w tym, że ona popsowana trochi... - zachichotał.

- Co Mickiewicz przez to rozumie?! - najeżyła się pani.

- Pani wie i ja wiem, że Walunia nie całkiem, jak to mówią, panienka...

- Nie całkiem panienka! Mickiewicz! Popatrzeć na siebie! Gdzie jemu do takiej młódki! Śmiechu warte!

- Nu tak, potargujem się, a? Zobaczym, co Walunia ze sobą w kuferku przyniesie.

Panią aż zatkało ze zdumienia na taką chytrą. O Boże! Może dziewczynie tu będzie źle? - pomyślała w popłochu, ale zaraz pocieszyła się, że jeżeli nawet Mickiewicz jest starym sknerą, to jedno pewne - przy takiej różnicy wieku Walunia go przeżyje, a wtedy odziedziczy po nim tych parę hektarów, barana i co tam jeszcze. Kuła też żelazo, póki gorące; wróciwszy do Juryszek, odnalazła dziewczynę pielącą grządki w ogrodzie. Walunia zerwała się na jej widok spłoszona, bo zmogło ją gorąco i monotonne brzęczenie pszczół, tak, że przysnęła trochę w głębokiej bruździe.

- Ja zaraz... pani... ja zaraz... już jedną grządkę opieliała. O, widzi, ile tej lebiody?! Widzi?! - tłumaczyła się.

Ale pani nie patrzyła na lebiody.

- Wstań! - nakazała dziewczynie - mam tobie coś do powiedzenia! Ile ty masz lat, Walunia?

- A ja wiem? Musi... musi... jakie dwadzieścia dwa albo i więcej...

- To dobrze. Dwadzieścia dwa to aż nadto. Tobie za mąż trzeba iść! Ciebie do chłopów ciągnie!

- A ja wiem? - zaśmiała się, ruszając ramionami, dziewczyna.

- Ciągnie. Mnie nie oszukasz! - stwierdziła pani.

- Chto mnie weźmie, pani? Parobki do mnie nie zachodzą.

- Bo tobie co innego w głowie. Ale ja mam dla ciebie męża!

Walunia w pierwszej chwili aż przysiadła ze zdumienia na wieść, kogo to jej pani wyznaczyła. - Mickiewicza z Krzywili?! Nie może to być! Samego szlachcica?!

- Tak, tak. szlachcica. Dla Waluni taki żenich w sam raz. Nie będzie jej męczyć zanadto, bo sił nie ma, a co do hektarów i żywoły w oborze i stajni, to jest tego tyle, co potrzeba - przekonywała pani - będziesz szlachcianką, jak się patrzy! W kościele pod samym ołtarzem możesz siedzieć! A już to samo powinno wystarczyć, że takie nazwisko będziesz miała: Mickiewicz! Rozumiesz?!

Może to nawet z tych Mickiewiczów? - rozmarzyła się. - Wszystko być może.

- W Krzywilach co drugi Mickiewicz.

- Ach! Nic nie rozumiesz! Chodzi mi o naszego narodowego wieszca! No, mniejsza z tym. Zadowolona jesteś?

- A pewnie - pokłoniła się nisko dziewczyna - a pewnie!

- To pocałuj mnie w rękę!

Walunia cmoknęła ją w rękę i wytarła to miejsce fartuchem.

- Wesele urządzimy w łązni, tam gdzie zawsze dożynki robimy, tam podłoga jest drewniana, jak się patrzy - planowała Maria. - I nie pójdziesz do niego jak ta hołota, nie! Kuferek ci wyszykuję z wyprawą. Dam kilimek, poduszki i pierzynę. Wyprawię ciebie jak rodzona matka...

Dziewczyna pokraśniała z zadowolenia i jeszcze raz cmoknęła panią w rękę.

- A teraz zostaw to pielenie! Krowy już gnają z pastwiska. Czas dość.

Poszły razem po wiadra i cedziłki. Walunia siadła, jak zawsze, najpierw pod Malinkę i zaśpiewała, żeby krowa przypuściła mleka: - „Sztobja eto znała, szto za mężem lichy...” - a potem popłakała sobie z tego szczęścia, co na nią miało spaść, i z tego, że jej matula dawno już leżała na wioskowych mogiłkach i tatulo też.

- Waluniu! Powiedz... powiedz, że to nieprawda! Że ty nie odejdziesz! - płakała Maryśka. - Ja nie chcę! Ja nie wytrzymam bez ciebie! Utopię się albo co?! Na szczęście jest sadzawka!

- Panienczka, mileńka moja, rodnieńka - tuliła ją do siebie Walunia - ptaszczek mój, złocieńka moja, nie płakać! Ślóz szkoda! - Ocierała jej twarz rogiem chustki. - Panienczka na moim weselu zatańcuje!

Maryśka ciężko to przechorowała. Jakaś dziwna choroba na nią naszła, wysypki dostała po ciele, że aż musieli do doktora ją wieźć, do Ejszyszek. Ten orzekł, że nie znana mu jest przyczyna choroby, zlecił jakieś kataplazmy, okłady, a na koniec pocieszył, że „do wesela się zagoi”, bo stary już był i wszystko mu się mieszało w głowie. Maryśka leżała w sypialni rodziców, przy otwartym oknie, słuchała, jak za oknem skrzeczą sroki. Anusia siedziała przy niej bladawa i też czemuś smutna i poiła ją wodą z malinowym sokiem.

- Anusiu - szeptała Maryśka - Anusiu, zawołaj tu Walunię! Powiedz, że ja umrę, jak ona odejdzie! Ja te...go... nie prze...ży...ję! To tatko z mamą tak specjalnie zrobili! Ja wiem! Tatko z nią w nocy spał i Bogdan też. Ja to wiem.

- Co ty wygadujesz, Marysiu?! - oburzyła się łagodna zwykle Anusia. - Co ty opowiadasz?!

- Ja... ja też chciałam spać z nią, ale mi nie dali! Ty... ty nic nie wiesz! Tobie nigdy nie pozwalali na nic patrzeć! Ani na ogiera z klaczą, ani na koguta, jak siedzi na kurze! Ty... ty w ogóle nie wiesz, jak to jest!

- Zamilcz!!! - syknęła z pasją Anusia. - Zamilcz!!! Jesteś zepsuta i zła. Będę się za ciebie modlić!

- Pomódl się, żeby Mickiewicz nie chciał naszej Waluni - szepnęła zmęczona Maryśka i opadła na poduszkę, bo gorączka rosła, zatapiała ją wielką, czerwoną falą. Budziła się czasem, kiedy jej wsadzali pod pachę termometr, kiwali nad nim głowami, przynosili mokre prześcieradła owijali w nie jej wychudłe pokryte wysypką ciało. Kiedyś obudziła się z półsnu, nikogo przy niej nie było. Na stole dopalała się, skwiercząc, świeca. I ujrzała nagle, jak dookoła świecy owija się wąż. Zamiast głowy miał wielką, rozczapierzoną łapę i okręcał się wokół świecy, okręcał bez końca. Krzyknęła. Przyszła siostra Józia.

- Zabierz go! - krzyczała Maryśka - zabierz tego węża!

Józia uciekła przestraszona, ale to już była największa gorączka przed kryzysem. Na drugi dzień, kiedy matka, Walunia, Elżunia Józia i Anusia odmawiały modlitwę za konających, Maryśka otworzyła przytomnie oczy, zobaczyła przy sobie pochyloną głowę służącej z chustką związaną do tyłu. - Walunia - szepnęła - ty nie odeszłaś! To dobrze - wyszeptała i zapadła w długi, wracający ją do życia sen. A kiedy po tygodniu zaczęła wstawać, już nie było tego żalu za Walunia. Rozwiązał się gdzieś, rozplynał. Pusto było tylko jakoś w duszy i w sercu. A w sierpniu, po żniwach już zupełnie wyleczona z miłości poszła razem z innymi na tańce do łaźni i nie mogła poznać swojej Waluni. Czy ta pucata, czerwona na twarzy dziewczyna w wianku przekrzywionym na głowie to jej Walunia? Niemożliwe. Obok służącej siedział Mickiewicz, w nowym surducie, mały, zasuszony staruszek z plackami wypieków na pomarszczonych policzkach. Siostry też tam były i bracia. Patrzyła na

nich i wydało się jej wszystko dalekie i obce jak prześniony sen. Koło niej siedziała Elżutka ściśnięta w pasie sznurówką, odęta, z ustami w ryjek, patrząca z wysoka na to chłopskie wesele. Józia ubrana była w krakowski strój z długimi, fruwającymi wstążkami u ramion. Janeczka w nowej sukni w czerwone grochy. Anusia w szarej sukience z białym kołnierzykiem. Ta uśmiechała się do wszystkich przyjaźnie. A ona sama? Ma napuszone włosy, które całą noc były splecione w małe warkoczyki. - Zrobię ci czub nad czołem - mówiła rano Elżunia - to zakryje tą twoją głowę...

- Zostaw! - strząsnęła rękę siostry - zostaw! Pilnuj lepiej swojej głowy! Moja stołbunowata, ale mądrzejsza!

- Maryśka tak zhardziała, że bez kija do niej nie podchodzi! - poskarżyła się Elżutka matce.

- To pewnie od tej choroby tak rozpuściła się jak dziadowski bicz - zauważyła matka.

Wtedy to Maryśka postanowiła, że nic nikomu nie powie o tym, co bracia zrobili. Podglądnęła ich, jak sypali w szpary podłogi w łaźni mielony pieprz. Była pewna, że coś knują, ale nikomu nie pisnęła o tym ani słowa. A skrzyпки grały wesołą polkę i w pierwszą parę, przebierając suchymi nóżkami, ruszył Mickiewicz z Walunia. Okręcili się parę razy, stary zasapał się, pomylił kroki i zwisnął na rękach dziewczyny jak miękka szmatka.

- Pani! - krzyknęła rozochocona w tańcu Walunia. - Pani! Powiedzieć, co z nim robić?!

A Mickiewicz, podtrzymywany jej ramieniem, przebierał w powietrzu nogami.

- Ej! Walunia! - krzyknął młody parobek Antośka. - Ty jego na rękach możesz nosić za tyle dobra!

- No, no, Walunia! Popróbuj! - zagrzewał Andrzej - bo on ci jeszcze wyzionie ducha z tego tańcowania!

Walunia chwyciła Mickiewicza na ręce jak snopek zboża. Okręciła się z nim jeszcze ze dwa razy i nic nie zdyszana, uśmiechnięta od ucha do ucha podeszła do siedzącej na ławie pani i posadziła obok niej swego męża jak jakiego dzieciuka: - Siedzieć tu, Mickiewicz, przy naszej pani - nakazała - a ja jeszcze potańczę!

- A widzi Mickiewicz! A widzi! Nie mówiłam, że na rękach ciebie będzie nosić z wdzięczności! - zawołała pani.

- Tako ono i jest! - odzyskał oddech Mickiewicz, ale po

chwili coś sobie przypomniał i nachylony do Marii wyszeptał: - Ale w kuferku nie było tego zielonego kilimka, co pani przyobiecała w posagu Waluni.

- A idź ty, szeptun! - prychnęła na niego Maria. - Widzieliście! Zielonego nie było! Za to fioletowy dałam! Nowiuteńki, nowy! - odwróciła się do niego plecami, bo właśnie jej mąż, Andrzej, szurnął nogami przed wdową Emilią.

- I co pani Jurewiczowa na to powie? - chrypiał Mickiewicz.

- Co powiem?! Powiem, że u ciebie popie oczy, wilcze gardło, co zobaczy, to by zżarło! Jeszcze mnie nieraz za żonkę podziękujesz.

- Popsowana - zachrypiał Mickiewicz - nie całkiem panienka...

- Cicho! - syknęła Maria. - Durny szlachcic! Puszy się jak ta wesz na kołnierzu! Dziewczęta! - zawołała na swoje córki. - A wy czemu z parobkami nie potańcujecie?!

Na taki okrzyk dziewczęta ruszyły do tańca. A akurat grał oberka i z podłogi unosiły się tumany gryzącego pyłu. Niektórzy kichali, bo kręciło w nosie, dziewczyny piszczwały, a Kostuś z Bogdanem stali w kącie z założonymi rękami, przyglądali się tańczącym i coś szeptali do siebie.

Pierwsza poczuła dziwne łaskotanie i swędzenie odęta Elżunia. ale przebierała nogami z powagą, choć tam, w środku, działo się coś niepokojącego. Antośka, parobek, przyciskał ją do siebie coraz mocniej, coraz goręcej. Bilo od niego potem, młodością, aż Elżutka poczuła, że miękko się jej robi w nogach; i jeszcze to natarczywe swędzenie w takim dziwnym miejscu.

Anusia wcale nie tańczyła, bo postanowiła umartwiać się za grzechy rodziców. Maryśki nikt nie prosił do tańca, ale stateczna Józia dreptała z głową uniesioną do góry, trzymając na dystans młodego Waldemara - szlachcica z Krzywil.

- Jakości nie działa - szepnął Bogdan do Kostusia. - Gówno z trzaską. Nic z tego nie wyjdzie!

- Zara poczuja, zara! - uspokoił Kostuś. - Już tatko Walunię wyprowadził - szeptał - niby to ochłodzić się. Idziem, popatrzmy! Chcesz?

- Cicho! Patrzaj! Elżunia szczerwieniła cała!

A Elżutka okręcała się coraz szybciej i szybciej i od tego wirowania coraz bardziej ją swędziało, coraz natarczywiej.

- Wyjdziem, Antośka, na podwórek, trochę ochłodzić się trzeba!
- szepnęła parobkowi do ucha.

- Idziem! - szturchnął Bogdan brata. - Będzie na co patrzeć!
Wybiegli z łaźni, na niebie księżyc stał wielki, sierpniowy.

Elżunia oparła się o płot.

- Antośka - ścisnęła parobka za rękę - Antośka, ja... ja...

- Co takiego, panienka? - dyszał tuż przy niej, coraz bliżej.

- Ja... muszę oprzeć się o płot, bo zemdleję - szepnęła.

- Panienka - zachrypiał - oprzeć się o mnie!

Elżunia jęknęła tylko w odpowiedzi. Ścisnęła go za rękę coraz mocniej. - Ach, jak to pali! - szeptała - jak to pali żywym ogniem!

- Co tak pali, panienka? Nic mnie nie mówiła... Co panience, czy może chora? - dziwił się Antośka cały przerażony jej zachowaniem, bo pomyślał, że targa nią wielka do niego namiętność.

- Zamilcz! - Zamknęła mu ręką usta. - Zamilcz! - Osunęła się nagle pod tym płótem i pociągnęła go do siebie.

- Panienka! Dalbóg, nie mogę - chrypiał Antośka na dobre wystraszony. - Pan mnie zabije! Zabije na śmierć!

- Zamilcz! - chrypiała. - I zrób coś, żeby tak nie swędziało!
- rozkazała krótko.

- Aj - jęknął parobek - kiedy się boję!

Ale na szczęście do niczego nie doszło, bo na ten moment wyskoczyli z dzikim wraskiem bracia z pękiem pokrzyw w rękach. Chlasnęli po gołych łydkach Elżutki raz, drugi.

- A masz! A masz! - krzyczał Bogdan.

Elżutka z parobkiem skoczyli na równe nogi, rozprysnęli się w ciemności, a bracia darli się za nimi jak opętani.

- Co tam się dzieje? - zaniepokoiła się Maria. - Co tam takiego?

- A nic - uspokoił ją dyszący jeszcze po tańcu Mickiewicz. - Musi parobczaki dokazują, jak to na weselu.

- Anusia jest, Janeczka jest, Józia tańczy, Maryśka siedzi w kącie, a gdzie Elżutka?! Kostuś! - zawołała do wchodzącego syna. - Gdzie Elżutka?!

- Elżutka?! - zaśmiał się cienko Kostuś. - A pod płótem z parobkami!

Boże! Jak to dziecko schamiało - pomyślała z przerażeniem

Maria. - Nie opowiadaj bzdur! - krzyknęła na syna. - Żeby tak kłamać!

- Jak tu gorąco! - jęknęła Józia do szlachcica z Krzywil. - Pan Waldemar tego nie czuje?

- Trochi - przyznał Waldemar. - Musi, że tak, że gorąco. Może wyjdziem na podwórek? - zaproponował.

Wyszli. Jakies cienie tuliły się do siebie za płotem. Ktoś chichotał od strony sadu, a Waldemar, sztywny i nieśmiały, szedł obok Józii milcząc, bo nie wiedział, jak by tu mądrze zacząć rozmowę.

- Ciepła ta noc - zauważył - a nawet można powiedzieć, że gorąca.

- Aha - przytaknęła Józia.

- Taki wielki miesiąc - ciągnął rozmowę - i te koniki polne cykają. Słyszysz panienka? Cyk-czyryk! Słyszysz?

- Każdy słyszy - zniecierpliwiła się Józia.

- A w Juryszkach już żyto pożęli? - zapytywał Waldemar, walcząc z nieśmiałością.

- Pewnie, że pożęli! Toż koniec sierpnia - przypomniawsza Józia. - Pożęli i zwieźli.

- A w Krzywilach jeszcze snopki na polach stoją. Przynajmniej u nas, bo Wasiukiewiczze i Lisieckie pożęli i zwieźli. A ktoś ma gospodarzyć! Tylko mamuśka i ja ostali się. A mamuśka ledwo co chodzi, słabuje w środku.

- Gdzie? - podtrzymała rozmowę dziewczyna.

- W środku. Coś jej na kischkach siadło i siedzi...

I tak szli między drzewami w sadku, a tuż koło nich ktoś szeptał pod jabłonką, coś cmokało, między grządkami przemykały się jakieś cienie.

Józję też swędziało nie tam, gdzie trzeba, paliło, ale szła, statecznie pogadując, choć najchętniej siadłaby teraz do miski z zimną wodą. - To był najpiękniejszy spacer w moim życiu - powiedziała potem, po latach, Maryśce. - Szliśmy przez sad z Waldemarem, a on był taki romantyczny, taki zakochany, że nawet mnie nie pocałował.

- To Waldemar ciebie kochał?! - zdziwiła się Maryśka. - To dlaczego tego nie okazywał?! Wcale nie było po nim niczego widać!

- Bo on mnie szanował - powiedziała Józia - szanował bardziej niż siebie.

Anusia nie czuła tam żadnego łaskotania, bo Anusia nie tańczyła. I kiedy Maria wołała i rozglądała się za Elżutką, Anusia powiedziała, że ją odnajdzie i tu przyprowadzi. - Chodź, Marysiu - powiedziała - pójdziemy jej szukać razem.

Wyszły w tę jasną, księżycową noc, wzięły się za ręce i szły w kierunku domu - Elżutka! - zawołała Anusia - Elżutka! - Ale nikt im nie odpowiedział. - Marysiu! Spójrz, jaka piękna noc! - westchnęła Anusia. - Nie będę więcej wołać za Elżutką, bo nie wolno rozdzierać tej nocy krzykiem.

- A Elżutka pewnie kołysze się na wierzbie albo topi się w sadzawce, albo schowała się w rojstach, żeby straszyć ludzi! To wiedźma!

- Czemu jej tak nie lubisz? - spytała z żalem Anusia. - To twoja rodzona siostra, poiła ciebie kiedyś mlekiem...

- Wiem, byłam siedmiomiesięczna i leżałam w gęsim puchu, i nikt mnie nie chciał! - wyrwała jej rękę Maryśka. - Nie mów mi tego nigdy! Nie przypominaj! To mama kazała jej poić mnie mlekiem! A wiesz, co zrobili Bogdan i Kostuś, wiesz? Ja wszystko słyszałam! Oni nasypali pieprzu mielonego na podłogę łazienki, wiesz! Mówili, że to będzie swędziało dziewczynom, i one będą chciały się kłaskać...

- A po co miałyby się kłaskać? - zdziwiła się siostra.

- Jakaś ty durna! - zaśmiała się Maryśka. - One by się kładły pod mężczyznami! Ty nic nie rozumiesz!

- Marysiu, nie mów tak! - poprosiła Anusia. - To wielki grzech!

- Ja to powiem tatce! To tatko ich zbije! Kostusia i Bogdana!

- Podśłuchiwałaś i będziesz skarżyć, i cieszyć się, że ich boli. Tyle grzechów, Marysiu! - jęknęła siostra.

I Marysię ogarnął wielki żal, że nigdy już nie będzie tak czysta jak ta jej siostra ani tak pobożna.

- Chodź, usiądziemy sobie - powiedziała Anusia. - Usiądziemy sobie na ławeczce pod wierzbami.

- A ja ci położę głowę na podołku i będziesz mnie głaskała. Ja tak to lubię! Będziesz? - poprosiła Maryśka.

Siadły na ławeczce. Księżyc schował się za chmury, coś zimnego dotknęło ich nóg, zaszeleściło w trawie.

- Nie jedź do tego Nazaretu, do Wilna - prosiła Maryśka. - Nie jedź!

- Chodź do domu! - wzdrygnęła się siostra wstając z ławki. - Czegoś tu zimno i straszno! Zmówimy razem litanię do Matki Boskiej.

ROZDZIAŁ V

Zima była tego roku długa, mroźna, z zamieciami. Maryśka płakała wieczorami za siostrą Anusią, która od jesieni uczyła się w Wilnie w Nazarecie. Potem, zmęczona żalem, zapadała w sen jak w głęboką studnię. Za oknami trzeszczały w sadku jabłonki ściskane mrozem, wierzyby uderzały w szyby cienkimi, lodowatymi gałązkami, a w studni snu, na samym dnie, budził się nocny koszmar.

Ten sen powtarzał się parę razy. Stały obie z Anusią na spiczastym dachu odryny i Anusia szykowała się do odiom. Rozkładała ręce szeroko, jak bocianiuk skrzydła. Przykucnęła. Lniana koszula u dołu czerwona była od krwi.

- Anusiu! - wołała Maryśka - jak chcesz latać, to oderwij najpierw jedną nogę, o tak!

I nagle Maryśka spostrzegła, że zamiast nóg ma szponiaste łapy, jak ptak.

- Oderwij jedną łapę! - wołała do siostry, ale ta patrzyła ze smutkiem na swoje nogi. - Ja nie mam łap - mówiła. - Patrz! Mam dwa skrzydła! - Zamachała rękoma. I nagle odleciała. Maryśka nie mogła ruszyć za nią. Szpony trzymały się mocno dachu. Siostra kołowała już nad odryną coraz wyżej i wyżej. Coś kapnęło Maryśce na twarz, spłynęło po szyi. Dotknęła ręką. Była to krew. - Anusiu, wróć! - wołała. - Wróć! - Ale Anusia zataczała już koło nad stodołą i ginęła jej z oczu w jasnym, porannym powietrzu. Maryśka stała na dachu z zadartą do góry głową i ogarnęła ją jakaś wielka słodycz i straszliwy żal. Nogi miała jak pudowe ciężary. Nie mogła ich oderwać od dachu. Ale w końcu uwolniła się. Uniosła do góry jedną szponiastą łapę, jeszcze tylko druga łapa i poleci...

Obudziła się, bo ktoś trząsł ją za ramię. Była to Józia ze świecą w ręku. - Wstawaj! - nakazała. - Tatko kazał ciebie budzić do młocki! Już parobki śniadaniują w kuchni. - Dlaczego ja? - skuliła się pod kołdrą Maryśka. - Dlaczego ja? A gdzie chłopcy? - Tatko tobie kazał! - zezłościła się Józia. - Powiedział, że darmo nie będziesz jeść chleba. - A Kostuś?! A Broniś?! A Bogdan?! - wołała z rozpaczą Maryśka. - Oni chleba nie jedzą?! Nie tylko chleb! Wszystko wyzerają ze spiżarni!

- Też coś! - wzruszyła ramionami siostra, a jej twarz w świetle chyboczącego płomienia pełna była starczych, surowych bruzd. - Coś podobnego! Ty z nimi nawet się nie równaj! Dziś tobie tatko kazał konie poganiać! Wstawaj! - Zdarła gwałtownie kołdrę z siostry. Maryśka musiała stanąć na lodowatej podłodze bosymi nogami. Jak ja ich nienawidzę - myślała - wszystkich! I Kostusia, i Bogdana, i Bronisia! A najwięcej tatki!

W kuchni bulgotała na płycie świńska kasza i niósł się zapach smażonych skwarek. Mieszała je w rondelku zaspana matka. Tatko, wielki, w kożuchu, z fanarem w rękę, stał przy drzwiach. - Gdzie ten darmozjad? - zapytał matki. - Już wstałam, tatko! Już wstałam! - zawołała Maryśka, walcząc z wojskami, które nie chciały wejść na nogi, szamocząc się z kożuchem. Siedzący przy stole parobcy z łyżkami w rękach śmiali się ubawieni, aż matka odwróciła się od płyty, spojrzała na nią z politowaniem i powiedziała łagodnie: - Siadaj, Marysiu, za stołem, dostaniesz kaszy.

Antośka, młody parobczak, posunął się na ławie, zrobił jej miejsce obok siebie. Miał kędzierzawą, sterczącą czuprynę i okrągłe, piwne oczy. - Panienska ściągnie kożuch, bo tu gorąco jak w uchu - poradził. - A teraz podjeść, póki co, bo sił nie starczy, żeb chodzić za koniami.

Na stole stały już dymiące michy, pełne świńskiej kaszy. Tak nazywali utłuczone i zaprawione mąką kartofle. W środku kaszy, w dołkach, połykiwało tłuste „maczanie”: skwarki ze śmietaną, zaprawione mąką. Parobcy brali na łyżki trochę kaszy, nurzali w maczaniu i uważnie nieśli do ust. Mało co mówili, bo o tak wczesnej porze sen jeszcze morzył. Naprzeciwko Maryśki siedział Kostuś, dziobał nosem w stół, całkiem zaspany. Budzili go szturchańcami w bok. Ojciec wrócił z dworu, omiótł spojrzeniem stół. - Mania! - zawołał do matki - a zupy nie zrobiła? Niechaj dziś dobrze podjedzą, bo do wieczora będziem młócić - nakazał.

- Jak nie zrobiła?! - obruszyła się przy płycie Maria - i przasna, i kwaśna jest! Nie bieduj! - pocieszyła niosąc miski na stół. W jednej był kwaśny barszcz, zabielały śmietaną, a w drugiej mleczna podkłótka. Siedzący obok Maryśki parobek pilnował, żeby starczyło jej jedzenia, bo misy raz-dwa świeciły dnami. Maria uwijała się, żeby nadażyć z dolewaniem. Siedzący na końcu stołu starszy parobek chwycił ją za rękę, przytrzymał.

- A co tam, Szukszta, czego chce? - spytała. - Jeszcze dobrze nie podjadł?

- Podjadł, podjadł - uspokoił ją. - Hłań, pani, jak to wcinają! Aż uszami trzęsą! Nie uspieje pani donosić.

- Kto jaki do jedzenia, taki i do roboty! - zaśmiała się Maria.
- Mój świętej pamięci tatuś, jak parobków najmował, to najpierw za stołem ich sadzał. Brał tylko takich, co szybko jedzą.

Zastukały puste dna pod łyżkami, ale już wiadomo było, że więcej nie dadzą. Antośka przeciągnął się. Biło od niego ciepło. - Idziem, panienka - powiedział - ja panience wszystko pokażę, co i jak, nie bać się, tatuśko zadowolniony będzie - uspokajał.

Wstawali już od stołu. - Gdzie tak spieszą się?! A modlitwa? - przypomniała pani. - Prawda, modlitwa - ziewnął Antośka. Wymamrotali krótkie podziękowanie Bogu za dary. Za świńską kaszę, za przasną i kwaśną zupę, za to, że dożyli dnia. Józia zabrała się do zmywania drewnianego stołu zalanego barszczem, pełnego tłustych plam.

Maryśce kazali stanąć za dyszlem kieratu. Zaprzężona do niego była łąciata kobyłka. Za drugim dyszlem chodził za koniem Kostuś. Nie dam rady - pomyślała ze strachem Maryśka - żeby zdążyć za tą kobyłką. Ale okazało się, że wystarczy chodzić miarowym krokiem. Tak jej pokazał Antośka. - Ma panienka bat do ręki i tak, o, chodzić krok za krokiem - powiedział. Ale jej kroki były małe, więc trzeba było co jakiś czas podbiegać. Z tyłu sapał drugi koń i wydawało jej się, że zaraz ucapie ją za kark, ale to był kierat i uwiązany do dyszla koń nie mógł przyspieszyć, żeby jej dosięgnął. Kostuś trząsał batem, pokrzykiwał dziko, młockarnia szumiała, szeleściły zrzucane przez parobków z wyżek snopy, a Maryśka dreptała w kółko, włócząc po toku połamami za dużego kozucha. Kiedy kierat stanął, stuknęła nosem w kobyłkowy zad. Kostuś zarżał śmiechem tuż za jej plecami, a ojciec krzyknął na parobków, żeby kurzyli machorkę tylko za stodołą.

Maryśce trzęsły się nogi ze zmęczenia, więc siadła sobie na snopku, gapiąc się na uwijające się za ziarnem wróble. Tuż przy jej nodze coś zaszeleściło. - Kostuś! - zawołała - patrz, myszka!

Brat chwycił za widły, ale nie zdążył dopaść myszy. - Durne paleno! - wściekł się. - Siedzi jak ta sowa! - zamachnął się na Maryskę widłami.

Starszy parobek podskoczył do niego, wyrwał widły, odrzucił w bok. - Jak tak można? - powiedział zgorzony - jak tak można na rodziną siostrę?! Wstyd, panicz!

- To moja siostra! - postawił się szczerwieniasty Kostuś. - Szukście nic do tego!

- No! - pomachał mu palcem przed nosem parobek. - No! Tak nie uchodzi, panicz. Panienska Józia także samo siostra, a do niej by tak nie podskoczył!

- Bo Maryśka durna, a Józia mądra! - krzyknął Kostuś z bezpiecznej odległości.

- Pan - odszukał ojca parobek - panicz Kostuś zanadto dokazuje. Z widłami do panienski Marysi doskoczył. Jakżeż tak można? - kręcił głową ze zgorzowaniem. - To nie uchodzi, nie uchodzi...

- A co tam takiego?! - wsadził głowę do stodoły ojciec. - Maryśka! Tobie Kostuś nadokuczył?! Słyszysz?! Maryśka?!

- Nic, tatko, nic - powiedziała Maryśka, bo Kostuś pokazywał jej właśnie, jak ją będzie dusił. - Nic mnie Kostuś nie zrobił, nic, tatko, tylko z widłami skoczył.

- Ot, jak to dzieciuki, dokazują - skwitował ojciec do Szuksty - poczubią się i polubią się! Nie wie, jak to jest? A szczerze powiedziawszy, nieudała ta nasza Maryśka. Taka jedna wyrodziła się.

Znów ruszyli za tym kieratem. Kopyta końskie kłapały miękko po toku zasłanym słomą; nie-u-da-ła... i znów: nie-u-da-ła... Aż zmąciło się jej od tego do reszty w głowie. Tak że kiedy konie przystanęły trochę, aby odpocząć, Maryśka oparła się o słup przy kieracie. Kostuś dotknął batem swego konia, koń ruszył i Maryśka ujrzała tuż przy sobie nasuwające się ramię kieratu. Przycisnęła ją to ramię do słupa, zabolało strasznie w dole brzucha, zdusiło oddech. Nie krzyknęła nawet, tylko zgięta wespół ledwo wylazła ze stodoły. Nikt nie zauważył jej odejścia. Parobcy krzyczeli zrzucając snopki z wyżek, a Kostuś przezornie podskoczył do ojca, niby to z pomocą przy wiązaniu worków. - A gdzie Maryśka? - spytał ojciec. - A ja wiem! - wzruszył ramionami Kostuś. - Musi gdzieś polazła?

A Maryśka lazała przez ganek od paradnego wejścia. Wtoczyła się do pokoju. Słońce topiło śnieg za oknem, zapalało ułożone na

wacie między oknami czerwone żurawiny. Dowlokła się jakoś do swego łóżka. Położyła się na nim w kożuchu i myślała, że tam, w środku, ma pewno wszystko zgniecione, kiszki i brzuch. Z kuchni dobiegały głosy sióstr, podniesiony, ostry ton matki, ale nie miała siły ich zawołać. Otworzyły się z hałasem drzwi, weszła matka z naręczem drewna przed sobą. Dojrzała Maryskę, zrzuciła z rozmachem drewno pod piecem, podeszła do niej niepewnie. - A tobie co jest? - spytała. - Ty... ty nie przy młocce? - pochyliła się nad córką. - Zaleniła się?

- Nie, ale mama mnie nie rusza! - wyszeptwała Marysia. - Ja mam wszystko zgniecione, tu w środku.

Matka uniosła jej do góry spódnicę, zsunęła majtki. Cały dół brzucha dziewczyny był siny, jakby kto wylał na niego fioletową farbę.

- To Kostuś, to Kostuś po-go-ni-ł ko-nia i przy-cis-nę-ło mnie do słupa. To Kostuś...

- Jezus Maria! - jęknęła matka. Zakotłowało się. Elżutka przyniosła zimną wodę i ręcznik, Janka poleciała po Szuksztową, żonę starszego parobka, co znała się na tym. Tylko Józia spokojnie udała się do stodoły, żeby opowiedzieć wszystko tacie. Kostuś widząc ją uciekł czym prędzej w maliniak za stodołę. Zapadł się do pasa w śnieg, wygrzebał się, pobiegł w kierunku lasu.

- Mamo - pytała Maryśka zmieniającej jej zimny okład matki - czy to wypłynie?! I kiszki, i wszystko? Tak jak z kabana?

- Jezus Maria! - żegnała się Maria. - Wypluń te słowa!

Żona Szukszty macała jej długo brzuch, delikatnie naciskając tu i tam.

- I co, Szuksztową? I co?! - czekała na wyrok matka.

- A chto to wie? - zamyśliła się Szuksztowa. - Chto to wie? Może tam jest co pogniecione, a może i nie! - kręciła głowę. - Ta macica to wytrzymała jest, pani. Wielki chłop legnie na dziewczę, przydusi jak kłodę, a ona wytrzyma wszystko, bo tak to już dane z góry. Macica wszystko przetrzymie.

- Co Szuksztowa gada! Na dziewczę! Toż Maryśka gorzkie jeszcze dziecko, gdzie jej do dziewki!

Ale nie było chyba tam w środku nic zgniecione, bo na drugi dzień już mniej bolało. Maryśka siedziała w kuchni i przez wychu-

chany w szybie otwór patrzyła na ośnieżone pola i ciemniejące na horyzoncie drzewa mogiłek.

- Andrzej, gdzie on może być, ten Kostuś, powiedz? Matko Święta, noc minęła, a ten nie wrócił. Może parobków skrzyknąć, iść szukać? - biadoliła Maria.

- Czort jego nie weźmie. Musi gdzie do Krzywil polazł, przesiedział gdzie noc na piecu. Rzemień już mam przygotowany, niech tylko tyłek pokaże! - powiedział ojciec. - A Maryśka dziś koni poganiać nie będzie? - zapytał, bo młocka trwała nadal.

- Toż chora. Nie widzisz? Ledwo co siedzi, brzuch jak węgiel, cały czarny - broniła Maryśki matka.

Ojciec machnął tylko ręką i poszedł do stodoły, a matka co jakiś czas, szykując obiad, podchodziła do Maryśki, do tej wychowanej przez nią dziurki i niespokojnie wyglądała na podwórko, bo Kostuś, jak uciekł ze stodoły, tak do tej pory go nie było.

- Mama, a co tatko zrobi Kostusiowi - spytała Maryśka - bo on do mnie zawsze taki, jak ten rożen.

- A czego ty jemu pod rękę leziesz?! - zezłościła się na nią matka. - Nie możesz ty jemu schodzić z oczu?

Matka szastała saganami po płycie, pomagała jej Józia. Janezka, jak zwykle, buszowała po polach z Bronisiem i psami. Zastawiali wnyki na zające, co głodne podchodziły nocami do sadku. Elżuni do kuchni nie wołali, bo ta całymi dniami wyszywała monogramy na wyprawnej pościeli. Szykowała sobie powłoczki, prześcieradła, poszwy, bo choć nie miała jeszcze konkretnego starającego się, to mógł się taki pojawić w każdej chwili i wszystko trzeba było mieć zawnazu gotowe do wyjścia za męża.

Gdzieś tak po obiedzie, kiedy nastała szara godzina coś zabarabaniło w sieni, otwarły się gwałtownie drzwi i w progu stanął Kostuś. Maryśka, która grzała właśnie przy piecu bolący ciągle brzuch, pisnęła z wrażenia, a matka zapalająca świecę od drewna spod płyty nie poznała go w pierwszej chwili, bo każdy włos na kożuchu i na nim białe były od szronu.

- Kto tu? - spytała niepewnie.

- Nie poznaje mama?! - zaśmiał się Kostuś. - To ja.

- Kostuś?! - jęknęła matka. - Coś ty narobił?! Ja tu miejsca sobie znaleźć nie mogę! Gdzieś ty był tyle czasu?!

- A tam, różnie - powiedział Kostuś zrzucając kożuch. - Nastąp się! - nakazał stojącej przy piecu Maryśce i przyłożył do pieca zziębnięte ręce.

- Kostuś - szepnęła nieśmiało Maryśka. - Mnie nic nie jest, naprawdę. Tam nic nie było zgniecione w środku.

- Całe szczęście, nic sobie nie zrobiła - zakrzętnęła się wokół niego matka. - Ściągał wszystko, pewnie przemarzył na tym mrozie. Żeby tak sobie wziąć do głowy... A Maryśka już prawie zdrowa.

- A co ja niby miał brać do głowy? - spytał niedbale Kostuś.
- Co się takiego stało?

- Synu, chciałeś ją zgnieść przy tym słupie! Ojciec od wczoraj rzemień na ciebie szykuje!

- Ee tam, gadanie - mruknął Kostuś grzejąc ręce. - Poszedł ja do Krzywil słuźońcej dla mamy szukać na miejsce Waluni i zgodził taką jedną...

- Słuźońcej? - spytała niepewnie matka - słuźońcej? To ty nie przez Maryśkę uciekł? Nie przez nią?

- Mama, nie zostało co z obiadu? - powiedział podnosząc pokrywę garnka. - Zgłodniał ja...

Maria nalała mu barszczu, odkroiła chleba. Jadł głośno siorbiąc, inny jakiś, odmieniony. Ojciec wrócił ze stodoły, doskoczył do niego z pięściami. Kostuś wstał zza stołu: chwilę milczeli, patrząc sobie w oczy. Cicho było, trzaskały tylko drewna pod płytą.

- No tak! - zatarł ręce ojciec. - Co to ja chciał powiedzieć? Jutro z samego rana staniem do młocki. I żeby nie było żadne to-tamto. I Adam, i Broniś. Wszystkie. Póki mroziak trzyma...

- Potrzyma jeszcze parę dni, tatko, nie ma obawy - powiedział Kostuś i wrócił do barszczu.

- Kostuś nam słuźońcą zgodził w Krzywilach - odetchnęła z ulgą matka.

- Słuźońcą? - podniósł do góry brwi Andrzej. - A kogóż takiego?

- Antolka od Kaśki Korkuciovej - wyjaśnił Kostuś, wyławiając z barszczu czerwonawy kawał boczku; wgryzł się w niego zębami, przytrzymał chlebem.

- Antolka? - powiedział niepewnie Andrzej - Korkuciowna? Czy ona nie zanadto...

- Co: nie zanadto? Młoda, robotna i worek na plecy zarzuci,
i do kosi stanie, i do pług.

- Czy ona nie zanadto dzikajest? - dokończył Andrzej.

- Takiej tu i trzeba - skwitował syn.

ROZDZIAŁ VI

Pierwsza szła za mąż Elżutka. Czas był niepewny, gadali o wojnie. Elżutka szła za starszego od niej o piętnaście lat Leona Bołtucia, aż spod Lidy, zza Dzitwy. Rodzina była znana, szlachecka, pełna więdnących w panieństwie sióstr. Elżutka miała zaledwie szesnaście lat i niezbitą pewność, że jest nadzwyczaj roztropna i stateczna. Leon, nieporadny w ruchach, ze zrudziałym od machorki wąsem, mało co z nią nawet gadał przed ślubem, bo tych parę razy, co był w Juryszkach, to przeważnie rozprawiał z Andrzejem o sianie albo o żniwach, a kiedy była przy tym Maria, to wodził za nią oczami - taka mu się wydawała zręczna, taka żywa, jak ta iskra.

- Wstyd mnie za matkę. Lata jak podsmalona - wzdychała do Józki Elżutka. - Leoś jeszcze coś sobie pomyśli...

Ale Leoś myślał mało, a jeżeli już, to o tym, że dobrze by było, żeby Elżutka miała to coś w sobie. Bo ciągnęło go do kobiet żwawych, ochotnych do gniewu i śmiechu

- Gdzież ta nasza marmuza? Elżutka! - wołała Maria - chodź! Chodź! Narzeczony przyjechał!

- Jak ją nazywa? „Marmuza”? - pytał Leoś zaniepokojony.

- Ach, nic - mówiła Maria - to tak bracia ją przewalili. Niech Leoś będzie spokojny, to najpoważniejsza z moich wszystkich córek. Ona naszą Maryskę wychowała, mlekiem poiła.

Ale Leoś już nie dosłyszał dalszego ciągu zalet Elżuni, bo wpatrzył się w uwijającą się po pokoju Marię i skręcając machorkowego skręta westchnął: - Teściowa to, o, jak żywe srebro, a Elżbieta to takie lelum-polelum, gdzie ją posadzisz, tam siedzi.

- To się zmieni - pocieszała go Maria - młoda, to i śmiałości takiej nie ma, to się zmieni.

- Teściowieńka, powiem coś na ucho - przyciągnął ją do siebie za rękę - przy teściowieńkiej to mnie krew szybciej płynie, a przy Elżutce siedzisz i nic, a czasem nawet ziewniesz raz, drugi...

- Ach, co to za bzdury! - wyrwała mu rękę Maria. - Co Leoś za bzdury opowiada!! Nie ma nawet czego słuchać!

- Elżuniu, ty się nie boisz tego Leosia? - pytała siostrę Maryską. - O czym ty będziesz z nim mówiła? On taki stary.

- Z mężem się nie gada - ruszyła ramionami siostra.
- A co się robi?
- Daj mi spokój - mówiła Elżutka - głowa mnie boli, aż pęka.

Stały razem w świrnie, przy otwartym posażnym kufrze Elżutki. Kufer był głęboki, wyklejony niebieskim papierem w kwiatki, na nim gdzieniegdzie umieszczono święte obrazki: Pan Jezus płaczący w Ogrójcu, święty Jan Chrzciciel stojący po kolana w wodzie i najładniejszy, z piękną, młodą świętą paloną na stosie.

- Nie ma wszystkich prześcieradeł - jęknęła Elżutka, przekładając już po raz któryś swoją posażną wyprawę. - I adamaszkowych poszewek brakuje. Pewnie matka odebrała, a miało być dwanaście. Wszystkiego po dwanaście - przyszukiwała kufer Elżutki. - A to co takiego? - wytrzeszczyła nagle oczy. - Co to jest? - Między białą jak śnieg bielizną czerniła się kupka mysich bobków. - Myszy! - jęknęła Elżutka - myszy się załęgły! - Maryśka parsknęła śmiechem. - Ty coś wiesz?! - doskoczyła do niej siostra. - Powiedz, bo zabiję!

- Poszukaj! Poszukaj dobrze! - śmiała się uskakując Maryśka. Elżutka zagłębiła się w przepastny kufer. Gorączkowo przerzucała poszewki z adamaszku, czerwone wsypy na pierzyny, poszwy z koronkowymi wstawkami, lniane ręczniki i chustki. Między nimi czerniły się mysie bobki, jakby kto pieprzu nasypał.

- Zaraz wyleci mysz! - wołała zaśmiewając się Maryśka. - Zaraz!

- A gdzie holenderskie koce?! Gdzie moje koce? - jęczała siostra. Kocę też były posypane bobkami. Ale myszy nie było ani śladu, ani żadnej dziury, przez którą mogłaby się wślizgnąć, bo kufer był solidny, z mocnego drzewa, obity po rogach metalem. Elżutka gorączkowo wybierała mysie odchody. - Pomóż - prosiła siostry - pomóż, Marysiu!

Nie, nie pomogła. Stała sobie z założonymi rękoma i przyglądała się siostrzanej krzątaninie. Taka mądra taka rozsądna - myślała - niech sobie teraz poskacze.

- Żmija! - syknęła Elżutka - na własnej piersi wyhodowałam! Żmija! I tu, i tu bobki! Wszędzie! Boże! Co robić?!

- Srać i drobić! - parsknęła Maryśka. - Chcesz, to ci powiem,

kto to zrobił. To Bogdan z Bronisem. Nazbierali w zasięgu mysich bobków i nasypali do kufra. Mnie też kazali zbierać, żeby było więcej. Gadali, że ty w tym kufrze ciągle siedzisz, to zrobili tobie na złość. Takiego psikusa.

- I ty? - uniosła głowę siostra. - Ty też?

- A czemu nie? Ja też!

- A ja... ja ciebie poiłam mlekiem... kiedyś, jak byłaś mała.

- Ty?! Mlekiem?! Zawsze przede mną mleko chowałaś. Jak macocha mnie poiłaś.

Elżutka nagle załamała się, oparła głowę o kufer, wybuchnęła płaczem. Maryśce odeszło wszystko, zrobiło się jej żal siostry, tej rozsądnej, statecznej, która płacze teraz nad mysimi bobkami. Zaczęła jej pomagać w trzepaniu bielizny, układaniu wszystkiego od nowa. - Patrz - mówiła - nawet nie ma śladu na bieliźnie, te bobki takie suche jak pieprz. Nie płacz. Wszystko będzie dobrze...

- Wyciągnęła z kufra jakiś mały atłasowy woreczek, szeleszczący czymś w środku, pachnący lawendą. - Elżunia, patrz! Co to jest?!

- To? - wzięła woreczek do ręki siostra. - To matka włożyła. Ziele od Matki Boskiej Zielnej, poświęcone. Zawsze się do posażnego kufra kładzie. - Elżutka ścisnęła woreczek w rękę, rozsedła się delikatny zapach, jakby dalekie wspomnienie łąki.

- Co robisz? Czemu to kruszysz? - zdziwiła się Maryśka.

- Nie chcę tego! - krzyknęła siostra. - Ja was nienawidzę! Wszystkich! Już doczekać się nie mogę, kiedy stąd wyjadę! Tylko o tym myślę dzień i noc! - Rzuciła woreczek na podłogę, ale po chwili, napotkawszy przestraszone spojrzenie siostry, podniosła go, wygładziła, położyła na sam wierzch kufra. - Też się przyda - mruknęła - może kiedyś dla mojej córki.

Elżutka nie darowała tych bobków. Ze świrna wpadła do paradnego pokoju, gdzie jej Leoś nie odrywał wzroku od teściowej. Ta opowiadała mu coś żywo, a Leoś słuchał kurząc zwiniętego papierosa i uśmiechał się błogo pod wąsem. Spojrzył nieuważnie na Elżutkę i machnął ręką, żeby im nie przeszkadzała. Tego już było za wiele. Elżutka sczerwieniła całą jak indyk.

- Kto tu za mąż idzie?! - krzyknęła piskliwie, a krwisty rumieniec wypełził jej aż na szyję - kto tu za mąż idzie?! Ja czy mama?!

Maria zamrugała niepewnie, nic nie rozumiejąc.

- O co ci chodzi, Elżuniu?

- Pytam, kto za mąż idzie?! - krzychała cienko Elżunia. - Bo niech mama nie zapomina, że z brzuchem jest! Niech nie zapomina, że w czwartym miesiącu!

Maria pobladła, chwyciła się brzegu stołu. - Skąd... - wyszeptwała - skąd ty to wiesz?

Leos wstał z krzesła przestraszony, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. - No, panie dziejku - mamrotał. - Toż matka, panie dziejku... - Chwycił Elżunię za ręce.

- Ja za mąż idę, a matka z brzuchem! Słyszałam, jak do babuni mówiła! Wszystko słyszałam! - szarpnęła mu się z rąk z płonąca, dziką twarzą.

- O! - powiedział Leos z podziwem. - O! Nie taka znowu marmuza, też gorońca krew, panie dziejku, gorońca, do podziwienia.

Za te mysie bobki Bogdan z Bronisiem dostali tęgie baty. Nawet nie krzyczeli, nie bronili się, toteż ojciec łoś im skórę, aż osłabła mu ręka.

Maria poroniła przed samym weselem Elżutki, ale zdążyła jeszcze wydobrzcć i najwięcej tańczyła z panem młodym. Prowadziła z nim mazura w pierwszej parze. Patrzyli na to nie tańczący goście, patrzyła babunia - matka Marii, sucha jak ten wiórek, starotka, w białym żabociku pod brodą. Ledwo ją dowieźli bryczką na wnuczki wesele.

- Dzieťańki moje, mileńka - szeptała do Marii - rybeńka, a czegoż ty tak roztańczyła się, toż nie twoje wesele, a Elżutki. Patrz, siedzi za stołem odęta jak paw, musi złuje się na ciebie, aa? I goście pogadują na boku, o, ciotka Tola to oczami by ciebie przyspiliła, jakby mogła. Czy ty policzki masz uróżowane, dziecko?

- Tylko burakiem - uspokoiła ją Maria. - Babuniu - powiedziała ze śmiechem do matki - babuniu, mam jeszcze tyle tego w sobie, przelewa się, kipi, nie wiem, co z tym robić!

- Spalisz się szybko, dziecko - powiedziała babunia. - Spalisz się, Maryniu, jak to smolne łuczywo. A twój mąż, Andrzej, gdzie się podziewa, bo nie tańczy?

- Pewnie kucharki w kuchni maca. Do tego to on dochodny nad podziw. A bab tam tyle, jak to na weselu...

- Zazdrujesz?

- Nie. Mnie też dzieci robi. Już nie zazdruję. Starczy tego nasienia dla wszystkich.

Babunia spojrzała na nią przerażona.

- Maryniu - jęknęła - jak ty schłopiałaś! Jak schłopiałaś. Nie trzeba było nam wydawać ciebie za Jurewicza, nie trzeba było...

- Ja nie wiem, mamu. Czasem gdzieś bym leciała, gdzieś bym szła, w jakiś płomień, w jakiś lód. A teraz, tylko co, dzieciątko straciłam. Wypłynął mój dziesiąty. Dzieżkę podźwignęłam z zacznym, chciałam postawić bliżej pieca. I poszło.

- Bóg dał, Bóg wziął - pokiwała głową babunia. - Ja też miałam ich dużo. Ale wszystkie kochałam! Wszystkie!

- A ja co? - rzuciła głową Maria - nie Kocham?!

- Elżutka tylko co tu siedziała, żaliła się na ciebie. Ten Leos, czy on nie zanadto tobie nadskakuje?

- Nie zanadto. W sam raz - ucięła Maria. - Pójdę do kuchni. Czas już torty wnosić i bankucheny.

Kiedy mieli wnosić torty, Maryśka schowała się w kącie, pomiędzy szafą a piecem. Mogła uciec gdzieś dalej, zaszyć się w świrnie czy w stodole, ale bała się, że tam nie dostanie słodkiego, kleistego kawałka, a tu, zanim dojdą, kto to zrobił, to może dadzą jej choć trochę poppróbować. Bo tylko Maryśka wiedziała, co się za chwilę stanie. Nie, to niedobry schowek - pomyślała. Niedaleko pieca siedziała babunia, wachlująca się batystową chusteczką. Maryśka wysunęła się z kąta i wpełzła pod spódnicę babuni, szeroką, rozłożoną prawie na dwóch krzesłach. Babunia nawet tego nie spostrzegła, bo akurat rozmawiała z ciotką Bogusią, którą uproszono jakoś, żeby przyjechała na wesele Elżutki.

- Ba, co się w tych Juryszkach dzieje - wyrzekła ciotka Bogusia. - Jedno wielkie zgorzenie.

- Ach, niemów! - zaślaniała się od niej ręką babunia. - Przecież my herb mamy szlachecki, sroce spod ogona nie wypadliśmy.

Ucichli nagle wszyscy, bo właśnie wnoszono weselne bankucheny. Zaraz za nimi torty. Ale nagle zrobiło się jakieś zamieszanie, niepokój przy drzwiach, hałasy.

Kucharka zawołała Marię, pokazała rzecz straszną, nie do uwierzenia. Na największym, jak młyńskie koło weselnym torcie, na

jego środka zamiast lukrowanego napisu: „Szczęść Boże Młodej Parze”, zionęła pustka. Ktoś zjadł ten napis i dwie róże z lukru.

- Boże, jaki wstyd! Jaki wstyd! - jęczała kucharka. - I co teraz zrobić?

- Gdzie dzieci?! - zawołała Maria. - To pewnie Bogdan z Bronisiem! Skórę z nich zedrę!

Maryśka, słysząc hałas, zaszyła się głębiej pod spódnicę babuni, utonęła w gąszczu halek. A niech sobie - myślała mściwie - niech sobie teraz poskaczą, i Elżutka, i wszystkie. Najlepiej, żeby to poszło na Kostusia, ale nie, może lepiej na Bogdana i Bronisia, bo Kostusiowi już skóry nie złoją, od tego czasu, jak uciekł z domu, nikt go już nie tknął, a Bogdanowi i Bronisiowi zerzną tyłki. Dobrze im tak - cieszyła się.

Trzeba było jakoś ratować sytuację. W dziurę wsadzono jakąś różę z czerwonej bibułki, cały tort posypano cukrem-pudrem. Maryśka mogła się cieszyć pod tą babuni spódnicą, bo kiedy wniesiono ten największy, okaleczony tort, Elżutka aż zbladła z wrażenia.

- Co Elżusi? - zainteresował się Leoś.

- Nic, nic, niech Leoś jak najprędzej zabierze mnie do Wierbiedzi - wyszeptwała.

- A co takiego? - zaniepokoił się.

- To bandycka rodzina - zasyczała - bracia bandyci, siostry zmije!

- Ależ, panie dziejku, jakżeż tak można mówić?

- Wiem, co mówię. Niech popatrzy na tort!

- Tort jak tort - zamrugał bezradnie oczami - panie dziejku, można powiedzieć, okazały...

Elżutka westchnęła głęboko i mocno ścisnęła go za rękę, aż do bólu. Czy ona czasem nie chora? - przeraził się, nic z tego. nie rozumiejąc. - Tak za mąż szybko wydali, może jaka wybrakowana?

W wiele lat potem Maryśka, już dorosła, powiedziała to nieszczęśliwej, wiecznie skrzywionej Elżuni: - A wiesz, może to i moja wina, że tak źle żyjecie, bo to ja wtedy, na twoim weselu zjadłam ten napis na tortcie.

- Jaki napis? - wytrzeszczyła spłakane oczy Elżunia.

- Ten: „Szczęść Boże Młodej Parze”, pamiętasz?

- Już wtedy taka byłaś złośliwa - skwitowała siostra. - Tak

się odwdzięczyłaś, że tylko dzięki mnie żyjesz. To ja ciebie poiłam mlekiem...

- Ty! Ty! - zachłysnęła się złością Maryśka. - Żółcią mnie napoiłaś, nie mlekiem! Żółcią! Zemściłam się wtedy, wiesz, na was wszystkich. Boja wiecznie byłam ta durna, ta nieudała! Wszyscy mieli mnie za bożą podszewkę.

- Czy to jest teraz ważne - machnęła ręką Elżunia. - Czy to ważne? Ty wszystko pamiętasz, każdy drobiazg...

- A pamiętam, i tobie, i braciom, wszystkim! Dla mnie była dobra tylko Anusia. Tylko ona. Ja ci powiem - dopiekała do żywego - ja ci powiem, czemu Leos z tobą nieszczęśliwy, bo takiej marmuzie jak ty nikt nie dogodzi. Ty jemu wszystkiego załujesz! U ciebie w spiżarni słonina zjełczała, żółta, nawet pies by nie jadł, a ty jemu dajesz! Żalił się do mnie na ciebie, mówił: „Szwagiereczko, Elżutka skąpa nad podziw.” Tak mówił!

- No i dobrze - hardo uniosła głowę Elżunia. - Oddaję tylko to, co sama dostałam. Tylko tyle.

Ale to było wiele lat potem. A tuż po ślubie, chyba w miesiąc, zajechała podjuryski ganek furmanka. Zeszła z niej blada spłakana Elżutka.

- Elżuniu - wybiegła jej na spotkanie Maria. - Elżuniu, dziecko, a cóż to się stało?! Czy coś w Wierbiedziach?! Chodź, dziecko, do salonu! - prowadziła córkę. - Mów! Co się stało?

- Nic się nie stało, mamó, aleja z nim nie mogę żyć!

- Z Leosiem? Boże miłosierny! A czemuż to? - klasnęła w ręce matka.

- Nie mogę, mamó - jęczała szesnastoletnia Elżutka. - Nie mogę. Noc w noc do łóżka lezie, wielki, straszny, śmierdzi machorką, obrośnięty cały jak dzika świnia...

- I... i co on ci robi?

- Tego nie powiem, za nic. Coś obrzydliwego!

- Znaczy, żyje z tobą jak mąż z żoną, tak? - upewniła się Maria.

- Ja... ja nie wiem - rozłożyła ręce Elżunia. - Mama, ja już tam nie wrócę, za nic! Wszystko tu u was będę robić, wszystko, aleja tam zginę, przypadnę! - jęczała. - Czy... czy mama też coś takiego... coś takiego miała?

Maria uśmiechnęła się.

- Każda kobieta to ma - rzekła - każda kobieta.
- To ja nie chcę - zwiesiła głowę Elżunia - ja nie chcę.
- Nie grzesz ty Bogu - obruszyła się matka - nie grzesz Bogu. Śpi z tobą, to i dziećmi ciebie obdarzy. Bóg pobłogosławi wasz związek nowym życiem, już niedługo brzuch ci pewnie urośnie...

- To ordynarne! - szarpnęła się Elżutka. - To najgorsze, co może być!

- A co tam takiego?! Leosiowi się coś stało? - wsadził głowę do pokoju Andrzej. - Czego to tak nagle przyjechała?

- Tatko! - rzuciła mu się do nóg Elżutka. - Tatko, nie wyganajcie mnie! Ja tam już nie wrócę! Za nie!

- Gdzie ona nie wróci, Mania? - nie rozumiał.

- Ach, nie chce wrócić do Wierbiedzi, do męża, coś tam nie układa się... - tłumaczyła Maria.

- Nie układa się? Dajmy na to co?

- Wiesz, jak to jest, ona młoda, on starszy, trzeba wiele wyrozumienia - tłumaczyła.

- Muchy ma w nosie - wzruszył ramionami. - Leoś gospodarz, jak potrzeba, u niego wszystko jak w zegarku, w stodole, w odrynie, w chlewie...

- Co to ma do rzeczy?! Z młodą żoną nie umie łądzić.

- O, jeszcze i łądzić! Tu nie zostanie. Niech sobie wybije z głowy! Wojna idzie, czasy niespokojne, darmożjadów dojedzenia pełno.

Na nic zdały się płacze Elżutki. Rodzice głusi byli najej prośby. Musiała jak niepyszna wracać do Wierbiedzi. - Masz dobrego męża, weszłaś do szanowanej powszechnie rodziny na niezłym folwarczku i dziękuj za to Bogu - tłumaczyli.

- Ale te jego siostry, jak coś się przypali czy zakalec wyjdzie, to mówią przy gościach: „To nasza Elżusia robiła...”.

- Nauczysz się - mówiła Maria - nie święci garnki lepia.

- A ten jego brat, Bernaś, taki straszny.

- A przy czym tu Bernaś? - pytał ojciec.

- On, jak mnie niechący dotknie, to żegna się, a potem zamyka się w swoim pokoju i krzyżem leży. Sama widziałam przez okno...

- Nie podglądaj lepiej - radził ojciec.

- A raz kiedyś, jak jechał ze mną do kościoła bryczką, to wolał na gołych deskach siedzieć, a nie obok mnie.

- Bab boi się czy jak? - dziwiła się matka.

- A co, nie ma racji? Od bab wszystko, co najgorsze, przychodzi
- śmiał się ojciec.

- Jak jedzenie mu dają, to muszę przedtem ręce szorować.

- I sprawiedliwie. Czystość musi być - tłumaczyła matka. -
Widać taki u Bołtuciów porządek. Przywykniesz. Stara Bołtuciowa
gospodyni na całą okolicę.

- Mój kufer posażny skrytykowała, że za mało holenderskich
obrusów i monogramy takie, jakby kura pazurem wydrapała, tak
gadała.

- A nie mówiłam, że koślawo wyszywasz? Nie mówiłam? Ale
ty chciałaś szybko wylecieć z domu, do Tekli nie chciałaś dać do
wyszywania.

- Elżutka! Koń już zaprzęgnięty i parobek czeka - zniecier-
pliwił się ojciec. - Do Wierbiedź kawał drogi, żeby choć do wieczora
zajechali.

- A co! Tatko ciebie nie chce! - wyskoczyła do ogródka za
Elżutka Maryśka. - Mama też! A ja ci zazdrozczę! Chciałabym
iść za męża! Dobrze mieć męża!

- Będziesz go miała - pocieszyły ją siostra ze złą, zamkniętą
twarzą. - Będę prosić Boga, żebyś go dostała jak najprędzej.

Powiało od tych życzeń chłodem. Bryczka ruszyła. Najpierw
przez zielony, pokryty krótką trawą dziedziniec. Matka pożegnała
odjeżdżającą szerokim krzyżem. Na polnej drodze, za stodołą
wzniesili tumany kurzu.

Maryśka przystanąła w ogródku pełnym lipcowych kwiatów.
Drobna maciejka jeszcze cała stulona, czekała wieczoru. Niebie-
skie kielichy pantofelków Matki Boskiej drżały od rozsadzających
je kosmatych trzmieli. Patrzyła, jak odlatują, ciężko bucząc, i nie
wiadomo dlaczego przyszedł jej na myśl Leoś, mąż Elżutki, bo
słyszała, co siostra o nim mówiła: kosmaty, obrośnięty. Zajrzała
do kielicha skąd tylko co odleciał owad. W środku pręciki kwiatu
drżały, pokryte żółtym pyłkiem, ale niczego tam więcej nie było,
żadnego śladu. Zerwała rosnącą pod samym oknem nastureję.
Pachniała gorzko. Odgryzła zębami spiczasty ryjek kwiatu, posaża

go, był gorzki. Smutno jej się zrobiło i rzewnie. Umilkł w salonie płacz Elzutki, ona sama odjechała taka daleka, taka obca. Może ja już będę zaraz dorosła? - przestraszyła się. Zanuciła sobie dla odegnania smutku piosenkę:

Do ślubu jechali w paradnej karecie,
pan młody był piękny i miły,
blask szczęścia miał w oczach
i śmiał się jak dziecię,
a młodej łzy w oczach załśniły.

Czemu go nie chciała - przemknęło jej przez głowę - pięknego i miłego? Od obory niósł się ostry głos nowej służącej, Antolki. Pomyślała o Waluni, takiej miękkiej, po której tak dobrze było łązić. Już tamto nie wróci, nigdy.

- Maryśka! Co ty tam robisz? Marzysz sobie - krzyknęła z otwartego okna matka. - Idź do obory! Przypilnuj Antolki przy dojeniu!

ROZDZIAŁ VII

Anusia przyjechała z Wilna na wakacje. Przywiozła zdjęcie, które Maryśka przechowywała potem do końca życia jako największą pamiątkę. Na fotografii Anusia siedziała w otoczeniu pucatych dziewcząt w mundurkach. Ręce miała złożone na podołku, obwarzanki warkoczy owinięte wokół uszu.

- Jak tobie dobrze, Anusiu - wzdychała Maryśka - tak daleko od domu.

- Ach, ale tu u was tak pięknie - mówiła Anusia. - Gryka tak słodko pachnie miodem. Jak zobaczyłam żółty łubin w polu, to płakać mi się chciało ze szczęścia. Parobek zatrzymał konia, a ja pobiegłam, żeby się go nawąchać.

Był sierpień. Wracaly właśnie z lasu z grzybami. Uzbierały pół kosza podgrzybków, białych surojadek, żółtych lisiczek, klejących się maślaków.

- Będzie na obiad - cieszyła się Anusia. - Taka jestem szczęśliwa, że tu jestem, tak tęskniłam za tym laskiem, wiesz.

- Ja tego wszystkiego nienawidzę - powiedziała Maryśka - nienawidzę tych lasków, tych łąk, tych drózek! Ja... ja **tu** wszędzie chodzę i płaczę...

- Biedna - westchnęła Anusia.

- Ale ja płaczę ze złości, bo chciałabym, żeby tego wszystkiego już nie było.

- Czego?

- Tego dookoła. Co **tu** jest dobrego? Chodzę jak bocian po łąkach, te ścieżki wszystkie też schodzone przeze mnie...

- A widzisz, masz bardzo marzycielską naturę - ucieszyła się siostra.

- Marzę, żeby stąd odejść. Żeby nigdy już tego wszystkiego nie widzieć.

- Niczego tu nie lubisz?

- Niczego. Chyba tylko ten cząborek, o widzisz, mam w ręku, rozcieram go i on tak pięknie pachnie. Powąchaj.

Pochyliły się nad cząborkiem i ni z tego, ni z owego wybuchnęły obie śmiechem. Maryśce trzęsły się plecy, chowała twarz w rękach pachnących słodko cząborkiem, ale kiedy siostra oderwała jej ręce

od twarzy, zobaczyła, że Maryśka płacze, że ma całą twarz zalaną łzami.

- Marysiu, to oni tak tobie tu dokuczają? Chłopczy i tatko? - spytała ze współczucim. - Kostuśjakby spowaźniał trochę?

- Kostuś! - parsknęła przez łzy Maryśka. - Jemu teraz z drogi wszystkie schodzą, nawet tatko jego palcem nie ruszy. Służońcą sobie wziął z Krzywil, Antolkę, tylko on jeden z nią dokazuje, tatce nakazał, żeby trzymał się od niej z daleka, bo mu gardło przegryzie...

- Ach! Jak ty fantazjujesz! Przestań! - zamachała rękoma siostra. - Skąd to się w tobie bierze, Marysiu?

- Znikąd. A może z tych łubinów, z tej białej gryki, z tego wszystkiego, co ty tak wychwalasz pod niebiosa. Bo ślepa jesteś jak kret! - syknęła Maryśka.

- Jezus Maria! - przeżegnała się Anusia. - Nie grzesz Bogu! Nie mówmy nawet o tym. Przywiozłam ci parę książek, wiesz, Orzeszkowej *Nad Niemnem* i Sienkiewicza, i Prusa.

- O czym one?

- O miłości i o ojczyźnie...

- Smotrisz w knihu, widzisz figu! - zaśmiała się Maryśka.

- Co ty mówisz?! Przestań! Jesteś zła! Do gruntu! - zezłościła się siostra, aż szczerwieniła całą.

- Tak tatko zawsze gada. Powiedz mi, po co się żyje na świecie? Czy ty wiesz, po co żyjesz? Powiedz, Anusiu!

- Ja... ja... żeby... chwalić Boga za ten piękny świat - napuszyła się siostra - i przeproszać za grzeszników - dodała surowo.

- A nie chcesz wyjść za mąż? - zdziwiła się Maryśka. - Nie chcesz, żeby ktoś ciebie stąd zabrał?

- Nie wiem - rzekła Anusia. - Chyba nie. Ja pójde do klasztoru.

- Elzutka już też nie chce, przyjechała, to płakała do tatki, po rękach go całowała, żeby tu zostać, bo ten mąż jest stary, śmierdzi machorką i jest cały kosmaty. Wchodzi na nią, wiesz! Słyszałam, jak mówiła do mamy. Dalbóg!

- Zamilecz! - zatkała sobie rękoma uszy Anusia. - Zamilecz! Ty... ty chyba lubujesz się w takim czymś! Albo tak specjalnie, naumyślnie mówisz, żeby mnie dokuczyć!

- Dokuczyć? Ja ci tylko mówię, że tak jest.
- To straszne - wzdygnęła się siostra. - To takie straszne!
- Anusiu, moja ty biedna - rozczuliła się nagle Maryśka. -
Chodź, zaśpiewamy sobie naszą piosenkę. Chcesz?

Wzięły koszyk z grzybami między siebie i idąc śpiewały: -
„Jadą, jadą dzieci drogą...” - Śpiewały już w zgodzie i bliskie
sobie. Kiedy weszły do domu i chciały pokazać wszystkim, ile
grzybów zebrały, nikt nawet na nie nie spojrzął, bo właśnie zaczęła
się wojna. Przywiózł tę wiadomość Wiszkanis spod Ejszyszek.

- Jaka wojna? - pytały nic nie rozumiejąc. - Jaka wojna?
- Krwawa. Długa krwawa - unióś palec do góry Wiszkanis.
- Będzie rok ciągnąć się albo i więcej. Niemce wypowiedzieli
wojnę Rosji. Nie darmo cieluk urodził się za Dzitwą z dwoma głó-
wami.

- A miał choć chwost? - zarechotał siedzący przy Antolce
Kostuś.

- Co takiego? - opuścił palec Wiszkanis - przy czym tu
chwost? - obruszył się.

- Żeby muchi przeganiać.

- Nie pora, panicz, teraz na szutki - upomniał go Wiszkanis. -
Wojna to straszna rzecz, ludzie padają jak muchi.

- No i dobrze carowi! Dobrze tak ciemnościelowi! - odezwała
się Maria.

- Ach jej ej! Am my żniwować nie napoczęli - zatroskał się
Andrzej. - Jeszcze żytko nie uśpiało, tylko co na paznokciu próbo-
wał.

- Ludzie! - zdenerwował się Wiszkanis. - Dajcie spokój!
Toż wojna! Siedzą tu jak te szeszki, niczego nie wiedzą! Żytko nie
uśpiało! I nie uśpieje! Nie nadaży! - parskął.

- No, no, Wiszkanis, no, no - uspokajał go ojciec. - Póki co,
my jeszcze na swoim. Może ta wojna przejdzie bokiem, może nasze
Juryszki ostaną się?

Te żniwa w 1914 roku jeszcze się w Juryszkach udały, choć
wojna podchodziła coraz to bliżej. Grzmiało i błyskało na dalekich
frontach i wieści szły stamtąd coraz gorsze. Zimą Juryszki zasypało
śniegiem, mało kto przyjeżdżał, mało co wiedzieli o świecie. Ale
wiosna już szła niespokojna, podszyta strachem, bo grzmiało coraz

bliżej. Anusia wróciła z Wilna, przywiozła gorszące wieści. Adam, którego w końcu wysłali do szkół, zamiast uczyć się pilnie rachunkowości, przystał do socjaldemokratów. - Co to za czort taki? - zastanawiał się ojciec. Anusia tłumaczyła, że to taka partia, co walczy z caratem, ale kuzynka mieszkająca w Wilnie doniosła, że Adam po prostu schodzi na psy, że widzieli go kilka razy w podejrzanym towarzystwie, podpitego. Matka pojechała go tam szukać, nie znalazła, ale tam, gdzie mieszkał, jego młoda gospodyni bredziła coś w walce klas. Nic nikt z tego nie rozumiał. Co gorsza, pociągnął za nim Kostuś, zbuntowany, hardy. - Wszystkie te moje syny to czerci jednej sierści! - wściekał się ojciec i nie dał Kostusiowi konia pod wierzch. Kostuś przez to z nikim się nawet nie pożegnał. Wsiadł na wynajętą bryczkę nie patrząc w stronę domu. Matka wybiegła za nim z płóciennym woreczkiem w rękach.

- Kostuś, rodnienie ty mój, weź na drogę - prosiła - weź!

- Co mi tu mama wtyka?! - huknął na nią z góry. - Niech zabiera!

- Kostuś, to słoninki trochę, kiełbaski podsuszzonej, choć na początek.

Ruszył pogardliwie ramionami, rzucił woreczek pod nogi, cmoknął na konia. Maryśka pobiegła szybko za stodołę, w maliniak, żeby podpatrzeć, jak będzie żegnał się z Antolka, bo widziała, jak dziewczyna wyszła wcześniej, żeby zaczekać na niego. Już tam była. Maryśka podpełzła cicho. Zaszyła się w krzaku pełnym malin. Nadjeżdżał Kostuś. Zatrzymał konia, zeskoczył z bryczki. Antolka przypadła mu do kolan. Pochylił się nad nią, ściągnął jej chustkę z głowy. Rozsypały się czarne włosy. Kostuś chwycił za nie, podciągnął dziewczynę do góry. Stali tak chwilę, mileząc. Maryśce w tych krzakach zrobiło się nagle wstyd, że na to patrzy. Kostuś trzymając dziewczynę za włosy, jak konia za cugle, odchylił jej głowę do tyłu; szarpnęła się raz, drugi, ale trzymał mocno, całą garścią. Żadne nie powiedziało ani słowa. Twarz Antolki skurczyła się z bólu. Kostuś przejechał jej palcem przed nosem. - Pamiętaj! - mruknął. Puścił ją, wskoczył na bryczkę. - Pilnuj tu wszystkiego! - krzyknął i trzepnął mocno batem w koński zad. Ruszył wzniesając kurz z wyschniętych od upału kolein. Nawet się nie obejrzał za siebie, choć Antolka stała machając tą ściągniętą przez niego chu-

stką. Żeby już poszła sobie, pomyślała Maryśka, ale Antolka podeszła do krzaka malin, zerwała kilka, rozgarnęła liście, szukając dojrzałych. Cicho było, maliniak pachniał upałem, tylko małe muszki bzykały nad krzakami, leniwie, sennie. Nagle Antolka usiadła przy krzaku, przeciągnęła się, włożyła rękę pod długą spódnicę, cała napięta, czujna, jakby na coś czekała. Rozstawiła szerzej nogi i zaczęła ruszać się całą sobą, szybko, coraz szybciej. Boże, co ona robi? - przestraszyła się patrząc na to Maryśka. Może to jakaś choroba? Słyszała, jak ktoś kiedyś opowiadał, że kiedy tak skręca całe ciało, to jest to choroba świętego Wita. Ale twarz Antolki, pełna światła i cienia od liści, z czarnymi brwiami, jaśniała szczęściem. Między ustami błysnęły ostre zęby. I nagle Maryśka zrozumiała. Ona robi to, czego nie można, co jest strasznym, najgorszym grzechem. - Nie wkładaj nigdy palców, bo tam, między nogami, czyha diabeł - upominała zawsze matka. Antolka po chwili jęknęła, wyprężyła się, znieruchomiała. Potem wyjęła rękę spod spódnicy, obwąchała końce palców, jeszcze raz przeciągnęła się leniwie. Wstała, otrzepała się, uniosła do góry długą spódnicę, rozstawiła szeroko nogi i wysikała się na stojąco. Zapachniało kwaśnym moczem. Dziewczyna odeszła, upychając rozsypane włosy pod chustkę.

Zaczajona w maliniaku Maryśka zechciała nagle tego samego, żeby tylko zobaczyć, jak to jest. Włożyła tam rękę, tak jak wtedy, nad sadzawką, ale teraz przestraszyła się. Może tam naprawdę jest diabeł? Na pewno tam siedzi. Powiem o Antolce Anusi - postanowiła. Znalazła siostrę w sypialni; klęczała przy łóżku rodziców, zamachała na wchodzącą niecierpliwie ręką. Kiedy po chwili wstała z kolan, twarz miała spokojną, rozjaśnioną. - Modliłam się za Kostusia - powiedziała - żeby Anioł Stróż strzegł go od grzechu.

Od tej pory Maryśce grzech pachniał zawsze malinami, a przed oczami stawał obraz Antolki, te bzykające muchy, te cienie na liściach. Tak to się splotło jedno z drugim i zawsze kurczył wtedy serce podniecający strach: co by zrobił ten diabeł, jakby z nią było tak jak z Antolka? Może nie wszystkie mają tam diabła, myślała, może tylko ona, Maryśka.

Aż kiedyś coś ją podkusilo. Antolka siedziała na zydlu czesząc włosy, z ustami pełnymi szpilek.

- Ja widziałam ciebie wtedy w maliniaku - powiedziała nieoczekiwanie dla samej siebie - wtedy jak wyjeżdżał Kostuś.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, spojrzała na nią wrogo, spode łba.

- I cóż tam takiego! Malin szkodują? Zebrali już na sok, a te, co się ostały, to opadają - powiedziała niewyraźnie przez te szpilki.

- Ja nie o tym - zająknęła się Maryśka.

- To o czym?

- Bo Kostuś wtedy odjechał, a ty... co... co on ci wtedy powiedział?

Antolka wyjęła z ust ostatnią szpilkę, umocowała warkocz z tyłu głowy.

- Co chciał, to powiedział - burknęła. - O co się panience rozchodzi? - wzruszyła ramionami. - Lepiej niech panienka idzie, świni przypilnuje, bo wypuścili na podwórek ordynaryjne. Jeszcze polazą w szkodę i tatko zloi skórę. I znów będzie gadanie, że panienka nieudała.

Poszła do tych świni. Pomyślała, że przez to, co widziała wtedy w maliniaku, Kostuś nie wiadomo dlaczego stał się jej jakiś bliższy. Już nie myślała o nim z nienawiścią. Ogarnął ją nagły żal za bratem, za tym wszystkim, co odchodziło gnane wojną.

W końcu zasnęła przy tych świniach i był to ostatni spokojny sen. Tatko nie złoił jej skóry, nie miał do tego głowy, bo nadchodzili Niemcy i trzeba było spieszyć się ze żniwami, szybko młócić i chować ziarno w odrynie, świrnie, gdzie się dało. Przywalali je starymi rupieciami, polanami porąbanego drzewa. Bili świnie, składali słoninę do beczek, zakopywali w ziemi. Elżutka przyjechała z Wierbiedź z brzuchem i płaczem, że wzięli do wojska Leosia.

- Ach, biedny! - łamała ręce matka.

- A co tam jemu stanie się, o, ja z brzuchem, zostawił mnie na łasce sióstr i Bernasia. Jak on mógł? - wyrzekła Elżutka.

- Durna! - skoczyła na nią matka - ty donosisz ten swój przenajświętszy brzuch, a on tam może zginąć od byle jakiej kuli.

- Czy mama nie może być trochę delikatniejsza? - sznurowała usta Elżutka. - Za mamę to ja się zawsze muszę wstydzić.

Wszedł ojciec, rozpytał, co i jak, czy front nie podszedł czasem pod Wierbiedzie.

- Powiedz tam im wszystkim, że jakby co, to nich tu do nas uciekają, tam, pod Lidą, zawsze niebezpiecznie, bo bliżej miasta.

- Do was to najwyżej ja przyjadę z dzieckiem...

- Wybij to sobie z głowy! - zezłościła się matka. - Przecież nie zostawisz tam na łasce bożej starej teściowej i chorego Bernasia? Podobnież jemu do reszty rozum odebrało.

- Mnie, jak może, to z daleka obchodzi - zaśmiała się Elżutka - a ja tak czasem naumyślnie dotknę się do niego, to on aż cały blednie, aż trzęsie się. Ale nic więcej nie może, słaby jest, kiszeczki u niego chore, bo co zje, to wymiotuje.

- Elżuniu, aja coś słyszałam od słuźońcej, co tam u was była, że ty świeżeninki im nigdy nie gotujesz, że mięso podśmiardłe dajesz, a kapuśniak to podobno u ciebie tylko na zjełczałym sadle - mówiła matka. - Skąd to u ciebie? U nas nigdy czegoś takiego nie było, jak Juryszki Juryszkami.

- Kto mamie takich bzdur naopowiadał? - sczerwieniła Elżutka. - Ażeby mama wiedziała, ile oni jedzą! To prosto nie do pojęcia. Ta stara i jego siostry takie żyrkie. Jak w niedzielę bliny robię, to nie można im nastarczyć.

- Dość już tych durnot! - zniecierpliwiał się ojciec. - Tam ludzi zabijają, lada moment trzeba będzie uciekać przed Niemcami, a ta o blinach! Durne babskie nasienie! - plunął.

Stryj Władysław uciekał przed wojną, zahaczył o Juryszki. Spieszyli się bardzo. Stryj zatrzymał się tylko po to, żeby napić konie, a jego żona nawet nie zesza z bryki. Siedziała na kufrze w przekrzywionym na bok kapeluszu, trzymając w objęciach puszystego, biała szpica. Wyszła do niej Maria, poprosiła do domu.

- Ach, nie - mówiła stryjenka, która zwykle każde zdanie zaczynała od „ach”. - Ach, Maryniu, nie masz pojęcia, jaka ta wojna straszna! Wszystko musieliśmy zostawić na łasce boskiej. Ach, wszystko! A wy nie uciekacie?

- Przed czym? - zdumiała się Maria.

- Ach, przed Niemcami. Pałą, mordują, już podobnież weszli do Wilna. - Obok niej bawił się biczem bladawy, niezgułowaty syn. - Puszek! - krzyknęła histerycznie stryjenka, bo szpic zeskokczył z fury i potajemnie, bez jednego szczeknięcia, capnął za

nogę Marię. - Ach, nie masz pojęcia, co ja przeżywam! Zostawiliśmy na gospodarce zaufaną parobkowską rodzinę, ale możemy wrócić do czterech gołych ścian. Teraz nikomu nie można wierzyć. Ach, Palus, nie ciągnij Puszka za ogon! - upomniała syna.

- Powariowali wszyscy! - łapał się za głowę Andrzej. - Masz tu owsa na drogę! Ja tam krokiem się nie ruszę. Rozdrapią tu wszystko, rozdziobiąjak te kruki.

- Jak uważasz, jak uważasz - kiwał głową stryj - podobnie już Kowno padło, napierają na wszystkich frontach, lada moment będą w Wilnie. Kto żyw, ucieka do Rosji, całe gościńce zapchane.

- A Rosja to co, też nasz śmiertelny wróg - przypomniał Andrzej. - Paszoł won! - krzyknął nagle wielkim głosem, bo Puszek dobrał się i jemu do nogi. - Co to za paskudztwo tu wieziesz?!

- To nie ja, to Oleńka tak zdecydowała - sumitował się stryj - to jej ulubina sobaczka. Puszek się wabi, a jaka mądra...

- Rożen, nie Puszek! - zdenerwował się Andrzej. - Zostaw mnie jego na skórkę, a to jak do Rosji trafi, to zjedzą jego na surowo.

Stryj odjechał, ale okazało się, że to był dopiero początek. Zaraz po nim zaroilo się na drodze od furmanek, bryczek, zwykłych chłopskich wozów wymoszczonych sianem, pełnych kufrów, worków i tobołków. Za wozami ciągnęły krowy, konie, na wozach beczały owieczki. - A czort ich, niech jadą na złamanie karku - żegnał ich Andrzej, ale uciekinierzy opowiadali coraz straszniejsze rzeczy o napierających Niemcach, aż pierwsza Maria nie wytrzymała. - Andrzej, nie chcesz chyba naszej śmierci - rzekła. - Mnie życie miłe.

Opierał się jeszcze, ale już krzyczał na parobków, żeby zapręgali konie, na Antolkę, na dzieci, żeby pakowały, co się da.

- Anusia! I my uciekamy! I my! - cieszyła się Maryśka.

Rodzice wyszli z domu ubrani odświętnie. Wśród pisków, krzyków i nawoływań wsiedli na furmankę. Ojciec stanął i popatrzył na dom.

- Józia, Janeczka, Broniś, Anusia, Marysia, a gdzie Bogdan? - nie mogła doliczyć się dzieci Maria.

- Jajestem! I ja! I ja! - krzyczały.

- Ja wsiałam pierwsza - zdecydowała Józia.
- Gdzie?! - zdziwił się ojciec. - Nie widzisz, że nie ma miejsca? Wszystkie już są? - upewnił się.

- Wszystkie - policzyła matka.

- To teraz słuchajcie. Wam, dzieciom, tu nic złego nie zrobią. Józia wszystkiego tu dopilnuje! Jej słuchajcie! - nakazał ojciec. - Już ona nikomu nic nie da, można być spokojnym. Przy niej niczego nie rozdrapią. Szukszta pamięta! - powiedział do czapkującego mu parobka. - Panienska Józia za wszystko tu odpowiada.

- A teraz ustawcie się do pożegnania - poleciła matka. - Raz, dwa! Nie marudzić!

Stały przed nią zdumione, a Maria na każdym czole robiła znak krzyża. Wtedy dopiero dziewczyny zrozumiały, że rodzice ich z sobą nie zabrają, i uderzyły w wielki lament. Tylko najstarsza, Józia, zacisnęła usta w niemym uporze.

- Słuchajcie Józio, bo pamiętajcie, jak wrócimy, to dziażka będzie w robocie! - upomniał z wozu ojciec.

Stały jak wmurowane, żadne z nich nawet nie zamachało ręką za odjeżdżającymi, tylko Anusia, ona jedna, żegnała ich krzyżem.

- Durny tatko! Durna mama - plunął za wozem Bogdan - żeb ich karszun zadziobał! Żeby im kolano z grobu wyparło!

Anusia z rozmachem przeżegnała i jego, choć długo jeszcze pluł i przeklinał. Pobiegły za odjeżdżającymi psy, Budrys i Juna, ale wróciły zaraz odegnane, kręcąc ogonami, niepewne, ogłupiałe, bo przy tyłu obcych na drodze nie wiadomo było, na kogo szczekać.

Wrócili do domu pełnego rozrzuconych niepotrzebnych rzeczy.

Antolka stała w oknie gryząc koniec warkocza, patrzyła za odjeżdżającymi. - Dawaj jeść! - krzyknął na nią Bogdan. - Co tak stoisz jak wmurowana?! Gdzie kolacja?

- Tam, na przypiecku, buraczki - ruszyła ramionami.

- Buraczki?! Zjedna skwarką?! Dawaj słoniny albo czego! Słyszysz!

Antolka odwróciła się do niego wolno, przerzuciła warkocz przez plecy.

- Ogłuchłaś czy jak?! - darł się - gdzie kolacja?!

- W dupie na czerwonym słupie! - powiedziała dziewczyna dobitnie, ze złym błyskiem w oczach.

Skoczył na taką hardość, zmierzyli się wzrokiem, on pierwszy spuścił oczy. - To gdzież te buraczki? - spasował.

- Józiu - odszukała siostrę Maryśka - Józiu, Antolka w kuchni brzydsko się wyraża do Bogdana! Nic robić nie chce. A kto krowy wydoi? Kto świnie nakarmi?

Józia ruszyła w sukurs Bogdanowi. - Czy Antolka wie, że ojciec mnie polecił go zastępować? Tak ma być aż do jego powrotu! Czy Antolka wie o tym? - Antolka gapiła się na nią bezczelnie, mierzącą od stóp do głów. - Wydaje mi się - bmęła Józia - że czas już doić krowy...

- Job twoju mać! - zaśmiała się Antolka. - Jak czas, to czas - powiedziała ubawiona. - Niech panienska bierze się za wiadro. O, tam stoi!

ROZDZIAŁ VIII

Wszystko się rozprzęgało, waliło. W domu i dookoła. Spokojne laski, gdzie zawsze buszowała Janeczka z Bronisiem zakładając wnyki na zające, teraz podszyte były strachem, niepewne. Wałęsali się po nich uciekinierzy z wojska, zwykłe bandy. Na osłonecznionych, cichych do tej pary polankach, tam gdzie młody brzeźniak, koło świerków i rojstów można było spotkać dziwnych ludzi. Zarośnięci, obłachmanieni, kurzyli machorkę; kiedyś, kiedy Maryśka zaszła tam szukając grzybów, wylazł z krzaków taki jeden. Bez ducha biegła do domu, zgubiwszy po drodze koszyk. Psy pędziły za nią z podkulonymi ogonami.

- Anusiu - wydyszała - Boże, co ja przeżyłam! Dobrze, że uciekałam z życiem. Nie ma już naszych lasków, tam wszystko takie straszne!

- Bo nie modlisz się. Modlitwa zawsze zło odegna - przekonywała siostra.

- Boże! Czy modlitwa jest na wszystko?! - złościła się Maryśka. - Są tacy, co im żadna modlitwa nie pomoże! Za Antolkę też się modlisz?!

Antolka rozpuściła się bez gospodyni jak dziadowski bicz. Surowa Józia nic tu nie miała do gadania. Ale jeszcze nie opuszczała kuchni i spiżarni, choć kiedyś, kiedy złapała Antolkę na krojeniu sobie podsuszanej, najlepszej wędliny, udała po prostu, że tego nie widzi, wycofała się po cichu. A Antolka wyszła ze spiżarni po chwili jakby nigdy nic, z kawałkiem kiełbasy w rękę, podśpiewując.

- A co to, nie podjadłaś sobie? Toż była świńska kasza? - zaryzykowała Józia.

- Świńska kasza? - parsknęła Antolka. - Niech ją świnie żrą. Ja, o, mam, co mnie potrzeba nie widzi panienka?

- Słuchaj - napuszyła się Józia - jeżeli myślisz, że ciebie obroni Kostuś, to się grubo mylisz! Wszystko powiem rodzicom. Wszystko!

- Panicz Kostuś jak wyjeżdżał, to kazał tu wszystkiego pilnować - rzuciła głową dziewczyna - a ja o, robię za czterech, to i jem za czterech.

I bezczelnie jadła sobie tę podsuszoną kiełbasę, aż trzeszczała jej w zębach.

A Józia nic nie mogła zrobić, bo to była prawda, że Antolka pracowała za czterech. Tylko ona wiedziała, co zrobić, kiedy krowa zadławiła się burakiem, ona karmiła i poiła bydło, rąbała drzewo, ona jedna umiała ciąć trawę dla świń, mleć zboże w żarnach. To było najgorsze. Czepiały się ciężkiego kamienia we trzy: Anusia, Maryśka, Janeczka. Mdlały im przy tym co chwila ręce, a mąki było tyle, co kot napłakał. Antolka odtrącała je lekceważąco i żarna były jej posłuszne. Tarła ziarno i jeszcze przy tym śpiewała:

A kak u mamaszy ja maleńkoj była,
Cyganka-wareżka baltała zawsiągda.
Nie jdzi, dziewa, za muž,
Nie jdzi, bo prepadiosz,
Ty w dzień swojej swadiby u more utaniosz,
Ty w dzień swojej swadźby u more utaniosz.

To było w dzień, a w nocy Antolka wymykała się gdzieś, włóczyła. Ława w kuchni, gdzie spała na sienniku, była pusta; wracała rankami, chrapała ciężko, z rozrzuconymi rękoma, gadała coś przez sen, krzyczała. Maryśka truchlała ze strachu, a Anusia żegnała ją nabożnie. Raz wróciła nad ranem z przeciętą twarzą, okrwawiona cała, straszna. Józia przegnała wszystkich z kuchni, ale Maryśka wślizgnęła się tam po cichu. Coś ją ciągnęło do Antolki, sama nie wiedziała co. Wzięła szmatkę, zmoczyła ją w wodzie i położyła na twarzy śpiącej. Antolka zajęczała, otworzyła jednooko. - Kto to?! - skoczyła z ławy. - Kto tu jest?!

- To ja - pisnęła Maryśka - coś ty sobie robiła, biedna, czy... czy ciebie ktoś pobił?

Antolka odrzuciła mokrą szmatkę, siadła na zydlu.

- Co panienka gada? - zamruczała trzymając się za głowę.

- Co tobie, biednej?

- Biednej? - nie zrozumiała Antolka - mnie biednej? A wiedajesz panienka, co ja robiła w nocy, wiedajesz?

- Pewnie z parobkami dokazywałaś? - ośmieliła się Maryśka.

- Z parobkami?! A job ich mać! Niech oni ze świńmi barłóżą się! Ja po wilczych jamach latałam, po rojstach, zwier mnie jeden drapnął, ale ja jego zdusiłam, o, tak, gołymi rękami! - bredziła coś i nagle chwyciła rękę Maryśki, przyłożyła ją sobie do rozpalo-

nego czoła. - Biednaja - zajęczała - biednaja, biedna... Ja tak samo jak panienka biedniuteńka, biedna...

Maryśka siedziała sztywno, nie wiedząc, co ma zrobić, a Antolka mamrotała, skamlała aż w końcu zasnęła na siedząco, nie puszczając jej ręki. Od tamtej pory coś się między nimi zmieniło. Kiedyś w nocy, kiedy już wszyscy spali, Maryśka obudziła się, bo ktoś ją szarpał za ramię. Była to Antolka. Stała nad nią z metalowym kubkiem w ręku.

- Co to? - przestraszyła się Maryśka. - Co ja zrobiłam?

- Nic, panieczka - szepnęła Antolka. - Cicho! Śmietankę zebrałam z wczorajszego udoju, niech panienka wypije - podetkała jej kubek do ust, trzymała tak długo, aż Maryśka wypijała posłusznie śmietankę do dna. Słodko jej się zrobiło i ciepło po całym ciele. Zasnęła też zaraz i śniła jej się łąka i sadzawka pełna niebieskiej wody. Rozłożyła ręce i tylko leżała na dnie, a koło niej przepływały wielkie ryby, też niebieskie. Ale dlaczego tam była zielona trawa? Skąd trawa na dnie? Znow obudziło ją szarpanie.

- Wstawaj! - krzyczała na nią Józia. - Wstawaj. Długo będziesz się wylegiwać?!

W kuchni już palił się ogień i Antolka siedząc na ławie cesała warkocz.

- Antolka - przykucnęła przy niej Maryśka - to ty dałaś mi w nocy śmietanki czy może tylko tak mi się śniło?

- Ee - ruszyła ramionami Antolka. - Ja?! Jeszcze czego?!

- Poboż się, że to nie ty! Spójrz mnie w oczy! - śmiała się radośnie Maryśka.

Antolka zamrugała oczyma. Przekrwione były, złe czegoś, wściekłe. - Niech panienka mnie nie rusza! - Strzepnęła jej wyciągniętą rękę. Iść ode mnie! - warknęła.

Ten fakt ze śmietanką zdarzył się tylko raz i potem przez wszystkie powroty do dzieciństwa Maryśka głowiła się: czy Antolka dała jej wtedy śmietanki, czy to jej się tylko śniło?

We wrześnie Niemcy zbliżyli się do Wilna. Po nocach włóczyły się bandy, słuchać było strzały. Żwirowanym gościńcem przelewały się tłumy uciekających w głąb Rosji ludzi. Pustoszała spiżarnia, krowy ryczały nie karmione, Józia, która miała nad wszystkim pieczę, zapomniała, gdzie tatko zakopał ziarno. Pod wierzbami,

za domem, znaleźli słońinę w beczce nie do jedzenia. Klepki nie wytrzymały naporu ziemi i słońina aż chodziła cała od robaków. Groził głód. Nie było mowy o śmietance, bo już i mleka zabrakło. Broniś, Bogdan i Janeczka próbowali zastawiać wnyki, ale zające też gdzieś pouciekały. Czasem upolowali jakiegoś ptaszka, piekli go na patykach przy ogniu. Tylko Antolka nie szkodowała sobie. Całymi dniami rozlegało się jej chrapanie, a o zmroku budziła się, przeciągała i mamrocząc pod nosem przekleństwa na Józię, która ośmielała się ją do czegokolwiek zmuszać, czesała skołtuniony warkocz i wybierała się gdzieś na noc.

- Gdzie ty idziesz? - odważyła się kiedyś spytać Józia. Stała z wielkim drągiem, żeby zaprzeć za wychodzącą drzwi. - Gdzie idziesz po nocy?

- Na wieczorynkę! - błysnęła zębami w uśmiechu Antolka. - Czort przygrywa, a więdźmy tańczą - powiedziała - o tak! - i beczelnie zagrała Józi na nosie.

Któregoś dnia w sadku, przy samym płocie Józia odkryła pusty dół po beczce. Zlecieli się wszyscy, stanęli nad nim. - To tu! - krzyknęła Józia. - Tu było zakopane żyto! Tu było!

- Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr! - wzruszyła ramionami sprowadzona do sadku Antolka.

- To ty! - naparła na nią Józia. - Ty pokazałaś bandytom albo i parobkom! Nikt inny, tylko ty! - uczerpiła się jej, płacząc z bezsilnej złości.

- Et! - strzepnęła jej rękę Antolka - coś się panience uwidziało. - Odwróciła się na pięcie i podśpiewując ruszyła do domu.

- Bogdan - błagała brata Józia - Bogdan, naucz ją rozumu! Przecie ona nas zgubi. Leć za nią! Przyciśnij do płotu! Wyduś, komu dała żyto!

- A ja wiem? - wahał się Bogdan. - Nikt jej za rękę nie złapał. Może to i nie ona?

- Co tu rozważać?! - zatrzęsła się Józia. - Przyduś ją! Broniś! Leć i ty! - tupnęła na nich ze złością.

Poszli ociągając się, ale kiedy Józia z Anusią, Janeczką i Maryską ruszyły za nimi podpatrzeć, co się tam dzieje, ujrzały ze zgrozą przez okno w kuchni, że Antolka siedzi na ławie i pociąga z butelki. Potem zabełtała flaszka, dała Bogdanowi, ten też przechylił, pił

długo, aż wydarła mu ją z rąk. Józia wpadła na nich z krzykiem, a dziewczynki zatrzymały się niepewnie w progach. Józia krzyczała dławiąc się złością, wygrażała Antolce pięściami, a ta oganiała się od niej leniwie, jak od uprzykrzonej muchy.

- Ciii, cii, czego tak krzyczysz?! Panienka - powiedziała wybałuszając na nią mętne oczy - niech panienka też łyknie sobie. Zrazu zrobi się lekce na duszy - podsunęła jej flaszkę.

Bracia gapili się na to z uśmiechem, bo każdy miał z Józią na pieńku.

- Ty! Ty! - nie znajdy wała słów Józia - ty bandyckie nasienie!

- Panienka, powiedzcie, co to za zwierzę z taką dużą trąbą? Aaa? - ziewnęła Antolka.

- Z dużą trąbą? Słoń! - wykrzyknął Bogdan.

- Weź za jaja i podzwoń! - zarechotała Antolka.

Chłopcy wtórowali śmiechem, Janeczka i Maryśka też, tylko jedna Anusia przeżegnała się przerażona, pobladała.

- Kto się śmieje?!?! Maryśka?! - ciskała się Józia. - Od dziś nic nie dostaniesz do jedzenia! Ani okruszynki! Zdechniesz z głodu! Ty pierwsza!

- Józiu, jak tak można - powściągała siostrę Anusia - bój się Boga! Janeczka też się śmiała, i ja!

- I my też - powiedzieli Bogdan z Bronisiem - my też się śmieli.

Któregoś ranka w niedzielę Anusia nałożyła szkolny, nazaretański mundurek, wyczyściła sadzą sznurowane buciki, owinęła różaniec wokół ręki i oznajmiła, że idzie do Naczy, do kościoła. Maryśka drzemała zwinięta w łóżku, żeby przespać głód. - Chodź ze mną! - szturchnęła ją w ramię siostra.

- A ty gdzie? - zdziwiła się.

- Ja? Do kościoła. Jak raz zajdę na sumę.

- Nie - jęknęła Maryśka - patrz, jakie mam nogi - wystawiła spod kołdry - wyschły jak patyczki. Ja nie mam siły iść. Józia mnie morzy głodem.

- Bzdury opowiadasz! - obruszyła się Anusia. - Ja też małą jem, ale trzeba iść, pomodlić się za rodziców, za ich szczęśliwy powrót.

- Za rodziców?! Durna - krzyknęła Maryśka - zostawili nas tu, a sami uciekli! Ja... ja... im życzę wszystkiego najgorszego!

- I ja - powiedziała Janeczka.

Anusia spojrzała na nie ze zgrozą, poszła. Do Naczy było z dziesięć kilometrów na skrót, przez lasy. Maryśka obudziła się około południa. Nawet Józia nie kazała jej wstawać, bo nie było po co. Maryśce znów przyśnił się ten sam sen, że Anusia wlatywała z dachu odryny, kołowała nad łąką cała w czerni, ale Maryśka już nie chciała lecieć, machała jej z dachu ręką, a Anusia ginęła w chmurach, tylko jeszcze powiewały za nią czarne poły habitu. A może to był welon? Kiedy otworzyła oczy, stała nad nią Józia. Cicho było w pokoju, słonecznie, tak jakby na świecie nie było żadnej wojny ani niczego złego.

- Gdzie Anusia? - spytała Józia.

- Anusia? - przetarła oczy Maryśka. - Anusia? Lata sobie nad łąką. Anusia? Nie! Nie! Poszła do Naczy, do kościoła.

- Do Naczy? - jęknęła Józia. - Przecież front idzie! Rosjanie uciekają! Kto chodzi do kościoła w taki czas?! Ja... ja zabraniam!

Maryśka zwlokła się z łóżka, usiadły z Janeczką w kuchni przy oknie, wypatrywały Anusi. Zapadł zmrok po upalnym wrześniowym dniu, świerszcze grały, w ogródku pachniało wieczorną maciejką, a Anusia nie wracała. Późnym wieczorem Maryśka szła przez przedpokój do ganku i posłyszała pod drzwiami jakiś chrobot. Uchyliła ostrożnie drzwi do ogródka. - Kto tu? - zawołała w ciemność - kto tu jest?

- To ja - rozległ się szept - ja... Anusia... pomóż... pomóż wejść do domu...

- Anusia? - przeraziła się Maryśka. - Co ci jest? Ja... ja przyniosę świecę! Ja zaraz... zawołam Józję!

- Nie! Nigdzie nie idź - syknęła Anusia. - Nikogo nie wołaj! Pomóż mi! Pomóż mi wejść do domu!

Dopiero w pokoju Maryśka ujrzała, że siostra nie ma na sobie mundurkowej spódniczki, tylko halkę, poszarganą, sztywną od zaschłej krwi i błota.

- Co się stało, Anusiu?! - przeraziła się. - Co ci jest?!

- Nic. A co ma być? - spytała ostro siostra. - Szłam przez las, przez krzaki, zgubiłam spódnicę. Nie gap się! Przynieś szybko wody! Ogłuchłaś?! Wody do mycia! Nalej do miednicy!

- Ja... ja... zapalę świece...

- Nie! - krzyknęła Anusia. - Nie! Idź po wodę! I nic nikomu nie mów!

- Muszę... muszę powiedzieć Józi...

- Język ci utnę - krzyknęła Anusia. - Idź! Co się tak trzęsiesz jak galareta?! Hramazda!

Przerażona Maryśka poleciała do kuchni. Chwyciła jakąś szmatę, wiadro z wodą. Miała w uszach głos siostry, ostry, niepodobny do Anusinego. Boże! Może to wcale nie Anusia?! Wpadła z impetem do pokoju. Świeca paliła się na stoliku. Anusia siedziała na łóżku z podkulonymi nogami i czesała włosy. Takie jej się to wydało dziwne, że postawiła po cichu wiadro, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

- Dawaj wodę! - krzyknęła na nią Anusia.

Maryśka patrzyła ogłupiała, jak siostra upina warkocze wokół uszu. Potem wstała z łóżka. Po nią czerniała ciemna plama na poscieli i nogi miała całe we krwi.

- Ty... ty się skaleczyłaś?... - jąkała się Maryśka - to... to od gałęzi?...

- Nie - podniosła głowę siostra, taka samajak na tym zdjęciu z Nazaretu, kiedy siedziała między koleżankami z pucułowatą, dziecinną twarzą. - Nie - potrząsnęła głową - ja się nie skaleczyłam, tylko... tylko... Ach, mniejsza z tym... To nieważne... Nie trzęś się tak! Od tego nikt nie umiera.

- Od czego, Anusiu? - spytała Maryśka bez tchu.

- Od tego. Uciekałam przez krzaki, przez gałęzie, a on za mną na koniu.

- Ktoś chciał cię zabić?

- Ach nie, nie o to chodziło - zaśmiała się lekko siostra. - Kiedyś ci powiem dokładnie - dodała wycierając delikatnie mokrą szmatą nogi. - Patrz, jaką ja mam białą skórę - przyjrzała się swojej odsłoniętej nodze - nic dziwnego, w Nazarecie chodziłyśmy ciągle w pończochach.

Maryśka nagle zrozumiała. - Jezus Maria! Skrzywdził cię jakiś bandyta?! - przeraziła się.

Siostra zamoczyła szmatę w wodzie, uniosła wyżej halkę. - To nie był bandyta, tylko Kozak na koniu - wyjaśniła spokojnie. - Ja biegłam, a on krzyczał: „Niet, madam, nie udierosz!” I krzy-

czai, i ja biegłam, aż potknęłam się i wtedy on zeskoczył z konia i włożył mi szablę.

- Tam?! O Boże! - wyrwało się Maryśce.

- Głupia! Nie tam! Do ust, żebym nie krzyczała - zniecierpliwiła się Anusia. - A teraz przynieś świeżej wody! Słyszysz! I nic nikomu nie mów!

To już nie była Anusia, tylko zupełnie ktoś inny, obcy. Maryśka płacząc wracała z wodą. Pod płotem stała oparta o sztachety pijana Antolka. - A co to, panienska kwiatki będzie po ciemku podlewać? - spytała czule. - Dać, ja pomogę!

- Odejdź ode mnie! - pisnęła Maryśka. - Jak ja ciebie nienawidzę! Odejdź!!! To wszystko przez ciebie!

Na drugi dzień Anusia bredziła w gorączce. Coś krzyczała, gdzieś chciała uciekać. Trzymali ją bracia, Józia łamała nad nią ręce. Zjawiła się Antolka, stała z daleka z obrzmiałą, czerwoną twarzą. - Panienska - siąkała nosem - ja polecę po Szuksztową, ona umie choroby zamawiać...

Ale Szuksztową nic tu nie pomogła, bo to była dyzenteria. Zaraz po niej zachorowała Maryśka. Leżały obok siebie, całe w krwawych odchodach, z dnia na dzień coraz słabsze. Józia z Antolka zaprzęgły konia, pojechały nocą do Ejszyszek po felczera. To Antolka zmusiła go, żeby przyjechał. Badał obie dziewczynki krótko, za to długo mył ręce.

- Ta wyżyje - powiedział.

- Która? - spytała Józia.

- Ta! - pokazała ręką na Anusię. - Ale co do tej, to nie mam żadnej nadziei.

- Józiu - szepnęła Maryśka po jego odejściu - Józiu, powiedział, że ja wyżyję, prawda? Tak powiedział?

- Niewierni - zamachała ręką Józia. - Nic nie wiem!

- To o mnie tak powiedział. O mnie. Sama słyszałam!

W nocy zawołała ją Anusia. Maryśka otworzyła oczy. Siostra patrzyła na nią z czułością, wysunęła chudą jak patyk rękę, dotknęła jej włosów. Maryskę ogarnęła błoga rzewność, zalała ją dziwną, niewypowiedzianą słodyczą.

- Módl się za mnie, Marysiu - módl się do Boga, żebym nie umarła. Klęknij! Jatak chcę żyć... ja muszę... ja chcę... - płakała cicho.

Nie uklęknęła, nie miała siły. Powtarzała tylko za tamtą litanie do Matki Boskiej: - „Uzdrowienie chorych... módl się za nami... ucieczko grzesznych... módl się za nami... pocieszycielko straconych... módl się za nami...”

Anusia umarła nad ranem. Po całym domu rozległ się wielki krzyk Antolki. Chłopcy stali w kącie pokoju, szturchając się łokciami.

- Czego ryczysz jak krowa?!!! - krzyknęła Józia. - Zamilcz!

- Boże mój! - biła głową o podłogę Antolka. - Zarab mnie! Zabij! Zasecz różgami! Przyduś do ziemi! A panienczka moja a kwiatuszek mój, a gołąbeczka moja! Żeby mnie święta ziemia nie nosiła! Żeby ja w wodzie siedziała i pić wołała! Żeby ja w lesie chodziła i drogi nie naszła!!! Żeby mnie kolano z grobu wyparło - jęczała.

Józia sama musiała wszystko zrobić przy zmarłej i przy żywej. Anusię pochowali pośpiesznie na mogiłkach. Parobcy usypali kopczyk.

Któregoś dnia wrócili rodzice. Maryśka kiwała się akurat przy piecu objawszy rękoma chude kolana. To kiwanie się i siedzenie przy zimnym piecu zostało jej po śmierci Anusi.

Antolka siedziała na ławie, wyczesując gęstym grzebieniem wszy. Na toku pełno było odpadków, śmieci. Józia przy płycie dmuchała w wygasłe palenisko, ale drewna skwierczały opornie, nasiąkłe wodą.

Weszli na to matka i ojciec, stanęli niepewnie w progu.

- O job twoju mać! - wykrzyknęła Antolka. - Toż to nasz pan i pani.

Józia wstała powoli z kolan, Maryśka przerwała na chwilę kiwanie się i patrzyła na nich tępo.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! - powiedziała powoli matka. - A czemuż to nas nikt nie wita?

Skrzypnęły drzwi od korytarza, wyrzały rozczochrane głowy Bronisia i Bogdana, za nimi Janeczka, która jakby nigdy nie podeszła do okna, wypatrując czegoś w pustym, jesiennym ogrodzie.

- No tak - zatarł niepewnie ręce ojciec - no tak, znaczy się, my już w domu.

- Janeczka, Bogdan, Broniś, Józia - policzyła matka - a Anusia?

Maryśka wróciła znów do kiwania się, a Józia nachyliła się przy piecu.

- Andrzej, czy to nasz dom? - zapytała matka. - Czy to nasza kuchnia, nasze dzieci?

Broniś i Bogdan zachichotali, ale Józia syknęła na nich, to zmilkli.

- Gdzie Anusia? - dopadła do Józii matka, chwyciła ją za ramię.

Józia spojrzała na nią z dołu obojętnie. Policzki miała czarne od sadzy.

- Co tu się dzieje?! - krzyknął ojciec.

- Anusia?! - szepnęła bez tchu matka. - Anusia?! Jezus Maria!

Nikt się nie odezwał. Janeczka łapała na szybko zabłąkaną muchę. Rodzice usiedli na ławie, mali, zgarbieni jacyś.

- Andrzej! - jęknęła matka. - Jato wszystko wyśniłam! Nie ma już naszej Anusi!

Maryśka podpełzła do matki, uczepliła się jej spódnicy. - Mama, tatko - pisnęła - darujcie! Ja zostałam, a Anusia odeszła. Ja nie chciałam, mama! Powierzcie! Nie chciałam! Dalbóg, mama!

- Andrzej - zaczęła niepewnie matka - ta najlepsza nie mogła odejść, to, to... niemożliwe, ja... ja w takie coś nie uwierzę... nigdy... Andrzej... słyszysz?! - rozpłakała się.

- Antolka! - krzyknęła ostro Józia. - Leć po suche szakalki! Duchem!

Antolka zerwała się posłusznie ze stołka i wypadła do sieni trzasnąwszy drzwiami.

- A co tu jeszcze zginęło? - spytał ojciec.

- Tu... tu... już niczego nie ma. Was też nie ma. Czego wrócili? Po co? Na co? - spytała Józia.

- Powiedz, gdzie ona, gdzie moja Anusia? - poprosiła pokornie matka.

- Na mogiłkach, przy tej sośnie, co w zeszłym roku jamy po kartoflach były, jakie dziesięć kroków w bok - odrzekła Józia.

Matka odsunęła od siebie Maryśkę, wstali oboje i ruszyli do

wyjścia. Dzieci skupiły się przy oknie i patrzyły za nimi, jak szli potykając się przez dziedziniec, przez bramę, drogą, pod górkę, w kierunku mogiłek.

- Józiu - szeptała Maryśka - Józiu, a mama nie ucieszyła się, że ją wyżyłam z dyzenterii?!

- Mama nawet na ciebie nie spojrzała! - krzyknął Bogdan.

- Na mnie też nie - dorzuciła Janeczka.

- Ani na mnie - powiedział Broniś - tylko jedna Anusia jej w głowie.

- Jak macocha na nas patrzyła - pociągnęła nosem Janeczka.

Wpadła Antolka z naręczem drzewa, rzuciła z rozmachem pod płyty.

- Panienka - powiedziała potulnie - panienka może podkłótki zrobim na śniadanie, aa? A oni, znaczy, pan z panią, szli i płakali w głos. Musi mocno przeżywać.

- A co to mnie obchodzi?! - syknęła Józia. - Uciekli, dzieci zostawili, to niech teraz popłaczą!

- Pani potknęła się, a pan ją podchwycił popod rękę - mówiła Antolka.

- Choć raz - burknęła Józia. - A ty mi tu nie włącz pod rękę!

- krzyknęła nie wiadomo czemu na Maryskę.

- Ja tu siedzę, pod piecem, nic nikomu nie robię - tłumaczyła się Maryśka pomiędzy jednym kiwnięciem a drugim - siedzę sobie...

- Ale jesteś, a jej nie ma - wytłumaczył Bogdan - i oni ci tego nie odpuszczają, zobaczysz!

- A nieprawda - kręciła głową Maryśka - nieprawda. Dzieci to jak palce: jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty. Skalecz jeden, to tak samo boli... Tak samo każdy boli - zapewniała. - Mama sama tak mówiła...

ROZDZIAŁ IX

Jesień 1920 roku pełna była powrotów z bolszewickiej wojny. Nie był na niej Adam, ale on też wrócił z Wilna, skąd przywiózł uporczywy, męczący po nocach kaszel. - Słaby na płuca - mówiła matka. - Skąd to w naszej rodzinie? - Ale stryjenka z Wilna doniosła, że zamiast się uczyć, bawiał się po spelunach, wdał się w złe towarzystwo i że to wszystko od tego i od machorki. Adam miał gospodarzyć, ale do tego też nie miał za wiele drygu. Na razie skakali sobie z ojcem do oczu. Adam chciał wszystko po nowemu, a ojciec szedł w pole z siewienką albo przepasany płócienną płachtą. Adam przywiózł z Wilna uczone książki, w których było napisane, jak nowoczesnie kosić, orać, żąć, a ojciec wysyłał jak dawniej w pole kilkanaście bab z sierpami, a kosę uważał za wymysł szatana. Adam szydził z tego głośno i przytaczał mądre książkowe rady. Skończyło się na tym, że po którejś kłótni ojciec wrzucił mądrą książkę do pieca. Rady zamieniły się w kupkę popiołu, a ci dwaj, ojciec i syn, stanęli naprzeciw siebie z oczami jak pochodnie. Rozdzieliła ich matka, ale na krótko to się zdało.

Po Adamie wrócił do Juryszek Broniś, przedwcześnie ołysiały, na wykrzywionych nogach. - To odjeżdżenia na koniu - mówiła matka, bo Broniś był w ułanach. Broniś nie brał się do gospodarki. Odsypiał wojnę. Kiedy budził się, podszczypywał folwarczne dziewczęta, ciągnął je na siano do odryny. - Nie widziałas tam gdzie Bronisia? Co on robi? - pytała Józia matka, bo tak się już utarło, że Józia przejęła teraz ster rządów w domu. - Nic nie robi, wyleguje się na sianie i przebiera nogami-donosiła Józia. - Tylko co z Wercią leżał! - informowała Maryśka, ale kiedy matka dobiegała z krzykiem do odryny, zastawała tam już Bronisia samego. - Co z niego będzie? - łamała ręce. - Niech tylko Kostuś wróci, to porządek tutaj zaprowadzi, weźmie wszystko w garść - wdychała.

Kostuś wrócił któregoś ranka: mały, krępy, ponury. Nie przywitał się z nikim, do nikogo nie zagadał. Taki się zrobił jakiś obojętny na wszystko. Wypytywał go ojciec, zagadywała matka. - Tak i tak - mówiła - gospodarka na ciebie tylko czeka, Adam słaby na płuca, Broniś nieudałota, a Bogdan ma jeszcze mleko pod nosem, tylko tyś nam pozostał, synu, tylko ty... Powiedz coś, odezwij się choć słowem - prosiła.

- Co tam darmo język strzepić - wzruszał ramionami.
- Czy ty chory?
- Nie - odburkiwał.
- To co?
- W dupie szkło! - ucinał krótko dalsze indagacje.
- Antolka - prosiła matka - powiedz ty mnie, czy on tobie nie mówił, co jemu? Może coś wiesz? Popytaj ty jego, może tobie co powie?

- Ja? - stawiała się Antolka - ja mam popytać?! Pani nie powiedział, a mnie powie? Durnej słuźońcej? - drwiła, aż Maria czerwieniała cała ze złości, że musi uciekać się do takich metod.

Antolka też nic o nim nie wiedziała, bo to był inny Kostuś.

- Żeby choć nakrzyczał, żeby choć zrugał - zwierzała się Maryśce - a ten nic. A ja, panienczka, płonę jak to smolne łuczycywo. Daj rękę, panienka tu potrzyмай! - prosiła kładąc rękę Maryśki na sercu. - Słyszysz, jak bije? Słyszysz? Szamocze się jak ten ptaszek w klatce. Wszystko dla niego, dla panicza Kostusia, a ten jakzwierjaki albo gorzej. Żeb jego wilcy! A ja by jemu nóżki myła i tą wodę piła ja by jemu pyłek spod nóg zamiatała, panienka - dyszała Antolka, aż Maryśka cofała się przestraszona.

- Czy wiesz - mówiła do Janeczki - jak ta Antolka kocha naszego Kostusia? Nie masz nawet pojęcia!

- Kocha Kostusia?! Ludzie na świecie! Całą wojnę tarzała się po jamach, po rozpadlinach, po rojstach! Kocha?! Czy ona w ogóle rozumie, co to słowo znaczy? Ty już jak coś wymyślisz, to nie wiadomo, śmiać się czy płakać - biadała nad naiwnością Maryśki siostra.

- Sama słuchałam jej serca - upierała się Maryśka. - Biję dla niego.

- Gdzie ona ma to serce?! Gdzie? Między nogami?!

- Ty nigdy nikogo nie zrozumiesz.

- Pewnie, że nie, mnie żadna głupia słuźońca nie otumani.

Fakt faktem, że wszyscy schodzili teraz Kostusiowi z drogi. Broniś krajał słońinę, cebulę, pojadał smakowicie, opowiadał o bolszewickiej wojnie. Kostuś milczał.

- A ty, synu, co ty nam powiesz? - nie dawała za wygraną matka. - Jak tobie tam było?

- Nijak - mówił Kostuś i nikt go już o nic więcej nie pytał.

Antolka radziła się Szumiatowej, mądrych folwarcznych bab, co robić, żeby Kostuś był do niej taki jak dawniej, ale nic nie pomogło. Ani dodanie do podkłótki paru kropel miesięczkowej krwi, ani zagniecenie chleba z piaskiem ze ścieżki, po której chodziła.

Nikt nie wiedział, że Kostuś ma jedną namiętność, a było nią oglądanie przywiezionej z wojny broni. Schował ją w świronku, w saszku z ziarnem. Często zachodził tam nocą, zawieszał fanar na ścianie, wydobywał spod ziarna zawinięty w płótno pistolet, przy mierzał go do ręki, potem czyścił, oliwił. Kiedyś poszedł z nim do olszyny i wystrzelał cały bębenek. Drzazgi poleciały z drzew i zakrakaly głośno przestraszone wrony. Kiedy wrócił do domu po ciemku, czekała na niego Antolka. Objęła pod nogi, poprosiła pokornie, żeby położył się z nią na ławie. Posłuchał jej, ale leżał przy niej chłodny jak sople lodu i coś tam do siebie mamrotał, z kimś rozprawiał.

- Panicz, mileńki, rodnieńki, niech powie, może jemu co na tej wojnie urwali albo co? - szeptała gorąco Antolka. Wtedy zniecierpliwił się, strzepnął jej rękę, wstał i wyszedł z kuchni.

- Może on już nie ma tego interesu? - zwierzała się Antolka babom.

- Jak nie ma, to co tobie po nim? - pytały rzeczowo.

- Bo to to jest w sercu - tłumaczyła - tak ciśnie, boli, że opowiedzieć trudno...

Z Wierbiedź przysłała wiadomość, że Elżutka urodziła dziecko, dziewczynkę. Nazwano ją Aldona.

- Bogu dzięki - mówiła Maria. - Znaczą się, że tam lepiej między nimi, jak Leoś wrócił z tej niewoli. Bogu dzięki, to mnie wszystko zawdzięcza...

A było tak, że Leoś trafił do niemieckiej niewoli z carskiej armii. Zgonili ich, obdartych i głodnych, na placu obwiedzionym kolczastym drutem, pilnowanym przez strażę. Było to pod Wilnem. Niedaleko tego placu, w wiosce, żyła z dziećmi wdowa o czułym sercu. Wdowa piekła chleb, nosiła go pod druty, przerzucała przez nie. Kto tam był silniejszy, to go dopadł, tylko Leoś nigdy po niego nie podskoczył, nie miał siły.

- Ej, ty! - krzyknęła kiedyś wdowa. - A ty nie chcesz chleba?

- Podeszła pod same druty, tam gdzie siedział, obojętny na wszystko, co działo się dookoła. - Do ciebie mówię - nastawała wdowa - ty nie głodny? - Leos wyszeptał, że nie, bo on już umiera i ma tylko taką prośbę: jak umrze, to żeby zawiadomić jego teściową, Marię z Juryszek, która za nim zapłacze. Tylko o to mu chodziło, o tych parę łez.

Wdowa wysłuchiwała tego, rozpytała, gdzie te Juryszki, dowiedziała się, że kilkadziesiąt kilometrów stąd, daleko za Ejszyszkami. Zadziwił ją ten mężczyzna, który chciał przesłać wieści tylko teściowej. Wdowa puściła się drogą do Juryszek. Szła parę dni, na zdartych nogach doszła do folwarku, stanęła przed Marią słaniając się z wycieńczenia i opowiedziała wszystko, co i jak: że tam gdzieś pod Wilnem umiera za drutami jej zięć. Maria załadowała wtedy wóz i ruszyła z wdową w daleką drogę. Przed obozem użyły fortelu.

Wdowa podeszła do drutów, zawołała na Leosia: - Ej, ty! Chodź tu! Coś tobie powiem! - Pokazał rękoma, że nie ma siły, to wykrzyczała z daleka: - Była ja niedaleko twoich, pod samymi Ejszyszkami, ale dalej już nie doszłam, zabołały nogi.

- Boże - zajęczał Leos - Matko Najświętsza! Toż niecałe dziesięć kilometrów od mojej teściowej, od Juryszek. To już jakby przy samej krynicy była bliźniętka, blisko. Czego tam nie doszła?

- Nie bój się - uspokoda go wdowa. - Twoja teściowa tamaj stoi - machnęła ręką.

Leos zwłóknął się ostatkiem sił i podpełznął do drutów. Stała przy nich Maria. Objawiła mu się jak coś najlepszego, co może być. Dawały mu po trochu jedzenia, jak temu ptaszekowi, żeby nie umarł od nadmiaru. Codziennie go tak dożywiały, aż przejrzał na oczy.

- Teściowieńka - mówił kręcąc głową - ja zasadniczo nie chcę żyć, cóż mnie żyć, dla kogo?

- Dla mnie - mówiła Maria z mocą - i dla swojej młodej żony.

- Et! - machał ręką - Elżutka zasadniczo mnie nigdy nie rozumiała. Teściowieńka, ta wędlinka wyjątkowo smaczna i serek, i jajeczka, jak wyśniona bajka, ale po co to mnie, na co, dlaczego?

- Jeść, nie gadać tyle - nakazywała Maria. Przekupiły z wdową strażę, podchodziły bezkarnie do drutów, a Niemcy chrupali z zadowoleniem litewską suchą kiełbasę, klepali się po brzuchach.

Rada w radę, obmyśliły dalsze działanie. - Te muzyki to

niechaj tu zostaną, ale pan Leoś, szlachcic z dziada pradziada, musowo musi być zwolniony z plenu - postanowiła wdowa. Na kwaterze we wsi mieszkał komendant jenieckiego obozu, wyższy oficer. Ustaliły, że do niego musi przyjechać młoda żona Leosia, Elżunia, prosić za nim. - Ale do tego - mówiła wdowa - potrzeba prawdziwej damy. - Jaka tam z mojej Elżutki dama - powątpiewała Maria. - Musowo musi być! - nakazywała wdowa. - Inaczej niech pożegna się ze swoim mężem. A ja tu już wszystko na kwaterze przy gotuję - zapewniała - na jej widok oficer musi zapomnieć o bożym świecie. - Przy mojej Elżutce? - śmiała się Maria - co najwyżej zaśnie.

Ale kiedy zajechała do Wierbiedź, narobiła takiego alarmu, że matka i siostry Leosia pognały do Lidy, zakupiły w żydowskich kramikach, co się dało. Znalazło się stare futro ze stojącym kołnierzem, do tego mufka, do tego kapelusz w kształcie rondelka z białym strusim piórem z boku. Pod szyję wielka stara broszka - kamea. Tak wystrojona Elżutka poruszała się jak kukła. Wsadzono ją na bryczkę, dano wypucowanego woźnicę i ruszyła do nie znanego jej oficera błagać o litość dla męża. Wróciła stamtąd z Leosiem. Tylko tyle było wiadomo. - Jak mama tego dokonała? - wypytywała ją potem, słuchając tej opowieści, jej córka Aldona, ale Elżutka sznurowała usta, milczała o metodach, choć potem nigdy już nie lubiła się stroić. Zawsze w chusteczce, nigdy w kapeluszu, zawsze w za dużych, praktycznych pantoflach. A Maria wiedziała swoje: żeby nie ona, Maria, Leoś by umarł w pienie. - No i żeby nie ta miłosierna wdowa - dodawała sprawiedliwie.

Kiedy w 1920 bolszewicy szli na Wilno, Leoś uciekł z majątku, a Elżutka została z jego bratem. Czekali na bolszewików, o których opowiadano straszne rzeczy, zaszyli w piwnicy, między beczkami od kapusty. Wtedy to Elżutka zwariowała. Zaczęła nagle śpiewać, kręcić się między beczkami jak fryga, a potem wyskoczyła z piwnicy i pognała gdzieś w pole. Jakiś czas to się utrzymywało, ta nadmierna skłonność do płaczu i śmiechu, takie krótkotrwałe wariactwo. Została po nim przesadna dewocja, jakieś kajanie się, ponurość i smutek. Jej mąż, Leoś, kiedy wrócił, nie widział już tańczącej żony. Mówiło się tylko o migrenach, o tym, że Elżutce

pożycie z mężczyzną szkodzi na głowę. Leos̄ nic z tego nie rozumiāł. A teraz przys̄ła ta wiadomořć, że Elżutka urodziła cõrkę, co by oznaczało, że miõdzy nimi coř się zaczyna sklejać. Maria poszła do Naczy do kořcioła, żeby podziękować za to Bogu.

A wtedy jesienią 1920, po klęsce pod Warszawą, któregoř dnia, w pluchę, zjawiła się w Juryszkach daleka kuzynka Jadwiga. Szara podstarzała myszka, dobrze po dwudziestce. Jej ojca nazywali "Dzikim Joczem", bo kiedy się spił, zamykał swoje dzieci razem z kurami w pieczõrce pod piecem i podpalał. Odratowywano je i jakoř tam wyrosły, choć przy takim ojcu bieda piszczała po kątach. Jadwiga nosiła włosy w mysi ogonek, mrużyła oczy, bo niedowiedziała, była w sam raz dobra do robienia jej rõżnych psikusów w długie, jesienne wieczory. Ale wszystkim szybko przeszła na to ochota, bo w kuzynce odkryli coř takiego, że trzeba się z nią było liczyć. Nawet Bronisiowi zamierał w gardle wierszyk: "Joczõwna, nikomu nierõwna, tylko temu gawniaczku, co leży przy krzaczku". Jadwiga śpiewała z zapałem patriotyczne pieśni, mrużyła oczy wypatrując Kostusia, bo pokrewieństwo było takie dalekie, że można się już było żenić. „Szara myszka” w mig zrozumiała co działo się z Antolka, i od czasu do czasu kładła swą wąską rękę na plecach Kostusia, a potem zaraz cofała ją, cała spłoszona.

Cały dom kręcił się wokół Jadwigi, nawet surowa Jõzia podtykała jej co lepsze kęski, pozwalała dłużej spać, chwaliła za patriotyczne uczucia. Tylko kuzynka radziła sobie jakoř z gdurowatymi braćmi, tylko ona powodowała, że Adam pisał wiersze, takie tam zgrabne rymowanki. Kuzynka chwaliła je pod niebiosa, tak że nawet sam ojciec wstrzymywał się od powiedzenia, że „kto pisze wierszy - ten dureń pierwszy”. Tylko Maryřka nie lubiła kuzynki, a ta nie starała się jej sobie zjednać. Wiedziała dobrze, że i tak nikt w rodzinie nie liczy się z Maryřką, więc szkoda na to zachodu.

- Żeby nie ta Jadzia, nigdy by do tego nie doszło. To ona tak zawróciła Kostusiewi w głowie. On by nigdy sam tego nie zrobił - mówiła wiele lat potem Maryřka do Jõzi.

- A cõż on takiego zrobił? - dziwiła się Jõzia.

- Jak to co? Nie pamiętasz? To Jadzia namówiła go do takiej zbrodni!

- Ach, jest tam co wspominać! - jeżyła się Józia. - Że ty też zawsze coś wynajdziesz, wyszperasz, czego już nikt w rodzinie nie pamięta.

- Bo ja jestem sprawiedliwa, a wy zawsze wszystko klajstrujecie!

- Bzdury pleciesz! Jak zawsze - wściekała się Józia. - Co to za pamięć, która pamięta tylko złe rzeczy. Wszystko przekręcisz, wszystko wykoślawisz, żeby tylko nam dopiec.

- Nie wolno zabijać! - krzyczała Maryśka. - Nie wolno!

- Ciebie jakoś nikt nie zabił, to o co ci chodzi?

- Mnie też zabijali. Każdego dnia!

- Zawsze byłaś łakoma i leniwa i miałaś chorobliwą pamięć - kwitowała całe zdarzenie Józia.

Kuzynka poszła któregoś dnia na grzyby. Przybiegła zaraz z lasu cała rozgorączkowana, dopadła Kostusia, coś mu szeptą do ucha, ciągnęła w stronę świma.

- A ty skąd o tym wiesz? - zdziwił się.

- Wiem, powiedziała mi Antolka. Nie, Maryśka! - szeptą Jadzia. Na Maryskę najłatwiej było wszystko zwalić. - Szybciej! - nagliła. - Szybciej! Oni tu zaraz będą!

- Ilu ich jest?

- Dwóch. Jadą od lasu do Juryszek.

- Mają broń?

- Nie widziałam. Młodzi, mają może po dziewiętnaście, dwadzieścia lat, jedli słoninę z torby, gryźli tak, bez chleba. Jadą na zrabowanej furmance, bo koń chyba z Soboluńc, rubaszki na nich całe w strzępach!

- Przynieś tu bochenek chleba - poleciał Kostuś. - Podjedzą sobie.

Jadzia przyniosła bochenek znaczony po wierzchu krzyżem, wielki jak młyńskie koło. Przecięli bochenek na połowę, wybrali mięksiz, włożyli tam pistolet, zaklajstrowali chlebem. Czekali w domu, przy oknie. Teraz było widać jak na dłoni. Od lasu, niewyraźna w zapadającym zmierzchu, zbliżała się furmanka. Zatrzymała się przy wjeździe na podwórze, widać tamci naradzali się, co robić dalej. Kuzynka mrużyła oczy, niecierpliwie szarpała Kostusia za rękaw.

- Jada tu czy nie?! - szeptała. - Jada czy nie?!

- Ślepa czy jak?! Toż jada!

Maria patrzyła zdumiona to na jedno, to na drugie.

- Mama dajaki worek! - rozkazał Kostuś. - Szybko!

- Worek? - zdziwiła się. - A tobie on na co?

- Na chleb!

Przyniosła worek, kuzynka szepnęła coś i wzięli worek osobno i chleb osobno. Pora była najwyższa, bo furmanka skręcała już na podwórko. Kuzynka przeżegnała się i ruszyła do drzwi.

- Nie. Poczekaj! Ja idę! - zdecydował Kostuś. Wyszedł z workiem w rękach. Maryśka przykleiła nos do szyby. Widziała, jak jeden z obszarpańców złazł niezdarnie z furmanki, machnął ręką na Kostusia. Ten coś tłumaczył, pokazywał na las, tamten szturchnął go w bok, kazał wsiadać na wóz.

- Jezus Maria! Gdzie oni go biorą?! - łamała ręce Maria

Kuzynka wyskoczyła z domu z chlebem w rękach, podbiegła do nich. Coś zagadali. Ten, co był na wozie, wyciągnął rękę po chleb, kuzynka ułamała kawałek, podała mu, zaczął jeść. Tamten drugi coś zakrzyczał, pewnie, żeby szybciej. Kuzynka też wgramoliła się na wóz, ruszyli. Kostuś z kuzynką siedzieli z tyłu na gołych deskach. Stojąca w oknie matka przeżegnała ich krzyżem.

- Marysiu - powiedziała - klęknij! Pomodlimy się do Matki Boskiej o szczęśliwy powrót Kostusia. - Zmówiły litanie, potem modlitwę świętego Bernarda: „Pomnij, o najdobrotliwsza Panno Mario, że od wieków nie słyszano, aby kto, uciekając się do Ciebie, Twej pomocy wzywając, został od Ciebie opuszczony...”

Ciemno już było na dobre, kiedy wrócili kuzynka z Kostusiem. Wszyscy siedzieli akurat w kuchni, przy kolacji. Dymiły polane skrawkami kartofle, w drugiej misce czerwienił się barszcz. Jadwiga w niczym teraz nie przypominała „szarej myszki”. Policzki płonęły jej ogniem, jaśniała cała.

- Mów, Kostuś! - pisnęła.

- A gdzie Antolka? - zaniepokoił się.

- U Szumiatowej, przęda z babami - powiedziała matka.

- Siadnijcie - zrobił im miejsce przy stole ojciec - my w sam raz kolacjować zaczęli.

Ale łyżki już nie wróciły do misek. Jadwiga, cała rozgorączko-

wana, pochyliła się nad stołem. - Już po nich - zapiszczała. - Szyto, kryto i bez hałasu! Nawet nie zdążyli achnąć.

- Co ona gada? Koszuś? - przestraszyła się matka. - O czym ona?

- Wiadomo o czym, o bolszewikach - mruknął.

- O bolszewikach?! Marysiu - krzyknęła - wyjdź natychmiast!

- A Janeczka? A Bogdan? - zaprotestowała Maryśka. - Oni mogą słuchać, a ja nie?

- Ty nie możesz, boś durna, gdzieś coś językiem tapniesz! Wyjdź!

Wyszła, ale przez zostawioną w drzwiach szparę widziała i słyszała wszystko. Widziała, jak kuzynka, cała rozogniona, szeptała coś do ucha matce, ale ta odsunęła się od niej na koniec ławy.

- To trzeba było zrobić - powiedziała głośno oburzona kuzynka. - Żeby nie my ich, to oni by nas. Jeden włożył już rękę...

- Włożył! Do rozporoka! - zarechotał Koszuś. - Oni nie mieli żadnej broni. Jak dostał w plecy, koń poniósł, my wyskoczyli, a koń ich pociągnął nieżywych jak zakłute kabany...

- Bronisz! A co ty same skwarki wyjadasz! - huknął ojciec.

- Ja?! Słucham, słucham!

Maria podniosła się z ławy. - Koszuś - powiedziała - zabił ty dwóch niewinnych ludzi. Trzeba iść, gdzie zgłosić, odpokutować.

- Zdumiała mama czyjak? - mruknął Koszuś. - Niewinnych! Lepiej mama da jakiej kiełbasy czy czego, co, sam barszcz będę jeść?

- Ja ci przyniosę zaraz ze spiżarni - zaofiarowała się kuzynka, ale matka zgromiła ją wzrokiem i wyszła na korytarz. Maryśka nie zdążyła nawet odskoczyć od drzwi.

- Chodź, Marysiu - powiedziała łagodnie Maria - pójdziemy się pomodlić.

Maryśka zapamiętała wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. I chwijny blask świecy, którą niosła matka, i cienie na jej policzkach, przywiedłych jak jabłko, które chwyci na drzewie pierwszy mróz, i krzyk nocnego ptaka w sadzie.

- Poszukaj w książeczce modlitwy za umarłych - powiedziała matka.

Kartki szeleściły, wypadły z książeczki święte obrazki, jakieś zasuszone kwiaty.

- Tocząborek - powiedziała matka i pokruszyła go w rękach.

- Jak Kostuś się urodził, szłam przez łąkę do ciotki Bogusi, zerwałam go i zasuszyłam. Powąchaj, jak pachnie.

- Wiem, jak pachnie.

- Co wiesz? Nic nie wiesz! - oburzyła się matka. - Po co było rodzić dzieci?

- A ja, ja chcę mieć dzieci, żeby mnie kochały.

- Nikt nikogo nie kocha. To irunda na postnym maśle! - powiedziała matka.

ROZDZIAŁ X

Wjakiś czas po wojnie Maryśka uświadomiła sobie, jak bardzo jest już stara. Ma ponad dwadzieścia lat, tyle życia za sobą, a przed sobą szare dni w rodzinnym domu, które biegną szybciej i szybciej, bez żadnej nadziei. Bo nadzieja mogła być tylko jedna: uciec stąd od gburowatych braci, od kwaśnych min Józki i nieczułości Janeczki, którą wszyscy w rodzinie podziwiali, że taka sprytna do polowania. To ona przynosiła z lasu zające, to jej trafiał się koziołek czy dzik. Zasadzała się sama albo z Bronisiem w leśnych chaszczach, miała najlepsze oko i niezawodną rękę. To wypełniało jej życie. Nie najładniejsza, z haczykowatym, cienkim nosem, ale zgrabna, ogorzała od włóczenia się po polach i lasach, niewielką miała szansy na zamążpójście.

A o tym marzyła Maryśka brodząc po łąkach, wysiadując nad sadzawką, i to w czasie największej roboty, kiedy Józka, matka i ojciec uwijali się jak w ukropie. Wtedy to od rana rozlegało się wołanie:

- Maryśka! Gdzie znowu polazła?! Trzeba bab pilnować na polu! Maryśka!!! Nieudałota jedna, darmożjad! Na wsi żyje, a do pola nie pójdzie za nic. Tylko by sprzątała i myła się, myła się i sprzątała! Do czego to podobne?!

Naganne było wszystko, co robiła, ale przede wszystkim częste mycie się. Myć się parę razy dziennie? Kto to widział? Jak Juryszki Juryszkami, nikt nie pochwalał takiej przesady. Potrafiła też długie chwile spędzać przed lustrem, ale nie po to, żeby stroić się czy fryzować, ale z różnych stron oglądała tę swoją nieszczęsną głowę, o której od dziecka słyszała tyle złego, że durna, słaba, niedowarzona i co tam jeszcze. Studiowała siebie kawałek po kawałku. Lustro ukazywało bure, śmiejące się oczy; za małe, rozważała, takie tam szparki; czoło chyba za niskie, nos - nic szczególnego; usta? Lustro mówiło, że są bardzo kształtne. Czy o tym myślała jedna z kuzynek, która kiedyś zauważyła mimochodem, że Maryśka ma pełne usta? Ale czy pełne to znaczy ładne? Tak powiedział kuzyn i nieoczekiwanie pocałował ją. Jakby prąd ją przeniknął i zrobiło się ciepło, gorąco w dole brzucha. Dlaczego to spłynęło od ust aż tam? Kuzyn nie pocałował jej już więcej, unikał Maryśki

spłoszony, aż wyjechał do Wilna, bo w Juryszkach był na wakacjach. Ale najważniejsza w tych rozważaniach przed lustrem była głowa. Jaka ona jest? Czy to widać, że słaba? Czy to po niej widać?

Sprawa głowy została ostatecznie wyjaśniona u stryjenki w Wilnie. Wysłali ją tam na naukę szycia. Stryjenka mieszkała w pięknej kamienicy na Portowej, była bogata i z jej zdaniem każdy się w rodzinie liczył. Nosiła długie suknie, wielkie broszki pod brodą, miała dużą, słoniową twarz i wiecznie malujący się na niej wyraz pogardy dla każdego, kto stał choć trochę niżej. Poślubiła parę lat wcześniej nie kochającego ją męża, rodzzonego brata Andrzeja z Juryszek, który za cenę dostatniego życia w kamienicy po jej pierwszym mężu upodabniał się powoli do niej i przytakiwał jej we wszystkim. Po dużych pokojach, gdzie w salonie przed kominkiem drzemały podparte rękoma porcelanowe krasnale, jeden z fajką, drugi z czerwonym grzybem, snuła się siostra stryjenki, zawsze ubrana szaro, nabożna i dobrotliwa; zdana na łaskę zamężnej siostry, ratowała się bieganiem do kościoła i długimi modlitwami. Nikomu w tym domu nie wolno było nadużywać wody w klozecie - kamienica była skanalizowana, rzadkość w owych czasach. Więc kiedy ktokolwiek zasiedziało się w tym przybytku dłużej, stryjenka pilnowała, aby czasem nie za dużo spuścił wody, i często rozlegał się jej krzyk: - Ile tam wody lejesz?! Za to trzeba płacić! - Marynia, siostra, zapewniała ją wtedy gorąco, że zlała tylko troszeczkę, że pociągnęła za mosiężną gałkę tylko raz, słabiotko, ale stryjenka wiedziała lepiej: wszyscy ją oszukują, nawet rodzona siostra, nie mówiąc o mężu, niewdzięczniku, któremu zapewniła przy swoim boku tak dostatnie życie. Godzinami roztrząsała problem nadużywania wody, światła i opału. Wspaniałych tematów do rozmów małżeńskich dostarczały też służące, zmieniające się jedna po drugiej. W pozornym podporządkowaniu męża tliły się załóżki przyszłego buntu. Czasem nieoczekiwanie zagwizdał głośno, puścił duży strumień wody w łazience albo dał służącej ni z tego, ni z owego pięć groszy na drobne wydatki. W oczach stryja płonął niekiedy dziki blask nadziei, bo stryjenka miała „żabę serca” i lekarz zakazał jej denerwowania się.

Do tej to „stryjenki z Portowej”, bo tak ją nazywali, trafiła, po

długich rodzinnych podchodach i targach, Maryśka na naukę szycia. Targi dotyczyły wysokości opłat za kącik w służbówce, którą miała dzielić ze służącą.

Stryjenka ujrzała Maryśkę po raz pierwszy, bo nigdy nie była w Juryszkach, a jej kontakty z bratem i rodziną męża ograniczały się do przyjmowania od nich litewskich wędlin, o których z takim zachwytem opowiadał jej mąż. Przywozili wędliny na Portową Maria, Józia albo Andrzej, bo innym członkom rodziny nikt by nie powierzył tak cennego ładunku. Stryjenka brała wtedy w pokryte brązowymi plamami, opierścienione palce kawałek kiełbasy i niosła ją do nosa. - Wspaniałe! Pyszne wędlinki! - zachwalał mąż. - Ujdą - kwitowała sucho stryjenka i kazała wynosić je do niedostępnej, zamykanej na klucz spiżarni.

Kiedy Maryśka zjechała do Wilna, dygnęła przed stryjenką i stryjem i poszła się obmyć trochę po podróży - usłyszała za sobą uwagę o oszczędzaniu wody. Pierwszy raz w życiu widziała łazienkę, kran z wodą, z którym nie umiała sobie poradzić. Wracając stamtąd swoim domowym zwyczajem przystanęła cicho przy nie domkniętych drzwiach.

- Brzydka ta Maryśka jak nieszczęście, włosy rzadkie, głowa jak ten stułbun i tak wygląda, że na pewno nie potrafi szyć. Ale jak ktoś ma tyle dzieci co Maria to nic dziwnego, że takie coś się urodzi - mówiła stryjenka do stryja.

- Ale sympatyczna dobrze jej z oczu patrzy - oponował nieśmiało stryj.

To nie była żadna dla Maryśka pociecha. Słyszała już w domu o tej głowie nie raz, ale dom był jej zawsze wrogi, a teraz zostało to powiedziane dobitnie i to przez taki autorytet, jak „stryjenka z Portowej”.

Przewidywania co do jej umiejętności krawieckich sprawdziły się w całej pełni. Potem zawsze powtarzała, że ma „wstręt do igły”. Długo też nie zabawiła na Portowej. Powrót do domu był kłęską, sprawdziły się najgorsze przypuszczenia rodziny: Maryśka nie tylko nie miała drygu do gospodarki, ale i do igły również.

Teraz zostało jej już tylko starzenie się w Juryszkach i czekanie na męża. Chodziła po łąkach i marzyła, że nieoczekiwanie zjawi się ten ktoś, kto odmieni całe jej życie. Tak pięknie śpiewano o

tym w piosence o kochankach Wandzie i Edwinie, których na wieki rozdzieliła śmierć. Dobrze było śpiewać tę piosenkę na łące, robiło się wtedy tak czule i rzewnie. Z tych wędrowek po bujnych łąkach i laskach zapamiętała zapach cząborku, co potarty w palcach pachnie słodko-gorzko, czymś nienazwanym, jakby tęsknotą. Lubiła płakać. Wzruszała się do łez wierszem o kolorze czarnym. Pasował do jej życia:

Będę śpiewał kolor czarny,
Bo to kolor mój,
Ja w kolorze całym czarnym
Widzę przeszłość swą.

Drogi z Juryszek rozchodziły się promieniście, jedna szła do góry, na lodownię i las, druga na mogiłki, trzecia pośród przy-lasków i rojstów do sąsiednich Soboluńc. Ten po nią mógł przyjechać od lodowni, to znaczy z pobliskich Ejszyszek, a jeżeli od stacji, to od Oran albo Bieniakoń, tą drogą, co żłobiła żółte koleiny między polami. Właściwie każda droga była dobra, każda mogła być tą, po której on wreszcie przyjedzie. Na razie przyjeżdżał do ojca masarz z Ejszyszek, rosły, zwalisty. Robił bardzo dobre wędliny, skupował wieprze. Strzelał też oczami za Maryską, z czego wyśmiewała się cała rodzina, ale kiedy tak jeździł przez cały rok, rodzice zaczęli patrzeć na to inaczej. Aż kiedyś wbity w czarny garnitur wpadł ot, tak sobie, bez żadnego pozornie interesu.

- A co to Bartoszewicz taki podstrojony? - dziwił się Andrzej.
- Co to za okazja?

- A ot, każda okazja dobra, żeb co stargować - śmiał się Bartoszewicz wodząc oczami za Maryską.

- Przynieś ciasteczka! - nakazała matka.

- Nie ma ciasteczek, mama, Broniś z Bogdanem wszystkie wymiedi - skłamała Maryska. Dla Bartoszewicza niczego nie było, ani uśmiechu, ani spojrzenia, ani dotknięcia elektryzującej ręki, bo tak lawirowała, żeby mu jej w ogóle nie podawać. Toteż posiedział markotny i pojechał, Jakby mydła zjadł", jak potem mówiła.

- Bądź co bądź - rozważał ojciec - ma sklep w Ejszyszkach, rozwija interes, a tobie lata lecą.

Ale Maryśka postawiła się ostro. Nie pójdzie za takiego, co przedstawiając się mówi o sobie: „Jestem pan Bartoszewicz!” Poczuli taki wstręt do mięsa i wędlin, że jakiś czas nie mogła na nie nawet patrzeć.

Później pojawił się skądś młody nauczyciel, Dowgił. Już samo imię miał takie jak Edwin z ulubionej pieśni, a do tego przyćmione mgiełką spojrzenie i twarz bladawą, podługowatą, nie żadne tam wypchane mięsem policzki.

- Ale co on ma? Skąd on jest? - dopytywał się ojciec.

To było zupełnie nieważne, bo Dowgił miał wszystko w sobie, i tę elektryczność, która aż parzyła przy zetknięciu z jej ręką. Rodzice wyczuli niebezpieczeństwo. Maryśki nie wolno ani na moment zostawić z nim samej - postanowili.

- Maryśka robi „gościnną minkę” - donosił rodzicom Bogdan.

- Idź tam do nich i siedź! - nakazywali.

I kiedy Maryśka marzyła o stoliku nakrytym serwetką, pod lampą, o pachnących wanilią ciasteczkach i o wielkiej bliskości między nią a Dowgiłem, która by pod tą lampą promieniała, przy herbacie, Bogdan wyżerał ostatnie ciasteczko, a Dowgił, tłumiąc ziewanie, rozprawiał o pogodzie.

- Tak trzeba - mówiła matka - masz za duży temperament.

Bogdana zastępował Broniś, który zachowywał się jeszcze bezczelniej, bo ponieważ ciasteczek już nie było, nie spuszczał z nich wołowych oczu, tak że nawet rozmowa o pogodzie zamierała.

- Jeszcze nam kiedyś za to podziękujesz - mówił na jej skargi ojciec - ten nauczyciel to człowiek niewiadomego pochodzenia. A zauważyłaś, jak on tu się wszystkim rozkoszuje, jak zachwyca, a to „pyszna wędlinka”, a to „pachnące masełko”, a „kołduny takie, że tylko całować rączki gospodyni”, znaczy, że hołysz, przyjeżdża tu tylko po to, żeby sobie dobrze podjeść.

- Delikatny jest! - wołała Maryśka. - Ale czy wy to kiedykolwiek zrozumiecie?! Nigdy! Przenigdy!

Maryśka robiła Dowgiłowi na drogę kanapki, chciała go choć trochę odprowadzić, choć do mogiłek, choć do lasu, ale mowy o tym nie było.

- Przecież Walukiewicz powozi! Co mnie się może stać?! - wołała.

- Walukiewicz na bryczce drzemie, stary już jest, on tam niczego nie dopatrzy.

Tak więc Maryśka podawała na odjezdnym Dowgiłowi kanapki, w które spływała cała ta „elektryczność”, a ten podnosił jej rękę do ust i tak trwali przez chwilę. Konie oganiały się ognami od much, Walukiewicz „woził Zydy”, czyli podrzemywał na koźle, a ona z Dowgiłem nie mogli rozpleść rąk.

Nauczyciel odjeżdżał, a Maryśka gnała nad sadzawkę i deklamowała wiersz o ptaszku. „Czemuś tak smutna, ptaszyno mała?...”, bo było jej tak rozpaczliwie rzewnie.

Dobrze było to mówić, żeby wywołać ten rozdzierający żal za wszystkim, co może dać jej Dowgił, ale nie da, tak pilnowany, niczym jej nie obdaruje poza tęsknym spojrzeniem i bladawym uśmiechem. I tak to trwało czas jakiś: jego przyjazdy, jej ciągła tęsknota. Bracia na zmianę twardo tkwili przy młodych i bezczelnie wyżerali waniliowe ciasteczka. Niedopowiedziane słowa wędły, spadały bezszelestnie na serwetkę. Kiedyś tę ciszę rozerwał nagły rechot Bronisia.

- Ach, cóż to się stało, Bronisiu? - pytała sztucznie Maryśka.

- Z czego się śmiejesz?

- Sraka siedzi na płocie! Będą goście! - rechotał Broniś pokazując na okno.

Maryśka oniemiała na takie prostacktwo.

- Chyba sroka? - zauważył grzecznie Dowgił.

- Sraka! Sraka! - darł się Broniś.

Maryśka spłonęła cała krwawym rumieńcem. Od tego zdarzenia zaczęła zaciekle walczyć o swoje szczęście. Zdobyła gdzieś przepis na nowe, pyszne ciasteczka. Piekła je w tajemnicy przed czeredą. Upieczone trzeba było schować tak zmyślnie, żeby do nich bracia nie dotarli; te miejsca były coraz dziwniejsze: a to pod balią, a to pod piecem, a to w pudłach od kapeluszy. Dodawała te ciasteczka do Dowgiłowych kanapek i czekała na rezultat. Czy on doceni ich inny, wspaniały smak?

Ale skończyło się nieoczekiwanie. Raz, kiedy pewnego sierpniowego popołudnia odjeżdżał na dworzec, żegnany czułym spojrzeniem, Maryśka po powrocie Walukiewicza wdała się z woźnicą w rozmowę o Dowgile, bo już była spragniona nowych o nim wieści.

- I co tam, Walukiewicz? - zagadnęła. - Jak tam panicz odjechał? Smutny był?

- Jak by tu powiedzieć, żeby nie skłamać? - podrapał się w głowę parobek. - Żeby tak smutny, to nie za bardzo...

- Pewnie nie dał niczego po sobie poznać. On taki dumny.

- Musi, że tak - zgodził się dobrotliwie Walukiewicz. - Bo zrazu zabrał się za oglądanie kanapek, znaczy się, z czym one w środku.

- Przecież jadł kolację! To znaczy, że był jeszcze głodny?

- A ja tam wiem, panienka? Musi, co był...

- Ech! Z Walukiewicza to trzeba ciągnąć obcęgami. Ale co powiedział? Że dobre, że wędlinka mu posmakowała? A potem coś mówił?

- A mówił, znaczy, pytał się...

- O mnie?

- O pola.

- Jak to o pola? Co Walukiewicz plecie?

- Dalbóg, panienka! Pytał się, czy ta hryczka przy kruszni też juryska, czy dużo nasz pan ma pola...

- I co Walukiewicz powiedział?

- Że dużo, będzie ze sto hektarów. Ale ona gada że dzieci w Juryszkach jak nasrano i że same laski i piaski, tylko hryczka rośnie. Znaczy się, mówi, że to „hreczkosieje”. Tak powiedział. I taki jakiś zły stał się, naburmuszył się czegoś, no i tak my dojechali do stacji.

- A dał coś Walukiewiczowi za powożenie?

- Co to, to nie, panienka. Kiedyś coś tam kapło parę groszy, ale w ten raz nie dał.

- Niemożliwe?! To ja... to ja... Walukiewicza wynagrodzę...

- I on także samo powiedział, że panienka mnie wynagrodzi, bo on groszem nie śmierdzi.

Dławiąc się łzami wyniosła woźnicy kilka zaoszczędzonych złotych. Chwalił ją długo pod niebiosa i czapkował. Pobiegła wypłakać się nad sadzawkę. Chmurzyło się pod wieczór, horyzont stał się czarny. Skoszona łąka pachniała śmiercią i przemijaniem. Weszła do sadzawki w sukience podwiązanej pod brodą. Z mulistego dna oderwały się pijawki, jedna szukała miejsca na jej nodze,

ohydna, śliska. Szare baki otoczyły ją chmurą, cięły przed deszczem zachłannie. Po co żyję na tym świecie, Jezus Maria, po co ja jeszcze żyję? - myślała Maryśka wchodząc głębiej w wodę. Jeżeli się utopię, tu, zaraz, to nikt po mnie nie zapłacze, chyba ta czarna, nadciągająca chmura... Woda mąciła się przy każdym kroku, od dna podnosił się wir mułu. Tylko przez to przebrnąć, tylko być bliżej środka, tam już czysta, bijąca wiecznie krynica. Woda sięgnęła jej już pod same piersi, mocząc sukienkę. Przez głowę przelatywało tysiące myśli: co on w tej chwili robi? Czy już zajechał pociąg? Gdzie Józia schowała salceson? Najlepsza jej sukienka niech będzie dla Antolki, może ją wspomni... I jeszcze jakieś strzępy z przeszłości, nieważne, drobne chwile. Burzowa chmura wypełniała już pół nieba, przeleciała przez nią daleka błyskawica. A ta elektryczność we mnie. Co z nią? Nigdy się nie dowiem? Zamoczę całą sukienkę!

Wygramoliła się z sadzawki, położyła na miękkim pokosie trawy. Może poczekać, aż strzeli we mnie piorun?! - pomyślała. Ach, nie, to musi być straszna śmierć. Wzdrygnęła się. Ulgę przyniosło wielkie i nieoczekiwane pragnienie życia. Biegła szybko do domu, żeby zdążyć przed nacierającą burzą, na ukos przez pokosy siana. Spod nóg przyskały w górę małe żabki, jaskółki przecinały niebo nisko, coraz niżej. I jakoś, nie wiadomo dlaczego, poczuła słodycz i ulgę.

ROZDZIAŁ XI

Na razie nadzieja na zamażpójście zaświtała najstarszej, Józi. Z Łazun, ładnego mająteczku, gdzie bywała co jakiś czas, żeby pomóc owdowiałemu stryjowi w gospodarce, przywiozła kiedyś fotografię. Stała na niej w krakowskim stroju z długimi do kolan wstążkami i z łaskawszą niż zwykle miną. Obok niej, niedbale oparty o płot, patrzył w dal starszawy już mężczyzna w mundurze, o nieodgadzionym wyrazie twarzy.

- Andrzej, co o tym myślisz? Czy on czasem nie ma jakich zamiarów co do naszej Józi? - spytała Maria podsuwając mu zdjęcie pod nos.

- Chyba durny by był - skwitował Andrzej. - Kto by taki kołtun na głowę brał? Józia ma charakter z piekła rodem, każdy o tym wie.

- Ale on nie wie, gdzie Łazuny, a gdzie Juryszki?

Posłali list do stryja do Łazun. Długo nie odpisywał, aż w końcu doniósł rodzicom, że owszem, że jest taki, stateczny, porządny człowiek, w randze kapitana, nazywa się Feliks Górny, który bywa ostatnio w Łazunach tylko ze względu na Józię. Ta wyparła się wszystkiego, ale w niedługi czas potem napisał do Juryszek sam zainteresowany z zapytaniem, czy może złożyć wizytę. Odpisali, że owszem, będą radzi.

Którejś niedzieli przywiózł go ze stacji Walukiewicz. Z fasonem, trzaskając biczem zajechał bryczką przed ganek. Z bryczki wygramolił się tęgawy mężczyzna za nim ordynans z podróżną torbą w ręku. Gościł dwa dni, oglądał całe gospodarstwo. W niedługi czas potem oświadczył się o rękę Józi i został przyjęty. Wypytywany przez Marię woźnica nie puścił pary z ust, choć grubo potem wydało się, że i ten pretendent do ręki zasięgnał u Walukiewicza szczegółowych informacji co do stanu juryskiego majątku.

- Czemu Walukiewicz nic wcześniej nie powiedział?! - nasiadła na starego Maria.

- A co ja miał gadać, pani - drapał się po głowie Walukiewicz - oczów nie mieli zawiązanych, same widzieli, kogo ja przywiózł. - Tłumaczył się, ale patrzył chytrze na bok. - To pan z panów - dodał.

Pan z panów był goły jak święty turecki. Pochodził z biednej rodziny z Lubelszczyzny. I okazało się już po niedługim czasie, że Feliks Górny też miał charakter z piekła rodem.

- Wszystko to przez Walukiewicza, tego starego durnia! - narzekła Maria. - Żeby co powiedział. Przecież takie wypytywanie o majątek świadczyło o tym, że na Józi mu nie zależy.

- A mnie Walukiewicz powiedział o Dowgile, mnie otworzył oczy, trzeba było i Józi ostrzec w porę. Walukiewicz to zawsze najlepiej wie, kogo wiezie - mówiła do starego Maryśka.

- Karszun jego tam wie! - wzruszył ramionami woźnica. - A choćby co i wiedział, to nie powiedziałby. Niechaj juryskie pany teraz poskaczą, niechaj! Mnie panienci Marysi prosto żal było, bo kto mnie słoninki dawał, kto mąki na wiosnę ze spiżarni wynosił, jak nie panienka? A panienka Józia nos do góry drze, to niechaj teraz popłacze. Panienczka to najlepsza z całej familii, panienczce Marysi należy się w życiu dobry los.

Maryśka pocałowała starego w pomarszczony policzek. - Ach, Walukiewicz! To Walukiewicz tak mnie lubi?

- A jak! - cmoknęła ją w rękę. - Wszystkie juryskie parobki panienkę najwięcej uważają. Zło rozchodzi się daleko, ale dobro jeszcze dalej.

- Trzeba było słuchać tego ordynansa. Ten najwięcej wiedział - biadoliła Maria.

Ale ordynans zdradził się ze swoim sądem tylko do Antolki, której, choć powtórzyła wszystkim tę opinię, nikt nie dawał wiary. - I co on powiedział, co? - dopytywała się poniewczasie Maria.

- Idry twojupalku! A czegoż raniej nie słuchali?! A powiedział, że szkoda tej panienki dla jego pana, że ona zapłacze gorzkimi słozami - triumfowała Antolka.

- Już ścichnijcie! Dosyć tego! - zniecierpliwiał się Andrzej. - Babskie oczy zawsze na mokrym miejscu. Teraz Józia poczuje, jak to jest, bo tu niemożliwie się panoszyła, jak ta szara gęś!

Z Zaosia, gdzie na kilkunastu wziętych w posagu hektarach budowała się Józia, dochodziły coraz gorsze wieści. Feliks Górny przywiózł z Wilna wielkiego czarnego psa, którego szczuł na żonę i okolicznych chłopów.

- A pani - opowiadali Marii - a pani, miluśka, nie powierzy!

On prosto jak cieluk, a oczy u niego żółte jak u wilka. Skacze na człowieka, przyciska do ziemi i dusi.

Pies nazywał się Iwar i sąsiedzi opowiadali, że ulubioną zabawą Górnego było straszenie nim Józki. - Iwar, weź tę babę! - wołał i pies leciał z głośnym charkotem do Józki, stawał na tylne łapy, powalał ją na ziemię. Dopiero na gwizd Górnego wracał do pana i domagał się nagrody.

- Jezus Maria! - biadoliła pani. - Andrzej, jedź do nich! Przecież on ją zadusi!

- Pożyjem, to zobaczymy, kto kogo - mruknął Andrzej, ale pojechał do Zaosia. Dojrzał tam nie tylko psa, lecz i wielkiego ogiera, chowanego samopas, biegającego luzem po podwórku. Dawno trzeba było taką bestię wytrzebić, przymusić do pługą żeby darmo owsa nie jadła, ale Górny nawet słyszeć o tym nie chciał. Wyuczał i ogiera różnych sztuczek. Teraz za idącą po podwórku Józkią cwałował ogier i pies, lecz po jakimś czasie i jeden, i drugi uznali w niej tę, która daje jeść. Tylko tyle. A Józka, ta praktyczna trzeźwa, skąpawa w jakiś sposób uznała niezależność i dzikość zwierząt, może nawet przywiązała się do nich. Wezwana pilnie do Juryszek, zjechała na furmance z podniesioną wysoko głową. Maria otworzyła dla niej szeroko ramiona gotowa przygarnąć, pocieszyć, ale Józki jakby tego nie dostrzegła. - Mama posłała po mnie? Po co? - spytała wyniośle.

- Córcia, miła moja, rodzona - zaczęła usadowiwszy Józkię w salonie, pod lampą, matka - to wszystko tylko moja wina...

- Jaka wina? - uniosła brwi Józka.

- Zostawili my ciebie z ojcem w wojnę, uciekli. Anusia przy tobie umarła ty tyle przeżyłaś, moje dziecko, co to, ja nie wiem?...

- Ale o czym mama? Co ma piernik do wiatraka?

- O twoim losie, córcia, o twoim losie - ciągnęła nosem Maria - za takiego zbója wyszłaś! Co to, ja nie wiem? Wszystko mnie ludzie donieśli.

- Wyszłam, bo chciałam - powiedziała twardo Józka. - Ja - odrzuciła do tyłu głowę - ja... nie żałuję.

Maria wstała, pobladła ze złości.

- Nie żałujesz?! Ale on wstyd nam robi na całą okolicę! Baby z Krzywili były na jagodach, to psem poszczuł, spódnice, bluzki na nich potar mosił, jedna aż konwulsji ze strachu dostała.

- To po co baby łążą po naszym lesie?

- A ciebie? Ciebie też podobniez szczuje! Wymyśla od ostatnich! Służońca gadała, że słowem do ciebie się nie odezwie, tylko na kartkach pisze rozkazy, co trzeba zrobić, że nakarmić psa albo wypuścić ogiera. Taki wstyd, taki wstyd! Ze wstydu nie ma gdzie oczu podziąć - krzyczała Maria.

- Która to powiedziała?

- Co? - nie rozumiała matka - co?

- Która to powiedziała? Popamięta to! - wycedziła Józia. - Pewnie Szumiatowa co podpatrzyła, jak len od mamy przyniosła, bo myszkowała po łąkach. A len był z paździerzami, nie do przędzenia...

- Z paździerzami? - klasnęła w ręce matka. - Widział to świat! Cała karzinka pięknego lnu!!! Tobie to żeby masłem i miodem posmarować, nie dogodzisz! - płonęła cała ze złości. - A co do tego twojego Górnego, tak zwanego męża...

- Mój mąż i moja sprawa! - ucięła ostro Józia.

Maria po tej rozmowie leżała długo na kanapie w ciemności, z okładem octowym na głowie. A Józia w jakiś czas potem zażądała dwóch pościątek, których rzekomo nie dostała w wianie.

- Ta to by plewkę z gówna zdarła - zauważył ojciec. - Ktojej te pościatki zaniesie? Bo konia gonić szkoda.

- Ja poniosę - zgłosiła się Antolka.

- Nie boisz się, Antosiu? - spytała Maryśka. - Ja bym się bała.

- Panienczka, mileńka, mnie żaden zwier rady nie da - zaśmiała się Antolka.

I nie dał. Iwar dudnił szczekiem na całą okolicę, stojąc na dwóch łapach, zwieszał ziejący pysk przez sztachety. Trzeba było wołać i czekać. Śmiało wsadziła rękę przez furtkę, odsunęła skobelek, weszła. Iwar podskoczył do niej w wielkim pędzie, ale zniewolony jej wzrokiem zdumiał, stanął z otwartym pyskiem, na rozstawionych szeroko nogach. Nie zagadała do niego ani nic. Patrzyli sobie przez chwilę w oczy. Pies udał nagle, że coś odwróciło jego uwagę w głębi podwórza, pokłusował tam ciężko.

- A gdzież to Iwar? - zdumiała się Józia, kiedy ujrzała dziewczynę w otwartych drzwiach domu.

- A chto to taki? - spytała Antolka. - Aaa, ta sobaka? Lata po dziedzincu jak durny. Musi kury goni. Ma panienka pościółki - rzuciła worek na ławę - i pokłony od całej familii. Do nóżek padają i o zdrowie pytają - zadrwiła.

- Jak to? On naprawdę nic ci nie zrobił?

- Zwier zwiera zwąchał, panienka - zaśmiała się dziewczyna.

Od tego czasu tylko jedna Antolka kursowała między Juryszkami a Zaosiem, bo nikomu niespieszno było odwiedzać Józia i Feliksa.

Ale po jakimś czasie przestali przejmować się Józia, bo tu na miejscu, w Juryszkach, działy się gorsze rzeczy. Narastało to już dawno, spór między ojcem a synami. Skakali sobie do oczu, po jednej stronie Kostuś z Adamem, po drugiej - ojciec. Szło o gospodarkę, o to, jak siał, orać, żąć. Adam sprowadził specjalny gatunek pszenicy aż z dalekich Puław, coś tam się nie udało, pszenica wyległa, była strata. Potem nastąpiła historia ze sztucznymi nawozami. Zamówili, bez wiedzy ojca, tomasynę, saletrę. Tego już było dla Andrzeja za wiele. Nazwał to szatańskimi wymysłami; przecież dość było gnoju w oborze, po co jakieś sztuczne proszki, co to tylko ziemię trują. Adam z Kostusiem stawiali się ostro, tylko Broniś przyjmował wszystko spokojnie, powolny z natury, flegmatyczny, pierwszy do miski i ostatni do roboty. Kiedy bracia kotłowali się z ojcem, Broniś wciskał czapkę na łysinę i szedł do czworaków, do parobków, poszczypać parobkowskie baby albo poopowiadać po raz któryś, jakiego to psikusa Maryśce zrobił, kiedy nocował w Juryszkach Dowgił. Psikus polegał na schowaniu w łóżku Marysi Dowgiłowych skarpetek. Gość szukał ich wszędzie od samego rana, a Broniś wyciągnął je w końcu z łóżka siostry i długo rechotał, bijąc się rękoma po udach. Takie to i inne kawały należały do stałego repertuaru Bronisia. Zawsze potrafił świetnie wyczuć słabe strony delikwenta i kiedy do Juryszek zjeżdżał gość szczególnie uczulony na sprawy czystości, pewne było, że znajdzie na talerzu kilka much albo mysich bobków. Największa była radość, kiedy krótkowzroczna kuzynka Jadwiga nie umiała odróżnić ich od skwarek.

- Podjadła sobie, a? - rechotał Broniś. - Smakowali muchi?

- Co? - pytała nieprzytomnie, podnosząc do oczu łyżkę.
- Skwareczki trochę przeskwarzone - zagadywała Maria.
- Skwareczki! Dajmy na to - rechotał Broniś. - No, taskwareczka nóżkami przebiera, a, o, niech zobaczy!

Kuzynka ledwo zdążyła dobiec do wygodki w sadku. Krzyczała przez wycięte serduszko, żeby nikt się nie zbliżał. Długo potem nie mogła niczego tknąć i podnosiła do samych oczu łyżkę z barszczem, a prawdziwe skwarki wykładała na talerz. Chyba to ostatecznie zdecydowało, że Jadzia straciła ochotę na Kostusia i przestała bywać w Juryszkach.

- Widziałas, jaka to obrzydliwa! Teraz to muchy boi się, a kiedyś to ni Boga, ni ludzi się nie bała, żeby takie coś z Kostusiem zrobić - szeptwała Andrzejowi Maria.

- Scichnij! - nakazał.

- Ja ścienne, ale Bóg i tak wszystko widzi. On jest świadkiem. Przed nim nigdzie nie schowasz się, nie ma obawy.

- Patrzajcie, własnego syna szkaluje - dziwił się ojciec.

- Choć on syn, ale winny jest śmierci.

- Ścichnij, babo! Zamilcz lepiej!

Zamilkła, ale nigdy już nie było żadnej czułości pomiędzy nią a pierwotnym synem. Już nie mówiła, że dzieci to jak palce u rąk, każdy skaleczony boli. Kiedyś powiedziała Marysi, że jeden palec sobie ucięła; nie ma w jej sercu już Kostusia.

Próbowała godzić synów z ojcem, ale kiedy tak płonęli naprzeciw siebie jak trzy smolne łuczywa, ustawała, nie dawała rady. Bronisiowi, mimo że nie wdawał się w spory, ojciec też dokuczał. Nie wiadomo dlaczego, przezywał go „Litwin, kiszka, baranek boży” i za każdym razem, szukając go, wołał na całe podwórko: - Gdzie ten Litwin, kiszka, baranek boży?! - A Broniś odskakiwał od dziewczyny w maliniaku albo w stodole.

- A cóż to stało się? - pytała pod nim śpiewnie. - Co?

- W dupie szkło! - parskał ze złości. - Tatko mnie woła.

Do Juryszek przyjeżdżała na wakacje bogata kuzynka z Wilna, cała w loczkach i falbankach. Tej kuzynce, do której zalecał się też przyjezdny nieśmiały kuzyn Henryk, zachciało się mieć od niego pamiątkowy wierszyk w sztambuchu. Henryk myślał cały wieczór i w końcu wypocił rymowankę: „Gdy wszyscy byli uśnięci

- wpisałem się ku pamięci". Czuł, że chyba jednak coś nie tak, i pokazał rymowaną Adamowi. Ten uśmieł się i od ręki ułożył wierszyk: „Zachciało się Zosi gruszek, ale ich dostać nie śmiała, Henio stróżował sadeczek, więc go ojedną błagała, Henio gruszczkę jej podał, a ona się zapłoniła...” Koniec był taki: „Hej, Henryku, będzie ryku, jak wilnianie sprawią lanie na kolanie!”

Kuzynka pobiegła ze sztambuchem poskarżyć się do wujka Andrzeja, że Adam szarga jej opinię, bo przecież jej nawet przez myśl nie przeszło, żeby Henia kokietować. Dostała spazmów i zapowiedziała, że nigdy, przenigdy nie przyjedzie już do Juryszek na letnisko.

Ojciec wściekł się na Adama:

- Dureń! Dureń! Do wierszy to zdatny, tylko nie do roboty! Nawozów nakupił, pieniądze jak psu pod ogon wsadził i gównu jemu wyrośnie!

Wstawił się za bratem Kostuś i od słowa do słowa rozgorzała awantura, tak, że nawet matka nie mogła ich uspokoić.

- Albo ja albo oni! - ciskał się ojciec. - Ot, tobie na! Wychował dzieciuki! Na drugi raz za widły chwycą!

Kostuś z Adamem wynieśli się do Zukan, niedaleko, pięć kilometrów drogi. Była tam rodowa ziemia Marii, kilkadziesiąt hektarów. Z tego część przypadła Bogdanowi, który też chciał być na swoim, tuż obok braci, w Zalesiu. Zamieszkali w starej stodole, zaczęli się budować, a w Juryszkach zabronione było nawet wymawianie ich imion. - Oni dla mnie umarli - mawiał Andrzej. Tylko matka podjeżdżała tam czasem po kryjomu, zawoziła ser, masło, słoninę. Adam dziękował kwieciście za wszystko, co „rączki kochanej mamusi zrobiły”. Dla niego serek był zawsze słodziutki, masełko pachnące, a słoninka „topka”, wprost rozpływająca się na patelni.

Jaki ten mój syn jest? - myślała Maria - a może to wielki poeta? Ma coś w sobie, czego nie mają inne dzieci. To, co u Bronisia rubaszniało, z ust Adama spływało lekko i przyjemnie. Kostuś gburowaciał i patrzył spode łba, a Adam błyszczał, fruwał od żartu do żartu. Tam gdzie inni widzieli tylko to, co było na stole, w ogrodzie czy sadzie, on dostrzegał więcej i takjakoś inaczej. Wszystko było podszyte lekkością, z której tak zgrabnie rodził się

wierszyk. Maria zaczęła przyjeżdżać do Żukan tylko dla niego. I jeszcze te „rączki kochanej mamusi”. Nikt tak nigdy nie mówił do Marii. Myślała czasem wtedy, że jednak dzieci mogą być dla rodziców niespodzianką, że to, czego nie dostała od innych, oddając ten syn, za którym jeszcze z pobytu w Wilnie wlokła się opinia stryjenki z Portowej, że to hulaka i nic więcej.

Tak więc Adam kłaniał się jej do ziemi, podawał rękę, żeby zeszła z wozu, prowadził uroczyście do szopy, w której mieszkali z Kostusiem, sadzał za zbitym z paru desek stołem. „O, przepiękna ma królowo, wnijdź do mojej biednej chatki, ale zabierz swe manatki, bo hołotę znajdziesz u mnie” - przypominał jej się wierszyk, który napisał konkurent ciotki Bogusi. I było jej rzewnie i czule z tym jakby teraz nagle poznanym synem.

Kiedyś aż zechciała podzielić się tym nowym uczuciem z kimkolwiek. Zagadnęła do męża: - Może nie tak jest z tym Adamem, Andrzej, może myśmy się na nim nie poznali? Może on był inny niż wszystkie nasze dzieci? Może to dlatego?

- A na czym to się niby mamy poznawać? - parsknął Andrzej.
- Nie wiem, jak to wyrazić - westchnęła.
- Co tu wyrażać?! - zadrwił. - Trzeba było od maleńkości tyłek rznąć i patrzeć, czy równo puchnie. Ale tego ja nie robił. I błąd.

- Ach, jak to u ciebie jest?! Wszystko takie jakieś spłaszczone, przyziemne, a tu tyle może być uczuć, i każde inne - powiedziała i rozpłakała się nagle.

- Wynoś się do synka - krzyknął. - Miodem jemu pod ognem posmaruj! - Wysmarkał się, zatykając jedną dziurkę palcem.

Skoczyła jak oparzona.

- Nie będziesz mi tu smarkała na podłogę! Nie będziesz!
- Nie krzycz - powiedział zimno. - A to pójdę do Emilki na bliny!

- Idź! Idź! Na suche lasy! Ja ciebie nie trzymam! Idź!
- Trzymasz, trzymasz - mruknął i pociągnął ją na łóżko. - Co to, tobie pieluszki już nie pachną, padsterefa, aa? Musi trzeba jakiej innej baby poszukać...

Zawsze to na nią działało. Nie może iść do innej. Trzeba to znosić cierpliwie. Ale kiedy patrzyła z dołu na jego szczeciniaste

policzki, na przerzedzone już włosy, ogarniała ją litość i żal. Bo przecież tylko co wprowadzał ją do tych Juryszek taką młodą, taką ciekawą życia, a teraz stęka, męczy się, biedny, i nic z tego nie wychodzi.

- Przestań - prosiła cicho. - Przestań, bojeszcie kto wejdzie. I weszła, Maryśka. Stanęła w progu jak skamieniała.

- Ja nie myślałam, mama, nie myślałam, że wyjeszcie ze sobą życie. Przecież nie kochasz tatki. Nigdy go nie kochałaś - stwierdziła później.

- Gorzkie z ciebie dziecko - powiedziała łagodnie Maria. - To więcej jak miłość, to już sama wyrozumiałość.

Jak ta matka się postarzała - pomyślała Maryśka. Siedzi przy oknie w tej swojej welwetowej, szarej sukience i swoim zwyczajem, modląc się, łapie muchy tak zrećnie, że żadnej nie przepuści. Zamachuje się nagle zwiniałą dłonią i pac, pac! Wyrzuca nieżywe muchy przez otwarte okno. A w ogóle to modli się coraz więcej. Ciągłe różaniec na podołku sukienki. Ale miejsce na ten różaniec wybrała sobie dobre, tak, że widzi przez jedno okno, co się dzieje w warzywniku, a przez drugie, co w sadzie. Wraca do różańca, ale przerywa nagle szept, krzyczy: - Antolka! Świnie w szkodzie! - I znów parę paciorków różańca, i wzrok błąka się nad pochylonymi przy grządkach babami. - Pietruszki nie powyrywajcie! Drobną powschodziła! - krzyczy w stronę ogrodu.

- A pani! Ona jak nasrana! - odkrzykują baby. - Nie różnisz!

Tyle było tych różnych matek, i ta nad sadzawką, i ta stojąca na polu przy dziewczętach, i ta na łóżku z ojcem, i ta wylękniona, pochylona nad zdychającą na różyczkę świnia, ale tę siedzącą pomiędzy oknami, z różańcem w rękę, łapiącą muchy, tę chyba zapamiętała Maryśka najbardziej. Może dlatego, że ta była najdłużej, przez wiele lat, że zmieniały się tylko welwetowe sukienki z szarej na czarną, z czarnej na brązową, a matka ciągle trwała tak przy tych oknach.

Cioteczna siostra matki, gorseciarka, co dorobiła się na staniakach i pasach w Wilnie, przeniosła się do Gdyni i słała stamtąd listy, że chce widzieć kochaną ciocię. To od niej bywał w Juryszkach kuzyn Henio, jej syn. I kiedyś matka nawędziła pachnących wędlin

i pojechała. Tam też, ni z tego, ni z owego, pokochała morze. Nikt o tym nie wiedział w Juryszkach. To uczucie zachowała tylko dla siebie, ale Henio opowiadał potem Maryśce, że Maria chodziła dzień w dzień na sam brzeg łamiących się fal, patrzyła na nie i patrzyła paląc papierosa. Tak, bo matka zaczęła palić, ale przy Andrzeju nigdy nie mogła, bo gonił ją, wyrzucał machorkę, gilzy, bibułkę. - Kotki ogon zapal - krzyczał - to lepsze paskudztwo!!

- Co ty opowiadasz?! - śmiała się Maryśka do kuzyna Henia.
- Ona tak lubiła morze?! Niemożliwe!

Ale to było w wiele lat potem, kiedy umarł ojciec i kiedy Maryśki też nie było w Juryszkach. Więc to była jeszcze jedna matka, której nie znała.

Na razie jest rok 1928 i Maryśka zaczyna powoli tracić nadzieję na jakakolwiek odmianę. Ciasteczka wilgotnieją w pudełku, a jej „gościnną minką”, kiedy w Juryszkach pojawi się jakiś młody człowiek, jest coraz bardziej podszyta niepokojem. Ciężki, wlokący się czas w nie lubianym domu. Wprawdzie z braci pozostał już tylko Broniś, a z siostr Janeczka ale ta włóczy się ciągle po lasach z dubeltówką, a Broniś czerpie energię do życia już tylko z psikusów. Ojciec z matką też martwią się o MarysTcę. Żywa z temperamentem to jak dynamit, który lada chwila nieoczekiwanie może wybuchnąć. I nie wiadomo, co się wtedy może stać. Parobek Antosla, wysoki, rosły, wodzi oczami za panienką, dostawca perkalików też, a geodeta siedział w Juryszkach przez parę dni i zaśmiewał się z nią wieczorami przy lampie, choć był żonaty. To nie były żadne partie, ale wielkie niebezpieczeństwo, i rodzice nie spuszczali oka z Maryści, nie pozwalając chodzić na żadne spacerki. Zostawała tylko wierna sadzawka, choć też czasem sprawdzali, co ona tam robi. Ale nic się tam nie działo, Maryśka ganiała tam swoim zwyczajem, żeby myć się parę razy dziennie. Myła się i sprzątała w domu. Żadnej nie było z niej pociechy w gospodarstwie, przy krowach czy świniaach. - Kto ma pszczoły, ten ma miód, kto ma dzieci, ten ma smród - mawiali.

Wiadomość, że w Juryszkach jest panna na wydaniu, rozchodziła się jednak po okolicy, a że Juryszki słynęły z dobrego gospodarowania, zwiadywał się ten i ów okoliczny, a nawet dalszy hreczkosiej. Przyjeżdżali więc, ogorzali na twarzy, o mocnych rękach, mężczyźni z poważnymi, statecznymi swatami, ale do nich Maryśka nawet nie wychodziła. Kiedy przez szparę w drzwiach obejrzała dokładnie takiego delikwenta, wymykała się nad sadzawkę i tyle ją widzieli. - Nie pójdę za żadnego gospodarza - mówiła - nienawidzę wsi.

- Widział to świat! - wściekał się ojciec. - Jeszcze kręci nossem! Do trzydziestki dochodzi, siwą kosę nosi, darmo nasz chleb je, ale za gospodarza nie pójdzie!

- I ma rację, wiesz, jaka ona jest, nie chcesz chyba unieszczęśliwić Bogu ducha winnego człowieka - dumaczyła ją matka. -

Ona nie robić nie umie, nawet krowy nie wydoi. Taka sama jak moja cioteczna siostra, co jak wyszła za gospodarza, to po dziesięciu latach siedzenia na wsi pytała służącej: „Karolciu, a dużo ta nasza Malinka mleka daje?” Jak to jej mąż usłyszał, to zapłakał, biedny, rzewnymi łzami, że taką żonkę ma.

- To co robić? - wzdychał ojciec.

- Czekać - radziła matka - może znajdzie się chętny na ten towar.

- Czekać! Do tych pór to ona wszystko porozdaje. Słoninę parobkowskim babom wynosi, a i mąki pewno odsypuje ze świnią, i to pytlowanej, najlepszej. Ciekawe, z czego to Szumiatowa bułki piecze, tydzień w tydzień, jak nie z naszej mąki. Sam widziałem, jak kiedyś wieczorem przemykała się od świronka z pełnym fartuchem, ale tak leciała, że nie szło dogonić.

- Jezus Maria! - łapała się za głowę matka i przeprowadzała dochodzenie, ale Maryśka nawet się zbyt nie wypierała.

- Ubędzie wam?! - mówiła hardo - tyle macie i jeszcze wam mało?!

- Marnotrawczyni! - łamała ręce matka - z torbami nas chcesz puścić! Ostatnio to podobno i Emilka tu podłazi i jej dajesz?! Tej łajdaczce!

- A co, mało ją ojciec wykorzystywał?! Mało?! Mam powiedzieć, co wiem?! Emilce ostatnio grad żyto wyłożył co do kłoska - stawiła się Maryśka.

- To jej zboże, nie nasze. Duma! Nigdy do niczego nie dojdiesz z takim charakterem - narzekała matka ale już ciszej, bo argument, że Maryśka jeszcze gotowa wykrzyzczyć tę prawdę o Emilce i Andrzeju, zamykał jej usta.

Aż któregoś wiosennego dnia ktoś jednak przyjechał drogą od lodowni. I to tak jakoś niepostrzeżenie. Po prostu którejś soboty około południa zajechała przed dom bryczka wynajęta na stacji, a na niej siedzieli dwaj mężczyźni, obaj już niemłodzi. Weszli przez ganek od frontu. Byli to bracia Lulewicze z mająteczku Posolcz spod Wilna. Jeden z nich, Józef, wygadany, towarzyski, sprytny, sypał anegdotami jak z rękawa, kluczył tędy i owędy, ale już po paru zdaniach wiadomo było, z czym przyjechali. Chodziło o wyswatanie, czyli poznanie się, bo swaty to jednak była wieśniacza

sprawa, panny Marysi z tu obecnym, siedzącym Kazimierzem, który ukończył prawo w Petersburgu i przed kilku laty wrócił do Polski. Pracuje w sądzie w Grajewie, ale szczególnie dokucza mu samotność, a słyszał o wielu zaletach i przymiotach Maryśki.

Na wiadomość, że to sędzia siedzi przed nimi, rodziców aż zatkało z wrażenia. Matka wyszła z pokoju poszukać Maryśki, ta odskoczyła gwałtownie od drzwi. - Wiem, wiem - szepnęła - wszystko słyszałam.

- Takie szczęście, takie szczęście! - promieniała matka. - Antolka, nastaw samowar! Leć do spiżarni po wędlinki! Albo nie! Ja sama!

- A ja już myślała, że pani z tego szczęścia rozum odjęło.

- Milcz! - krzyknęła Maria. - Maryśka, a ty co tak stoisz jak ten stolbun? Leć, przebierz się! Tą kościelną sukienkę nałóż!

- Nie mapo co, mama, boja nie wyjdę do nich - powiedziała Maryśka.

- Jak nie wyjdiesz? - zgłupiała matka.

- A nie wyjdę, bo on taki stary.

- Ludzie na świecie! Stary! Kto tam na to zwraca uwagę! Sędzia! Rozumiesz, durna?! Sam sędzia tu zjechał! Antolka! - krzyknęła przytomnie. - Gdzie lecisz?! Samowar nastaw! Mówiłam, że sama pójde do spiżarni! Gdzie moje klucze? A ty nawet mi takiego czegoś nie opowiadaj! Nie wyjdzie! Na królewicza z bajki czeka! Nigdy za wiele rozumu nie miałaś. Choć raz zmądrzej! On w sam raz dla ciebie.

Maryśka jeszcze raz przyłożyła oko do szpary w drzwiach. Obok roześmianego, gestykulującego brata siedział posiwiasty na skromniach mężczyzna w drucianych okularach, ze złożonymi skromnie na kolanach rękoma i z dobrotliwym wyrazem twarzy. I wyszła. Nie nałożyła wprawdzie świątecznej sukienki, wyszła w perkalikowej.

- Tutaj siadaj - przysunął jej krzesło ojciec - przy panu Kazimierzu. - Jedli wędlinę. Kazimierz skromnie, Józef pochłaniał ją wielkimi kęsami, chwalać domowe wyroby. Jaki bywały, jaki energiczny, pomyślała Maryśka, a ten pretendent do jej ręki ci-chutki jakiś, przygaszony, niepewny. Swat sypie dowcipami, Maryśka śmieje się z nich, rodzice wtórują, swat całuje w rączkę

na pożegnanie, ciepło rozchodzi się od tego przyjemne. „Panie swacie, wołę za cię”, myśli Maryśka, a Kazimierz pyta, czy może jeszcze raz odwiedzić szanownych państwa, czy nie będą temu przeciwni.

- Ach! - roztopia się w uśmiechach matka - ależ skąd?! Cała przyjemność po naszej stronie.

Ojciec wtóruje, obiecuje na drugi raz pokazać całą gospodarkę, bo właśnie dokupił kilka krów wysokomlecznych aż spod Oszmiany. Swat zainteresowany krowami, a Kazimierz pyta, czy będzie miał przyjemność raz jeszcze ujrzeć pannę Marysienkę.

- A dlaczego by nie! - wyrywa się matka. - Ile tylko razy zechce.

- Bo żona jest bardzo gościnna - tuszuje niezręcznie Andrzej.

- Ona wyjątkowo lubi gości, a ja to nie mam na to czasu ani głowy, jak to na gospodarce, wszystkiego trzeba dopatrzeć, bo czasy teraz takie, że jak tylko spuścisz parobków na chwilę z oka, to gotowi wszystko rozdrapać, zmarnować.

Swat kiwa ze zrozumieniem głową, Kazimierz uśmiecha się bładawo. Odjeżdżają.

Rodzice są zadowoleni. Nareszcie świta nadzieja pozbycia się Maryśki, i to do miasta, bo przecież sędzia tylko w mieście może żyć. Snują plany, jak to może znajdzie się amator też na Janeczkę, ale może trzeba dać ją do Wilna na jakieś kursy, tak, raczej tak, bo ona za bystra, za ostra dla tutejszych kawalerów, a potem trzeba tu, na miejscu, ożenić Bronisia, on zostanie na gospodarce, gdzie przy nim dożyją starości.

Maryśka swoim zyczajem leci nad sadzawkę i choć jest co robić w domu, nikt jej już nie zatrzymuje.

- No, widzisz! Nic, tylko całe życie myła się i sprzątała, ale swego doczekała! - cieszy się ojciec.

- Ach, nawet nie mów! Jakie to by było szczęście! Nawet nie mów z góry, żeby nie zapeszyć - zabezpiecza się matka.

A Maryśka sama nie wie, czy ma się cieszyć. Czy jest to powód do radości, ten podstarzały, zmęczony człowiek, który ma być jej mężem? Na całe szczęście dobrze mu z oczu patrzy. A co z tą elektrycznością w niej? Ale czy to w życiu ważne? Nie, nie, ten krótkotrwały dreszcz, taki przyjemny, można przecież opanować,

wyciszyć raz na zawsze, żeby go nie było. Najważniejsze, że on ją stąd zabierze. Jeżeli stąd wyjadę, myśli Maryśka, to wezmę ze sobą na pamiątkę cząborek, to leśne ziele, dziwne ziele. Poza tym nie będzie tu tęsknić za niczym. Może w tym innym świecie będzie inaczej? Anusiu, święta Anusiu, moja biedna siostró, pomóż mi, doradź - prosi.

- Mama, co ja mam zrobić? - pytao szarej godzinie. - Mama, do kufra to nie dawaj mi innego ziela, tylko cząborek. A te holenderskie koce to będą dla mnie? - mówi przytomnie, bo jeżeli już jej nie kochali, to niech choć wywianują dobrze, tak jak Elżunię i Józię.

- Dostaniesz, dostaniesz te koce - uspokaja matka która bierze się już do wyszywania monogramów na białych adamaszkowych płótnach, bo wiadomo, że Maryśka sama tego nie zrobi, ma do tego dwie lewe ręce.

Kazimierz zaczyna bywać w Juryszkach regularnie, co dwa tygodnie. Przyjeżdża z dalekiego Grajewa, ale niewiele opowiada, mrukwaty jakiś, milczący, zawsze z prawniczymi opasłymi książkami, które czyta wieczorami przy lampie.

- Widzisz, jaki uczony - chwali ojciec - widać, że prawdziwy, nie malowany sędzia. Dolej nafty do lampy, bo knot już przygasa.

- Toż tatko nigdy nie lubił takich, co siedzą z nosem w książkach. A teraz co to się nagle stało? - drwi Maryśka.

Ale i ona, i wszyscy dobrze wiedzą, co się stało. A Maryśce nie wiadomo dlaczego zależy na tym, żeby jej tu wszyscy żalowali. - Mamo, ja m rzadko będę przyjeżdżać - mówi i bada matki reakcję.

- Trudno, woła boska, wszystkie dzieci odchodzą, taki już porządek - godzi się łagodnie Maria.

Jedna Antolka ryczy po kątach, że panienki nie będzie. Parobki też żałują. Emilka stara już, bezradna, ociera łzy fartuchem: - Nasza panienka pojedzie, a kto nam dopomoże wiosnę przeczekać, kto mąką, słoninką podratuje?

- Ale co robić, Emilka? Iść za niego? - radzi się Maryśka.

- Musowo iść, panienczka, mileńka, od swego losu nigdzie nie uciekniesz, iść, iść!

Walukiewicz, woźnica, też radzi. - To dobry z kośćciami człowiek - mówi - uczony! Wiozę ją jego, bywało, dzień goroncy,

pienkny, żytko złoci się, ptaszki śpiewają. Ot, pokazuję biczem, i tu, i tam, wszystko to naszych juryskich panów pola, jak okiem sięgnąć, a ten nawet nie słucha, książka u niego na kolanach, partrzałki na nosie, żeby choć zyrknał, żeby choć co zagadał.

- No właśnie, poza tymi książkami świata nie widzi - niecierpliwi się Maryśka - a dał choć Walukiewiczowi gościniec?

- On pan prawdziwy. Jak przypomni, to da wiecej, jak potrzeba, a jak zapomni, to nie da, ale po pańsku, ot tak, co to dla niego znaczy, nie rachuje.

Zona Walukiewicza, Walerka, też radzi iść za Kazimierza. Ona, co zna całą okolicę, przynosi skądś wiadomości o Posolczy, rodomym mająteczku Lulewiczów, że synów tam czterech i jedna córka, że na gospodarce starzy siedzą, a syny po miastach, wszystkie uczone.

Kazimierz śle do MaryśTci listy, w których zwykle na samym początku dziękuje Marysieńce za wspaniałe kanapki. W środku opisuje pogodę w Grajewie, pisze coś o swojej pracy, o tym, jak dojechał myśląc o Marysieńce, a na końcu „całuje rączki”. Raz chyba tylko napisał, że lubi patrzeć się w jej „śmiejące się oczęta”.

Wszystkie listy przechowuje przewiązane wstążeczką, czyta po wiele razy, uczy się ich na pamięć. Podoba się jej ich skromność. To nic, że niewiele tam o nim samym, już zupełnie mało o miłości. Dowgił pisywał kwieciste listy podszyte fałszem, a te takie szczerze, ujmują zwykłością przeżyć. Kazimierz pisze na przykład, że kupił sobie za ciasne, niewygodne buty, że obtarły mu się pięty, że bolało go dziś serce i że może trzeba by było ze względu na przyszłe życie z Marysieńką pójść do jakiegoś lekarza. Marysia odpisuje też podobnie, radzi dbać o siebie, nie męczyć się nad książkami, czasem ogarniają smutek, że w tym całym uporządkowaniu uczuć nie ma żadnego szaleństwa. Ale to nic, uspokaja siebie, to nic. Ona już je wypełni swoją fantazją, żartem, tymi iskierkami, które tak łatwo rozpałić w jej oczach i które on lubi, bo tak napisał.

Teraz rodzice całkowicie zmienili do niej stosunek.

- Mama, czy mogę pójść z Kazimierzem na spacer na mogiłki?
- pytała Maryśka.

- A idź, idź, dziecko, gdzie sobie chcesz, ja przygotuję wszystko do kolacji, nie śpiesz się - mówiła dobrotliwie matka.

- I nie boi się mama puszczać mnie z mężczyzną?
- A daj żyć! Z Kazimierzem? Z nim to choć do ciemnego bo-
ru.

- A co to on, nie mężczyzna? - złościła się Maryśka. - Też
może skrzywdzić, wykorzystać, rzucić!

- Kazimierz! Śmiechu warte! - parskał lekceważąco ojciec.

Miała im to za złe. Dlaczego tak jest, że to, co było kiedyś jej
szczęściem, to między nią a Dowgilem, było zabronione, a teraz,
kiedy te spacerzy z Kazimierzem nudzą ją trochę i wcale nie po-
ciągają, może to robić, Ue tylko zechce. Trzeba było, myśli mściwie,
trzeba było puścić się z Dowgilem, ale wtedy to wszyscy pilnowali
jej cnoty, a teraz nikt się o to nie martwi. Mogła do woli siedzieć
z Kazimierzem wieczorami. Nawet Broniś miał przykazane nie
przeszkadzać Maryśce i Kazimierzowi. Tak więc pełno było tego
wspólnego, nudnawego czasu. A jednak kiedy coś mu wypadało i
nie mógł przyjechać, Maryśka zamartwiała się, tęskniła, popła-
kiwała nad sadzawką.

Kiedy w końcu Kazimierz przyjeżdżał, tłumacząc swoje opóź-
nienie sądowymi sprawami, tak chciała go oddechować przez te
parę dni, tak zależało jej na tym, żeby choć trochę przytył na
świeżym mleku i śmietance, żeby nałykał się zdrowego powietrza
żeby poweselał. Rozczulały ją jego pocziwe oczy za szklami, te
ręce złożone w chwilach zakłopotania na podołku, a nawet zwyczaj
targania gwałtownie własnej czupryny. Opowiadała mu o sobie, o
ludziach z Juryszek: o długim, tyczkowatym, przemierzającym
kilometry sąsiedzie - zubożałym szlachcicu, który tak samo jak
Kazimierz był milczący, małomówny i gadał tylko do siebie. - Ja
tak lubię tych wszystkich prostych ludzi, tylko oni pozwalali mi
tu żyć, tylko ich wszystkich zachowam w pamięci - mówiła i
mówiła, aż w końcu, kiedy z jego strony nie było żadnego odzewu,
sposztrzegła że drzemie sobie, siedząc oparty o sosnę. - Budzę cię
- wołała - a ty zapytaj, w jakim kolorze! - Ale on nie wiedział,
o co chodzi. - Ja cię kocham, a ty śpisz! - śmiała się.

- Mama czemu on tak ciągle drzemie? - skarżyła się do
matki. - Ale mnie się przytrafił kawaler.

- No i dobrze, jak śpi, to nie grzeszy - uspokajała ją matka.

- On to żeby wam na głowy narobił, też byłoby dobrze - złościła
się.

- Ależ wasza wielmożność, ja dla prawosławnych nie robię...
- A niby czemu? Jak ktoś wyznaje prawosławie, to znaczy, że nie jest człowiekiem?

- Jest.

- A przecież moja Łukieria lubiła was, Żydów!

I Ardalion Ignatiewicz zaczyna opisywać zalety swojej zmarłej małżonki. Była aniołem, istnym aniołem. Więc wykujesz w kamieniu serafina albo cherubina. Niech kamienny lata po cmentarzu. No, a jeżeli nie możesz anioła, Efraimie, to niech będzie jakaś pochyłona brzoźka... Eukieria Pantielejmonowna pochodziła spod Wiaźmy. A wiesz, Efraimie, ile tam jest brzoź. Iam brzoź jest więcej niż Żydów na Rusi, daję słowo.

Stary Efraim kiwa głową - dobrze, wasza wielmożność, będzie pan miał brzoźkę; otwiera list i zezując, niczym kot na śmietanę, zaczyna czytać

.- Czytaj, czytaj - dodaje mu otuchy listonosz. - A my ze Szmulem-Senderem sobie pogwarzymy. - Niestierowicz szturcha woziwodę pięścią w bok. - Nie uwierzysz, przyśnił mi się dzisiaj twój synek. Przyjechał z Ameryki i wszystkim w całej okolicy ofiarował złote zegarki... Z pozytywką... Otwierasz wieczko, a one dzyń-dzyń... dzyń-dzyń...

To dzyńkanie Ardaliona Ignatiewicza przeszkadza Efraimowi, nie może się skupić, sens listu wymyka mu się, więc jeszcze i jeszcze raz od nowa opuszcza się Efraim po chybottliwej drabince linijek, i im niżej błądzi jego wzrok, tym mroczniej i ciężiej robi mu się na duszy.

Niestierowicz dalej trajkocze o swoim śnie. Prawdopodobnie wymyślił go, aby zrobić przyjemność Szmulowi-Senderowi, żeby woziwoda się nie smucił. Bo w istocie Ardalionowi Ignatiewiczowi śniło się (jeżeli się śniło) coś innego, nie Ameryka i nie szczęśny Beri, ale coś własnego, rodzimego, Katusza albo Iwan na perskiej granicy, na pewno przyśniły mu się ojczyście strony, Białoruś, rzeka Soż i sosnowy zagajnik na jej brzegu. Ale kogo się zadziwi ojczyściami stronami, rzeką, sosnowym zagajnikiem? Oto amerykańskie zegarki z pozytywką!... szczerozłote!... dzyń-dzyń-dzyń!...

"Bądź o mnie spokojny, ojciec. Niczego nam nie brakuje. Na życie, Bogu dzięki, wystarczy - czyta Efraim. - Zarobię na podróz i w lecie przyjadę z Dawidem do Ciebie w gościnę... A może i nie w gościnę. Może na zawsze".

Dlaczego w lecie? Dlaczego nie teraz, myśli staruszek Efraim. Wyśle jej pieniądze, te, które posyła mu Szachna, tylko niech nie zwleka.

"Dawid bez przerwy pyta o Ciebie - czy dziadek ma mamę, tatę, czy umie mówić po rosyjsku... my w domu mówimy po rosyjsku... opowiadam mu o Litwie, o Niemnie, o Miskiniach i płacze".

W oczach Efraima błyszczą zdradzieckie łzy czułości, która go ogarnęła. Płacze razem z Certą, nie wstydzi się ani listonosza, ani Szmula-Sendera. Niby dlaczego miałyby się wstydzić? Czy oni nie są takimi samymi nieszczęsnymi ojcami jak on? Co z tego, że syn jednego z nich handluje gdzieś za oceanem zegarkami, drugi zaś strzeże przed podstępnyimi Persami granicy cesarstwa? Wystarczy, żeby Efraim głośno odczytał list, a każdy z nich zacznie opłakiwać swój gorzki, przeklęty los, swoją starość, swoją wyschniętą jak pustynia samotność. Kiedy się skończy pięćdziesiąt lat, zawsze jest co opłakiwać i kogo grzebać.

Efraim czyta list *Certy* i jakby młodnieje od łez. Łzy zmywają z niego, niby deszcz z szyby okiennej, wżarty kurz, piętno zmarszczek; ma znowu czterdzieści pięć lat, znowu buja kołyskę, a w kołysce leży maleńka bezbrowa dziewczynka, marszczy czółko i patrzy na niego, takiego wielkiego i obcego. Efraim cmota i woła ją, owiniętą w pieluszki niby motyl w kokon: "Certa! Certeniu!", a potem do kołyski podchodzi Lea, bierze dziewczynkę na ręce, rozpina bluzkę, wyjmuje różową jak dojrziała gruszka pierś, z jędrną, wielką niczym poziomka sutką, i od tej poziomki, od tej nagości, od tego zespolenia się trzech istot w jednym wzniosłym oczekiwaniu, wszystko w domu ożywa i jaśnieje.

"Chyba już Ci pisałam, że mieszkamy albo w Kijowie, albo w Kaniowie. W Kijowie mają właściwie prawo mieszkać wyłącznie bogaci Żydzi i Żydówki-prostytutki. Bardzo nas tu

nie lubią. Jak się na pewno domyśliłeś, mówię nie o sobie i nie o Dawidzie, tylko o Żydach. Ale gdzie nas lubią? Gdzie?"

Staruszek Efraim głęboko wciąga powietrze. To nie żarty - przeczytać tyle na raz, bez oddechu.

"Gdzie nas lubią?" - powtarza głośno, jakby na nowo nabie rając rozpędu.

- Co ty tam mamroczesz? - zapytuje dla przyzwoitości Szmul-Sender. Bo w istocie przyjechali tu po list od Certy, a nie po to, by wysłuchiwać opowieści Ardaliona Ignatiewicza. Snu. nawet najlepszego - a sen Ardaliona Ignatiewicza o Berłu Łazarku, który obdarował wszystkich w okolicy złotymi zegarkami, jest po prostu wspaniały - nie można porównać bodaj z krótkim, nieciekawym listem, pisanym na taniutkim papierze. Snu nie włoży się do kieszeni, nie schowa do komody, nie opatrzy numerem, nie przejrzy się go raz, drugi, nie przeczyta. A list! Najlepsze sny dla rodziców - to listy od dzieci, które opuściły rodzinne gniazdo. Czy nie dlatego Szmul-Sender przechowuje wszystkie letters szczęsnego Berła? Przechowuje je w specjalnej szkatułce, przelicza jak banknoty, i kiedy nikt nie widzi, przyciska do nich wargi. Żona uważa go za wariata (zresztą zawsze uważała, że ma bzika), ale Szmul-Sender nie obraża się. Odpowiada na to, że zwariowana żona ma zwariowanego męża. Staruszek Efraim drze wszystkie listy, a w zimie używa ich na podpałkę - podobno złe wiadomości są jak nafta.

- No i cóż tam pisze twoja Certa? - pyta Niestierowicz. - Przeczytaj!

Ardalion Ignatiewicz nie potrzebuje tłumacza. W ciągu długich lat służby nauczył się mówić po żydowsku lepiej niż wielu Żydów. Rabbi Awiezer, człowiek nowy w tych stronach, przysłany na miejsce zmarłego ze starości rabiego Uri, omal nie zemdlął, kiedy po raz pierwszy zjawił się u niego Ardalion Ignatiewicz w wysokich butach, z szablą u boku i w najczystszym żydowskim języku zawiadomił go o śmierci najjaśniejszej cesarzowej oraz zażądał, by czcigodny rabbi odmówił uroczyste modlitwę za zmarłych - kadisz.

Efraim udaje, że nie dosłyszał prośby listonosza.

Znowu zagłębia się w czytanie, jego wzrok wyszukuje coś

między linijkami, jakby tam, w pustych miejscach i odstępach kryło się to, co najważniejsze.

Z Efraimem zawsze jest tak. Im dłużej czyta, z tym większą złością sapie.

"Czy Szachna i Ilirsz piszą do Ciebie?... Co tam u braciszka Ezry?"

Dziwne, stwierdza w duchu Efraim, dawniej nie pytała o nich. O Szachnie i Ilirszu w ogóle nie pisała, nie miała pojęcia, kim oni są - czy to mordercy, złodzieje, bogacze, żebracy? Czyżby naprawdę stęskniła się za rodzinnymi stronami? A może ten farmazon, który uwiódł głupią, zabawił się / nią - wyrzucił teraz zabawkę? Ach, (erto. Certuniu... ('o za świat, co za czasy! Nawet nie można dowiedzieć się prawdy o własnych dzieciach!

"Wiesz, kogo niedawno wspominałam? Mełameda Lejzora. Czy żyje? Czy jeszcze uczy dzieci?" Widocznie jest jej źle. myśli Efraim, jeżeli przypomniała sobie o mełamedzie. Kiedy dała drapaką z domu, nie pożegnała się nawet z rodzonym ojcem, odeszła jak złodziejka. A teraz - proszę bardzo - mełamed Lejzor! Pochowali go, Certuniu, niedługo będzie rok, jak go pochowali.

Efraim przedziera się przez gąszcz linijek, szepcze cudze słowa i w odpowiedzi układa swoje, nieporadne, ciepłe - jakby dopiero co je zniosła kwoka-krzy wda.

"Hoże, jak pędzą te lata! Nie zdołasz się obejrzeć, jak już nie tobie, ale twoim dzieciom pora iść do chederu. Na Święto Szałasów Dawid skończył siedem lat. Za rok, dwa, będzie go można posłać na naukę..."

Dalej słowa są przekreślone, nie sposób odczytać ani jednego, po prostu popiół - była gęstwina, ale spłonęła do cna. ('o w niej **rosło?**

Dawida na naukę? Do kogo? Serce Efraima pohukuje jak puchacz. Utrapienie, prawdziwe utrapienie, kiedy matka jest wietrzną. A wszystkiemu winien jest on sam. Gdyby wygnął tamtego owej nocy, nie wiedziałby, co to nieszczęście. Ale Certa błagała: "Wpuść! Żandarmi go ścigają!" Dlaczego za Efraimem nigdy w życiu nie uganiali się żadni żandarmi? Dlaczego? Dlatego, że żył zgodnie z sumieniem, z prawdą, .laka

to prawda, którą **szczuje** się psami, do której się strzela? A poza tym, dom Efraima Dudaka to nie żaden dom noclegowy czy zajazd. "Wpuść go, ojczel!" I wpuścił, dureń, na swoje nie-szczęście.

Efraim nie będzie czekał do lata, przywiezie wnuka nie zwlekając, zrobi z niego swojego pomocnika, nauczy go rzemiosła, włoży mu do ręki młotek kamieniarski, a w serce tchnie iskrę bożą i Dawid zostanie słynnym na całą Litwę kamieniarzem. Na kamieniarzy nikt nie poluje, kamieniarzy nikt nie wiesza, kamieniarze wyznają jedną prawdę - kamienną, wieczną jak tablice Mojżeszowe. Ktoś w rodzinie powinien dalej prowadzić również i jego, Efraima, pracę, nie wabić farmazonów, nie strzelać do gubernatorów, nie zabawiać na jarmarkach uczciwych ludzi i nawet nie służyć, jak Szachna. Ciosać! Ciosać kamienie! Dopóki młotek nie wypadnie z ręki!

Ardalion Ignatiewicz i Szmul-Sender spierają się, czy koniec świata nastąpi za ich życia, czy później. Niestierowicz zapewnia, że "za", natomiast Szmul-Sender nie zgadza się z tym. Jaki może być koniec świata, jeżeli Berłowi tak dobrze idą interesy?

- Koniec! Koniec świata - chrypi Efraim. - Jeżeli żydowskie córki uciekają z domu z jakimiś postrzelęcami, jeżeli synowie wyrzekają się swoich ojców, jeżeli wykupują się szeleszczącymi amerykańskimi czy rosyjskimi papierkami, jeżeli bardziej cenią szubienicę aniżeli pieśczętę matki - to koniec!

Efraim z niezadowoleniem sapie przez wielki niby ogórek na >zr/ądce nos.

Zdumiony Ardalion Ignatiewicz wymienia spojrzenie ze Szmulem-Senderem, ale ten tylko wciska udręczoną sporem głowę w wyświechtany kołnierz.

- Jedziemy do domu - mówi Efraim.

Do domu, to do domu, chociaż Szmul-Sender nie ma się do czego śpieszyć. Jeszcze nie wszystkie sny zostały zinterpretowane, nie wszystkie nowiny omówione, ale jeżeli Efraim prosi, niechaj tak będzie. Szkoda tylko, że nie ma nic od Berła. Z Kijowa listy idą długo, z Ameryki jeszcze dłużej - zanim przepłyną przez ocean, zanim zostaną przywiezione statkiem do Rosji, do Petersburga czy Rygi, zanim stamtąd rozstawnymi

koźmi dostarczone tutaj, do Północno-Zachodniego Kraju, do mistera Szmula-Sendera Łazarka (tak właśnie pisze Beri na każdej kopercie: mister Szmul-Sender Eazarek. Ale co ma oznaczać słowo "mister", tego w miasteczku nikt nie wie), upłynie pół roku, a może i więcej.

- Jedziemy - mówi Szmul-Sender i smutek powleka jego twarz bladeścią.

- Pojadę z wami - wprasza się listonosz Ardalion Ignatiewicz. - Do majątku Zawadzkiego. Odwiozę pocztę.

Co godzina, to nowina. Ale czy można odmówić jego wielmożności? Dadzą na to miejsce kogoś innego i wtedy przez całe lata nie otrzyma się listu.

Efraim i Ardalion Ignatiewicz wsiadają na wóz, sadowią się wygodnie i Szmul-Sender szarpie lejce, jak w młodości warkocze swojej żony.

Zazwyczaj Efraim idzie na pocztę albo z poczty pieszo. Idzie i przez całe osiem wiorst rozmawia z Certą (tylko ona pisze do niego). I wtedy biała kartka to nie biała kartka, ale jakby bawiąca się w chowanego ('erta, która ukryła się za tymi gryzmołami, i litery to nie zwykłe litery, ale jej usta, nos, oczy. I wtedy w rękach starego Efraima szeleści nie list, ale włosy Certy - długie, delikatne, wciekające w jego dłoń jak rzeczułka.

Stary Efraim bez najmniejszego trudu potrafi przemienić kartkę papieru w twarz. Może ożywić i kamień, i koła furmanki.

Nieraz zapatrzy się na swoją cudowną kozę, na jej skudloną sierść, i z sierści, niczym z pokrytej kleksami kartki papieru, odczytuje słowa Certy albo Szachny, Hirsza albo Ezry.

Koza-list zawsze jest obok. Nigdzie nie trzeba po niego jechać.

Poczta Efraima, w odróżnieniu od poczty Ardaliona Ignatiewicza. Szmula-Sendera i innych mieszkańców miasteczka, wiązała go nie tylko z tutejszym światem, ale i ze światem pozaziemskim, i to podwójne powiązanie nie obarczało Efraima, nie ciążyło mu, nie wyróżniało go spośród innych, lecz przydawało jego gasnącemu życiu jeszcze dodatkowego, niezwykłego, może najważniejszego sensu.

W miasteczku pogadywano. że podobno potrafi wywoływać

duchy i niemal codziennie spotyka się ze swoimi zmarłymi żonami, zwłaszcza z ulubienicą Leą, opowiadając jej o Ezrze i CERCIE lub, przysiadłszy na skraju jakiegoś nagrobka, gałązką orzecha kreśli na ziemi ostatnie nowiny z miasteczka.

Mówiono nawet, że jakoby fryzjer Anszl Bersztański niedługo przedtem, jak razem z karczmarzem Joszuą trafił do więzienia w Rossieniach oskarżony o zamordowanie chrześcijańskiego chłopca, znalazł na cmentarzu kawałek kory, na której już to gwoździem, już to szewskim sztyłem wydrapane były słowa miłości i kobiece imię Lea.

Sam Efraim nie zaprzeczał temu nie dlatego, że takie słychny czyniły zeń nieomal czarownika, ale dlatego, iż rzeczywiście mu się wydawało, że potrafi nawiązać kontakt ze zmarłymi.

- Słuchaj no, Efraimie - zapytał pewnego razu Szmul- Sender, chcąc sprawdzić jego zdumiewające możliwości - a z rymarzem Szejnisem też miewasz do czynienia.'

- Bo co? Chcesz mu coś przekazać? - poważnie zapytał Efraim.

-Tak.

-Co?

- To, że jest świnią - wypalił Szmul- Sender. - Pół roku przed śmiercią pożyczył ode mnie pięć rubelków, a kiedy umarł, wdowa po nim, Pnina, powiedziała, że pożyczył je od Naftalego Spiwaka.

Szmul- Sender zdębiał, kiedy dokładnie za miesiąc, po otrzymaniu od Szachny przekazu pieniężnego, Efraim wręczył mu dług tej świni Szejnisa.

- Sam Szejnis ci je dał? - z niedowierzaniem zapytał Szmul- Sender, ujrawszy w ręce przyjaciela najprawdziwsze pieniądze. Kiedy widzisz w czyjejs ręce pieniądze, które za chwileczkę staną się twoje, uwierzysz nie w takie cuda.

- Tak, sam. I nie nazywaj go więcej świnią. Był dobrym rymarzem.

- Ale tu, Efraimie, jest nie pięć rubli, ale cały rubel złotem... nie chcę więcej, tylko tyle, ile mi się należy...

Im dłużej Efraim myśli o liście Certy, tym silniejsze ogarnia go pragnienie, żeby cisnąć wszystko w diabły i pojechać do

Wilna, do Kijowa, do Smorgoni (podobno Ezra tam teraz wstępuje).

Najpierw oczywiście trzeba pojechać do Wilna. Może przy pomocy Szachny uda się po raz ostatni zobaczyć z Hirszem. Więcej się z nim nie spotka. Nigdy! Chyba na tamtym świecie. Nawet jeżeli ulitują się nad Hirszem i nie powieśzą go, to i tak nie zobaczy syna. Ześlą biedaka, gdzie diabeł mówi dobranoc. Efraim nie ma dość sił, by dotrzeć na Syberię, do kopalni miedzi, gdzie zsyłają nierozważnych żydowskich synów. Daj Boże, żeby dojechać do Wilna. Nie weźmie na drogę ani zbędnego jedzenia, ani odzieży - po co mu odzież? Jest początek lata, ciepło - ale młotek kamieniarski i dłuto zabierze na wszelki wypadek. Jeżeli Hirsza powieśzą i zakopią na jakimś pustkowiu, Efraim postawi mu nagrobek. Nie można pozwolić, żeby nie pozostało po nim ani śladu, ani znaku. Nie można. Bóg wybaczy wszystko. Wszystko - prócz zapomnienia. Efraim nie dopuści, żeby po jego dziecku nie pozostał żaden ślad. Musi pozostać. Jeżeli nie w sercu, to chociażby w kamieniu, na ziemi, aby wiadano, gdzie spoczywa. Niech'Szachna pokaże mu tylko grób, gdzie chowają przestępców politycznych. A kamień już na Efraima zaczeka.

A może powiezie to wszystko niepotrzebnie? Wielkie mi męczy - dłuto i młotek kamieniarski, w Wilnie też można je zdobyć. A Hirsza może jeszcze ułaskawią!

Daj Hoże! Daj Hoże!

Jeżeli zdarzy się coś takiego, Efraim natychmiast ruszy dalej - do Smorgoni lub Kijowa. Zabierze Cercie malucha - i z powrotem, do Miszkiń, do rodzinnego progu, pod rodzinny dach, do kozy. Oczywiście, ten próg się go doczeka i dach będzie na swoim miejscu, jeżeli nikt nie puści nań czerwonego kura albo nie ugodzi weń zbłąkany piorun. Ale co począć z kozą?

Koza - to nie dłuto ani młotek, nie zabierze się jej ze sobą, a zostawić zwierzęcia nie ma komu. U Awnera nie pociągnie ani tygodnia - nie będzie jej ani doił, ani karmił, a jeśli nawet będzie karmił, to tylko swoimi wspomnieniami. Fejga, żona Szmula-Sendera, mówi, że w kozę Efraima podobno bies się wcielił i nieustannie wyciąga jej męża z domu. A jak zostawi kozę

Fejdze, już ta natychmiast wygoni z niej biesa!

Gdyby Efraim był młodszy, wybrałby się na piechotę razem z kozą. We dwójkę nawet weselej. Przejdziesz w ciągu dnia dwadzieścia wiorst, wydoisz kozę i ruszasz dalej. Jeżeli się za stanowiąc - to i kozie nie zawadzi ujrzeć kawałek świata. Przecież Efraim powinien czymś wynagrodzić jej wierność. Ale czy Wilno - ta kamienna jaskinia, ta zadymiona pieczara - to nagroda? Gdyby tak można było podróżować po chmurach, po niebie, gdzie powietrze jest czyste jak dusza sprawiedliwego, gdzie tyle błękitu, takie bezkresne kozie pastwisko!

Efraimowi trudno rozstać się z kozą, ale nawet ona go nie powstrzyma.

Zaprowadzi ją na targ i sprzeda. A jeżeli nie znajdzie się nabywca, podaruje ją rabbiemu Awiezerowi. Rabbi Awiezer to święty człowiek. Gdyby sprawa zależała od Efraima, ofiarowałby mu całe państwo.

Kiedy Efraim wróci z Kijowa z wnukiem, kupi od kogoś kozłatko - kozłatko za dwa grosze (jak się śpiewa w Hagadzie) z paschalnej przyśpiewki:

Raz tata mój kupił kozłatko tanie -
Dwa grosze, dwa grosze zapłacił za nie.
Ale kozłatko rozszarpał kot czarny,
Kota pies dopadł - ot, koci los marny.
Psa kijem ktoś zdzielił, kij w ogniu zgorzał,
Lecz na tym nie koniec - cały ten pożar
Woda ze studni zgasła aż miło.
Wół wypił wodę. I cóż się zdarzyło?
Rzeźnik, co wkrótce rozprawił się z wołem,
Padł trupem - fortuna toczy się kołem.

Dawid i kozłatko będą się razem wychowywać i on, Efraim, nie odda ich nikomu, żadnemu przyjezdnemu farmazonowi, żadnej obcej prawdzie ani kłamstwu, żadnej kuli - chociażby była po trzykroć sprawiedliwa, żadnej Danucie z dziwacznym piórem na kapeluszu, żadnej Ameryce, ani wielmożom, ani motłochowi, nikomu! Nauczy wnuka posługiwać się młotkiem

i drutem, wybierać kamienie, brukować ulice i robić dla ludzi nagrobki, dla wszystkich, nawet dla podoficera policji Niestierowicza, żeby pamięć o nich trwała przez wiek wieków we wszystkich pokoleniach - obecnych i przyszłych. Tego, co można wyciosać, nie sposób zastąpić ani komiczną gadaniną na placach, ani zamachem na gubernatora.

Efraim ukryje Dawida, uchroni go od wszelkich pokus, jako iż jeden wiatr budzi drugi, a dwa wiatry - to już burza.

- Pamiętasz, Efraimie - mamrocze Ardalion Ignatiewicz - jak dawniej ojciec Zawadzkiego, hrabia Ryszard, witał waszych? - Listonosz jest zadowolony, że nie będzie musiał wlec się do majątku na piechotę.

- A jakże, a jakże - bębni Szmul-Sender, wyprzedzając kamieniarza.

- Jeden pies obwąchiwał Żyda, drugi na niego szczekał, trzeci chwycił go za poły, żeby nie dał drapaka, a czwarty, najostrzejszy, gryzł. Pan Ryszard patrzył nieraz z okna salonu i zaśmiewał się, zaśmiewał się do rozpuku...

- Teraz w majątku nie ma psów - mówi Szmul-Sender.

- Ale śmiech hrabiego słychać do tej pory - mamrocze Efraim. - Dlaczego, kiedy nas boli - innych to bawi?

- W tej chwili w majątku został tylko jeden pies podwórzowy, Judl Krapownikow. - Szmul-Sender ożywia batem nie tyle konia, co samego siebie - jazda go usypia.

Judl Krapownikow jest ekonomem Zawadzkiego. To nieładnie, to grzech nazywać tak Żyda, ale Judl Krapownikow nie zasługuje na inne miano. Pies podwórzowy! Mało tego, że siedzi na łańcuchu, ale go jeszcze całuje.

Pańska siedziba Zawadzkiego rozbłyскуje na wzgórzu dwudziestoma oknami; kryty dachówką dach purpurowieje niby zachodzące słońce. W miasteczku opowiadają, że podobno we dworze jest czterdzieści pokoi. Czterdzieści pokoi dla jednego człowieka! Kiedy hrabia hula w Paryżu, pokoje świecą pustkami. Dziesięć dziewczuch co piątek myje okna, dziesięciu chłopaków w każdą sobotę froteruje do połysku podłogi, a wszystkimi nimi rządzi Judl Krapownikow.

W jaki sposób Judl Krapownikow, syn rossińskiego

aptekarza, tak się wybił, dla wszystkich w okolicy pozostaje zagadką. Złe języki zapewniają, że podobno wpadł w oko hrabinie Stefanii, żonie pana Ryszarda, która miała słabość do młodych chłopców i uważała, że jest podobna do królowej Saby. Podobno hrabina Stefania zdradzała męża z młodym Judlem Krapciwnikowem, a młody Judl z wdzięczności zdradził, rzekomo z hrabiną Stefanią, swoje żydowskie plemie

Na podwórzu majątku Ardalion Ignatiewicz zsiada z furmanki, uniżenie wita się z ekonomem, podaje mu zwiniętą w rulon rosyjską gazetę, wypytuje o cenne zdrowie pana Ryszarda i skulony, całym swoim wyglądem daje do zrozumienia, że taki jest przemarznięty, iż przydałby się kieliszek gorzałki.

Szumul-Sender wysuwa głowę z kołnierza grubej samodzielnej koszuli jak kukułka ze ściennego zegara, kiwa do Krapciwnikowa, tylko Efraim z obojętną miną patrzy gdzieś w górę, na chmury, po których w myślach błąka się razem z kozą, ale nawet i tam dolatuje rechot starego hrabiego Zawadzkiego, ujadanie psów podwórzowych, które kłapią zębami jak zardzewiałymi kłódkami, oblewają pasem krwi sierść kozy, i poprzez to zgrzytanie, poprzez ten rechot, poprzez tę różową mgiełkę słyszy głos Szmula-Sendera:

- Poproś... On nie odmówi... Da ci ten kamień. Z Judla Krapciwnikowa niezły człowiek.

Szept przyjaciela nie dociera do świadomości Efraima. Efraim wciąż jeszcze tkwi tam, w przeszłości, otoczony przez sforę hrabiowskich psów, cały zlany krwią własną i kozią.

- Poproś... Da ci... - nudzi woziwoda.

Ależ Bóg z nim, z tym hrabiowskim kamieniem. Efraim nie jest przyzwyczajony płacić za kamienie poniżeniem. W co jak w co, ale w kamienie ziemia litewska obfituje. Gdziekolwiek spojrzysz - bieleją jak czaszki.

Nie, nie. Efraim nic stąd nie weźmie. Kamienie hrabiego Zawadzkiego rechoczą jego głosem, zlane są psim moczem. Postawi kamień na grobie i nagle wśród nocy rozlegnie się: cha-cha-cha!

Hirsz Dudak to wasz syn? - pyta Judl Krapciwnikow, trzymając przed sobą rozłożoną gazetę.

- Tak - odpowiada Efraim.

- A jego syn, Beri, jest w Ameryce - przypochlebnie wyjaśnienia Ardalion Ignatiewicz.

- Nie mówię o Łazarku, ale o Dudaku - z urazą cedzi ekonom, /na w okolicy wszystkich. I wszyscy znają jego.

- No proszę - mówi dalej i dotyka chrupkiej, trzeszczącej jak suchar stronicy. - "Wczoraj wojskowy sąd polowy pod przewodnictwem podpułkownika Smirnowa przystąpił do rozpatrzenia sprawy zamachu na życie Jego Ekscelencji generała-gubernatora. Oskarżony, Ilirsz Dudak, zamieszkały w Wilnie, urodzony w powiecie rossieńskim..."

- Boże! - wykrzykuje Ardalion Ignatiewicz. - Twój Hirs! Ten sam, który z moim Wanieczką łowił w Żmijowym Jeziorze raki dla jego wielmożności naczelnika policji powiatowej Nujkina?

Stary Efraim wziął błąka się z pogryzioną kożą po chmurach. Stąd, z góry, i Judl Krapownikow, i Ardalion Ignatiewicz, i Szmul-Sender, i przewodniczący wojskowego sądu polowego podpułkownik Smirnow, podobni są do mrówek, które uwijają się dokoła swojego mrowiska. I co to jest mrówka w porównaniu z nimi, którzy zbliżając się do tronu Najwyższego, zanoszą do Boga swoje rany i jęki?

- On go tylko zranił - występuje w obronie syna Efraima spotulniały Szmul-Sender.

Stary Efraim nie potrzebuje ani obrony, ani wstawiennictwa. Nic go nie obchodzi Judl Krapownikow, który codziennie chodzi po czterdziestu pokojach, który w młodości zdradził swoje plemię dla sytego lokajstwa; nic go nie obchodzi listonosz-podoficer policji Ardalion Ignatiewicz Niestierowicz, zgarbiony, samotny, co na dziedzińcu majątku czeka na zbawienną szklaneczkę gorzałki, która może rozgrzeje jego stare kości, uskrzydli go, a on sam na jakieś pół godziny, dopóki nie wytrzeźwieje, uleci do swojego nieba, na swoje turkiestańskomohylewskie wyżyny, do swoich dzieci, Iwana i Katarzyny. Starego Efraima w tej chwili nic nie obchodzi również Szmul-Sender, który zawsze i wszędzie, w otchłani i na największych wysokościach, słyszy jeden jedyny dźwięk - dźwięk bijących

i dzwoniących zegarków, którymi handluje jego syn. szczęściarz Beri z Ameryki. Jemu, Efraimowi, nikt nie może ani zaszkodzić, ani pomóc, ponieważ on, podobnie jak Hiob, prawuje się nie z nimi, ale z losem, z Bogiem, z całym bożym światem.

Judl Krapownikow zaczyna się rozwodzić nad czarną niewdzięcznością, nad tym, że nikomu - ani Rosjanom, ani Litwinom, ani Izraelitom - nie wolno podnosić ręki na pana. obojętne, czy ma rację, czy jest winien, nie wolno podpalać lasu, w którym małe narody kryją się na podobieństwo cheralawych drzewek w czasie burzy (w tym lesie mogą być nawet wilki), nad tym, że niwa przynosząca najlepsze żniwo to niwa uległości i pokory. Nie szemrajcie, mówi przemądry Judl Krapownikow, a Bóg wam to wynagrod/i. i będziecie cod/ien nie chodzić po ziemi jak po czterdziestu pokojach, w których są wymyte waszymi łzami okna i błyszczą od waszego rosistego potu posadzki, bądźcie sługami, a nigdy się nie przeliczycie, nigdy nie staniecie przed żadnym sądem - ani wojskowym, ani cywilnym - poza Sądem Bożym, i swoim dzieciom, dopóki żyją. dopóki nie huśtają się w pętli, też przykażcie, aby nie szemrały, jako że wieczny jest ten, kto przy ogniu grzeje ręce, a nie ten, kto ogień roznieca.

- Reb Judl!

Judl Krapownikow marszczy się, słysząc ten żydowski zwrot, ale Szmul-Sender nie zwraca na to uwagi.

- Reb Judl! Mówiliście przed chwilą o sądzie. Powiedzcie, jak długo to trwa?

- Czasem miesiąc, czasem dwa, a niekiedy jeden dzień - mówi Krapownikow

- W takim razie nie zdążę - powiada Efraim.

- Dokąd?

Judl Krapownikow szeleści "Wiadomościami Wileńskimi", i od tego szelestu staremu Efraimowi zamiera serce.

- Tam - mówi Efraim i wskazuje ręką na wschód.

- Pieszko nie zdążysz, ale furmanką... - Szmul-Sender / przestraszeniem mruga oczami.

Judl Krapownikow pogardliwym spojrzeniem obrzuca konia woziwody.

- Taką furmanką to tyle samo co na piechotę - stwierdza basem.

Boże! Przecież oni nawet nie wiedzą, ile jest wiorst do Wilna! Zanim dojadą, razem z koniem wyciągną nogi. Ale on, Judl Krapownikow, nie będzie ich od tego odmawiał. Jeżeli chcą jechać - niech jadą. Niech próbują szczęścia. Żydzi nie robią nic innego, tylko próbują szczęścia, wciąż je niepokoją, zaklinają na wszelkie sposoby! Niech jadą. Tylko niech go o nic nie proszą! Bo jeszcze, nie daj Boże, strzeli im do głowy żebrać o hrabiowskiego kłusaka na miejsce tej szkapy. Gdyby te kłusaki były własnością nie Zawadzkiego, ale jego, nie zastanawiałyby się ani chwili. Wyprowadziłyby je ze stajni i powiedziałyby: "Szczęśliwej drogi!" Zrobiłyby dobry uczynek. Nie zwracałyby uwagi na to, że Efraim jest ojcem przestępcy. I on, Judl Krapownikow, chce być dobry, i on pragnie, żeby wszyscy w okolicy - starzy i młodzi - powtarzali jego nazwisko, mówili o jego wielkoduszności, żeby wiedzieli, że nie jest lokajem, lizusem, piec/.cniarzem. Ale człowiekiem! Szlachetnym człowiekiem! Ech, gdyby to był jego majątek, dałby Efraimowi nie tylko kłusaka, ale i bryczkę. Zamieniłyby dziesięć swoich pokoi na skąpe słowa żydowskiej wdzięczności. To bujda, że nie jest Żydem. Jest Żydem! I umrze jako Żyd. Ale czy to jego wina, że łatwiej umrzeć jako Żyd niż żyć?

Judl Krapownikow bacznie, z jakimś psim smutkiem patrzy na starego Efraima i mówi:

- W przyszłym tygodniu ja też jadę do Wilna. Hrabia przyjeżdża z Paryża. Zaczekaj do przyszłego tygodnia, wtedy dowiozę cię w ciągu jednego dnia - i mruga do kamieniarza.

Ale ten nie pojmuje, co ma oznaczać to mruganie, rozgląda się, jakby coś zgubił, a Judl Krapownikow ciągnę dalej:

- W przyszłym tygodniu jaśnie pan będzie na balu u Ogińskich, a po balu - od razu tutaj, do domu!

Coś podobnego, myśli Efraim, jeden jedzie witać hrabiego, który przyjeżdża z Paryża, a drugi, można powiedzieć, grzebie syna. Nie, Efraim nie może tak długo czekać. Jutro ulokuje gd/ieś kozę, i w drogę. Żeby się tylko nie spóźnić. Żeby tylko ujrzeć Hirsza żywego...

Szachna pomoże mu się z nim zobaczyć. Szachna - to wielka figura. Nie ma porównania z Jucllem Krapownikowem.

- Wcześniej, starszku, nie mogę - usprawiedliwia się Krapownikow.

- Szkoda - wzdycha Efraim.

Furka Szmula-Sendera znowu wytacza się na gościniec, tyle że bez Ardaliona Igantiewicza. Listonosz zosta! na dziedzińcu majątku - a nuż Judl Krapownikow poczętuje go szklaneczką gorzałki? Nowiny, co prawda, są mało ciekawe, ale przecież nie on, Niestierowicz, odpowiada za nie w Północno-Zachodnim Kraju.

Szkapą przebiera kosmatymi nogami, migocze rudymi łatami na bokach, potrząsa grzywą, a słońce, jasne, majowe słońce, oślepia ją, zalewa promieniami woźnicę, chłoczce swoją żółtą miotełką nastroszonego Efraima. A on mruży oczy i myśli, że na starość lepiej jest żyć w ciemności.

"Przeżoż przestań, a zaniechaj mnie, abym się troszeczkę posilił. Pierwej niż odejdę tam. skąd się nie wróczę, do ziemi ciemności i do cienia śmierci; Do ziemi ciemnej jako chmura i do cienia śmierci, gdzie nie masz przemiany, jeno sama gęsta ciemność!" *).

Efraim po słowach Hioba, niczym po drabince, wspina się do nieba i zdmuchuje lampę. Mrok jest zbawczy, światło bezlitosne.

- **Boże**, zupełnie zapomniałem zapytać Krapownikowa - mamrocze Szmul-Sender.

- O co?

- Co to znaczy "mister"?

Szmul-Sender ociera pot z czoła, ściąga lejce.

- Posłuchaj, Efraimie, kiedy umrę, wyrój, proszę cię, to słowo na kamieniu.

- Jakie słowo?

Stary Efraim cały jest w bryzgach światła. Nie ma się gdzie przed nim ukryć, choćbyś krzyczał wniebogłoso, i w tej światłonośnej rzece, podkasawszy spódnice, brodzą trzy jego żony: Ilinda, Dwojra, ulubienica Lea i dzieci; wyskrobek Ezra

*>Hiob 10, 20- 22

klaszcze w maleńkie dłonie, Certa nawija na palec warkocz, Szachna niczym za motylkami ugania się za promieniami słońca, Hirsz podskakuje i łowi wargami złote pyłki; ulewa chłoscze Efraima w twarz, ale nie ofiarowuje mu zapomnienia, i nie ma ciemności, w której można by się było skryć przed tą ognistą trąbą.

- Słowo "mister" - mówi Szmul-Sender. - Na naszym cmentarzu nie było jeszcze ani jednego mistera. Ja będę pierwszy... "Mister Szmul-Sender Łazarek".

Miasteczko jest coraz bliżej.

Furmanka już turkocze po kocich łbach.

To stary Efraim ułożył tu każdy kamień - od zakładu fryzjerskiego Anszela Bersztańskiego do sklepu z artykułami żelaznymi i farbiarskimi braci Spiwaków.

Szmul-Sender spostrzega się, że przez całą drogę ani razu nie zapytał o list Certy. Widać nie ma w nim nic dobrego. Dobre wiadomości są jak trawa - przebijają się przez milczenie niby przez szczeliny między brukowcami.

- Nie słuchaj ty tego Krapownikowa. Mój koń jeszcze i do Moskwy by cię dowiózł... a jeśli go karmić wyborowym **owsem**, to i do Nowego Jorku. Pojedziemy razem do Wilna i, da Bóg, razem wrócimy. Każdy Żyd powinien być w Wilnie. Wilno - to Jeruzalem tych, którzy nie mają ani sił, ani pieniędzy, żeby dotrzeć do Ziemi Obiecanej.

Efraim z wdzięcznością patrzy na Szmula-Sendera i pyta:

- A co na to powie twoja Eejga?

- Co by miała powiedzieć?

(idy nie ma w pobliżu Fejgi, woziwoda jest odważny i nieustraszony. Przy niej jego odwaga ulatnia się jak amoniak i Szmul-Sender zmienia się w skrzywionego malca, który lada chwila spodziewa się lania.

- Fejga powie: skąd spadłeś na moją głowę? A ja jej odpowiem: Eejga, próbować utrzymać męża, to tyle samo co utrzymać wiatr; żebyś nie wiadomo jak go ścisnęła w garści, on i tak już jest za opłotkami.

S/mul-Sender chlaszcze swoją klacz batem, a ona rusza niewesołym kłusem.

świat, żeby tak wesele skrywać pod kocem? Zdarzało się tak, owszem, ale wtedy, kiedy panna młoda już nie całkiem panienką była...

- Proszę pani, co do tego, to może być pani całkowiec spokojna. Przy Kazimierzu każda panna może być bezpieczna! - palnęła Maryśka i tego przyszła teściowa nie wybaczyła jej nigdy. Teraz spaśnowiała tylko i straciła na chwilę wątek. Sam Kazimierz chyba nie dosłyszał, zatopiony w myślach, dziobiący nieuważnie w talerzu. A moment był przełomowy. Jeszcze chwila i wszystko mogło przybrać inny obrót, bo zaperzona teściowa zaczęła naglić do wyjazdu, poderwała od stołu synów i męża. - Joasiu, daj choć dokończyć - prosił ten ostatni, wysysając kosteczki z kurczaka - takie pyszne kurczaczki! Wprost delikje!

- Ależ niech zostaną na herbacie z ciasteczkami, nie ma się o co obrażać, Marysi tak się jakoś wymknęło - łagodziła Maria.

- Nic mi się nie wymknęło, ja nie chcę żadnego hucznego wesela i Kazimierz też nie chce. Prawda, Kaziku?

- Wypowiedz się - docisnęła matka - bo pierwszy raz coś takiego słyszę.

- Tak, tak - zamruczał Kazimierz.

- Co „tak, tak”? - spytały jednocześnie matka i Maryśka.

- Mnie wszystko jedno - zrejęterował.

Maria w zdenerwowaniu złapała szybko muchę. Przez chwilę trwało żenujące milczenie.

- He, he, he! Ludzie kochani! O co tu się spierać?! - zażegnał katastrofę Józef. - Panna Marysia ma rację. Niech ona decyduje.

Ale wyjazd był już o wiele mniej wylewny od przyjazdu. Matka Kazimierza szurnęła sukniemi, usadowiła się na bryczce pomiędzy synami, półgębkiem odpowiadając na okrzyki i pożegnania. Tyłem do niej garbił się mąż i korzystając z tego, że żona nie widzi, pomachał wszystkim ręką. Bryczka ruszyła. Przekrzywiony kapelusz na głowie teściowej podskakiwał gniewnie.

- Ot, masz tobie na! Dokazała swego! Jeszcze wezmą i rozmyślą się - krzyknął na Maryskę ojciec.

- A niech się rozmyślą - odpowiedziała hardo. - Ja ich całować po rękach nie będę!

- Słyszysz, Mania! Słyszysz! - denerwował się. - Ona ich

prosić nie będzie! Pewnie. Co to, jej tu źle? Siedzi jak u Pana Boga za piecem, nic nie robi od rana do wieczora i jeszcze muchy w nosie! Darmozjad nieszczęsny!

- Zmilcz, Andrzej! - krzyknęła matka. - Nie bełtaj językiem byle czego!

Skończyło się to wszystko długim płaczem Maryśki i wielkim pragnieniem natychmiastowej śmierci, ale kiedy już zabrakło łez, pognała do spiżarni, nalała sobie kubek pienistej słodkiej śmietanki, prosto spod centryfugi, odkroiła przez cały bochen kromkę chleba. Jadła i myślała: że może Kazimierz jej nie skrzywdzi, u jakiej krawcowej uszyć sukienkę na wesele i że tatko grosza nie pożałował. I tak jakoś rozptynęła się ta gorycz ojcowskich słów.

Kazimierz przyjechał po tygodniu. Mniej targał się za czuprynę i był jakiś weselszy. Ucieszyła się szczerze. Tak przyjemnie było myśleć, że to już będzie jej mąż na całe życie. Poszli na daleki spacer do lasu. I to ona odgarniała przed nim nawisie gałęzie, polecała schylać głowę, uważać na nogi. Czuła ciepłą wdzięczność do tego jeszcze parę miesięcy temu obcego człowieka rozczulało ją jego pocziwe roztargnienie, ta niepraktyczność i brak jakiegokolwiek udawania. I co z tego, że taki Dowgił mówiłby tu czułe słówka że usuwałyby jej spod nóg kamyczki. Od czasów Dowgiła czuła w nadszkakiwaniu podstęp, a ten przy jej boku taki poważny, taki zamyślony, taki szczery w bezradnym mruganiu oczyma.

- Myślałam już, że wszystko między nami skończone - powiedziała - bo nie spodobałam się twojej matce. Powiedz, co mówiła o mnie po wyjeździe?

- Nic takiego ważnego - uchylał się.

- Ale powiedz. Nigdy mi nie kłam, nigdy. Nienawidzę kłamstwa - prosiła gorąco.

- Powiedziała do Józefa, żeby odmawiał - przyznał.

- Jak to, żeby odmawiał?

- Żeby nie doszło do wesela.

- To bardzo proszę! - szarpnęła się - proszę bardzo! Możesz więcej nie przyjeżdżać! O co jej chodzi?! Powiedz wprost!

- Tak konkretnie o nic, tylko mówiła, że, że... Marysia zanadto energiczna, tylko tyle.

- A co ty powiedziałaś?! Co ty?! To jest najważniejsze!

- Powiedziałem, że Marysia taka, jaka jest, mnie odpowiada.
- Taka, jakajest?! Co to znaczy?! Też określenie!
- Marysiu - poprosił - bądź sobie, jaka chcesz, tylko razem ze mną.

Doszła do niej nagle cała skromność tego wyznania. Chwyliła tę jego biedną, niemłoda już głowę, przytuliła do piersi. - Biedny Kaziczku - powiedziała - mój biedny Kaziczku. Zobaczysz! Zobaczysz, jaka będę dla ciebie dobra! Jak będę o ciebie dbała!

- Złota Marysieńka - sapnęła w jej piersi - moja złota Marysieńka.

Czas do wesela schodził Maryśce szybko. Parę razy dziennie biegała do świronka, gdzie stał wielki, przepaścisty kufer z jej posażną wyprawą. Tak jak kiedyś Elżunia, przeglądała ciągle jego zawartość, rozkoszując się adamaszkowymi poszwami, lnianymi prześcieradłami, nie mówiąc o holenderskich żółtych kocach, delikatnych jak puch.

- Mama, jeszcze tyle miejsca w tym kufrze - mówiła - można jeszcze co dołożyć. A może te dwa kilimy, bo koca nikt nie powiesi na ścianę - naciskała.

- Jezus Maria - biadoliła matka - ta Maryśka to ma ręce do siebie! Z torbami mnie puści.

- Mama, a ja? Co ja potem dostanę? - wdawała się w spór Janeczka.

- Ty rozumna jesteś i sprytna do roboty. I konia zaprzęgniesz, i koziołka upolujesz, a Maryskę trzeba choć wyposażyć, a to powiedzą: nie dość, że nieudała, to jeszcze i goła - odpowiadała Maria. I dodała do kufra dwa piękne litewskie kilimy z czystej wełny. Jeden był pomarańczowy z fioletowymi wzorami, wspaniały, na cały tapczan. Drugi mniejszy - na zielonym tle wzory bordo. Oba kilimy tkła znana z tego na całą okolicę wdowa Emilka. Maryśka za taki dar przypadła do matczynych rąk w podzięce.

Znalazła się również w kufrze jedwabna szaszka z pachnącymi ziołami. Marysia wkładała ręce pod pachnącą tymi ziołami bieliznę i marzyła o tym, jak te całe dobra poukłada w szafach już w swoim domu, wyobrażała sobie, jak w pierwszą małżeńską noc rozłoży lniane prześcieradło. Choć ta myśl trocheja niepokoiła; nie wiadomo jeszcze, jak to będzie, Kazik taki czasem daleki, taki zatroskany i niezupełnie zdrowy - często kładł rękę na sercu i słuchoł, jak bije. Tak czy siak, jak dobrze, myślała, że nie znam jeszcze mężczyzny, że po ślubie będę mogła spojrzeć mu prosto w oczy. Jak dobrze, że nie uległam Dowgilowi; tę myśl odegnała szybko, bo budziła w niej jakieś słodkie niepokoje. Lepiej było nie zagłębiać się w to zanadto. Dochowała mężowi wianka i to było najważniejsze.

- Mama, a mama miała wianek, jak szła za tatkę? - odważyła się spytać matkę. I zaraz przestraszyła się swego pytania, bo nigdy

z matką o takich rzeczach nie rozmawiały. Ale Maria była akurat w lepszym nastroju.

- Tak, córko - powiedziała poważnie - donosiłam wianka, choć też kochałam kogoś innego.

- Czy to warto było dla tatki? Przecież on żadnej babie nie przepuścił...

- Warto było, bo człowiek odpowiada za swoje, a nie za cudze grzechy. - Po raz pierwszy tak z nią rozmawiała poważnie, jak równa z równą.

- A kto to był, ten którego mama kochała?

- Spuśćmy na to zasłonę - ucięła temat matka.

- Ale... ale czy mama była z tatką szczęśliwa?

- Nie twoja sprawa. Zajmij się czymś pozytywnym, to przestaniesz myśleć o głupstwach.

- Mamo, a czy mama pamięta, jak byliśmy kiedyś u wdowy Emilii, jak mama szukała tam tatki?

- Ja? Tatki? Co ty znowu wymyślasz?! Ta, jak już coś powie, to nie wiadomo, śmiać się czy płakać - wruszyła ramionami Maria. - Ma rację Józia, że ty zawsze coś przekreścisz, wyssiesz z palca, dobrze nie dojrzysz, nie dosłyszysz, a językiem łapiesz!

- Nieprawda! Ja wszystko pamiętam, każdy szczegół. Już jak leżałam w gęsim puchu, to też pamiętam, że wszyscy tylko czekali na moją śmierć, że ksiądz ochrzcił mnie i huknął, że Maria to jest tylko Matce Boskiej, a mnie da Marianna.

- Jezus Maria! Kto tam chciał twojej śmierci?! Co ty wygadujesz?! Leżała w puchu, pamięta! Durnowata! Kogo ten Kazik za żonę bierze?! Ty z nim nie wchodź w takie rozmowy, bojeszcie weźmie i rozmyśli się.

I jakby wypowiedziała w złą godzinę, bo w dzień ślubu naznaczonego w nackim kościele Kazimierz nie przyjechał. Ze stacji wrócił sam woźnica. Dopadła go Maryśka.

- Gdzie Kazimierz?! - krzyczała. - Gdzie Walukiewicz zgubił pana sędziego?! Co się stało?!

- A gdzież ja by jego zgubił. Nie przyjechał, ot co! - Walukiewicz splunął w bok.

- Jak nie przyjechał?! Co Walukiewicz bredzi?! Przecież dziś nasz ślub! A jego rodzice?! Jego rodzice gdzie?!

- Gdzie panienka ma oczy?! Toż widzi, że nikogo na bryczce

nie ma. Nikto nie przyjechał! Nikto! Prrr! Durna kobyła! Żyrka chaliera. Trawę skubie! Stoj ty! Żeb ciebie wilcy! - wyładował na koniu złość woźnica.

- Mama! - Maryśka wpadła do kuchni z krzykiem - mama! Nie ma Kazimierza! Mama!!!

- Kogo nie ma? - nie dosłyszał ojciec - kogo?

- Samego pana młodego. Rozmyślił się w ostatniej chwili - poinformowała ciotka, która zjechała na wesele. - Maryniu! To straszne!

- Panienska! Aaa! Panienska! Chadzi tu skarej! Skarej! - wołał spod ganku Walukiewicz - toż ja zabył, co telegrama przysłali! Pocztowy mnie dał. Idzi skarej!

Wzięła telegram drżącą ręką, zimno jej się robiło i gorąco na przemian. W telegramie było napisane: „Z POWODU NIEPRZE- WIDZIANYCH OKOLICZNOŚCI SĄDOWYCH NIE MOGĘ SIĘ STAWIĆ. O DALSZYM TERMINIE POWIADOMIĘ LISTO- WNIE. TYSIĄCE PRZEPROSIN. KAZIMIERZ”.

- Co to będzie, mama?! Co ja zrobię?! Gdzie się ze wstydu podzieję?! - lamentowała Maryśka. - Ja... ja się zabiję!

- Ty! Ty żadnych strat nie poniosłaś, a ja trzy kury zarznęłam! Co teraz z nimi robić?! Pomarnują się.

- Nu, tak wyglądał solidnie - tarł w zakłopotaniu czoło ojciec - tak mu dobrze z oczu patrzyło. Ścichnij! - huknął na córkę. - Przynajmniej dwa tysiące złotych w kieszeni zostanie - pocieszał się.

- Co ty gadasz, dumy! - krzyknęła matka - za kogo teraz nasza Maryśka pójdzie? Pokaż ten telegram!

Czytali go i czytali po dziesięć razy. Posłali potem umyślnego do Naczy, żeby ślub odwołać. Ciotka z mężem zostali na obiedzie, rozpatrywali ze wszystkich stron to niezwykle zdarzenie. Maryśka zaszyła się w świronku. Tu można było spokojnie popłakać, opierając głowę o posażny kufer, który wydawał się teraz straszny jak trumna. Odszukała ją tam Maria, zawołała od drzwi.

- Niech mama do mnie nie podchodzi! - krzyknęła Maryśka.

- Nie można tak brać do głowy - łagodziła matka - może to były jakieś specjalne służbowe okoliczności. U sędziów to się zdarza. Jeszcze przyjedzie, nie płacz. Przyjedzie.

- Gówno z trzaską! - krzyknęła Maryśka. - Nie chcę go na oczy widzieć!

- A ja co mam powiedzieć? Kury się pomarnują.

- Mama, przy czym tu kury, jak tu chodzi o moje całe życie! Mnie nikt nigdy nie chce. Nikt! I za co? Co ja komu złęgo zrobiłam? - łkała Maryśka.

- Wypłacz się tu, wysmarkaj dobrze, a nic po sobie nie pokazuj - nakazała matka - zawsze pamiętaj o jednym, „śmiej się przy ludziach, płacz tylko w ukryciu - bądź lekką w tańcu, ale nie w życiu”. A może te kury do lodowni wynieść? Lodem obłożyć? Albo zanieść do ciotki Bogusi choć z jedną - rozważała - ta głodzi siebie i służbę, to niech choć raz dobrze podjedzą.

- Nic mnie to nie obchodzi - wyszeptwała Maryśka z głową przy kufrze. - Mnie już nic nigdy nie pocieszy.

- On przyjedzie, zobaczysz. Gdzie taki stary dziad porządna pannę znajdzie.

- On... on... pewnie majaka babę...

- Kto? Kazimierz? A daj ty spokój. Już w takie coś to ja nigdy nie uwierzę. Przyjdź na obiad - nakazała matka - tu niczego nie wysiedzisz.

- Nigdzie stąd się nie ruszę! - krzyknęła za nią Maryśka.

Ja do Kazi, nie mam Kazi,
Na przypiecku skwarki smaży.
Ja do Kazi na kominek,
A po Kazi tylko dymek

- wyśpiewał przy obiedzie podpity wujek.

- Ciii - uciszała go żona - jeszcze Maryśka usłyszy, to jej będzie przykro, bo to a propos tego całego wydarzenia.

- Czego? - wytrzeszczał oczy. - O co się rozchodzi?

Maryśka wyszła w końcu ze świronka, napuchnięta od płaczu.

- Panienczka, a co to, już po ślubie? - spytała ją idąca do obory żona jednego z parobków.

- Tak. Po ślubie - powiedziała hardo Maryśka i z podniesioną głową wkroczyła do domu. Zmilkli wszyscy na jej widok.

- Mama - wywołała do kuchni Maryśka matkę - mama da tą kurę. Zaniósę do ciotki Bogusi.

Obłożyli kurę liśćmi łopianu.

- Leć szybko - ponagliła matka - bo zanim dojdiesz, to zaśmiardnie.

Poleciała na skróty, przez łąki, olszynę. Ciotkę Bogusię zastała siedzącą na ganku w słomkowym, od słońca, kapeluszu. - Co to jest? - spytała surowo - kura czy kogut?

- Panienska - zajęczała przysłuchująca się rozmowie wygłotniała służąca - kakaja to rażnica, i to, i to mięso - pożerała kurę oczyma.

- Ba! Niech już będzie - machnęła ręką ciotka - aleja zasadniczo nie jadam mięsa rodzaju męskiego - zaznaczyła.

- To kura, ciociu - zapewniła Maryśka i mimo woli parsknęła śmiechem. Odmienił jej się zły nastrój. Opowiedziała ciotce wszystko o odwołanym ślubie.

- Ba! To twój błąd, Marysiu, któż to wierzy mężczyźnie? A ty tu czego podsłuchujesz? - krzyknęła na gapiącą się na kurę służącą. - Wracaj do pielienia. Tylko mi marchewki nie podjadaj! - upomniła surowo.

Służąca poszła do warzywnika, a ciotka Bogusia nie spuszczała z niej oka. Obrała strategiczną pozycję na ganku. Stąd było najlepiej widać pielącą. Służąca posuwała się na kolanach, wrywając chwasty z wysokiej grządki.

- Mama mówiła, żeby ciocia sobie nie pożałowała tej kury - przypomniała Maryśka.

- Ba! - obmacała kurę ciotka - wszystko w nadmiarze szkodzi - zauważyła. - Podzieli się na cząstki i będzie na wiele razy.

- Teraz upał, sierpień, żeby się nie zepsuła - mówiła Maryśka.

Ciotka zamachała niecierpliwie rękoma, i uniosła kurę w czeluść wielkiej, zagraconej kuchni. Pieląca nie opodal służąca cały czas zerkała spod nasuniętej chustki w ich stronę i wykorzystując moment nieobecności pani wyrwała marchewkę, otarła z ziemi o fartuch i zaczęła jeść szybko, łapczywie.

Ciotka wróciła i zajęła pozycję na ganku.

- Co się tu działo, Marysiu? Niczego nie zauważyłaś?

- Niczego, ciociu - skłamała Maryśka. - Ciociu, co ja mam teraz zrobić? - westchnęła ciężko. - W domu mnie nie chcą, za mąż wyjść nie mogę.

- Przede wszystkim nie wierzyć żadnemu mężczyźnie. Kiedy mężczyzna coś obiecuje, to jakby pies szczekał. Spójrz na mnie. Ja nienawidzę tego przekłętego nasienia i dobrze mi się żyje. A ty cóż, tak mocno przeżywasz? - dotarło do niej.

- Strasznie, ciociu - szepnęła Maryśka - cały świat mi się odmienił na czarno, jakby wszystko popiołem przysypane.

- Zapomnisz - uspokoiła ją ciotka. - Przypomniała mi się taka stara, wieśniacza piosenka, prosta, ale ją lubię. - I ciotka zanuciła drżącym głosem:

Po dzikim dunaju łabędzie pływają.
Zapowiedzi wyszły, ksiądz ślubu nie daje.
Porąbać, posiekać łabędziowe skrzydła,
Przez ludzkie języki nam kochanie zbrzydło.

Przyłączyła się do niej Maryśka, nuciły razem. Ogarnęła je jakaś rzewność, ale to się zaraz skończyło, bo kiedy ciotka spojrzała w kierunku pielącej, dojrzała, jak służąca obciera twarz po zjedzonej marchewce.

- Kobieta! - krzyknęła ostro - jak jeszcze raz zobaczę coś podobnego, to fora ze dwora! Słyszysz kobieta?!

- A czegoż to krzyczy? Za jedną marchewkę?! Widział to świat!

- Jedną! Jedną! - przedrzeźniała ją ciotka. - To kobieta nie wie, że do Matki Boskiej Zielnej niczego z ziemi tknąć nie można? To śmiertelny grzech! Nie poświęcone kobieta je! Co za prostactwo!

- Toż dziś Matki Boskiej Zielnej. Jak raz piętnastego sierpnia - przypomniawszy tamta.

- A w kościele kobieta była? Zioła, jarzynyki święciła?

- A żeb ciębie wilcy! Męka Pańska! Toż panienka nie dała iść. Pielic przy świętej niedzieli kazała - odkrzyknęła służąca.

- Ba! - złościła się ciotka - bezczelność służby nie ma teraz granic! A ty co? Płaczesz, Marysiu?

- Nie, nie, ja tak sobie, coś mi się przypomniało. Ale jak ciocia myśli, może się jeszcze wszystko odmieni? Może to naprawdę jakieś „nieprzewidziane okoliczności”? Może wszystko będzie dobrze?

- Taka jesteś smutna, taka przygnębiona - mówiła ciotka. - Czym tu ciębie poczęstować? Mam trochę miodu, ale nie, miód nie dla ciębie, bo miód, moja droga, rozpala dziewczęcą namię-

tność, nie, nie, miód ci nie pomoże - uspokajała swoje sumienie ciotka.

- Mama kazała ciocię przeprosić, że nie zaprosiliśmy cioci na wesele, ale miał być tylko cichy ślub, nic więcej - tłumaczyła się Maryśka.

- Ba! - wzruszyła ramionami ciotka. - Nigdy bym do was nie pojechała. Nie chcę się narażać na zaczepki tego sprośnego capa.

Maryśka parsknęła śmiechem. Bo „sprośny cap” to był przecież jej ojciec, którego ciotka posądzała wiecznie o niecne względem niej zamiary.

- Panienska pora obiadować - przypomniała wracająca od pielienia służąca. - Już słońce wysoko.

- Tylko to jedno kobiecie w głowie! - tupnęła nogą ciotka - tylko to jedno na myśli, żeby się obżerać do woli. Co za bezczelność!

- Obżerać do woli! - płaśnieła w ręce kobieta. - A ja, ot, wezmę - rzucę wszystko w kibini. Rach, ciach i nie ma mnie! - roz-więzała trzęsącymi się rękoma fartuch. - Polecę do sadku, dulków, papierózków natrzęse! Najem się za wszystkie czasy!

- Ani mi się waź! - osadziła ją ciotka. - Nikt ciebie tu nie trzyma. Chcesz odejść, proszę bardzo!

- A zapłata? - wyciągnęła rękę służąca. - Gdzie moja zapłata? Za te wszystkie lata gdzie?

- Jaka praca, taka płaca - powiedziała wyniośle ciotka. - Niech kobieta wraca do pielienia.

Widać było, że to stale odgrywana przez obie kobiety komedia. Wszyscy mówili, że kobieta rzuca swoją panią po kilka razy dziennie, zaklina się, boży, a potem cichnie, przypasuje fartuch, korzy się i przeprasza.

Taki i mój los będzie, pomyślała Maryśka nigdzie stąd nie ucieknę. - Ciociu, czy ciocia jest szczęśliwa sama, samiuteńka w tym opuszczonym domu? - spytała.

- Ba! - wzruszyła ramionami ciotka - ten dom jest piękny i ja tutaj, moja droga, jestem u siebie.

Co to się porobiło, myślała wracając łakami na skróty Maryśka ciotka wykształcona, grająca na pianinie, kiedyś dama w kapeluszach, zadająca szyku u krewnych, teraz zdziwaczała, wyżywająca

się na służącej, która nigdy już nie zdoła wypielić zarośniętego ogrodu. Sypiące się ze starości sprzęty, zapleśniałe szmaty w komodzie, nie dojedzone resztki jedzenia po garnkach. Co za los! Jak można tak pogрузić się w dziwactwach, kwasach, dąsach, urazach. Sąsiedzi mówili o niej „ta stara wariatka”, ale to nie była wariatka, bo ktoś, kto normalnie rozmawia, normalnie rozumuje, nie jest wariatem. A jeżeli ona, Maryśka, też tak zdziczeje, bez uczuć, bez wiary w odmianę? Już dwóch mężczyzn zraniło ją boleśnie, ale ona wciąż chce wierzyć - myślała o sobie idąc przez łąkę, na skróty, tak jak kiedyś przed laty Maria. Trzeba walczyć o swoje prawo do życia, bo inaczej będzie z nią tak jak z biedną ciotką Bogusią. Jakie życie, taka śmierć, przypomniało jej się powiedzenie. Przecież ta ciotka jest już stara, razem z kobietą pokrywają się jakimś szarym nalotem, pleśnieją, coraz bardziej się nienawidząc. Ratować się. Trzeba się ratować - postanowiła Maryśka.

Po latach przypomniały się jej te rozmyślenia, kiedy okolicę obiegła wieść o śmierci ciotki Bogusi. Była najostrzejsza okupacyjna zima, w 1943 roku, kiedy jabłunki w sadzie o świcie pękały z trzaskiem. Wtedy to któregoś dnia ciotka Bogusia zamarzyła na śmierć w swojej stodole. Może zasłała, może się potknęła, upadła i już nie mogła wstać. Rano znalazła ją służąca sztywną jak polano. Trzeba było wołać ratunku u ludzi, wносить do domu, gdzie nie było czym palić, ale dobrzy ludzie nanieśli suchych żagarów, napalili pod płytą, gdzie od lat nikt nie rozniecał ognia. I ciotka Bogusia odtajała powoli, tak że mogli ją już włożyć do zbitej naprędcz z nie heblowanych desek trumny. Kobieta była przy niej cały czas i wyła jednym wielkim głosem, aż to wszystkich denerwowało.

- Toż ona ciebie głodem morzyła, jeść nie dawała, grosza nie płaciła, czegoż tak teraz wyjesz? - pytali.

- Końce tam zjedzeniem - oganiała się od nich zniedołężniała służąca. - To była pani z panów, ot co! Drugiej takiej ze świecą szukać!

- I takiej służącej też - mówili ludzie. - Takiego drugiego durnia też ze świecą szukać - machali na nią ręką.

Nie wiadomo było, gdzie poszła, gdzie przycupnęła na śmierć,

bo po wojnie zrobili tu kołchoz, Juryszki połączyli z ziemią ciotki Bogusi i wszędzie, jak okiem sięgnąć, gniło tu zboże na pniu, cherlawe, prawie bez kłosów.

Ale na razie jest jeszcze ten okropny sierpień, który Maryśka zrasza łzami. Popada w jakieś odrętwienie, nic jej się nie chce, nawet kąpieli w sadzawce, nawet mówienia wierszy, bo od tamtej pory, od tego telegramu nie ma żadnej wiadomości od Kazimierza, i tak z tydzień, dwa, trzy. Maryśka milknie, ona, wiecznie w ruchu, wiecznie sprzątająca, teraz siedzi w kącie, do nikogo nie zagada, aż nawet sam Andrzej trapi się, co by tu zrobić z tą Maryską, taką odmienioną, taką nie do życia. Może jechać do tego dalekiego Grajewa gdzie Kazimierz pracuje, może go do sądu podać za zerwane obietnice, może kołatać u rodziny, u brata Józefa? Ale któregoś wrześnieowego dnia przychodzi telegram: „PRZYJEŹDŹAM W SOBOTĘ PROSZĘ O KONIE KAZIMIERZ.”

Maryśka wraca do życia, Walukiewicz podkrecając wąż, podstrojony rusza na dworzec. Kobyłka kręci zadem radośnie, bo lubi tę drogę do stacji. Nie meczy się zbyt, poje sobie owsa. Maryśka cały dzień przewraca dom do góry nogami. Myje podłogi, trzepie dywany z kolorowych szmatek, omiata pajęczynę, rozstawia „muchobojki” pełne słodkich trucizn. Co ja mu powiem, co ja mam mu powiedzieć, myśli gorączkowo, a może w ogóle do niego nie wyjdę, może mama powie, że mnie nie ma w domu, że utopiłam się, nie, najlepiej, jak okazać mu chłodne milczenie, podam końce palców, to chyba z jakiejś powieści, gdzie wyszła na ganek biała jak śnieg i podała mu tylko końce palców. Kiedy wcale nie jestem biała, ciągle mam rumieńce, a może wyjść normalnie, jakby nigdy nic, albo najlepiej milczeć i tylko zapytać: „Dlaczego mnie zawiodłeś? Tylko tobie jednemu zawierzyłam.”

Tyle pytań, tyle odpowiedzi, tyle rozmyślań, ale kiedy bryczka nareszcie zjawia się przed gankiem i on wychodzi z niej taki jakiś skurczony, jakby zziębnięty i ten odrapany podróżny sakwojażyk znosi ze stopni z trudem, w Maryśce wszystko taje, odpływa cała złość. Biegnie do niego z ganku w kretonowej sukience w groszki i pyta bez tchu: - Kaziczku, czyś nie chory?

On dotyka bezradnie serca kręci przecząco głową, taki smutny, taki błady, taki niepewny.

- Nic się nie martw - pociesza go Maryśka - wszystko będzie dobrze. Grunt, że jesteśmy razem, że przyjechałeś!

Prowadzi go do salonu i rodzice też o nic nie pytają. Tylko sam Kazimierz wyjaśnia te „nieprzewidziane okoliczności”, te sprawy sądowe, brak urlopu, nagłe wezwanie do okręgowego sądu. Sumituje się, przeprasza, że tyle narobił kłopotu. Maryśka daje za jego plecami znaki matce, żeby już nic nie mówiła o kurach.

- Ach, dajmy już temu spokój - wyrywa jej się. - A kiedy nasz ślub? Żeby w porę dać znać do księdza.

- Choćby i jutro - mówi Kazimierz. - Ja jestem gotowy w każdej chwili - dodaje.

- Mama - gorączkuje się Maryśka - mama, niech Walukiewicz nie wyprzęga kobyłki, jedziemy do Naczy do księdza, a po drodze wszystko mi wydumaczysz, co i jak - woła do Kazimierza.

Jadą. Wrześniowy piękny dzień, pierwszy taki łagodny po upałach sierpnia. Delikatna pajęczyna siada im na twarzy, łaskocze w nos. On milczący, przygaszony, pewnie chory.

- Nic się nie martw, Kaziczku - pociesza go Maryśka. - Zobaczysz, jak się wszystko ułoży, zobaczysz, a na ludzkie języki to ja w ogóle nia zważam, nic a nic, niech sobie gadają, że dwa razy do ślubu jadę, niech gadają. Języków im nie zawiążesz.

- Żłota Marysieńka - wzdycha Kazimierz - ja tak potrzebuję spokoju i ciszy - mruczy uspokojony monotonnym chybotem kół, migotaniem słońca na twarzy, kiwaniem się zmęczonego woźnicy, aż sam podrzemuje trochę, budzi się, tłumaczy przed nią, że taka daleka droga z tego Grajewa, tyle godzin w pociągu...

- Nic, nic - pociesza go - śpij sobie, śpij, przed Naczą ciebie obudzę.

Jest tak jakoś miodopłynn timer, cicho, ciepło. Przed kościołem na placu grzebią w końskim nawozie kury, pod płótem pokrzywy żółtawe już, wyschłe czarownice. Mota je pajęczyna, tak wcześniej to babie lato, zima będzie pewno ostra. Jest rok 1929. - Ja ci jednak wierzyłam. W głębi duszy zawsze - zapewnia Maryśka.

Ksiądz w sadku, z przetakiem na twarzy podbiera miód. Tłumaczą przed nim te „nieprzewidziane okoliczności”. - Ależ panie sędzio, proszę do środka, proszę, to się zdarza na tak odpowiedzialnym stanowisku, a ślubów tego lata mało, to z przyjemnością jutro, tak, tak... - zapewnia.

- Kaziczku! - szepce Maryśka. - Daj na ofiarę! Koniecznie!
Nie żałuj!

Ksiądz ociera spoconą twarz. W przetaku z płócienną przykrywką na głowę bzyka zbłąkana pszczoła. Ksiądz trzepie przetakiem, pszczoła ulatuje przez otwarte okno w kierunku sadu.

- Szachrajka! - śmieje się ksiądz - przycziła się, żeby uządlić. Nie, nie - uspokaja - mnie pszczoły nie kąsają, mój zapach im odpowiada, ale zaraz poznają obcego. Może szanowny sędzia chce się przekonać.

- Kaziczek, to znaczy narzeczony, ma słabe serce. Boże bron, jeszcze mu zaszkodzi.

- Ależ to samo zdrowie! - tryskajowialnością niemłody już ksiądz, z przerzedzonymi włosami, oczy niebieskie jakby wyblakłe, cera czerstwa. - Nie ma to jak pszczeli jad! - zachwala. - A może panna Marysia z panem sędzią zechcą obejrzyć pasiekę?

- Nie, nie, my chcemy załatwić jak najszybciej ten ślub, żeby na jutro na rano wszystko było gotowe - mówi Maryśka. - Nam się spieszy, bo narzeczony nie ma urlopu, tylko przyjechał na dwa dni...

Wracają. Bryczka jakby płynęła pomiędzy rżyskami. Od lasu co raz to nowe fale ciepła i przesiany przez gałęzie blask. Maryśce tak lekko i radośnie na sercu. Walukiewicz obraca się, pokazując biczem granice juryskich pól.

- Pana sędziego - mówi Maryśka - to w ogóle nic nie obchodzi, pan sędzia nie zna się na ziemi. Nie wie Walukiewicz o tym? Prawda, Kaziczku?

- O tyle, o ile - mruży Kazik - można powiedzieć, że piąte przez dziesiąte. W domu na folwarku gospodarzy mamusia i tatuś.

- Ach, ta mamusia! - wzdycha Maryśka ze śmiechem. - Jak to przeżyje?

- Zasadniczo powiedziałbym, że jest zadowolona że nareszcie...

- Co nareszcie? - przerywa Maryśka. - Ze nareszcie syn znalazł „zanadto energiczną” pannę? - śmieje się. - Nie pamiętasz już, jak mówiła do Józefa: „Ziutku, odmawiaj Kazimierzowi, odmawiaj, ona nie dla niego”. Myślałam, wiesz, że jej uwierzyłeś. Coś się tak zatroskał?

- Martwię się o jej zdrowie, byle to do niej nie dotarło - zatargał czupryną Kaziczek.

- Co nie dotarło? Że jutro jest nasz ślub?! Co ty wygadujesz? To ona nie wie? Boże Świąty! Jak tak można?!

- O tym to wie, jak najbardziej...

- To o czym nie wie?! O czym?

- Ach nic, nic - bierze ją za rękę Kazimierz - nic takiego. - Przymyka oczy.

W niej radość tego dnia zagłusza niepokój jego dziwnych odpowiedzi. Najważniejsze jest to, że już będzie żoną Kaziczka, otoczy go opieką, wyjedzie z Juryszek.

Ten dzień ślubu wstaje jasny, bez jednej chmurki. Z rodzeństwa przyjeżdża tylko Józia, bez Feliksa, cała ubrana na ciemno, jak na pogrzeb. Wiadomo już było wcześniej, że nikt więcej nie przyjedzie. Ani jego rodzice, ani Józef, ani bracia Maryśki, bo Adam chorował, gorączkował, leżał w łóżku, Kostuś nawet nie przysłał życzeń, tylko przez parobka zawiadomił, że musi jechać w poniedziałek do Wilna w pilnej urzędowej sprawie, Bogdan też nie przyjechał.

- Mama, a może zaprosić ogrodniczkę? - pytała Maryśka.

- A Boże broń! Tylko jej tu brakowało! - zakrzykuje ją matka.

- Czy wiesz, że Adam przez nią już nie wstaje z łóżka, taki słaby? To baba z piekła rodem! Nie chcę jej tu widzieć na oczy! Nawet mi nie mów.

Zjawia się natomiast ruda nauczycielka, Galileuszka. Uśmiecha się żółtymi od papierosów zębami, chuda i płaska. Józia boczy się na nią, nie chce przywitać, ale Maryśka całuje ją serdecznie, dziękuje za piękny bukiet georginii. Galileuszka poprawia zsuwające się z nosa okulary, rejestruje nie doczyszczone buty Andrzeja, staroświecki surdut.

- No cóż - mówi Janeczka, widząc jej grymas niechęci - my tu szaraczki, hreczkosieje, nie znamy się na miejskim świecie, a szczególnie na galilejskich majątkach. Podobno ojciec Niusi ma wielkie kamienice? - pyta złośliwie.

- To aż dziw, że taka panna krzywilskim dzieciom nosy wyciera. To ciemne chłopstwo. Czy warto ich uczyć? - docina z drugiej strony Józia w czerni.

- Ach, dajcie spokój, dajcie spokój! - macha na córki rękoma Maria. - Lepiej idźcie do lodowni, zanieście śmietaną, jajka na lody, można już i teraz ukręcić, żeby jak raz było na podwieczorek.

- A do mnie - mówi słodko Nusia - ma przyjechać na wakacje brat. Wybitnie zdolny, uczy się francuskiego.

- Ot, tobie na! - śmieje się ojciec. - To jak on do nas się odezwie? „Gul, gul, co pani gada, gul, gul, niech pani siada.” Po jakimu to? Czy po francusku? Aa? Panna Nusia nie wie czasem?

- A gdzież to przyjedzie ten brat? - wypytuje Józia. - Do Krzywil? Do kurnej chaty?

- Nie - prostuje się pobladła ze złości nauczycielka - pani brat Bogdan obiecał mu w swoim mająteczku gościnę na całe lato.

Teraz wszystkich zamurowało, bo nic jeszcze o tym nie wiedzieli. To znaczy, że Bogdan podłazi już do tej rudej, a może doszło już do najgorszego?

- Zasadniczo nie jestem temu przeciwna - przekonuje oburzone córki Maria - wiecie, jak Bogdan dziewczyny psuje, w końcu natnie się na jaką szmatę i będzie musiał się żenić, a ta tutaj panna przy lampie po całych nocach książki czyta, takiej żadne fiu-bździu nie w głowie.

- Tylko w głowie jej hektary Bogdana i piękne Zalesie - nie daje za wygraną Józia. - Czy mama oczu nie ma?

- Ślepawa, ruda, piegowata jak indyjskie jajo i na dodatek Galileuszka - docina Janeczka.

- A co Bogdan sobą reprezentuje? Prostak, żadnych szkół nie skończył - ocenia na trzeźwo matka.

- Jezus Maria! - chwytą się za głowę Józia. - Mama ich jeszcze do łóżka zaprowadzi.

- Do jakiego łóżka?! Bez ślubu mowy nie ma! - ucina matka.

- To mądra dziewczyna, zarabia na życie, trzeba iść z postępem.

- Mama, w końcu czyje to wesele, moje czy Bogdana? - de-nerwuje się Maryśka. - Józiu, przeczesz mi włosy - prosi.

- A co ty masz taki kołtun na głowie? Naczupirzyła te piórka jak koczokodan. Trzeba je przygładzić - mówi siostra.

- Nakręciłam na papierki, tak jak umiałam - tłumaczy się Maryśka.

- I dobrze - decyduje Janka - może jakoś przykryją tą głowę. A co to, Feliks nie przyjechał? Za niskie progi na jego nogi?

- A czy go kto prosił? - bronił męża Józia. - Antolka tylko mnie o ślubie powiedziała.

- Bo nikt nie wiedział, czy to w końcu dojdzie do skutku - tłumaczyła się Maria. - Już drugi raz pod ołtarz mają iść i Pan Bóg by dał, żeby w końcu doszli.

- Zostaw mnie! - zrywa się Maryśka. - Nie potrzebuję żadnego przyglądania włosów! Już mnie dosyć podrapałyście! Do samej krwi!

W nackim kościele skromnie. Bez żadnych dywanów, bez dodatkowych świec. Młodzi siedzą przez długą mszę. Gorąco. Pod sufitem wysoki pisk jaskółek. Maryśka, cała przejęta, wsłuchuje się w łacińskie słowa mszy, wszystkie mówią jej jedno, że go nie opuści aż do śmierci. Nagle, o zgrozo, dochodzi do niej lekkie pochrapywanie. To pan młody! Boże, co za wstyd! Maryśka przyciska pantoflem jego bucik, chrapanie ustaje. Może nikt nie słyszał, bo organy grają. W ławkach pełno bab w białych chustkach, przyszły popatrzeć, jak juryska panienka za mąż idzie. Spod samego ołtarza dobiega głośny szloch. To Józia wybucha nieopanowanym płaczem. Biedna Józia, przelatuje przez głowę Maryśce, aż taka nieszczęśliwa w małżeństwie...

To najbardziej zapamiętuje Maryśka z całego ślubu: chrapanie Kaziczka i szloch Józia. Już po wszystkim. Maryśka robi w domu gościnną minkę, taka szczęśliwa, taka lekka. Józia z zapuchniętymi od płaczu oczyma rozkłada pyszne śmietankowe lody na talerzyki.

- Józiu - niespodziewanie całuje ją Maryśka w policzek - czemu tak płakałaś, siostrzyczko? Ja się cieszę.

- To ciesz się sobie, ciesz, zobaczysz, jak to potem jest. Ja też się cieszyłam - mówi Józia ze złym błyskiem w oczach. - Wesele - dzień skaczesz, a całe życie płaczesz.

- Aż tak ci źle? - pyta Maryśka.

- To moja sprawa! - złości się Józia.

- Najważniejsze to mieć do człowieka zaufanie, a mój Kaziczek taki poczciwy, taki bezradny. Wszystko wezmę w swoje ręce, wszystkim pokieruję. Ta praca w sądzie taka wyczerpująca.

- A gdzie państwo zamieszkają? - pyta Galileuszka, pojedają delikatnie lody małymi łydkami.

- W Lidzie - odpowiada Kazimierz.

- W Lidzie? - dziwi się Maryśka. - Nic nie mówiłeś.

- To brat Józef wszystko załatwił. Jest tam praca na stanowisku sędziego grodzkiego, Józef szuka już tam dla nas mieszkania...

- Nic nie rozumiem - złości się Maryśka, kiedy zostają sami w odstąpionej im sypialni rodziców - dlaczego wszędzie ten Józef? Józef mieszkanie, Józef pracę. Czy ty nie masz nic do powiedzenia?

- Bo on ma duże doświadczenie - tłumaczy się Kazimierz.

Siedzi na brzegu łóżka w samej kamizelce. Zdjął właśnie marynarkę, teraz rozluźnia krawat. Zagubiony jakiś, podstarzały.

- Dobrze, że choć tutaj Józef ciebie nie zastępuje! - wypala Maryśka i zaraz robi jej się głupio. Dopada do niego, całuje w czoło, w skroń. - Przepraszam, Kaziczku, ja nie chciałam tego powiedzieć. Nie gniewaj się.

Ale jemu daleko do gniewu, posapując rozsznurowuje buciki. Sznurowadło się zasupłalo, nie puszcza. Kaziczek denerwuje się, szarpie, nic nie pomaga.

- Daj, ja ci rozsznurowuję - mówi Maryśka i przykłęka przy nim. - Słuchaj - szepcze - taki jesteś zmęczony, może dziś nie być między nami, poczekajmy... To był ciężki dzień, a ty jeszcze dobrze nie odpocząłeś po drodze.

- Zasadniczo to za dużo zjadłem. Takie pyszne były kurczaki, a lekarz mi zalecił jeść często i mało - posapuje Kazimierz.

Ale jednak dochodzi do czegoś między nimi i Maryśka szepcze mu do ucha, że dochowała mu wianka, i myśli, że na to wyznanie on powinien przypaść jej do rąk w podzięce, ale nic się takiego nie dzieje.

Kiedy nareszcie zasnął, ogarniają fala wielkiej czułości. Gładzi jego spocone czoło, włosy. To nic, że nie było żadnej elektryczności. Czy to ważne? Nie to najważniejsze, tylko zaufanie. Wyśpi się, odpocznie sobie i wszystko będzie dobrze.

Jeszcze parę dni pozostają w Juryszkach, bo tam w Lidzie Józef musi wszystko przygotować na ich przyjazd. Kaziczek taki spokojny, taki odprężony. Chodzą po jesiennych polach, po łąkach. Maryśka prowadzi go nad sadzawkę. - To tu całą moją młodość marzyłam o tobie - mówi. - Chodziłam i deklamowałam wiersze. O czym myślisz? Powiedz!

- O tej sprawie Pietrusewicza. Procesuje się z rodziną o ziemię.

Nie wiem, czy sprawiedliwie zasądziłem na jego rzecz tych pięć hektarów, bo tam już były jakieś rodzinne spłaty, tak zeznawały siostry - targa czuprynę Kazimierz.

Noce przebiegają spokojnie w sypialni rodziców. Kazik śpi dobrze, nabiera sił, a to najważniejsze. Ma tu świeże powietrze, mleko prosto od krowy, jeszcze ciepłe, tak jak lubi.

- Musisz trochę przytyć, Kaziczku - mówi Maryśka i przynosi mu garnuszek śmietany spod centryfugi. - Policzki ci się już zaokrągliły.

Odpoczął, zmęźniał, ale dlaczego z tego nie korzysta, myśli Maryśka, dlaczego drzemie tylko w łóżku jej rodziców? Ta myśl budzi ją któregoś wczesnego ranka. Za oknami sad cały w mlecznej mgłę. Słychać skrzyp żurawia przy studni. Antolka poi krowy, zaraz wygoni na pastwisko.

- A ty gdzie?! Kwietka! Job twoju mać! Stoooj! A to jak dam po krzyżach! - krzyczy. A zaraz potem śpiewa na cały głos: - „Sztob ja eto znała, szto za mužem lichu...”

Białoruska piosenka niesie się za oknem. Muchy zbudziły się i łażą po twarzy śpiącego obok Kazimierza, dokuczliwe, gryzące, jesienne. Co to jest, myśli Maryśka przeganiając je, że wieści z sypialni zawsze szybko się rozchodzą. Antolka patrzy na nią współczująco, kiwa głową. Czy ona, Maryśka, ma to wypisane na twarzy? Przecież nie żaliła się nikomu. Skąd ludzie to wiedzą, kiedy kogoś łączy ten prąd? No i co z tego, że tu nie ma nic takiego? To nawet lepiej, spokojniej. A przecież kiedyś wystarczyło tylko dotknąć ręki mężczyzny. Już sama nawet myśl o tym, wspomnienie tego rozpala coś w głębi ciała. Zaskoczę go, myśli, ach, jak go zaskoczę, tego to się pewnie nie spodziewał. To znaczy, Boże, jak to dobrze, że z nim też tak na pewno może być! Co za odkrycie! Nie potrzeba żadnego Dowgiła! To żarzy się tam samo z siebie i czeka tylko, żeby wybuchnąć płomieniem. Maryśka budzi śpiącego obok mężczyznę. Kazimierz otwiera zaspane oczy, nic nie rozumie. Co? Gdzie? Co się stało?

- We mnie się stało, we mnie - szepcze Maryśka. Walczy z jego sennością, z długą nocną koszulą, drze ją gwałtownie na nim. On poddaje się temu zaskoczony, jakby wystraszony, ale już to jest! Tysiące prądów przebiegają przez ciało. Nareszcie!

- Taka jestem szczęśliwa - szepcze - taka szczęśliwa!

Jak dobrze, że pił tę śmietankę, to ciepłe mleko, dobrze, regularnie jadł, przebiega przez głowę Maryśki.

- Gorąca z Marysi kobieta, żeby tak podrzeć koszulę, no, no - dziwi się Kazimierz.

- Co tam koszula - przeciąga się Maryśka - później zaszyję, teraz śpij, jeszcze wcześniej...

Mężczyzna siada na łóżku, bada swój puls, kręci głową zaniepokojony.

- To nic, to nic - szepcze Maryśka - śpij sobie, śpij, sen krzepi...

- Co tam Antolka za bzdury wyśpiewywała pod naszym oknem? - pyta potem dziewczynę Maryśka. - Za mężem nie licho, ale najlepiej, jak może być!

Antolka podnosi na nią spod krowy bure, smutne oczy.

- A panienczka, mileńka moja - mówi trzymając dójki w zaciśniętych kułakach. - Niechaj Pan Bóg da panienczce dużo tego dobrego, jak najwięcej.

- Antolce też.

- Co tam ja, ja trzymam dla jednego, to co jeszcze zostało, trzymam, jak mogę, ściskam pomiędzy nogami - mówi zuchwale błyskając zębami.

- I Bóg da, że Kostuś do Antolki wróci - pocieszają Maryśka - zobaczy Antosia, że wróci.

I wreszcie najmiłsza chwila pożegnania. Ładują na bryczkę posażny kufer. Maryśka podniecona, szczęśliwa żegna się ze wszystkimi, przywołuje marudzącego Kaziczka, szukającego w salonie swojej prawniczej książki, która gdzieś się zapodziała.

- Szybciej! - woła Maryśka z wysokiej bryczki. - Co tam książka! Kupisz sobie inną! Spóźnimy się na pociąg.

Matka żegna ich trzymanym w rękach obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. Za nią stadko pociągających nosami parobkowskich bab, rycząca głośno Antolka.

- A panienczka a mileńka moja a złocieńka - czepia się bryczki - a któż mnie tu pożałuje, któż pocieszy, któż utuli, jak panienczki nie będzie. O ja nieszczęśliwa, o ja biedna czego mnie mamuśka rodziła - zawodzi.

- Ona jedna. Tylko jedna Antolka po mnie płakała - powie potem Maryśka. - Żyłam tyle w Juryszkach, a tylko ona jedna mnie tu żałowała, tylko ona.

- Walukiewicz, poganiaj konia, bo już ręce zdrewniały od tego obrazu - krzyknęła matka. - Długo tak jeszcze będę go trzymać?!

Maryśka poczuła ból w sercu. Tak ją żegna rodzona matka! Bryczka ruszyła. Łzy ciekły Maryśce po twarzy, machała rękoma, chusteczką, aż juryski dwór przykrył tuman kurzu. Siedzący obok niej Kazimierz już zaczyna kiwać się monotonicznie w tył i w przód.

- Jezus Maria! Czy ty już Żydy wozisz?! - krzyczy Maryśka. - Ja tu płaczę, a ty śpisz! Ci mężczyźni jednak niczego nie rozumieją. A wiesz przynajmniej, czego ja płaczę? - pyta.

- Bo masz oczy na mokrym miejscu - mruczy zmęczony Kazimierz.

- Jestem wrażliwa, rozumiesz! Byle co może mnie zranić. Żeby rodzona matka nie uroniła choć jednej łzy po córce! Nikt mnie tu nigdy nie chciał! Nikt nigdy nie kochał, tylko ta durna Antolka. Tylko ona.

ROZDZIAŁ XVI

Jadą teraz koło lodowni, pod lasem. Maryśka patrzy na leżące w dole Juryszki. Od lasu ktoś idzie. Jakaś stara kobieta. Węzełków na niej pełno, większych, mniejszych. Spod brudnej chustki siwe, skołtunione włosy.

- Tfu! - spluwa Walukiewicz. - Musi to durna Zośka? Dalbóg, ona! Tfu! Końska zaraza! Jeszcze kobyłkę wystraszy.

- Prrr! - woła Maryśka. - Zatrzymaj się! Muszę ją pożegnać!

Maryśka zeskakuje z bryczki. Stara wariatka, która całe życie przemierza drogi i ścieżki, uskakuje nieufnie w bok.

- Zośka, nikt już tobie słoninki nie naszykuje ani kiełbaski, bo ja wyjeżdżam na zawsze! - woła Maryśka.

- Ja powiem... ja powiem... - bełkocze starucha.

- Co powiesz, Zośka? - pyta Maryśka, choć wie, że nikt nigdy nie otrzymał od Zośki żadnej odpowiedzi, tylko to bezradne "ja powiem... ja powiem...".

- Kaziczku, daj mi szybko parę złotych! - woła Maryśka. Wcisła pieniądze pod kaftanik wariatki, ta chyli się do jej rąk. - Ja powiem... ja powiem... - cieszy się. Oczy ma czerwone, zaropiałe, bruzdy na policzkach ciemne od kurzu.

- Kup sobie za to coś na rynku w Ejszyszkach. Słyszysz?! I pamiętaj o mnie! - prosi Maryśka.

- Ja powiem... ja powiem... - Zośka rozciąga w uśmiechu usta ze sterczącym z boku jednym, jedynym zębem.

- A idzi ty! - śmieje się woźnica. - Co ona panience powie? Toż ona ze wszystkim durnowata. Jedziem lepiej, a to jeszcze na pojazd nie uśpiejem.

Kobieta zostaje przy drodze z tymi swoimi węzełkami, ze spaloną od słońca brunatną twarzą. Z dalekich Juryszek niesie się szczekanie psów. Zaraz do niej dopadną wściekłe, ujadające. Skaczą zawsze do Zośki, prężą się na łańcuchach, toczą z pysków pianę z bezsilnej złości.

- Kaziczku, czy znasz ten wiersz? Nie wiem czyj. „O Boże, nie daj mi zwariować, głodować raczej...” Ach, nie pamiętam dalej, ale to piękny wiersz - mówi Maryśka i chce jej się znów płakać i śmiać na przemian, bo już zostawia to wszystko za sobą. - Tak

dziwnie, tak jakoś dziwnie - mówi do męża i przysuwa do siebie koszyk z kanapkami. - Ciekawe, co nam mama dała na drogę. Czy nie pożałowała kurczaka z nadzieniem? - rozważa Maryśka.
- Chcesz?

Ale jej pytanie pozostaje bez odpowiedzi. On znów drzemie. Boże, dziwi się Maryśka, przecież to nasz miodowy miesiąc, to co będzie dalej? Może to jakaś choroba? Kto to słyszał, żeby tak ciągle spać.

Lida jest dużym miastem, z rynkiem, ze stacją kolejową, z garnizonem wojska. Jest tu kino, pełno żydowskich sklepików, a przede wszystkim jest Grodzki Sąd Okręgowy, smutnawy budynek z czerwonej cegły. Niedaleko Lidy mieszka w mająteczku Wierbiedzie siostra Elżunia. Na stacji czeka na nich brat Kazimierza Józef. Nie można powiedzieć, myśli Maryśka, ten to umie się znaleźć, całuje rączki kochanej bratowej, szasta nogą w niskim pokłonie, zapowiada, że mieszkanko wynajął piękne przy ulicy Piłsudskiego, w zacisznym miejscu, tuż przy domku sędziego Truchanowicza, jednego z solidniejszych tu prawników. A teraz prosi do hotelu, prosto ze stacji.

- Jak to: do hotelu? - dziwi się Maryśka. - To nie można od razu do naszego mieszkania?

- Nie, nie, tych parę nocy tu w hotelu będzie bezpieczniej - zapewnia Józef i szepcze coś do Kaziczka.

- Kaziczku, o co chodzi? - denerwuje się Maryśka - co to za tajemnice?

- Słuchajmy Józefa - radzi mąż - on wie najlepiej.

I już wnoszą ich bagaże na górę po wysłanych czerwonym dywanem schodach.

Ta pierwsza noc w Lidzie jest okropna. Ze szczelin w kanapach, spod tapet wychodzą na żer pluskwy.

- Ach, cóż to za straszne miejsce! - narzeka Maryśka. - Nie zostanie tu ani jednego dnia dłużej!

Kaziczek uspokaja ją. Trzyma się kurczowo brata Józefa, idą gdzieś razem, przepadają na drugie godziny. Maryśka siedzi w oknie i gapi się na przejeżdżające furmanki. Konie parskają, wyrwają się do domów, gubią spod ogonów parujący nawóz, na który

zaraz zlatują stada wróbli. Ach, jak ja nienawidzę wsi, wzdryga się Maryśka. Dłużej tego nie wytrzymam, myśli, dlaczego Józef powiedział, żeby nigdzie się stąd nie ruszała, że na wszystko przyjdzie czas, o co tu chodzi? Nie po to przyjechałam do Lidy, żeby gapić się przez hotelowe okno. Co to ma wszystko znaczyć? Może uciec stąd, zamówić furmankę i pojechać do Wierbiedź, do Elżuni? Nie, to zły pomysł. Elżunia z tym swoim rozsądkiem, z wiecznymi kwasami. Lepiej zejść na dół i zapytać na dole. Ale kogo zapytać? Jeszcze tak posiedzi godzinę, dwie i powie kategorycznie Kazikowi, że ona sobie wyprasza podobne traktowanie, że ma tu niedaleko siostrę, adres kuzynki i na pewno nie zginie, bo ona, Marysia, wszędzie potrafi się znaleźć. Mało to kuzynów z Wilna mówiło o jej ujmującym sposobie bycia? Co Kazimierz sobie myśli?! Nie wypadłam sroce spod ogona! Co to ma znaczyć, żeby czekać cierpliwie? Na co czekać?! Na to, aż on sobie przypomni, że zostawił w hotelu młodą żonę?

Po jakimś czasie w końcu wracają. Kazimierz targa bezradnie czuprynę, Józef tłumaczy, że musieli załatwić kilka spraw, prze-ważnie urzędowych, i że kochana bratowa by się tym zmęczyła. Ale Kazik cały wieczór milczy, mruczy coś do siebie, skwaszony jakiś, niepewny. Józef nadrabia miną i elokwencją. - Kiedyś - mówi - kochana bratowa jeszcze mi podziękuje.

- Kaziczku - szepcze Maryśka - czy on nas już nigdy w życiu nie zostawi? Czy to znaczy, że ja wyszłam za was obu? Czy on u nas zamieszka?

- Nie, nie, Józef chce mi tylko pomóc - usprawiedliwia się Kazik.

- W czym pomóc?

- We wszystkim.

- We wszystkim? A czy nie masz od tego mnie, swojej żony? Jeżeli jesteś taki niezaradny, jeżeli nie możesz sam decydować, to trzeba było się nie żenić! - krzyczy Maryśka.

On też wpada w złość, targa czuprynę, biegając po hotelowym pokoju. Złe słowa syczą, pienią się, bulgoczą. Jeszcze chwila, a Maryśka rzuci to wszystko i wróci do Juryszek. Tak, to właśnie usłyszała, że niepotrzebnie za niego wychodziła, że miała w końcu tych paru amatorów, ale wybrała jego. I na koniec ultimatum: je-

żeli jeszcze potrwa dłużej to siedzenie w hotelu, to ona wróci do domu, a on niech sobie żyje z tym swoim Józefem. Widocznie potrzebuje takiej niańki, a nie żony.

- Cóż ja mam robić? Co robić? - krzyczy Kazimierz.

Odpięła mu się szelka, spodnie, jedyne, jakie ma, w szare paski, opadają na pięty, a on, zamiast zapiąć tę nieszczęsną szelkę, staje nagle przy oknie, przykłada rękę do serca, słucha, jak bije.

- Boże mój! - zrywa się Maryśka. - Jesteś chory! Nie denerwuj się, Kaziczku, nigdy cię nie opuszczę! Uspokój się. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Przygarnia go do siebie, całuje, ściska. Już odeszła cała złość, już jest tylko wielka czułość. Kazik gubi drucikowe okulary, szukają ich oboje, pochyleni.

- Co robić? Co robić? - pyta bezradnie Kazimierz.

- Ach - mówi Maryśka. - Najważniejsze, że jesteśmy razem, że już nie jesteś sam. Zobaczysz, jak sobie pięknie ułożymy życie, ja zajmę się domem, a ty będziesz miał to swoje ukochane prawo, swoją pracę. Co z tym sercem? Powiedz! Bije za szybko?

- Złota Marysieńka. Jak dobrze, że zostałam moją żoną - mówi Kazimierz. - Co ja bym bez ciebie zrobił? Tylko nie kłóćmy się.

- To ty!

- Nie, to ty zaczęłaś...

- Tylko mnie nie okłamuj, nigdy nie okłamuj! Brzydzę się kłamstwem. Twój brat Józef powiedział, że kłamstwo jest solą życia. To nieprawda. Ja tyle się nasłuchałam o sobie złego w rodzinnym domu, ale wolę już to, niż żeby udawali, że z moją głową wszystko jest w porządku...

- A co jest z tą głową? - dziwi się Kazimierz.

- Nie widzisz? Taka stołbunowata, nieforemna. Przecież to od razu rzuca się w oczy.

- Ja tam nic nie widzę, głowa jak głowa - mówi Kazimierz.

Czegoś tu za mało, powinien powiedzieć, że jej głowa jest dla niego najpiękniejsza, bo ją kocha, ale to nic, tak jest szczerzej, prościej. Nic, lepiej tak niż z niepewną intonacją, którą ona, Maryśka, zaraz by wychwytiła, bo taki ma już dar od Boga, takie wyczulenie na fałsz i obłudę.

- Zawsze, w każdej sytuacji bądź szczerzy - prosi.

A jednak i to musiała mu wybaczyć, że nic jej nie powiedział, że wszystko przed nią zataił. Niepewny jej był, tłumaczyła go przed sobą. Bał się, że po takim wyznaniu porzuci go, że nigdy za niego nie wyjdzie, że już na całe życie zostanie z tą straszną kobietą. Bo byłakobieta. Tak, ten Kaziczek, nieporadny, zagubiony, trzymający się za serce, miał babę w Grajewie. To przez nią, a nie przez żadne „nieprzewidziane sądowe okoliczności”, nie przyjechał na ślub. To przez nią były te niepokoje, to targanie czupryny, mówienie do siebie, to zapadanie w mUczenie, ponurości i lęki. Wikłała się w to coraz bardziej, a tamta opłatywała go siecią rozszczeń i pretensji. Baba nazywała się Maria Chmura. Wysoka koścista gospodyni domowa, prowadząca dom już niejednemu samotnemu prawnikowi w miasteczku. Każdy tam jakoś w końcu od niej się wywinął, Kazik nie, choć jak mógł, to się bronił. Przesiadywał długie godziny w sądzie, roztrząsał najdrobniejszą sprawę do nocy, zapadał w drzemkę pomiędzy teczkami pełnymi akt, aż budziło go szturchnięcie woźnego, który delikatnie dawał do zrozumienia, że cały gmach już opustoszał i że może by pan sędzia udał się do domu. Wtedy wychodził pełen lęku, co też tym razem ona wymyśli. Bo ona chciała go mieć na zawsze, to pewne. Na ratunek pospieszył brat Józef, który dowiedział się, że w Juryszkach jest panna na wydaniu, że rodzina porządna, posag też jaki taki dadzą. Postanowił więc, że trzeba na gwałt Kazika ożenić. Wszystko to czyniono w tajemnicy przed Marią Chmurą. A jednak dowiedziała się o dacie ślubu, postanowiła do niego nie dopuścić. W dzień wyjazdu Kazika do Juryszek zrobiła piekielną awanturę na całe Grajewo. To były te „nieprzewidziane okoliczności”. Chmura powyrzucała na ulicę wszystkie rzeczy Kazika, wysypywała domowe zapasy: kasze, mąkę, co tam było. Kazik zbierał to, ratował, co się da. Skandal doszedł do sądu, śmiano się z tego w kułak, robiono zakłady, kto kogo przetrzyma, bo Chmura znana była z nieustępliwości. Żeby nie energia brata Józefa, Kazik przepadłby na amen. Następną datę ślubu i wyjazd do Lidy trzymano w ścisłej tajemnicy, ale Chmura wyczytała to z listów i zjechała do miasta. Stąd te szeptys pomiędzy Kazikiem a bratem, stąd zatrzymanie w hotelu.

Nieświadoma niczego Maryśka urządzała się w mieszkaniu przy ulicy Piłsudskiego pełna radosnych planów na przyszłość.

Tu pokój gościnny, tu sypialnia, tu, ten najbardziej słoneczny, dla przyszłego dziecka. Właśnie przesuwała z pomocą wynajętej służącej meble, kiedy ktoś zastukał do drzwi. Podśpiewując pobięła otworzyć. Za progiem stała wysoka, koścista kobieta z rękami pod szeroką peleryną.

- Czy to pani jest Maria Jurewicz z Juryszek? - zapytała tamta.

- Tak, to ja, proszę, niech pani wejdzie - otworzyła szeroko drzwi Maryśka.

I może ten jej serdeczny gest, dobroduszny uśmiech sprawiły, że tamta wyjęła ręce spod peleryny, weszła, usiadła na podsuniętym krzeselku, opowiedziała swoje. Żyła z Kazikiem przez rok, miała z nim dziecko, które on zmarnował.

- Jak to zmarnował? - spytała poblada Maryśka.

- Tak, zmarnował! - zezłościła się tamta. - Nie wie pani, jak to się robi?

Maria Chmura wstała, wyprostowała się, włożyła rękę pod pelerynę.

- Proszę powiedzieć mi tylko jedno, czy pani wiedziała, że on ze mną żyje? Czy wiedziała pani przed ślubem?

- Nie - wyjąkała Maryśka - nie wiedziałam.

- A gdyby pani wiedziała, nie wyszłaby pani za niego?

- Nie, nigdy. Boja... boja brzydzę się kłamstwem... Jeżeli... jeżeli pani ma do niego jakieś prawa, to ja ustąpię - powiedziała szczerze.

W tamtej jakby coś puściło. Nie pożegnała się, wyszła bez słowa.

- Co bratowa najlepszego zrobiła?! - łapał się później za głowę Józef. - Jak tak można było nieostrożnie wpuścić ją do domu?! Ona miała przygotowany witriol, całą butelkę, żeby bratowej zalać oczy.

- Miała, ale nie zalała - skwitowała Maryśka. - Kaziku, dlaczego mnie okłamałeś?! Dlaczego?! Co ona mówi o dziecku?! Powiedz! Czy to prawda? Ja odejdę! Zaraz wyjadę do Wierbiedź. Najpierw do Elżuni, potem do Juryszek. Dlaczego mi to zrobiłeś?! Dlaczego nawet ty?! - szalała.

Kazik stał przed nią z opuszczoną głową.

- Nie rzucaj mnie - poprosił - ja bez ciebie zginę.

- A co zrobiłeś z dzieckiem? Co z nim?!

- Nic - wymruczał Kazik - powiedziałem jej, żeby go nie psuła. Ale gdzieś tam poszła do jakiejś baby, potem już nie wiem...

Potem nie było już tak radośnie ani tak wesoło. Cały dom poszarzał. Nieważne było, gdzie stoją meble, gdzie będzie dziecienny pokój. Maryskę ponosiły emocje. Musiała komuś o tym opowiedzieć. Pojechała do Wierbiedź, do siostry.

Elżunia miała już troje dzieci, z którymi nie umiała sobie poradzić, bo ciągle chorowały. Dawne to były czasy, kiedy wystrojona, w kapeluszujechała do Niemców, żeby załatwić zwolnienie z niewoli swego męża, Leosia. Teraz ubrana na szaro, z niedbającym koczkim z tyłu głowy, znajdowała jedyną nadzieję w modlitwie i postach. Mąż, w samodziślowej, postrzępionej marynarce, z wyrudziałym wąsem, rozjaśnił się na widok Maryški.

- Szwagierka do nas przyjechała! - wykrzyknął. - Jakby słońko na niebie, taka jasna. A jak podobna do mamuśki, mojej teściowej! Jakby skórę z niej zdjęła!

- Ależ, Leosiu - zasznurowała usta Elżunia. - Co ty opowiadasz? Maryśka do nikogo z rodziny niepodobna, wiesz dobrze, choć co do charakteru, to rzeczywiście i mama, i ona takie same lekkomyślne, nic w nich nie ma statecznego.

- Nie dam złego słowa powiedzieć na moją teściową. To święta kobieta - stuknął w stół pięścią Leoś. - Żeby nie ona już by mnie na świecie nie było. Zgniłbym w niewoli. Szwagiereczka - szepnął, kiedy siostra wyszła na chwilę. - Czy szwagiereczka wie, że Elżunia spać ze mną nie chce? Ciągle wynajduje jakieś nieprzewidziane okoliczności.

Maryśka parsknęła śmiechem.

- Co też Leoś opowiada?! A dzieci? Z czego tych troje dzieci?

- Ach, dzieci to tylko po to, żeby mnie zrobić na złość. Wszystkie nastawia przeciwko mnie. Miałem jednego wroga w domu, a teraz mam czterech.

- Elżuniu! Czy wiesz, że Kazik miał babę w Grajewie! - powiedziała siostrze Maryśka kiedy zostały same. - Czy możesz w to uwierzyć?

- Do tego to każdy z nich zdolny - zaszemrała Elżunia. - O Boże, jak mnie głowa boli - poskarżyła się. - Tak mi szkodzi

współzycie z Leosiem, że nie masz pojęcia. Sił już nie mam. A wczoraj naszłam na niego i na babę, co u nas płótno tka. W odrynie ich nakryłam. Ale ona mnie popamięta do końca życia! Służąca dała znać, gdzie oni, to złapałam spod pieca koczerkę i poleciałam do odryny. Dostała za swoje.

- Tylko ona? A nie Leoś? To niesprawiedliwie! - zaśmiała się Maryśka. - Patrzcie państwo, ty, takie ciepłe kluski, ale tam gdzie trzeba, dochodna. Jak ty wyglądasz, Elżuniu, włosy rozpuść, nałóż coś jaśniejszego, wtedy będziesz się podobać. Dam ci moje perfumy, chcesz? „Czerwone Maki”. Zaraz poczujesz się inaczej.

- Podobać się? - podniosła oczy do góry Elżunia - a komuż tu mam się podobać? Na tym pustkowiu? Nie chcę żadnych perfum - zacisnęła usta - po tym tylko boli głowa.

I tak się skończyły zwierzenia siostrze, ale Maryśka wyjechała od nich jakaś podbudowana. Ona była szczęśliwsza, bo czuła to, że pokocha tego swego Kazika takiego, jaki był. A Elżunia, kiedy przypadkiem dotknęła męża, cofała rękę ze wstrętem. Więc Maryśka ma lepiej, o wiele lepiej, nie do porównania, bo ma w sobie tego o wiele więcej. To dziwne, ale nawet ten epizod z nieszczęsną Marią Chmurą połączył ich z Kazikiem jakby bardziej, przeszło jej przez myśl.

- Oj, szwagierku, szwagierku - pokiwała palcem Leosiowi, kiedy pomagał jej wsiąść na bryczkę. - Co ja słyszę?! Ładnie to tak?

- Już Elżutka opowiedziała szwagierce, co się stało - przygryzł w zakłopotaniu wąsy Leoś. - Ale dalbóg - stuknął się w pierś - niech szwagiereczka powierzy, że do niczego tam jeszcze nie doszło, kiedy wpadła Elżunia - rozglądał się tchórzliwie na boki, czy kto czasem nie słyszy. - Niech szwagiereczka powierzy, niczego tam nie było.

- Ale mogłoby dojść, żeby nie ta koczerka - zaśmiała się Maryśka.

- Ciii - mitygował ją - ciii, a to jeszcze kto posłyszysz - o, żeby tak ze szwagiereczka, to czemu nie, i diabła bym się nie bał. Dotkniesz rączki, to aż iskry lecą! Nie to, co Elżunia. Znadto flegmatyczna. Czekać, ja wezmę za nóżkę, posadzę na bryczkę - sapał.

Marysia moszcząc się na bryczce poczuła, że w tym sporze jest po stronie szwagra. Elżunia każdego, nawet świętego, zanudzi na śmierć. Tak samo myślała ich matka Maria z Juryszek.

Może ja rzeczywiście jestem najbardziej podobna do mamy, ale ona nigdy się do tego nie przyzna, myślała Maryśka, może i ta moja głowa nie jest taka straszna teraz, kiedy modne są te krótkie fryzurki, na uszy, z falami. Fryzjer z Lidy, do którego chodziły wszystkie panie sędziny, zapewniał ją, że zmniejszy to jej głowę. - Choć nie wiem, czym się szanowna pani przejmuje - gruchał słodko - główka jest bardzo zgrabna daj Boże taką wszystkim paniom - przekonywał.

Ale nie było czasu myśleć o głowie, bo tyle ciekawego działo się w tej Lidzie. Choćby poznawanie tutejszego sądowego towarzystwa: adwokatów, sędziów, ich żon. Bywali na rozlicznych przyjęciach i balach. To wtedy pojawiła się ta jej wymarzona suknia w najpiękniejszym kolorze czerwonego wina. Suknia była długa jedwabna. Kaziczek marudził, że za droga, ale dla niej to czerwone wino było symbolem tutejszego swobodnego życia. Kazik nie lubił towarzystwa, wysiadywał na przyjęciach z udręczoną miną, czekając tylko na szybki koniec balu. Ona obok niego rozbawiona wesoła, ale zawsze ucinająca ostro drwinę z tego jej męża który tańczył niezgrabnie, trzymał się jej kurczowo i potrafił podrzemywać w najweselszym towarzystwie.

- Kaziczku, czemu ty nie umiesz cieszyć się życiem? - nie mogła zrozumieć Maryśka. - Czym ty się tak przejmujesz? Powiedz! Czemu ciągle mówisz do siebie? To takie dziwaczne. Wszyscy się z nas śmieją - wyrzekła w domu.

- Sędziuleńku, czym się tak gryziesz? Masz młodą i piękną żonę, da Bóg dziatki, czym się tak frasować? - dziwił się przyjazny mu kolega sędzia

Inni robili znaczące miny za jego plecami. I tu, jak w Grajewie, całe dnie Kazik spędza! w sądzie. Obiad w ciepłej duchówce zsychał się i tracił smak, Maryśka stała w oknie pełna niepokoju, że może coś mu się stało po drodze. W końcu biegła do sądu przez łąkę, na skróty. W całym gmachu paliło się tylko jedno światło na górze. Obudzony na dole woźny brzęczał kluczami i zapewniał panią sędzinę, że nic się nie stało, że to pan sędzia jeszcze sędzi.

- Jezus Maria! Przecież ciebie tam wszyscy znienawidzą - zamartwiała się Maryśka. - I co tam tak długo sądzić, że baba babie ukradła kurę albo czyje płótno było na łące?

- I płótno, i kura musi być zasądzona sprawiedliwie - mamrotał Kazik z nosem w książce.

Doszło do tego, że do nocy zostawał w sądzie już tylko sam Kazimierz i przez oświetlone okno widać było jego pochyloną nad papierami głowę.

- Biedny ten mój Kazik, taki akuratny, taki dokładny, on inaczej nie potrafi - przekonywała wszystkich Maryśka.

- Nudziarz, safanduła, ciepłe kluski - podśmiewano się.

- Nie ma drugiego tak uczciwego z kośćcami - broniła go żarliwie. On miał takie nieszczęśliwe życie, tłumaczyła go przed sobą. Kształcił się daleko od domu, w Petersburgu, ciężko miał, bo zubożali rodzice, a kiedy w końcu skończył studia, wybuchła ta straszna rewolucja. Opowiadał, że posadzono go w czerezwyczajce, siedział tam kilka miesięcy. Przez tę rewolucję tu w Polsce miał potem wielkie kłopoty z dostaniem pracy. Posadzono go o komunizm. W końcu z pomocą brata Józefa dostał pracę w sądzie w tym dalekim Grajewie. Miasteczko było marne, ledwo co żywe, i ta straszna Maria Chmura, przed którą wszyscy go ostrzegali.

- Żeby nie ja, żeby nie małżeństwo ze mną, zginąłby marne w tym Grajewie, ta Chmura unieszczęśliwiłaby go na całe życie - opowiadała zaufanej kuzynce Maryśka.

No dobrze, rozważała, ale to już wszystko poza nim, więc skąd ten jego smutek, to nerwowe targanie czupryny? Inne sądziny prowadzone pod rączkę na spacer przez mężów śmieją się kokieteryjnie, kręcąc ufryzowanymi główkami, a Kazik na ulicy zakłada ręce w tył i gna nie pamiętając nawet, że ona, Maryśka, nie nadaża za nim w pantoflach, że w biegu przekrzywił jej się kapelusz. Staje jak wryty na jej wołanie, wraca do niej, Maryśka chwyta go pod rękę i tak przechodzą tylko parę kroków, bo zaraz potem Kazik gnajeszczce szybciej, wymachuje rękoma, gestykuluje, a ona musi udawać, że to z nią tak rozmawia, więc odpowiada coś bez sensu, bo jej wstyd przed ludźmi.

- Nerwy, panie sędzio, to tylko nerwy - mówi wezwany lekarz, przykładając do bijącego na alarm serca wielkie czerwone ucho -

serce ma pan jak dzwon. Regularny tryb życia, spacer, nie prze-męczać się pracą, bo to nerwy ma pan zupełnie rozstrojone.

Jak je nastroić, nie wiadomo. Może jakiś kurort, może wyjazd do Juryszek na świeże mleko i powietrze?

- Sędzino złota, proszę wpłynąć na męża, żeby się tak nie zapracowywał - radzi jej naczelnik sądu na karnawałowym balu - kto to widział, żeby tak zaniedbywać taką żonę - dodaje pochła-niając wielkie płaty faszerowanej cielęciny. - Wspaniała ta cielęcina - mruczy.

- To moja specjalność - chwali się Maryśka - na wszystkich składkowych balach mnie przypada robienie faszerowanej cielęcinki.

- Cielęcinka - mruży oczy naczelnik, cały kosmaty jak wielki, czarny bąk. Na owłosionej dłoni błyszczy sygnet, mały palec odgięty w bok, kiedy niesie widelec do ust. - Pani sędzina taka piękna, taka młoda - mówi zezując niespokojnie na boki, czy aby kto nie słyszy. - Co pani zrobi z tą resztą? - szuka pod stołem jej kolana, przyciska do niego swoje.

- Zasuszę, panie naczelniku - wypala Maryśka i długo potem jest bardzo dumna z tej ciętej odpowiedzi.

- No tak - przeżuwa kęs cielęciny naczelnik. - No tak, krótko mówiąc, szanowny małżonek stanowczo za wiele prze-siaduje w sądzie. Kto to widział, żeby tak błahe sprawy rozpatrywać do nocy. A ileż to wypali się światła! Proszę mu zwrócić na to uwagę - cedzi i wyciąga kosmatą dłoń po kieliszek wina. - Tak, tak, pani sędzino łaskawa, pyszna cielęcinka, daję słowo, ale radzę przekonać męża w trosce o jego zdrowie.

- Ja się nie wracam do jego sądowych spraw, panie naczelniku - ucina Maryśka - jeżeli on tam siedzi w nocy, to widocznie ma ważne ku temu powody.

- Ach - czerwienieje naczelnik - nie mówmy już o tym. Na niektóre sprawy trzeba przymknąć oko.

- Mój mąż jest bardzo uczciwym człowiekiem i na nic nie przymyka oczu. A czy pan wie, że jak idziemy z nim po ulicy, to chłopi zrywają czapki z głów i wołają: „Niech żyje nasz sprawiedliwy sędzia!” Sama słyszałam wiele razy.

- No cóż, chłopi - mówi nieuważnie naczelnik i odwraca się

od niej ku sąsiadce z lewej strony. - Czy kosztowała już łaskawa pani faszerowanej cielęciny? Pyszna! - zachwala.

A Maryśka pęcznieje cała z dumy. Jak mądrze, jak taktownie, jak dowcipnie docięła naczelnikowi. Ogarniają wielka czułość do Kazika, że taki uczciwy, że taki skrupulatny. Posyła mu na koniec stołu, gdzie siedzi wciśnięty między dwie rozplotkowane panie, spojrzenie pełne miłości. Kazik zrywa się, podchodzi do niej.

- Już idziemy, Marysiu? - pyta pełen nadziei. - Idziemy do domu?

- Tsss! Nie wypada - daje mu znaki Maryśka i Kazik przeciska się na swoje miejsce, trącając w łokieć jakąś panią, która niosła do ust kieliszek wina. Wino pryska na suknię, małe zamieszanie.

- Ach, cozaniezgrabiasz! - woła pani. - I nawet nie potrafi przeprosić! - Wszyscy zwracają na nich uwagę, kiwają głowami, że to jak zwykle ten dziwak, sędzia Lulewicz, i Maryśka skręca się ze wstydu za niego, ale zaraz dumnie podnosi głowę. Nic się przecież takiego nie stało, to tylko małe towarzyskie potknięcie. A przecież ta cała pozorna szarmanckość, to odginanie palca, to brylowanie przy damach to tylko blichtr, cienka politura. Jej Kazik w środku jest taki wrażliwy, taki nieśmiały i tak łatwo go zranić byle czym. Dziwak czy nie, ona, Maryśka, będzie zawsze stała za nim murem.

A jednak nie jest to proste, bo żeby chociaż w towarzystwie nie trzymał się jej tak kurczowo, żeby pozwolił zatańczyć, choć raz, z młodym aplikantem, ale nie, Kazik drepcze niezgrabnie w walcu, wiruje w tangu, a aplikant patrzy na to mrużąc ironicznie skośnawe, pełne iskier oczy. Tu ratuje ją dobroduszny sędzia. - Sędziuleńku kochany - woła - tańczyć tylko z własną żoną to kazirodztwo! - śmieje się i zarządza kółeczko, a z jej lewej strony już czyhają na nią otwarte ramiona młodego aplikanta. Już gorące tango aż do utraty tchu, a Kazik stoi z boku pod ścianą, targa czuprynę. Marysia widzi, jak nieoceniony sędzia-wodzirej prowadzi go do sądowej sekretarki, łączy ich w taneczną parę, ale Kazik kręci przecząco głową, nie spuszcza oka z Maryśki. Aplikant coś szepcze jej do ucha, przylega do niej ciasno. Maryśka przymyka oczy i już ginie jak mucha w słodkiej pajęczynie jego pochlebstw, kiedy nagle dociera do niej, co on mówi:

- Pani sędzino, gdyby mogła pani szepnąć mężowi w mojej sprawie, to byłbym szczęśliwy...

Maryśka trzeźwieje. Jego skośne oczy zachodzą mgłą, jej wzrok twardnieje.

- Nigdy nie wtrącam się do sądowych spraw mojego męża - odpowiada ostro. - Proszę zwrócić się do niego osobiście.

- Ciii - syczy aplikant i długimi skokami bieży w drugi koniec sali, bylejak najdalej od sędziego Lulewicza, bo to targanie czupryny nie oznacza nic dobrego.

- I wyobraź sobie, do niczego między nami nie doszło, choć w mufce znalazłam od niego miłosny liścik i choć bardzo na mnie działał - zwierza się Maryśka kuzynce Werflowej.

Już od samych tych słów uderza na nią fala gorąca, czerwieni szyję, policzki.

Werflowa podnosi upierścienioną rękę do ucha. - Co mówisz? - dudni. - Ze do niczego nie doszło? Ależ, kotku, to wielka szkoda.

- Jak to szkoda? - dziwi się Maryśka. - Zdradzać męża to grzech.

- Ale jaki słodki - mówi Werflowa i zapala kolejnego papierosa, puszczając przed siebie kłęby dymu. - Młodość jest krótka, wierz mi, duszko. Nawet mój mąż, Waldemar, zauważył to, że wzbudzasz na balach powszechne zainteresowanie. Masz temperament, moja duszko, a wierz mi, nie ma nudniejszej rzeczy jak cnota.

- To ty masz rzeczywiście bardzo wesołe życie ze swoim Waldemarem, bo cnotą nie grzeszy - mówi Maryśka.

- O, czyżbyś chciała mi dociąć? Coś podobnego! - Werflowej trzęsie się ze śmiechu gąbczasta twarz, zwiija się w fałdy podbródek. - Wiedz, moja droga - mówi - że mnie szalenie bawią rozrywki mojego Waldemara nie masz pojęcia, jakie to zajmujące. Niebywale!

Werflowa całe dni spędza na paleniu, siedzeniu na kanapie i picciu herbaty z zaprzyjaźnionymi paniami. Tu jest jej najlepsze na świecie miejsce, a mąż, mały, energiczny, zapewnia jej i dwóm córkom dostatnie życie. To on dba o gospodarstwo, które dostał pod Lidą jako wojskowy osadnik, to on wydaje dyspozycje służącej

i niańce, bo Werflowa nigdy nie ma na to czasu ani głowy, to on całuje ją przy paniach w upierścienioną piegowatą dłoń i już gdzieś goni, mały, zwinny, wiecznie w ruchu. A to, że na widok każdej nowej kobiecej twarzy płoną mu oczy, to Werflowa tylko śmieszy, nic więcej. Najbardziej bawi ją oglądanie z boku jego miłosnych podchodów.

- Spójrz, jaki on zabawny - zaśmiewa się. - Widzisz, jak szasta nóżką, jak stroszy te resztki włosów na głowie. Kapitalne!
- rozwiewa ręką kłęby papierosowego dymu.

- Czy ty go nie kochasz? - nie może zrozumieć tego układu Maryśka.

- Ależ kocham, jak najbardziej - tylko nigdy nie mogę znaleźć go w łóżku - pęka ze śmiechu Werflowa - i tak mijamy się co noc. - Wzdycha teatralnie, niosąc do ust kolejne cistko z kremem.

- I znosisz to, że on bywa sam na balach?

- Ależ ja nie cierpię bali, to takie nudne, tam nie można spokojnie porozmawiać.

- A jego miłosne przygody? Nie jesteś zazdrosna? - nie może zrozumieć Maryśka.

- Nie. Musi mi tylko zawsze wszystko opowiedzieć po powrocie. Nie masz pojęcia, jakie to ciekawe.

- I co ona na to, co? - dopytywała się zwykle męża, zapalając kolejnego papierosa. - Jak ciebie przyjęła?

- Ależ, duszko, sama rozumiesz, że przychylnie - zapewniał ją mąż.

- Opowiedz wszystko ze szczegółami - rozkazywała sadowiąc się na łóżku.

- Dobrze, tylko dziewczynki chcą ci powiedzieć dobranoc.

Werflowa odkładała na chwilę palącego się papierosa, nieważnie całowała dygające dziewczynki i długo w noc rozlegał się z sypialni jej tubalny śmiech, bo to, co on opowiadał, było takie zabawne. Udzielała mu też przedziwnych rad.

- Powiem ci, że niepotrzebnie tracisz czas na tę Kulińską. Zająłbyś się lepiej tą sekretarką, starą panną, którą ciotka ciąga po balach. Możesz jej okazać trochę serca. Ależ nie ciotce - zaśmiewała się - tylko siostrzenicy. To taka biduła.

Kiedy po latach, w czasie drugiej światowej wojny przyszli po Werflów bolszewicy, bo wojskowych osadników wywożono do Kazachstanu jako pierwszych, Werflowa tak wielkie zrobiła wrażenie na enkawudzistach, że tylko ją jedną z uważaniem podsadzono do towarowego wagonu, podczas kiedy inni kłębili się, upychani kolbami byle jak.

I o dziwo ta kanapowa, lidzka dama przeżyła Kazachstan i wróciła nie złamana do Polski, a jej bliscy zapewniali, że nikt i nic nie zmusiło jej do pracy nawet w tamtejszych warunkach. Papierosy zamieniła na samosiejkę, po bransoletach nie zostało śladu, jej wielka lwia twarz pełna była obwisłych fałd, ale po dawnemu dyrygowała małym, zasuszonym mężem.

- Wyobraź sobie - opowiadała komuś - że mój Waldemar miał tam romans z prezydentem kołchoza oczywiście kobietą, i tylko dzięki temu przeżyliśmy. Tak, tak, to straszne, ale Waldemar okazał dużo hartu ducha, wierz mi - zapewniała.

ROZDZIAŁ XVII

Te lata w Lidzie były dla Maryśki jak ulubiona suknia koloru czerwonego wina. Zawsze ten kolor był dla niej najpiękniejszy.

Rankami budziła się szczęśliwa, i to bez żadnego powodu. To nic, że Kaziczek przez całą noc pochrapywał przy niej spokojnie i że tak rzadko przenikał ją ten słodki prąd. Okazuje się, że można żyć i bez tego. Wystarczy już sama świadomość, że za oknami nie ma Juryszek, tylko Lida.

Codziennie koło południa Maryśka obchodziła ze służącą małe żydowskie sklepiki, a kupcy za ladą kłaniali się jej nisko, tytułując „panią sędzią”. Czasem jednak dopadał ją jakiś dziwny smutek, a Kaziczek pytał wtedy zakłopotany: - Co dolega Marysi? - Nic - mówiła - to tak jakoś samo z siebie, bez żadnego powodu, to minie. - Wtedy targał gwałtownie czuprynę, przemierzał wielkimi krokami pokój i pytał co chwilę, czy to już przeszło.

- Tak mnie kocha, tak martwi się o mnie, że nie masz nawet pojęcia - zwierzała się siostrze Elżuni. Ta sznurując po swojemu usta patrzyła na nią z niedowierzaniem. - Ja wiem, co o mnie myślisz, wiem. **Że** mnie nikt nie może kochać! A jednak znalazł się taki jeden! To tylko wy mieliście mnie zawsze za bożą podszewką, tylko wam nigdy nie mogłam w niczym dogodzić! - złościła się Maryśka.

Ale zaraz potem było jej żal tej siostry ciągle skwaszonej, ubranej w długie, szare sukienki i wiecznie narzekającej na bóle głowy. Jej troje dzieci, bladawych jak kartoflane kiełki na wiosnę, cierpiało na skrofuły, a jedna z dziewczynek miała pałakowate, krzywicze nogi.

- Nie, Elżuniu, tak nie może być! Przywieź je do mnie. Trzeba to leczyć! - zdecydowała Maryśka i dom przy ulicy Piłsudskiego zapełnił się siedzącymi spokojnie na krzesłkach dziećmi Elżuni. Ona sama modliła się przeważnie w pobliskim kościele, rada, że ma tu do niego tylko parę kroków.

Maryśka zносиła dzieciom pomarańcze, banany, ale dzieci patrzyły na to nieufnie i wypluwały owoce ze wstrętem. Kazik o tym wszystkim nie wiedział, bo chyba by żałował pieniędzy.

- Skąpawyjest - krzywiła usta Elżunia. - Jak kupi czekoladę,

to nawet nie poczęstuje, sam je.

- Skąpawa to ty! - zaperzała się Maryśka. - On jest tylko oszczędny, nic więcej. I ciężko na to wszystko pracuje, dniami i nocami!

- Chodźcie, dzieci - obrażała się Elżutka - pójdziemy się pomodlić do Boga. To najlepsze lekarstwo. Modlitwa do Boga - dla duszy osłoda.

Zgarniała swoją trzódkę i szła do kościoła, człapiąc zsuwającymi się z nóg pantoflami.

Kaziczek rzeczywiście przynosił z miasta czekoladki i jadł po kryjomu, szeleszcząc papierkami.

- Kaziczku, czy ty mnie żałujesz, czy mojej siostrze? - krzyczała na niego Maryśka.

Ale po jakimś czasie przywykła do tego. Niech sobie je. Może ten zwyczaj przywiózł z porewolucyjnej Rosji, gdzie wszystkiego brakowało, może z biednego domu. W końcu może i miał trochę racji, bo krewni walili teraz do nich drzwiami i oknami. A to jakiś wesoły kuzyn z Wilna, którego Maryśka chciała koniecznie zapisać na kurs tańca, a to jakaś podstarzała ciotka z kuzynką, chcącą się wydać za mąż w tej rozbawionej Lidzie. Więc i tak dobrze, że Kaziczek ma tyle cierpliwości, że taki wyrozumiały. Ale tak Bogiem a prawdą Kaziczek zaszywał się w swoim pokoju nad prawniczymi książkami i nie bardzo wiedział, co się dookoła dzieje. Kiedyś zdziwił się serdecznie na widok dzieci Elżuni, bo zapomniał, że one tu mieszkają. Maryśka rozdawała im właśnie wielorybi tran, który zagryzały chlebem z solą.

Wtedy to, chyba po raz pierwszy, zrobił jej awanturę, krzyczał, że puści go z torbami. Jakoś to się jednak zażegnało i dzieci zostały.

- Patrz, jaki ten mój Staś poważny, pewnie będzie księdzem - mawiała Elżutka patrząc z dumą na apatycznego syna.

- Jezus Maria! Chcesz go żywcem zakopać w grobie! - oburzała się na nią Maryśka. - Ty też kwasisz swoją młodość. Wiesz co, chodź, pójdziemy do mojego fryzjera. Zaraz poczujesz się odmłodzona o dziesięć lat.

Elżutka odżegnywała się od fryzjera ze zgrozą i szła wyżalić się w modlitwie do kościoła.

- Marysiu, od kiedy jest u nas Elżutka, ja zupełnie straciłem

głos - skarżył się Kazik. - Słyszysz? - wspinał się na palce i próbował śpiewać: - „Hej, tam na górze stała cerkiewka, przy niej dzwonnica mała. Wyjdź tam na błonie, wyjdź, czarnobrewka...” - Dzieci Elżuni przemykały w popłochu do kuchni. - Widzisz - narzekał - widzisz, nic mi nie wychodzi, tracę głos.

- Mnie też Elżutka działa na nerwy, ale to przecież rodzona siostra, taka sama jak dla ciebie Józef, tak samo bliska - tłumaczyła Maryśka.

Jakoś tam godziła ich ze sobą, jakieś tam zawsze znajdowała okoliczności łagodzące - ten termin przejęła od Kazikowych sądowych spraw. Siostra wyjeżdżała co jakiś czas do Wierbiedz. I tak to trwało. Aż któregoś dnia przyszła depesza z Juryszek, że ojciec jest ciężko chory na zapalenie płuc. Leży w Wilnie w szpitalu na Wilczej Łapie. Tej nocy Maryśka miała okropny sen. Zamknięto ją w składziku, starym, zmurszałym. Nie mogła się z niego wydostać. Przed oczyma miała deski pokryte pleśnią, sterczały z nich zardzewiałe gwoździe. Krzyczała, mocowała się z tymi deskami, wyrwała jedną, ale i tak wiedziała, że nigdy nie wyjdzie. Zbudziła się zlana potem. Kazik pochrapywał cicho obok niej, mysz chrobotała w podłodze, było strasznie.

- Obudź się, Kaziczku! - szarpnęła go za ramię Maryśka - obudź się!

- Co?! Gdzie?! - zerwał się.

- Taki miałam okropny sen. Pewnie ojciec umrze, trzeba natychmiast zawiadomić Elżunię, jechać do Wilna.

Ale zanim zebrały się do drogi, przysłali konie z Juryszek, żeby natychmiast przyjeżdżać, bo ojciec umiera. Furmanił Antośka, juryski parobek z szopą włosów na głowie, które ledwo co przyciskała czapka.

- Niechaj panienki skorej jado, a tojeszcze nie uśpiejo. Starsza pani tak nakazała - powiedział zsuwając tą swoją czapkę głęboko na oczy.

- Jezus Maria! To tak z ojcem źle?! - natarły na niego.

- A ja tam wiem - błysnął w uśmiechu ostrymi zębami - musi co drenny.

Wóz był wysoki, z dwoma siedzeniami. Jechali zwirowym gościńcem. Maj był ciepły, na łąkach zółciły się ślepotniki, po

rowach piły wodę kaczęce. Wóz kołysał się sennie, Antośka pokrzykiwał na kobyłkę, która co chwila przystawała, a Kary ciągnął wóz za dwoje.

- Antośka, a co to było? Nie wiesz, od czego nasz tatko zachorował? - spytała Maryśka.

- Ja tam wiem? - odrzucił do tyłu czapkę parobek. - Gadają, co położył się na miedzy i zasnął, a wiadomo, że w kwietniu po wierzchu grzeje, a od spodu tylko co ziemia odtajała. Musi przestudził się czy jak?

- Ach Boże mój, ten nasz ojciec taki zajadły do tej gospodarki, pewnie siał i orał, spocił się i gotowa choroba - westchnęła Elżutka.

- Ja tam wiem? - naciągnął na oczy czapkę parobek. - Wio, Kasztanka! Gadajo, co starszy pan od Emilki wracał, od wdowy, to i rozparzony był...

- Niech Antośka nie rozpowiada takich bzdur! - obruszyła się Elżutka.

- Nu, panienska, ludzi jak to ludzi, breszo, co im ślina na język przyniesie. Cipun im na języki! - załagodził parobek.

- A jak nasza mama, starsza pani, mocno przeżywa? - spytała Maryśka.

- Przestań! - szturchnęła ją w bok Elżutka. - Nie wypytuj byle kogo!

- Wio, skatina jedna! Owies ciebie rozpiera! - krzyknął na kobyłkę parobek.

Elżutka zagłębiła się w odmawianiu różańca. Zdrowaśki sypały się monotonnie jak groch ze straków, adookoła falowało w ciepłym wietrze zielone żytko, brzęczały pszczoły. Ciekawe, czy kwitnie już cząborek, pomyślała Maryśka nie, chyba za wcześnie. Przed nimi most na Dzitwie, parobek ściągnął lejce, kopyta dudniły głucho po niepewnych, zmurszałych deskach. Jedna wyrwana pod nią ziejący otwór, w dole rzeka błotnista leniwa, jak to Dzitwa.

- Antośka! - krzyknęła nagle Maryśka. - Zatrzymaj konie!

- Prrr! - ściągnął lejce parobek. - A cóż tam takiego?

Maryśka zeskoczyła z wozu, niedobrze jej, podeszło wszystko do gardła mdlącą, mulistą falą. Zwróciła w tą ziejącą dziurę na moście.

- Musi coś zaszkodziło? - spytał Antośka.
- Nie odpowiadaj byle komu! - syknęła Elżutka.
- O Jezu, jak niedobrze - jęczała Maryśka. Po chwili na szczęście się uspokoiło. - Bo wiesz, ja spojrzałam na tą wyrwaną deskę i... i... ja to śniłam, taką samą dziurę, tylko że w składziku - wgramoliła się na wóz Maryśka.

- Co ma piernik do wiatraka? - ruszyła ramionami siostra. - Poganiaj konie! Długo tak będziemy stali?

Parobek odrzucił gwałtownie czapkę do tyłu, świsnął bat.

- Coś musiałam zjeść takiego? - zastanawiała się Maryśka.

- „Błogosławionaś ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota twego” - przesunęła kolejne ziarnko różańca Elżutka. - Nic tobie nie zaszkodziło, masz strusi żołądek, pewnie to całkiem coś innego.

Antośka odwrócił głowę, błysnął zalotnie białymi zębami, spiczastymi na końcach jak u młodego psa:

- Panienki! Ej, panienki! Niechaj skazo, jak jechać, czy na Budziniszki, czy na Soboluńcy! Na Soboluńcy bliżej, nu droga drennowata.

- Jedź tak, jak najbliżej! Czego marudzisz?! - krzyknęła Elżutka.

- Elżuniu, wiesz, jeżeli będę miała dziecko, to musi być dziewczynka, ja wolę dziewczynki, nie lubię mężczyzn, nie wierzę im - szepcze do siostry Maryśka.

Już są na górcie pod lodownią. W dole całe Juryszki jak na dłoni: szerniałe dachy świrna, stodoły, odryny, domu.

- Czy wiesz, kto mnie żegnał najczulej, jak wyjeżdżałam z Kazikiem? - powiedziała Maryśka. - Ta stara wariatka Zośka, co mówi: „Ja powiem, ja powiem...” Tylko ona nade mną płakała. Ani mama, ani tatko, tylko ona.

- Ee tam, ty zawsze coś na rodzinę wymyślisz - machnęła ręką Elżutka.

- A Zośkę „ja powiem” psy w Lewkiszkach zagryźli - odwrócił głowę parobek - obstąpili na krzyżówce i zagryźli.

- O Boże! Co Antośka mówi?! To straszne! - zawołała Maryśka. - Zawsze bałam się psów - wzdrygnęła się. - Biedna Zośka.

- Nikto jej nie żałował, sumaszetszy była - dodaje parobek.
- To też człowiek. I ona jedna po mnie płakała.
- Ścichnij lepiej! - nakazała Elżutka. - Nie opowiadaj takich rzeczy byle komu.

Wjechali na dziedziniec porośnięty niską zieloną trawą. Te same otwarte szeroko wrota, ten sam stary płot. Czochra się o niego świnia, na żerdkach, jak kiedyś, schną czarne sagany, suszą się płócienne ścierki.

- Kto to idzie przez podwórze? To chyba Broniś? - zawołała Maryśka. - Prrr!

Zeskoczyła z wozu, podbiegła do brata. Broniś, krępy, przysadzisty, w samodziałowej marynarce, nie ma na głowie ani jednego włoska. Różowa łysina lśni jak wypolerowana.

- Coś ty z siebie zrobił, Broniś? - zdziwiła się Maryśka. - Co się stało?! Żeby tak wyłysieć! Wezmę cię do Lidy, może jest na to jakieś lekarstwo.

- Ot, wielka bieda - wzruszył ramionami Broniś - wzięli i wyleźli. Ja tam nie bieduję, ale o, Maryśka jak rozpaniała, jak odpasła się na mężowskim chlebie, no, no...

- Jak tatko? Powiedz, jak tatko?

Broniś podrapał się po łysinie w zakłopotaniu.

- Musi, co mamie. Leży wyschły jak ten szakalik. Nikogo już nie łaje, sił w nim tyle co w kurczaczku...

Już wybiegła do nich matka w welwetowej, ciemnej sukience. Elżutka wydała dyspozycje parobkowi, żeby wyprzągl konie, wytarł do sucha, dał owsa. W pobrużdżonej twarzy matki błyszczały rzy.

- Dobrze, że przyjechały choć na ostatnie ojcowskie błogosławieństwo - powiedziała.

- Wspomniał mnie? Mówił coś o mnie? - dopytuje się Maryśka.

- Dwa dni temu wspomniał.

- Co mówił? Co?

- Że dobrze, że Maryśka zamężna, że za sędziego poszła, tylko tyle. Czy wiesz, że on tylko Kostusia chce widzieć, tylko jego? Posłałam dziś po niego Antolkę. Żeby choć uszła, żeby zdażyła.

W sypialnym pokoju na wysokich poduszkach wyszła ojowska twarz, ręce niespokojne na pierzynie. Siedziała przy nim

Janeczka, odganiała muchy, które matka machinalnie łapała jedną po drugiej. Elżutka przyklękła, przeżegnała się jak w kościele. Maryśka podeszła do leżącego, strach ścisnął jej serce, pochyliła się nad nim.

- Ko... Kostuś? - dobywało się ze zsiniałych ust umierającego.

- Ko...stuś - rzęził - Ko...

Jakiś ruch za drzwiami. Antolka zgrzana, spocona, w przekrzywionej na bok chustce kiwnęła ręką na Marię, żeby wyszła do sieni.

- I co? I co? Przyjechał? Gdzie on? - pytała gorączkowo Maria.

- A pani, a mileńka moja, przeciwny był, za nic jechać nie chciał. Co ja się panicza naprosiła. Co ja naprosiła - szeptała Antolka.

Umierający otworzył oczy, coś zacharczał. Pochyliła się nad nim Maria.

- Kto... prosi się - zapytał wyraźnie - jaka świnią? Nie... nie zmarnujcie jej...

Ktoś parsknął śmiechem, chyba Maryśka.

- W takiej chwili! - zgromiła ją Elżutka - w takiej chwili!!!

Pociemniało w drzwiach. Stał w nich Kostuś, miał czapkę w rękach niezdecydowany.

- Wejdz - kiwnęła na niego Maria - podejdz bliżej.

- To Kostuś, twój pierworodny, przeszedł po ojcowskie błogosławieństwo - powiedziała wyraźnie do ucha umierającego. - Kostuś, pocałuj ojca w rękę - nakazała.

Kostuś ujął rękę ojca. Prąd jakiś przeszedł przez ciało chorego.

- Pocałuj! - nagliła matka.

Ale Kostuś nie pocałował. Trwali tak chwilę.

- Powiedz coś - szepnęła Maria - przeproś tatkę.

- Tatko - przełknął ślinę Kostuś - co złego, to nie ja, wie, jak to jest...

- Ty! - wycharczał ojciec - Ty! Ja.ja...

Już nic nie powiedział więcej. Głowa opadła mu na bok. Kostuś położył na pierzynie ojcowską rękę. Elżunia wetknęła w nią zapaloną gromnicę, przytrzymała żeby nie upuścił. Zebrane w sieni baby zaczęły głośno zawodzić nad zmarłym.

- Ojciec powiedział, że ci przebacza, synu - oświadczyła Maria. - Masz jego przebaczenie. Bogu dzięki! Tyle łez nad wami wylałam, tyle łez.

- Czego było płakać - mruknął Kostuś. - Ja tam o to nie stoję, mama.

- Wypluń te słowa! - krzyknęła matka.

- Elżuniu, jak mysTisz? Czy tatko Kostusia pobłogosławił, czy przeklął? - pytała potem siostry Maryśka.

- Masz tobie. Znów coś na rodzinę wymyśliła - zezłościła się Elżutka. - Zamilcz! Nie rozpowiadaj byle czego. Lepiej pacierz zmów!

Modlili się wszyscy. Ojciec w czarnym surducie zalatującym naftaliną leżał w salonie na ławie przykrytej kilimem, a matka modliła się głośno. Wtórowały jej klęczące baby. Przez drzwi przecisnęła się wdowa Emilia, padła na kolana, zawyła głośno, przejmująco. Odwróciły się ku niej wszystkie głowy.

- Patrzajcie, jak mocno przeżywa - szeptały baby - widzieli!

- Wstydu nie ma! - syknęła Elżunia. - Bronisz, wyprowadź ją! - nakazała.

Ale to Maria wstała z klęczek, to Maria otoczyła ramieniem plecy płaczącej. Wyszły obie do sypialni rodziców i długo szeptały przytulone do siebie, zespolone w smutku.

- Jak mama mogła?! Jak mogła gadać z tą kochanicą?! - zezłościła się Elżutka.

- To mój mąż i jego kochanka! - uśmiechnęła się matka. - I nasza młodość, i nasze gorące lata. Tobie nic do tego.

- Powiedźcie! - plasnęła w ręce Elżunia. - Dobrze, że moje dziewczynki tu nie przyjechały. Co za dom! Co mama jej daje, tej suce?! Słoninę?! Kiełbasę?! Jak można?!

- Co chcę, to daję - postawiła się hardo Maria. - Nie twój interes.

Józia słuchała tego wszystkiego jakby nieobecna, zgryziona czymś, daleka myślami.

- Źle ci za tym Górnym, Józiu, powiedz? - pytała Maryśka.

- A tobie dobrze?

- Dobrze. Kazik taki dobry dla mnie. Jestem taka szczęśliwa.

- To ciesz się - zacięła usta Józia. - Ja... ja las muszę sprzedać, nikt pożyczyć nie chce, dom trzeba budować, nie ma za co...

- Pożyczę ci - powiedziała Maryśka - mam trochę odłożone. Kaziczek nic o tym nie wie, on taki niepraktyczny, nigdy nie wie, co ile kosztuje.

Maryśka całe życie pamiętała o tej pożyczce. Józia nie.

- Jak to?! Nie pamiętasz, że to ja uratowałam twój las? - krzyzczała po latach Maryśka. - Nikt ci nie chciał pożyczyć, tylko ja! Ani stryj z Portowej, z Wilna, ani bracia, nikt, tylko ja.

- Ach tam, znów coś zmyślasz - mówiła Józia. - Jakoś sobie wtedy sama poradziłam. Pamiętam dobrze.

- Jakoś?! Jak tak można? Pożyczyć i nie okazać ani trochę wdzięczności! I to rodzona siostra! - roztapiała się w żalu Maryśka. A Józia nawet tego jej nie chciała przyznać, bo jak to: być wdzięczną Maryśce, nie, to jakoś nie uchodziło, nie pasowało do przyjętych w rodzinie zwyczajów. - A Janeczka?! Mało u mnie przesiadywała w Lidzie?! Mało dostawała prezentów?! Tak chciałam ją wydać za mąż za młodego aplikanta, ale powiedział: „Pani sędzino, żeby to o panią chodziło, to z zawiązanymi oczami, bo pani ma ten pieprzyk w sobie, ale pani siostra, najmocniej przepraszam, ale nie posiada temperamentu”. Pamiętasz - nacierała na siostrę Maryśka - dałam ci do uszycia seledynową taftową sukienkę, prowadziłam na bale i co?! Teraz taka wdzięczność?!

- Jakie tam bale - krzywi się Janeczka. - Tylko Werfel dreptał mi po nogach.

- A pewnie! Pewnie, że tylko Werfel! Bo Bogiem a prawdą nie miałaś nigdy powodzenia! Trudno było ten towar sprzedać. A wiesz, czemu ciebie Werfel wtedy obtańcowywał?! Wiesz?! Bo go specjalnie poprosiłam. Zależało mi na tym, żebyś nie siedziała w kącie.

- Przestań - syczała Janeczka, bo dopieкло jej tym razem do żywego. Jak to? To nawet Werfel, ten daleki powinowaty, nie zakochał się w niej wtedy?! Nawet on nie?

Ale to wszystko było wiele lat potem, kiedy Maryśka zamiast siostrzanych uczuć domagała się choćby tylko wdzięczności. I trzeba jej to przyznać, że wynajdywała wtedy punkty najboleśniejsze. Oddawała dawne ciocy z nawiązką.

- To małpia zawiść - żaliły się siostry, a nienawiść płonęła w

nich jasnym płomieniem. Wiedziały dobrze, czym ją dotknąć: nigdy, przynigdy nie okazać żadnej wdzięczności.

Jeżeli kogoś jego najbliżsi tak oceniają, to znaczy, że tych najbliższych nigdy nie było i nie ma. I Maryśka rozwodziła się nad tym, jak oceniają ją ludzie, jak podziwiają jej dowcip, jej żywotność, jej bezpośredniość. Wszędzie, gdzie się tylko pojawi, zaraz zdobywa uznanie i sympatię. Siostry słuchały tego odymając pogardliwie usta. Tego im też nigdy nie darowała, bo żeby chociaż przyznały rację, tylko tyle, żeby ta racja była po jej stronie.

- Wiecie, kto mnie kochał?! Wiecie? Adam! Tak! Tylko on jeden! Mam tu jego list, o proszę, jak pięknie do mnie pisze, bo to był utalentowany człowiek, wybitnie zdolny, tylko rodzina go zmarnowała, zabroniła mu żenić się z ogrodniczką. - Od tego nie umarł - wzrusza ramionami Józia - tylko na suchoty.

- Od tego umarł, ale szczęśliwy, bo był przez nią kochany!

Tą ogrodniczką Maryśka pogrąża się w oczach sióstr ostatecznie. Jak to dobrze, że trwały w tym nieprzyznawaniu jej racji, bo czy można ją przyznać komuś tak niepoważnemu?! Orodniczka! Dobrze sobie! Przecież ona chciała tylko mieć prawa do schedy po Adasiu, tylko tyle. Jak dobrze, że unieważniono ten testament. W końcu wyjechała jak niepyszna, przemknęła się do stacji, nawet nikt nie wiedział kiedy i jak.

- O, czytajcie tu, czarno na białym! To Adam pisał: „Złota Marysieńko, jakby promień światła wniknął w moje szare życie”. To wtedy kiedy przywiozłam mu pomarańcze! Tak mi dziękował.

- Znowu coś wypomina, tylko że Adam już na szczęście tego nie słyszy - kwitowały siostry.

ROZDZIAŁ XVIII

Na pogrzeb ojca zjechało jeszcze dwóch skłóconych z nim synów, Bogdan i Adam. Ten słabiuteńki, słaby, z rozdzierającym płucą kaszlem, a Bogdan tryskający zdrowiem, mały, krępy, poważnie uśmiechnięty.

Jeszcze przed pogrzebem, kiedy ojciec leżał w salonie, Antolka ni z tego, ni z owego nałożyła czerwoną bluzkę, omotała mocną szyję szklanymi paciorkami i choć Maria syknęła na nią, że to pana pogrzeb, nie wesele, pokraśliła burakiem policzki, podczerniła węglem gęste brwi i tak przystrojona czyhała na Kostusia na dworze, bo kiedy go tutaj wiozła, on milczał jak zamurowany, a ona gnała tylko konia, żeby zdążyć, tak jak kazała pani, przed śmiercią pana.

Teraz dopadła do niego w sadku, kiedy szedł do ukrytej w bzach wygodki. Zastąpiła mu drogę, rozstawiając ręce. W wycięciu czerwonej bluzki błysnęły pełne piersi.

- Czego? - mruknął Kostuś. - Czego chce?

A ją łzy zaczęły dławić i nie mogła wyjąkać, że chce choćby nawet złego słowa, choćby zniecierpliwionego gestu, jakiegoś znaku, że ona, Antolka, jeszcze żyje. Byle nie mijał jej jak kruszni przy drodze, jak suchostojki w lesie, a i na kamienie spojrzę kto nieraz z ciekawości, i do suchostojki podejdzie kto z siekierą, a on nawet nie widzi, że ona, Antolka jeszcze oddycha, rusza oczami, że jej piersi rozpierają czerwony perkal bluzki.

Ale on skosił oczy w bok, kopnął leżący na ścieżce zgniły kartofel i podciągając spodnie wyminął ją i poszedł za swoją potrzebą, tam gdzie ledwo co rozkwitłe bzy. Jeszcze nie dała za wygraną, jeszcze czekała na wracającego pod wierzbą, której cienkie gałązki całe wezbrały sokami wiosny.

- Job twoju mać - warknął na widok dziewczyny. - Nastąp się! - rozkazał jak jakiejś krowie.

Dźgnęły ją te słowa jak rozpalonym żelazem, dosięgły serca.

- Panicz, mileńki, rodnieńki - zajęczała - ja by paniczowi nóżki myła i wodę piła, ja by krwi serdecznej utoczyła, ja do tych pór wszystkiego tu dla panicza pilnuję jak ten pies, bo to wszystko panicza jest, od pylinki mąki do dworu, wszystko paniczowe, wszystko przenaświętsze - bełkotała czepiając się jego rąk.

- Gadasz, co pilnujesz? - spojrzął na nią przez chwilę.

- A mileńki mój ptaszeczek, skarbeczek mój paniczowy - szeptała z budzącą się nadzieją - ja wszystko wiem, wszystko! Starsza pani w świrnie w zbożu piniązki trzymie, dwie jałówki sprzedała i parsuki, a w kufrze trzy nowe dywany, musi dla panienki Janeczki utkała, ja wszystko paniczowi pokażę, tych piniądzów to owoż jest w papirkach i złocie. Chce panicz, to idziemy tam? W drugim sąsieku z prawego rogu zakopane. A z mlika i z jajków to starsza pani gdzie indziej piniązde trzymie, też wiem gdzie.

- W dupie na czerwonym słupie - mruknął. - Ty do mnie więcej nie podąż, bo żenię się ze szlachcianką z Dowgideł.

- A ja, a ja?... - wyjąkała.

- Cóż ty! - oburzył się. - Czegoś się spodziewała?! Mało chłopów na sobie miała?! Mało?! - wrzasnął. - Ty dla mnie tyle znaczysz co ten śmieć pod płotem, tyle co zeszcła perzyna!

Dobił ją tymi słowami, przygwoździł do ziemi, ni też już nie było, ni krzyku. Milcząc poleciała do komory, zdarła z siebie korale, bluzkę, zaparła drzwi od wewnątrz, zastawiła starą dzieżą, jakimiś rupieciami. Pani krzyczała na nią, wołała - nie wyszła.

- A tej co się stało? - zachodziła w głowę Maria. - Zdumiała czy jak? Maryśka, idź do niej, może ciebie posłucha!

- Antolka, Antolka - poruszyła skoblem Maryśka - co tobie? Wpuść, Antosia, to ja, Maryśka!

Z komory rozległ się przytłumiony jęk. Dali jej spokój. Rano, na drugi dzień, już po pogrzebie wyłamali drzwi, weszli do środka, chyba pierwszy Broniś. Antolka siedziała w kącie szara od kurzu, skudłana, straszna. Broniś zatupał na nią nogami jak na psa. Wszyscy cisnęli się w drzwiach, ciekawi, a Antolka wstała, naga do pasa, wyniosła.

- Antosiu, powiedz coś, Antosiu, co tobie? - prosiła Maryśka.
- Czyś ty chora?

Antolka podeszła do niej, wszyscy prysnęli na boki, podniosła do góry palec. - Wilcy wyją, panienka - powiedziała. - To na mnie. Pójdę, wytarżam się z nimi po jamach, po rozstajach, pohulałam za wszystkie czasy. - I zanim zdołali cokolwiek powiedzieć, przeszła przez kuchnię do sieni. Parobcy widzieli ją, jak szła przez

podwórze. Śpiące w ten ciepły dzień psy zjeżyły sierść, warknęły na nią jak na kogoś obcego, podkuliły ogony, a ona wyciągnęła z płotu żerdkę i podpierając się nią, coś mrucząc do siebie poszła w maliniak za stodołę. Pobiegły za nią wszystkie parobkowskie dzieci i opowiadały potem, że zrywała zielone listeczki z malinowych krzaków, wachała i jadła ze smakiem, a potem ruszyła drogą w kierunku Soboluńc. Wzlatywały nad nią skowronki, zanosząc się śpiewem, wiatr chesał zielone żyto. Antolka skręciła przy kruszni w kierunku rojstów. I nikt już jej tu nigdy nie widział, choć gadali ludzie, że czasem podchodziła do wioski, łapała kurę, a czasami nawet gęś i indyczkę.

- No powiedzcie, ludzie - rozważały baby - tak ten świat urządzony, że po nim zawsze jakiś durny musi chodzić. Ni ma Zośki Ja powiem", to znalazła się Antolka.

- Co za bzdury! - krzyczała Maryśka. - Ją trzeba złapać, choć na siłę. Jąją zabiorę do Lidy, wyleczę, tak nie można tu być, na boskiej opiece. Ją trzeba leczyć! Koniecznie!

- A panienczka, mileńka - wdychały baby - po cóż leczyć? Jak wyleczy się, to dur swój pozna i zapłacze po rozumie, niechaj już tak zostanie, niechaj.

- Kostuś, to twoja wina! Ona ciebie kochała! Coś ty jej zrobił?! - gorączkowała się Maryśka. - Skrzywdziłeś ją! Przyznaj się!

- Ja? - ruszył ramionami Kostuś. - Co ja jej mógł zrobić? Powiedział tylko, że żenić się będę.

- I jak ona to przyjęła? Rozpaczała?!

- A ja tam wiem, skoczyła jak podsmalona i poleciała.

- Bo ty byłeś jej nadzieją, ona tylko tym żyła, tak jak kiedyś ja zawsze wiedziałam, że któregoś dnia stąd wyjadę. A ona już nie ma na co czekać. Zwariowała z miłości.

- Gadanie - podrapał się po głowie. - Durniów nie sieją, nie orzą, sami się nachodzą.

- Nawet za służbę my jej nie zapłacili za cały przeszły rok - biadoliła Maria.

Niedługo potem okazało się, że z sąsiedka zniknęły przechowywane tam pieniądze. Matka powiedziała o tym w tajemnicy Józii.

- To i dobrze - skrzywiła się Józia. - Mama mnie nie pożyczyła, to teraz ma. Pewnie Antolka sama sobie wzięła zapłatę.

- Adaś, ty jeden jesteś tu sprawiedliwy, co myślisz o tym wszystkim? - pytała brata Maryśka. - To przez Kostusia zwariowała nasza Antolka, tylko przez niego.

- Niech ich piekło pochłonie! - rozkaszał się Adam.

- A ty siężeń z ogrodniczką. Nie słuchaj nikogo - radziła.

- Ja umieram, Marysiu, i mnie już wszystko jedno. Nie, nawet nie mów mi o Lidzie, mnie już żaden doktor nie pomoże - zakaszał, przyłożył chusteczkę do ust i długo ją potem oglądał.

W niedługi czas po pogrzebie zjechali się wszyscy na podział majątku. - Ojciec w testamencie zdecydował, że Juryszki przypadają Bronisiowi, który będzie tu gospodarzył. Folwarku nie należy rozdrabniać. Janeczce dać jakiś fach do ręki, może kursy handlowe albo pszczelarskie, niech tu założy pasiekę, Bogdan ma już kawałek ziemi w Zalesiu, Józia gospodarzy na Zaosiu, Kostuś pospołu z Adamem w Żukanach na dawnej ojcowiznie Marii, Elżunia dawno już spłacona - wyliczała matka czytając testament.

- Aja? - spytała Maryśka. - Co ze mną będzie?

- Jak: co z tobą? - zdziwiła się Janeczka. - Ty poszłaś za sędziego, dostałaś dobry posag.

- Wszystkie dostały posag. Mnie się też należy kawałek ziemi - zaperzyła się Maryśka. - Co mnie ojciec zostawił?

- Gówno - odezwał się Broniś - gówno z trzaską! Nie słyszałaś, że Juryszki mają być nienaruszone?

Jak to się wszystko powtarza już od lat, od dziecka. Maryśka roztrząsa nie wiadomo już który raz to cofanie ojcowskiej ręki, kiedy była mała. A teraz też nic jej nie zostawił, jej jednej! Wszyscy już mają dość jej krzyków, pretensji, wołania o sprawiedliwość, straszenia sądem. I wcale tu nie chodzi o to, żeby coś dostać, tylko o tę cofającą się zawsze ojcowską dłoń, o poczucie krzywdy. To tak, jakby jeszcze raz, ostatecznie przypieczętowano jej wczesniactwo. Wszystko to wykrzykuje im teraz w twarz. Chcieli, żeby umarła już wtedy, w gęsim puchu, nie chcieli jej karmić, matka pożałowała piersi, Elżutka morzyła ją głodem, nie dawała nawet krowiego mleka. Tak było! Tak! I tylko jeden Bóg wziął ją w opiekę, tylko ten Bóg patrzy teraz na to, co z nią robią, i tylko Bóg jest świadkiem! Tak, tak, on to widzi i drwi z ich nieuczciwości, z ich zakłamania, z ich podłości. Krzyczała tak długo, aż Maria złapała się za głowę.

- Jezus Maria! - krzyknęła. - Dajcie jej co, bo ja zwariuję!
- O nie! - powiedziała Maryśka. - Nie to, co z nosa kapnie, ale to, co mi się słusznie należy.

- Jebał to pies! - trzepnął pięścią w stół Broniś. - Juryszki w kawałku zostaną się! A jak chcecie, to mnie żeńcie z ziemianką. Jak będzie mieć ziemię w posagu, to niechaj ta ziemia Maryśce przypadnie.

- Która za ciebie pójdzie - parsknęła śmiechem Maryśka. - Łysy jak kolano, safanduła, cały dzień by tylko spał i jadł bliny z wierszczaką! Gdzie ty się nadajesz do żeniaczki! Spójrz na siebie! - dopiekła do żywego. Matka przykładała na głowę okłady z octu, a Broniś zaszywał się w odrynie ratując się snem, Janeczka już od rana gwizdała na psy i szła do lasu ze strzelbą, a Maryśka płakała po nocach, a w dzień z nowymi siłami ruszała do ataku, walcząc o kawałek ziemi.

- Po co ci to, przecież i tak wszystko przemarnujesz, porozdasz, roztrwonisz - jęczała matka. - Majątek powinien mieć ten, kto starowny, ten, co dba o swoje.

- Nie wasz interes! - krzyczała Maryśka. - Chcę tylko tego, co mi się sprawiedliwie należy!

Przyjechał do Juryszek wezwany przez nią Kaziczek, ale już przy pierwszej rozmowie o działach łapał się za puls, łykał tabletki na serce, przyznawał w końcu rację i tej, i tamtej stronie.

- Ty zawsze wszystko kładziesz pod teczkę! Zawsze masz jakieś okoliczności łagodzące! Mnie tu krzywdzą, na twoich oczach, a ty nic?! A czy wiesz, że jestem w ciąży?! Czy wiesz, że odbierasz od ust swojemu rodzonemu dziecku?! - wołała Maryśka.

- Marysieńko, to prawda? - przestraszył się jakby.

- Prawda! Powiedz im, że dajemy sprawę do sądu! Jaja poprowadzę! Ja sama! Wszystko powiem jak na świętej spowiedzi, że mnie nie chcieli, że drwili ze mnie przez całe życie, że wszystkiego zawsze załowali! Nawet tego cukierka! Zawsze mieli mnie tu za bożą podszewkę!

- Jakiego cukierka? - zatargał nerwowo czuprynę. - Jakiego znowu cukierka?!

- Ach - machnęła ręką widząc jego przestraszone oczy - nikt mnie nigdy nie zrozumie! Sama jestem na świecie! Sama jak ten palec!

W końcu wszyscy mieli tego dość. Rada w radę zgodzili się, żeby szybko żenić Bronisia, spłacić Maryskę ziemią, bo czy to po bożemu, żeby włóczyć się po sądach, wywlekać na wierzch rodzinne sprawy? Kaziczek wrócił do Lidy, a Maryśka wpadła w gorączkowy nastrój swatostwa, zaczęła bywać po sąsiadach, rozpytywać o odpowiednią pannę.

- Broniś! - sfruwała z bryczki po kolejnym wypadzie do pobliskiego folwarku - Broniś! Czy chcesz Tecię z Czepieluńc? Trochę zezowata, ale pracowita jak koń! W sam raz dla ciebie!

- Wiesz, co ja robię na twoją Tecię? Bzdę! - pinił się Broniś. - Nie ożenię się z żadną Tecią, ale z Anielą Misiukiewicz z Wasiukiszek - powiedział nagle.

Na tę wiadomość wszyscy osłupieli.

- Z Anielą? Z Wasiukiszek?! Ludzie na świecie! - klasnęła w ręce Maria. - A tobie co przyszło do głowy?! Przy czym tu Anielą?!

- Przy czym! Przy czym! Przy mnie będzie. Dla mnie ona w sam raz.

- Czy ty... czy ty... coś jej obiecywałeś? Czy ty czasem nie popsuleś jej, Broniś? - zapytała z niepokojem Maria.

I nagle ten Broniś, ta fafuła kołyszająca się na krzywych od konnej jazdy nogach, ta różowa świecąca łusina, wydał się wszystkim jakiś inny, obcy. Bo gdzież do niego pasowało takie wyznanie? Pies na kobiety to był świętej pamięci ojciec, to Bogdan śmiejący się wiecznie szparkami oczu, romantycznie zakochany Adam, ale Broniś! Skąd to na niego naszło?

- Mów! - rozkazała Maria. - Mów wszystko, co i jak, jak na świętej spowiedzi!

- Co tu gadać, mama - pojaśniał Broniś. - Widział ja ją dwa razy, może trzy, przeważnie w Naczy po kościele.

- Po kościele, Bogu dzięki - odetchnęła Maria. - I co, i co dalej?

- Dalej my jechali razem na wozie, jej zsunęła się z warkoczy chustka to ja poprawił, a potem my lecieli na siebie na słomie.

- Leżeli na słomie?! Jezus Maria! - jęknęła matka.

- Nie leżeli, tylko siedzieli obok siebie na wozie, ale ona zsuwała się na mnie, bo źle siedzenie wymościłi, wiadomo, słoma śliska, nie nadaje się do tego, i co ona na mnie zleci, to śmieję się i śmieję!

- Tylko tyle! - parsknęła śmiechem Maryśka. - O Boże, Broniś, to żeń się z nią! Twoje szczęście najważniejsze!

- Nie gadaj byle czego! - krzyknęła matka. - Teraz ja wiem, czego ona po kołowrotek przyszła, niby że u nich wrzecziono złamało się, a oczy tojej tak po kątach latały jak szare myszy. Ten durny dał się omotać! Na przeszpiegi ją tu przysłałi! A czy wiesz, że ona goła jak święta turecka? U Misiukiewiczów w komorze pylinki mąki nie najdziesz. Tatuś dziwak, mamuśka całymi dniami leży niby to chora, a dzieciuków tam chyba z tuzin albo i więcej.

- Ale to szlachcianka, mama! Dalbóg! - bronił jej Broniś.

- Trzymajcie mnie, bo pęknę ze śmiechu! Szlachcianka! Jej szlachectwo dawno myszy pocięli! Chata na kurzej łapie, żerdziami podparta! Żeby ty się z nią ożenił, toby twój ojciec w grobie się przewrócił! Nie śmieć myśleć nawet! Ona ciebie złapać chce. Wie, że Juryszki to przy nich dwór - perorowała matka, łapiąc raz po raz muchy. - A widział ty ich krowy? Ogony im do tyłków poprzyrastały z brudu!

- Dość, mama, dość, starczy tego! - stuknął pięścią w stół Broniś. - Jak zechcę, to pójde i oświadczę się! Kto mnie zabroni?!

- Po moim trupie - powiedziała twardo matka. - A nie, to won z domu!

Broniś nasadził czapkę na łysinę, trzasnął drzwiami, wyszedł.

- Mamo, ale jeżeli on ją kocha - spytała Maryśka - miłość najważniejsza.

- Miłość - wzruszyła ramionami Maria - samą miłością nie wyżyjesz, to nie skwarki, podklótki nią nie zaskwarzysz. Żeń go, Marysiu, żeń - dodała łaskawie - a tojeszcze jakie głupstwo zrobi. Każ konia zaprzęgać i jedź do Wilkańców, tam podobnież już panna w latach, ale z dobrej rodziny, „Tatarczuki” na nich wołają. Jedź tam! Bo jakby z Anielą zamierzał, to ja ich nie pobłogosławię! Nigdy!

Panna z Wilkańców miała krwiste rumieńce, czarne włosy, meszek na górnej wardze i trochę seplenia. Dwór był owszem, stary, porządny - choć Maryśki bystre oko dostrzegło, że nie widać tam troskliwej ręki gospodyni. Bo i nie było jej, umarła młodo, osierocając czworo małych dzieci w niedługi czas po śmierci męża. Wanda, kandydatka na żonę dla Bronisia, była najmłodsza. Kiedy matka umierała, miała zaledwie kilka miesięcy. Chowały ją przy-

padkowe służące. Miała teraz dwadzieścia parę lat i niewielkie nadzieje na wyjście za mąż, bo z usposobienia była trochę dziwna: ni z tego, ni z owego ogarniał ją śmiech albo płacz nie do umienia.

- Ty popytaj tam o nią u służby, ona najlepiej wie, kto jaki jest - nakazywała Maryśce matka, kiedy przyjechała podniecona nowiną, że znalazła nareszcie żonę dla Bronisia.

Najmniej interesował się nią sam Broniś. - A czort jego - drapał się po łysinie - niechaj będzie, jaka chce. A ziemi wiele na nią tam przypadnie?

- W sam raz tyle, że mnie spłacisz - mówiła Maryśka. - Ale musisz ją poznać bliżej. Mnie ona się nawet spodobała, uśmiechnięta, warkocze z tyłu spleta w koszyczek i lubi śpiewać, ale musisz sam ocenić, żebyś potem nie miał do mnie żalu.

- Mąż i żona od Boga przeznaczona - mówiła matka. - Może tobie Maryśka i co dobrego znalazła?

- Wezmę ją do Lidy, zaprowadzę do fryzjera, krawcowej, bo tu, wiadomo, na tej głuszy to trochę zaniedbana jest - oświadczyła Maryśka.

- Podobno trochę durnowata - wtrąciła swoje trzy grosze Janeczka.

- No wiesz! - zaperzyła się Maryśka. - Wam to nikt nie dogodzi! Wszystkie rozумы pojadyły! W waszym pojęciu to ja też durnowata, a gdzie pójdę, to wszyscy nie mogą się mnie nachwalić za dowcip i że tak umiem znaleźć się w każdej sytuacji. Jej siostra w Wilnie, tu gospodarzy brat; była jeszcze jedna siostra, ale piorun ją zabił przy krowach na wygonie.

- A ona pójdzie za naszego Bronisia? - pytała matka.

- Z pocałowaniem ręki. Bratowa w domu rządzi, to jej tam niesłodko. Pojedziemy tam, Broniś, w niedzielę, szykuj się, ja to wszystko omówię, przygotuję ich! Skromna panienka, nie żaden lata-wiec, będziesz z nią szczęśliwy - przekonywała Maryśka.

- Nu, to żeńcie mnie, a po co mnie tam jechać do niej - ziewnął Broniś i zerknął w kierunku odryny, bo ciągnęło go na siano, żeby zdrzemnąć się trochę przed obiadem.

- Boże, Boże - łapała się za głowę matka - te Juryszki, wychuchane, wypieszczane przez ojca, na zmarnowanie pójda przy Bronisiu, Niczego w porę nie dopatry, wszystko przecieknie mu

przez palce, będzie tylko spać i jeść. Maryśka, czy ona czasem, ta Wandzia, nie za ciepłe kluski dla niego? Jemu musi się jakaś energiczna trafić, żeby go trzymała w garści. Ty tam dowiedz się co o niej, jaka ona jest.

Maryśka dowiedziała się od starszej służącej, która ją niańczyła, że Wandzia urodziła się marnowata, że ledwo co przeżyła, a płakała, a piszczała cały czas i żeby nie jej matka, to...

- Jak to matka? Przecież matka umarła niedługo po porodzie?
- dziwiła się Maryśka.

- A pani, ale przychodziła do niej kołysać, noc w noc. Kołyska na wierówkach wisiała, do sufitu podczepiona. My śpim, a tu słyszysz, dziecko płacze, a mnie nie chce się wstawać, bo młodzieńka ja była, snu zawsze malowato było, a tu słyszysz i ja, i dzieci, jak skrzyp, skrzyp, kołyska się kołysze i dzieci płakać ustaje, i tak, bywało, pół nocy, skrzyp, skrzyp. To matka tak ją kołysała.

- Ot, zabobony jakieś - nie dowierzała Maryśka. Czego to ludzie nie wymyślą. - A co ona, chorowita była, że tak płakała?

- A kto ją tam wie? Niby to zdrowa, ale płaksliwa taka. W dzień też, bywało, skuczy jak kociak jaki, ale ja lekarstwo na to znalazła, jedna mnie taka poradziła, żeby mak dawać, to spać będzie.

- Mak? Jak to?

- A zawinę w gałganek maku z cukrem, pocmokczę, taka żymła zrobię, do gębusi jej wsadzę, to, bywało, possie i śpi jak aniołek.

- Boże! Przecież to jej mogło zaszkodzić! - przeraziła się Maryśka.

- A gdzie tam, nic nie poszkodziło, patrzaj pani, jak wyrosła, jakie rumieńce krasę u niej. Od maleńkości nie chorowała nic a nic.

Maryśka biła się z myślami. Coś jej mówiło, że to żadna żona dla Bronisia, ale kusiła spłata ziemi. Już obejrzała ten kawałek, który przeznaczony był na posag dla Wandzi. Można to będzie sprzedać i kupić dom w mieście. A zresztą, co tu rozważać, pocieszała się, przecież Broniś sam zdecyduje, jak pannę zobaczy, może mu się spodoba, to nikt go na siłę gnać do ołtarza nie będzie. I Broniś, naciskany, pojechał w końcu z nią do Wilkańców. Wpadli niespodziewanie, w dzień powszedni. I tam, jak w Juryszkach, ordynaryjne świnię czochrały się przy chruścianym płocie, a na

żerkach wisały czarne sagany. Zaszli do kuchni, drzwi od sieni były na rozcież otwarte, w środku grzebały na toku kury. Jedna zbierała okruszki na drewnianym stole. - Akysz! - zgoniła ją Maryśka. Kura sfrunęła z głośnym kodkodakaniem, zostawiając na stole widomy ślad swojej obecności. Co robić - pomyślała w popłochu Maryśka - przecież jak panna wyjdzie i zobaczy kurze gówno, to okropnie się zawstydzi takich nieporządków. Ale już było słycać kroki w głębi domu. W drzwiach stanęła Wandzia i na widok gości klasnęła w ręce przerażona, chciała uciekać, ale Maryśka objęła ją serdecznie. - A to mój brat, Broniś - przedstawiła - to o nim tu tyle opowiadałam...

Broniś, zakłopotany, z litości nad zmieszaniem panny przykrył na stole czapką ten ślad po kurze.

- Tak w budny dzień przyjechali, my nic nie wiedzieli, ani brat, ani bratowa - wydukała panna.

- To pójdę, poszukam bratowej, a wy tu sobie posiedźcie - zaofiarowała się Maryśka i wyszła z kuchni.

Teraz zmieszanie panny dosięgnęło szczytu.

- Niech panna Wandzia siędzie - zaproponował Broniś dobrotliwie, bo żal mu się zrobiło dziewczyny, która to czerwieniała po czubki włosów, to bladła. W końcu usiadła sztywna jak manekin, podwijając pod ławę bosc stopy, ręce oparła na podołku i wpatrywała się w nie pilnie, a krwisty rumieniec spełzył z twarzy niżej, w wycięcie blizki. Przez chwilę panowało milczenie, tylko mucha bzykała gdzieś w kącie, uwikłana w niewidzialną pajęczą sieć.

- Pogoda jakości dziś nie za bardzo - zdobył się na odwagę Broniś.

- Musi, co nie - przyznała panna i znów zapadło długie, wiszące w powietrzu jak siekiera milczenie.

- A jak tam w Wilkańcach, siano już zebrali?

- Musi, co zebrali - ruszyła ramionami panna.

Czarny meszek nad górną wargą przy krwistych policzkach zaciekawił Bronisia, toteż co chwila zerkał na usta dziewczyny, co ją jeszcze bardziej onieśmiało.

- Weźmiem, panna Wandzia, i obżenim się, aa? - zdecydował Broniś.

- Ach! - jęknęła panna i zasłoniła sobie rękoma całą twarz.

- Zna Juryszki, a? Tylko musim ten rok odczekać, bo tatko niedawno pomarł - powiedział Broniś. Potem zdjął czapkę z kurzego łajna na stole i wsadził ją sobie na głowę. - Pójdę - powiedział wyglądając przez okno - musi kobyłka odwiązała się od płota. Bąki ją tną, trzeba gdzie w chłodku zaczepić.

Panna zakręciła się po izbie jak bąk. - Ale jeszcze wróci? - upewniła się, kręcąc w rękach brzeg fartucha.

Potem wszystko odbyło się poza plecami Bronisia. Ustalono posag, datę ślubu.

- Wandziu, czy chcesz iść za Bronisia? - uspokajała swoje sumienie Maryśka. - Czy ty go choć trochę lubisz? On safanduła, ale dobry do gruntu człowiek, nie zrobi ci krzywdy - zapewniała.

- Dla mnie to była dobra tylko siostra Wacia, ale ją piorun zabił przy krowie - powiedziała Wandzia.

- To tak jak moja siostra Anusia - ucieszyła się z tych wspólnych przeżyć Maryśka - ale i jej już nie ma na świecie.

- Ja - zasepleniła Wandzia - dzieciuki bym chciała mieć.

- Dzieciuki? To będziesz miała. Z Bronisem - zapewniła ją Maryśka.

- A choćby i z nim - zgodziła się panna.

ROZDZIAŁ XIX

Wesele Bronisia z Wandzią odbyło się na drugi rok, jak tylko minął czas żałoby po ojcu. A wcześniej, jesienią Maryśka urodziła córkę. Radość Kazimierza nie miała granic. Poszły w kąk prawnicze książki, skończyło się wysiadanie do nocy w sądzie. Teraz spieszył do małej, stawał przy jej łóżeczku i ciągle miał o coś pretensje, bo wydawało mu się, że dziecko jest nie dopatrzone. A to ma mokro, a to jest głodne. Maryśka z nianką oganiały się od niego jak od uprzykrzonej muchy. Wtedy szedł do najdalszego pokoju, skąd po chwili rozlegał się jego „dziki tenor”, jak mawiała Maryśka.

- Kazik zupełnie zszedł na punkcie Geniusi. Stała się dla niego wszystkim. Ja już się nie liczę - żaliła się Maryśka do Werflowej.

- Moja droga, nic dziwnego - śmiała się Werflowa, ćmiąc nieodłącznego papierosa w długiej lufce - chociaż raz do jednej rzeczy był zdolny. A jak tam u was z tymi sprawami? - pytała obcesowo. - Bo on starzejący się, chorowity, a ty młoda, pełna temperamentu. A propos - zmieniła temat - wyobraź sobie, że Werfel - bo tak mówiła o swoim mężu - pisuje miłosne liściki do twojej siostry Janeczki. Może byś ją znów zaprosiła do Lidy, pewnie by się chcieli spotkać.

- Bój się Boga - dziwiła się Maryśka. - Przecież to twój mąż. Przecież jest żonaty.

- A żonaty, żonaty - zaśmiewała się Werflowa - i to przypadkiem ze mną, ale to nic nie przeszkadza, bo ja uwielbiam jego przygody. Byle niczego przede mną nie zatajał. Nie znoszę kłamstwa.

- Zobaczysz, kiedyś ktoś cię zdetronizuje, i co wtedy będzie? - straszyla ją Maryśka.

- Ach, moja duszko - Werflowa wypuściła przed siebie kłąb dymu - jest tyle ciekawszych rzeczy od mężczyzn. - Westchnęła. - A propos, czy kupiłaś już sobie szczypcę do układania fal? Nie? To zrób to koniecznie. To ostatni krzyk mody.

- A jak tam twoje dziewczynki? Jak się uczą?

- O to pytaj Werfla - ziewnęła Werflowa. - To jego domena.

Skosztuj tych ciasteczek. Są pyszne. Wspaniały przepis. Werfel go zdobył od jednej ze swoich flam.

Dla Maryśki skończyło się bywanie na balach i przyjęciach. To do niej przychodziły teraz wszystkie znajome panie, pochylały się nad łóżeczkiem, cmokały z zachwytem nad dzieckiem. - Wykapany ojciec - chwaliły niemowlę, kiedy Kaziczek był w pobliżu. Niektóre jednak uważały, że wcale nie, że jest duże podobieństwo do matki, spierały się o to pomiędzy sobą. Przerywał te spory gwałtowny płacz dziecka.

- Wszystko jedno - jaśniała szczęściem Maryśka - co to za różnica, byle się dobrze chowało.

Przyjęto do dziecka mamkę, młodą białoruską dziewczynę ze wsi, z piersiami pełnymi mleka. Jej synek tylko co umarł na krup.

- Biedna Olesia - litowała się nad nią Maryśka - to straszne, tak stracić dziecko.

- Pani, mileńka, to bajstruczek był. Bóg dał, Bóg wziął, nie miałyby on tu życia, nie. Lekcej aniołkiem w niebie być niżli bajstrukiem na ziemi - mówiła Olesia wyjmując z bluzki pełną pierś.

- Nie wchodź tu, Kaziczku, bo Olesia karmi dziecko - wołała Maryśka.

- Muszę wszystko widzieć - protestował Kazik - muszę wiedzieć, co się z małą dzieje.

Dziwna rzecz, ale płaczące po całych dniach dziecko i Kazik uspokajali się przy Ołesi. Wchodząca Maryśka widziała taki obrazek: dziecko spało spokojnie, przy nim Olesia posapywała zadowolona, a Kazik na krześle chrapał w najlepsze.

- Pani sędzino, dziecko nie może być ciągle oglądane. Proszę kategorycznie ukrócić wizyty - zdecydował lekarz - dlatego płacze, dlatego jest takie niespokojne.

- Jak to? - nie mogła zrozumieć Maryśka. - Przecież to są wszystko życzliwe osoby, one ją podziwiają.

- Za dużo tego - burknął lekarz. - Znam taki przypadek z mojej praktyki, że kiedy do ssącego niemowlaka podeszła pewna kobieta i krzyknęła z zachwytem: „Ach, jakie to piękne dziecko!”, maleństwo już nie poruszyło główką. Radzę wziąć to pod uwagę.

- Kaziczku, musimy koniecznie zmienić lekarza, to przecież jakiś znachor, nie doktor - gorączkowała się Maryśka. - Czy ty wiesz, że on wierzy w „złe oczy”? Tak jak proste baby w Juryszkach.

- Rób to, co on ci każe - targał czuprynę Kazik. - Od dziś nikt mi nie będzie oglądał dziecka. Nawet Werflowa przegonię. Tak, tak, ją przede wszystkim!

- To niesłychane - szeptały między sobą znajome panie - sędzia Lulewicz do cna zdziwaczał. Wczoraj wyrzucił za drzwi żonę samego prezesa sądu, która przyszła z dawno zapowiedzianą wizytą.

- Kaziczku, jak zwykle przesadzasz. Zobaczysz, ile narobisz sobie przez to wrogów, zobaczysz - wyrzekła Maryśka.

- Nic mnie to nie obchodzi! - krzyczał Kazik.

- Nie krzycz tak!

- Przy dziecku może być tylko Olesia i ja!

- A ja? - parsknęła śmiechem Maryśka. - Gdzie ja mam być?

- Ty od czasu do czasu - złągodniał.

- Chodź tu! Chodź tu do mnie - rozczuliła się Maryśka - mój ty biedny sędziulku, połóż tu tą swoją skołataną głowę, tu, na moich kolanach.

- Pamiętaj - otworzył oczy zasypiający Kazik - jeżeli ona umrze, to ja odbiorę sobie życie.

Jak to jest, myślała Maryśka, że nagle przestałam być dla niego młodą kobietą? Jest tylko to dziecko, tylko ono się liczy, tylko ono jest w jego życiu najważniejsze. A przecież teraz, właśnie teraz tak dobrze by było poczuć tę słodycz i żeby nikogo nie było między nami, tylko my sami dla siebie. - Słyszysz, Kaziku! - szarpnęła go za ramię. - Słyszysz! Ja też tu jestem! Jeszcze bliżej! Jeszcze goręcej!

- Co mówisz? - mruzczał Kazik. - Czy ona znowu płacze?

- Ja płaczę! Ja! Nad niedobrym dzieciństwem, nad nie wyczerpaną młodością, nad tym, że nigdy w życiu nie byłam ta pierwsza ta najważniejsza, ta najlepsza! Ja płaczę! Ja!

- Co mówisz? Gdzie moje lekarstwo? - zaniepokoił się badając puls. - Jak myślisz, czy potrzebna mi jeszcze jedna tabletką?

- Potrzebny ci spokój - zrezygnowała Maryśka - tylko spokój, nic więcej.

Dziecinny pokój pełen był wruszających dla Kazika odgłosów: smoktania, plusku wody w waniecie, wieczornych kołtysanek. Oleśia jadła, karmiła i znów jadła, wypełniała sobą całe wnętrze pokoju. Mimo sprzeciwów Maryśki układała się z małą na dywanie, żeby jej czasem nie zadusić w łóżku. Dziecko zawsze wygrzebywało się spod niej, znajdowało pełną pierś i opite jak bąk zasypiało przy tym ciepłym źródle. Kazik mógł patrzeć na to godzinami. Znajome panie, odstawiane od dziecka, piły herbatę w salonie i zatykały uszy, kiedy z najdalszego pokoju rozlegał się Kazikowy tenor. - Stanowczo za wysoki - mawiały. A Kazik śpiewał: „Pomnę dzieciństwa sny niewymowne...”

- Kaziczku, czy nie możesz śpiewać trochę ciszej? - wsadzała głowę do pokoju Maryśka.

Milkł na chwilę, ale zaraz zapominał o bożym świecie. Trzęsły się ściany drewnianego domku, a panie żegnały się i uciekały pod byle pretekstem. Nieustającym tematem wszystkich rozmów była Kazikowa przesadna miłość do małej. Dziecko rosło, a wraz z nim rosły, jak mawiano, rogi. Ciotki i kuzynki przepowiadały, że od tak przesadnych uczuć może być z małej niezły raróg, nic więcej, bo już wodziła chytrym okiem za ojcem, domagając się krzykiem huśtania, cmokania i noszenia. Maryśka usiłowała wprowadzić jaki taki ład, ale skończyło się to awanturami.

- Dopóki jej nie było, była u nas zgoda i harmonia - wdychała Maryśka. - Czy wszyscy ojcowie tak przesadzają? - pytała.

Znajome panie mówiły, że normalni ojcowie widują dzieci raz na jakiś czas i nie lubią, kiedy im przeszkadzają przy poobiedniej drzemce czy czytaniu gazety. Ale Kaziczek bzików al coraz bardziej. Przesuwał terminy zebrań, bo dziecko miało katar. - Kichnęło parę razy - przekonywała Maryśka - przecież to normalne. - To straszne - krzyczał Kazimierz - to pewnie początek czegoś o wiele groźniejszego.

Według niego małej zagrażało wszystko. Czyhały na nią bakterie, ostre rogi stołu i krzesel, ba, chyba nawet własna ślina, którą można się było zakrztusić na śmierć. Teraz miejscowa palestra miała nowy powód do żartów i drwin. Najmilszą zabawą było opowiadanie przy Kazimierzu o chorobach atakujących ludzkie niemowlaki. Wystarczyła głośna o tym uwaga na sądowym kory-

tarzu, żeby spowodować wybuch paniki u sędziego Lulewicza. Skracał wtedy posiedzenie sądu, machał ręką na skradzione kury, zaorane miedze, sąsiedzkie spory i z rozwianą togą biegł do wyjścia.

- Panie sędzio, a łańcuch, a toga! - gonił za nim zdyszany woźny. Łapał to wszystko, zdejmowane w biegu, i odnosił do kancelarii.

Maryskę ogarniała na to złość i śmiech. Patrzyła na dziecko zdumiona, że takie małe, a zepchnęło ją na margines jego życia. Czy tak już będzie zawsze? Nic nie zapowiadało odmiany, wręcz przeciwnie, dziecko rosło i powiększały się obszary śmiertelnych zagrożeń. Tymczasem u Maryski wykryto jakąś kobiecą przypadłość, coś trzeba było wypalić, a może nawet, jak stwierdził lekarz, usunąć.

- Co usunąć? - przeraziła się Maryska.

- No tak, panie sędzio - zatroskał się lekarz - to może się skończyć usunięciem całej macicy. Oczywiście potrzeba na to zgody pana sędziego.

- Nie! - krzyknęła Maryska. - Jestem jeszcze taka młoda! To moja macica, a nie pana sędziego! Nie!

- Cóż, jak trzeba - przebierał palcami we włosach Kazik - to nic na to nie poradzimy.

Decyzja miała zapaść po odpowiednich badaniach. Maryska płakała, radziła się znajomych pań.

- Kaziczku, wszystkie mi odradzają, mówią, żeby się nie godzić. Przystanę być kobietą. Bez macicy to już nie kobieta, to nie wiadomo co - płakała. - Jak ja będę żyła?! To tak, jakbyś stracił już swoją żonę.

- Uspokój się - pocieszał ją Kazik. - Mnie twoja macica jest niepotrzebna - wyznał prostodusznie.

Te słowa zapadły jej głęboko w serce. Ach, ten wieczny męski egoizm, myślała, nawet dobry, poczciwy do szpiku Kazik też myślał tylko o sobie. To, że ona nigdy nie będzie już w pełni kobietą, a może nawet już nigdy nie poczuje tego wspaniałego dreszczu, to dla niego nieważne. Jej macica już mu niepotrzebna. Dręczyły ją te słowa. Nie mogła o nich zapomnieć. Zawsze komuś jest niepotrzebna, i to tym najbliższym. Myślała że dla tego starszego, zmęczonego życiem człowieka będzie teraz wszystkim, ale on zakochał się nieprzytomnie w córce.

- Może myślał właśnie o tobie, żebyś nie martwiła się tym ze względu na niego - pocieszała jedna z zaufanych pań, szczęśliwa mężatka.

- Nie. Myślał tylko o sobie. Ja to wiem - upierała się Maryśka.

Wróciły złe sny. Jeden szczególnie męczący, o tym składziku, gdzie ją zamknęli i skąd już nie miała wyjścia. Wracła któregoś dnia z miasta, zabłądziła w małych uliczkach pełnych żydowskiego gwaru, stojących ciasno chłopskich furmanek, bo dzień był akurat targowy. Dopadł do niej jakiś brodaty chłop z batem wetkniętym za cholewę, chwycił za rękę, pocałował kłaniając się nisko.

- Musi, co pani sędzina, żona sędziego Lulewicza?

- Tak, a o co chodzi? - przestraszyła się nie wiadomo czemu.

- Idzie pani, mam ta młodzieńkie kurki, same nioski, i masełko, i sagan lipcowego miodku - błyskał chytrze oczyma chłop - idzie, to nie pożałuje - wsadzał jej do rąk kurę z zawiązanymi łapami i otwartym dziobem.

- Dla mnie? Dlaczego?

- A dlatego, żeb sędzia Lulewicz zasądził od Pietkiewiczowej ten kawałek łąki, bo Pietkiewiczowa, żeby jej kolano z grobu wyparło, mnie biednego do sądu podała, to pani sędzina szepnie tam słówko mężowi - ciągnął ją do drabiniastego wozu, pokazywał, co tam ma jeszcze.

Zapłonęła gniewem, przegoniła chłopca, który biegał jeszcze za nią z kurą w rękach. Ptak łypał na nią białym od udręki okiem, nie miał już siły skrzeczeć, łapał powietrze dziobem. I chyba od tego widoku zrobiło się jej jakoś dziwnie. Coś czyhało na nią za rozwalonymi płotami, wciągało ją lekko po deszczu błoto, małe drewniane domki czaiły się w ogródkach, błyskały złymi oknami. Co ja tu robię? - myślała z przerażeniem - co ja ta w ogóle robię? Przeszyło ją przeczucie nieszczęścia. Wielkie, czerwone jak krew georginie i kot czający się na płocie, i dziewczyna z podkasaną spódnicą wylewająca do rynsztoku wodę - to wszystko już gdzieś było. Tylko gdzie? W jakimś dawnym śnie, gdzie wszystko to, co znajome, stawało się nagle straszne. Uciekać stąd, wyjść gdzieś na szersze ulice. To znajoma lodziarnia, dziewczynka z kokardą we włosach liże wafelek pełen lodów, ale odwraca się do niej twarzą i śmieje się krzywym, wszystkowiedzącym uśmiechem. Uspokój się, mówiła do siebie, to tylko taki dreszcz, ludzie mówią, że to

gęś przeszła po twoim grobie. Dziewczynka pobiegła podskakując, zbladła czerwona georginia, to nic, to nerwy, nerwy, nic więcej. Pójdzie do tego szpitala, niech jej wycinają, co tam trzeba, będzie już tylko matką, niczym więcej. Jakaś kobieta patrzyła się na nią oparta o płot łokciami, jakby gotowa do przyjaznej rozmowy. Poczwała nagle wielką potrzebę usłyszenia ludzkiego głosu, bo wtedy może wszystko wróci na swoje miejsce.

- Przepraszam panią, czy pani wie, gdzie jest ulica Piłsudskiego? - wyjąkała.

Kobieta spojrzała na nią milcząc, a potem machnęła ręką w przeciwnym kierunku. Poszła za gestem jej ręki. Zrobiła parę kroków. W głębi podwórka stał na wpół zmurszały dom, okna były zasłonięte brudnymi zaszrochami, w jednym oknie majaczyła twarz starej kobiety. Nie wiadomo dlaczego weszła na to podwórko. Skrzypnęły poruszone wiatrem drzwi od składowiska. Kobieta zasunęła firankę. Coś ją ciągnęło do tych otwartych drzwi, weszła do środka. Tyle razy tu bywała we śnie. Te same przegniłe deski w ścianie, ten sam sterzący zardzewiały gwóźdź, zaciek wokół sęka. Drzwi zaskrzypiały, zamknęły się. Za chwilę zwariuję, pomyślała spokojnie, przecież to mój sen, to nie rzeczywistość, to tylko sen, uspokajała siebie, ale strach ścisnął jej serce. Zaczęła łomotać w te drzwi, szarpać za żelazny skobel. Ktoś otworzył z zewnątrz.

- Kto tam? - spytała stara kobieta, ta wyglądająca przed chwilą z okna. - Kto tam jest? - oswajała się z ciemnością.

- To ja - szepnęła Maryśka - przepraszam, zabłądziłam, mieszkam na ulicy Piłsudskiego, to niedaleko stąd...

- To nic - uśmiechnęła się dobrotliwie kobieta - to się zdarza.

- Bo wie pani, ja to wszystko wyśniłam - powiedziała nieoczekiwanie dla samej siebie Maryśka.

- Wyśniła? Co powie? Nie może być? - zdziwiła się kobieta.

Wracała do domu szybko, w popłochu, wbiegła do korytarza. Na wieszaku wisiało palto Kazika, z karakułowym kołnierzem. Olesia nuciła coś w głębi. Weszła do dzieciennego pokoju, Kazik chodził od ściany do ściany z założonymi w tył rękoma, nerwowo, niespokojnie.

- Gdzie byłaś tyle czasu?! - skoczył do niej. - Geniusiama

gorączkę, rozpalona cała, a ta zostawia wszystko na łasce niańki i lata! Siedziałaś pewnie u Werflowej na herbatce! Może to dyfteryt albo zapalenie płuc?!

- Dajcie mi wszyscy święty spokój! - krzyknęła. - Jej nic nie będzie, a ja umrę w czasie operacji.

- Ona umrze! Ona - krzyczał - nie dopatrzona, nie dopilnowana! A ja... a ja... tego nie przeżyję!

Rozpętała się znów straszna awantura, jedna z wielu, które tu ostatnio wybuchały. Krzyczeli oboje, skakali sobie do oczu, mała rozpłakała się w łóżeczku, Olesia żegnała się, raz po raz dopadała do ich rąk, żeby tylko tak nie hałasowali, żeby przestali. Przycichli. Kazik badał swój puls, szukał tabletek.

- My się chyba musimy rozejść, Kaziczku - powiedziała Maryśka - bo zniechęciliśmy się przez to dziecko. Tylko przez nie są te kłótnie.

- No, powiedzmy, różnice zdań - skwitował Kazik. - Na szczęście serce trochę się uspokoiło - dodał. - Nie myśl nawet o rozwodzie. Dziecku potrzebna jest matka, nikt jej nie zastąpi.

Zrobili jej tę operację na Wilczej Łapie w Wilnie. Podobał się jej profesor, że taki męski, że taki stanowczy, że miał takie silne i ciepłe ręce. Było dla kogo stroić się w szpitalu w koszulki z falbankami, w cieliste szlafrociki. Lubiła, kiedy rozmawiał z nią, nawet badania nie były przykre.

- I co z tą moją macią, panie profesorze? - pytała zalotnie.

- Zobaczymy, co się da zrobić, pani sędzino - odpowiadał patrząc jej w oczy powłóczyście - nie mogę niestety niczego obiecać.

Kusiło ją, żeby zdać się całkowicie na jego wolę. To było takie podniecające, zawierzyć temu człowiekowi, od którego biła męska siła i stanowczość, ale któregoś dnia przyszedł asystent profesora. Też mu się podobała, to pewne. Wszystkie panie polecane przez profesora darły nosa, opłacane sownie przez mężów uważały, że wszystko im tu wolno, a Maryśka miała wrodzoną skromność i pogodę ducha. Chyba dlatego ten asystent postanowił jej pomóc. Poradził, żeby pod żadnym pozorem nie godziła się na usunięcie macicy.

- Dlaczego? A jeżeli to konieczne? - spytała.

- Pani sędzino - powiedział - to tylko podróży koszty operacji, czy pani mnie rozumie?

- Ale pan profesor...

- Pan profesor dba o interesy swojej kliniki - skwitował krótko.

To jej wystarczyło. Kaziczek przyjechał w odwiedziny, siedział przy łóżku w tym swoim jedynym porządnym czarnym garniturze w paski, ale zauważyła, że ma starannie wyprasowaną koszulę.

- Kto tak o ciebie dba? - spytała.

- To ta nowa służąca, Wikcia, którą przyjąłeś przed wyjazdem, żeby Olesia zajmowała się tylko dzieckiem - powiedział.

- Dobrze gotuje? - spytała. - Nie chodzisz głodny?

- Wiesz, jak ja lubię mielone kodety, a ona robi pyszne.

Coś ją uderzyło w jego głosie i wyglądzie. Myślała, że przyjedzie udręczony, bezradny, ale wcale nie chciał siedzieć przy niej dłużej, tylko powiedział, że musi zdążyć na wieczór do Lidy na kąpiel małej.

- Czy to tylko o to chodzi? - spytała.

- A o cóż by innego? - zdziwił się, zamrugał oczyma bezradnie, poprawił zsuwające się okulary.

- A co robisz wieczorami?

- Wieczorami śpiewam sobie, jak dziecko usnie. Wiesz, będę się uczył śpiewu, już zapisałem się na lekcje do profesora Kiełbowicza.

- Po co ci ten śpiew? - patrzyła na niego podejrzliwie. - A kto ci tak wyprasował koszulę?

- Wikcia - wyjaśniał cały - specjalnie dopilnowała, żebym włożył białą.

- Aha - skwitowała, rejestrując w pamięci, że coś z tą Wikcią nie tak; przypomniaty się słowa znajomych pań, które przestrzegały przed zbyt młodymi służącymi.

- A jak tam Geniusia - spytała - zdrowa?

- Geniusia? Urosła. Nie poznasz jej. A czy wiesz, że Wikcia za nią przepada?

Teraz wszystko było już jasne. Dom żył bez niej swoim życiem i ten siedzący przy łóżku mężczyzna wcale nie poczuł się bez niej bezradny. Zauważyła, że ani razu nie zatargał czupryny, a splecione

na podołku ręce kręciły młynka spokojnie, nawet jakby trochę nonszalancko. Jezus Maria, przeraziła się, trzeba natychmiast wracać do domu.

- Ja już postanowiłam. Nie dam sobie wyciąć macicy i ty ani się waz wyrażać zgodę. Stanowczo cię o to proszę - powiedziała badając jego reakcję.

- Macicy? - zdziwił się, jakby już o wszystkim zapomniał. - Jak sobie chcesz, to twoja sprawa.

- Jak to moja? Nasza wspólna! - rozpłakała się nagle. - Jak ty nic nie rozumiesz. Jedź do domu, wracaj do tej swojej Wikci!

- Do Wikci? - nie zrozumiał. - Co ty mówisz, przecież to służąca...

- To co z tego?! Już raz cię taka jedna omotała i żeby nie ja, do tej pory zbierałbyś w Grajewie mąkę i kaszę z chodnika! A co do macicy, to masz rację, to tylko moja sprawa! Moja, nikogo więcej, boja... boja... zawsze byłam sama.

Uspokajał ją bezradnie, szukał dla niej po kieszeniach chustki do nosa i jak na ironię wyciągnął nakrochmaloną porządnie, a nawet z delikatnym znajomym zapachem.

- Co to jest?! - krzyknęła. - Czym to pachnie?! Moimi „Czerwonymi Makami”, tak?! Moimi perfumami?! O, nie! Tego to już za wiele! Natychmiast po operacji wracam do domu! - rzuciła za odchodzącym mężem.

Profesor przyjął kwaśno jej decyzję, żeby niczego nie usuwać. Operacja była błaha, ale pod narkozą. Zapadając w sen Maryśka śpiewała: „Złoty pan profesor, złoty pan profesor...” - To była taka aluzja, nikt tego nie rozumiał, ale ja sobie z niego zakpiłam - opowiadała potem.

Po powrocie do domu dziecko nie wyciągnęło do niej rączek, schowało się za Olesię, płakało, nie chciało do niej iść. Zapomniało matkę. Wtedy poczuła się z nim związana jak nigdy dotąd. - To mamcia - mówiła przez łzy - twoja mamcia.

Wyjaśniona została sprawa „Czerwonych Maków”: pachniała nimi Wikcia. Dla dobra domu i rodziny została odprawiona i hojnie obdarowana prezentami. Stało się to wszystko za plecami Kazika. Kiedy wrócił z sądu, przy kuchni stała już starszawa, z mizernym koczkiem, mówiąca przez nos Adela, wszystkie wolne chwile

spędzająca w kościele. Kazik przyjął to bez protestu. - Adela wspaniale gotuje, robi pyszny barszcz i pieczeń wołową zachwalała Maryśka. - A kotlety? - zapytał. - Na pewno tego nie umie. - Nie martw się, wszystkiego sama dopilnuję, będzie ci smakowało.

- Myślałam, że jakoś to mocniej przeżyje, ale mężczyźni są wszyscy tacy sami. Co z oczu, to i z serca - mówiła Maryśka do Werflowej. - Myślał tylko o kotletach; a wiesz, co potem zrobił? Kupił sobie dużo czekoladek i zjadł je wszystkie po kryjomu. Mnie nie dał ani jednej. Tylko tyle.

- Ba! - śmiała się Werflowa - a nie mówił ci, czy między nimi do czego doszło? Nic ci nie opowiadał? Ciekawe - zastanawiała się puszczając kółeczka z dymu papierosowego - ja bym go wypytała, dokładnie.

Przepowiednie ciotek i kuzynek sprawdziły się co do joty. Dziecko bardzo szybko zrozumiało, że z tatusiem można robić wszystko, toteż jego pomysłowość w dręczeniu Kazika rosła z wiekiem. Ciągało go za włosy, kazało chodzić na czworakach. Do ulubionych miejsc małej należała głowa tatusia, bo sadzał ją na niej chodząc po pokoju. - Kaziku, ponoś mnie na główce! - wołała raz po raz. Szybko też zorientowała się, że wszystko jej w tym domu wolno, że tatuś nie pozwala jej karcić, szaleje, kiedy jest chora. Nauczyła się to wykorzystywać. Udawała kasłanie, a Kazik już biegł po najdroższą w sklepie lalkę. Cała rodzina łamała ręce nad takimi wychowawczymi metodami.

Maryśka z kilkoma znajomymi młodymi mężatkami zorganizowała u siebie prywatne przedszkole i po jakimś czasie stało się jasne, że nie było tak niegrzecznego dziecka jak jej Geniusia. Nie najładniejsza, z odstającymi uszami i bladawą buzią, mała dręczycielka zapragnęła być na przedszkolnym balu królową. Na nic zdały się tłumaczenia Maryśki, że królową musi być wybrana przez wszystkich dziewczynka. Mała spryciara pozwoliła ojcu zaśpiewać, co było dla niego nie lada radością, a potem wymogła na nim obietnicę, że to ją wybiorą na królewski tron. Co było robić. Przekupione pochlebstwami znajome panie uchwałyły, że królową będzie nie najpiękniejsza, tylko ta, która wybierze pączek

z migdałem w środku. Podobnie miało być z królem. Po licznych awanturach z Kaziczkiem, bo mała darła się jak opętana, Maryśka uległa i przystała na niesprawiedliwe wybory. Kiedy na balu przed dziewczynką pojawiła się przekupiona pani z tacą pełną pączków, to pokierowała ręką małej na ten właściwy, z migdałem w środku. Dziecko nie wiedziało nic o oszustwie. Szczęśliwie, z nadgryzionym pączkiem w rękę, przyjmowało hołdy ubrane w królewską koronę i czerwony płaszcz. Obok niej kulił się przestraszony tym wszystkim król, a trzeba trafu, że też miał mocno odstające uszy. Utrwaliło to zdjęcie. Potem i sama Maryśka zapomniała o knowaniach przy wyborze monarchów i pokazywała wszystkim zdjęcie z dumą, że właśnie jej Geniusia została królową przedszkolnego balu.

Wkrótce po tych perypetiach Kazik rozchorował się ciężko na serce. Doktor Sopoćko rozłożył nad nim bezradne ręce. Diagnoza brzmiała: „żaba serca”.

Doktor zalecił bardzo regularny tryb życia i nieprzejmowanie się niczym. Ale jak tu się było nie przejmować, kiedy Geniusia albo chorowała, albo tyranizowała cały dom, albo Maryśka szykowała się do sięgnięcia po ostateczne lekarstwo na kaprysy, czyli złojenie skóry.

Przyjechała wtedy właśnie matka Kazika. W przekrzywionym kapeluszu, z nosem sięgającym brody i wiecznie kwaśną miną. Już po paru dniach stało się jasne, że nie znoszą się z Maryską serdecznie. Kaziczek natomiast dwoił się i troił, żeby mamie było dobrze. Nieporadny był w tym, ale miał tyle dobrych chęci. Maryśka patrzyła z zazdrością, jak kupował kochanej mamie czekoladki, jak sprawdzał, czy aby nie za lekko się ubrała. To przecież ja nie dbam nigdy o siebie, to przecież ja ubieram się za lekko, a on nigdy jeszcze nie zwrócił na to uwagi - myślała z żalem Maryśka. Jest tylko dziecko, potem matka, a na końcu ja. Tyle już było dowodów, a ja ciągle łudzę się, że on mnie kocha, że nie potrafi beze mnie żyć. Doskonale potrafi. Maryśka płakała w sypialni, tłumiąc łkanie w poduszce.

- Co ci jest, Marysiu? - pytał bezradnie Kazik. - Czy jesteś chora?

- Odejdź ode mnie! Nie podchodź nawet! Jestem zdrowa, tylko nieszczęśliwa!

- To co robić? - zatroskał się.
- Srać i drobić! - zawołała. Płacz przeszedł w śmiech z jego zgorzzonej miny.

- Dobrze, że mamusia tego nie słyszy - pocieszył się.
- Słyszysz, słyszysz, bądź spokojny, na pewno stoi za drzwiami z wielkim uchem. Ta nasza Geniusia to, niestety, po niej odziedziczyła uszy i nos.

Teściowa odpłacała jej pięknym za nadobne.
- Włoski Geniusia ma takie marne, to po Marysi - biadoliła.
- Mój Kaziczek czuprynę ma gęstą.
- A mama ma za to długijęzyk - odcinała się Maryśka - i za wielkie uszy. Pewnie słyszała, co mówiłam w sypialni?
- A gdzie tam! - zęgnęła się nabożnie teściowa.
- Modli się pod figurą, a diabła ma za skórą.

Miary dopełniło podtykanie przy stole Kazikowi co najlepszych kąsków.

- Jedz, jedz, ty pracujesz na cały dom - kadziła Kazikowi, a ten rozplątywał się w szerokim uśmiechu.

- A ja?! - wstała gwałtownie od stołu Maryśka. - Ja to nie pracuję?! Na mojej głowie wszystko, cały dom! I dziecko, i służące.

- Przecie on sędzia - machała rękoma teściowa.

- To niech mama weźmie sobie tego sędziego! Jak się żenił, to był taki zabiedzony, a też był sędzią, tylko że zamiast Marysi miał Marię Chmurę! Kochanicę! Tak, tak, co mama takie oczy robi?! Niby nie wie?! Do tej pory by mąkę i kasze po ulicach zbierał w Grajewie! - krzyczała Maryśka, aż teściowa wstawała od stołu, koczek siwych włosów trząsał się jej z oburzenia. Kazik wychodził, trzaskał drzwiami. I robił się sądny dzień. Wieczorem to Maryśka przykładała ucho do drzwi gościnnego pokoju, gdzie teściowa szeptała z Kaziczkiem.

- A mówiłam, żebyś się żenił z tą nauczycielką, lepiej byś zrobił, mówiłam - dolatywały strzępy żalów teściowej - ta nadto energiczna, nadto kłótniwa...

Maryśka zamarła pod drzwiami. Co on jej odpowie? Czy przyzna rację?

- Mamusiu - chodził gwałtownie po pokoju Kazik - mamusiu, jaka jest, taka jest, ale mnie potrzebna. To dobra żona i matka.

Serce skoczyło w piersiach z radości. Knowania teściowej stały się nieważne. Powiedział to! Jednak powiedział wprost! Nie tak, jak by chciała, ale jednak powiedział. Wykrztusił to!

- Chodź tu, Kaziczku - zawołała donośnie z sypialni. - Gdzie ty się podziewasz?

Stanął w drzwiach niepewny, przestraszony jej wołaniem. Podeszła do niego, wspięła się na palce, zaczęła całować w oczy, w czoło, spadły okulary, szukali ich oboje, w łóżku wbrew zaleceniom doktora Kaziczek nie pamiętał przez chwilę o oszczędzaniu sił.

- Może z tego... może z tego będzie druga Geniusia - wyszeptał zmęczony, ocierając czoło.

- A Boże broń! - zaśmiała się - wystarczy już tej jednej! Tylko pamiętaj, obiecaj mi, że żadnych nie będzie knowań z twoją matką! I masz jej powiedzieć, pamiętaj, masz podkreślić, że ja pracuję tak samo jak ty! Jeszcze więcej! Nigdy jej nie potakuj, kiedy na mnie napada choćby to było tylko dla świętego spokoju. A teraz opowiedz mi, co to za nauczycielka z którą chciałeś się ożenić!

Nauczycielka zjawiła się po jakimś czasie sama. Z walizeczką i z prośbą o udzielenie gościny przez kilka dni, bo szuka właśnie w Lidzie pracy, a starsza pani Lulewiczowa poradziła, żeby tu się zatrzymać, u jej syna.

- I u synowej - dodała Maryśka - i u synowej.

- Ależ ma się rozumieć - słała jej fałszywe uśmiechy nauczycielka.

Kaziczek zażądał czystej koszuli w niebieskie paski i dobrania odpowiedniego do niej krawata, a po kolacji śpiewał zamknięty w sąsiednim pokoju. Nauczycielka wystudowanym gestem poprawiała włosy, upuszczała przy nim chusteczki, chwaliła jego piękny tenor i po jakimś czasie stało się dla Maryśki jasne, że nie chodzi tu o żadne szukanie posady, tylko o rozbicie ich małżeństwa. Jednym słowem, była to koronkowa robota jej teściowej, a Kaziczek, ten biedny safanduła, niczego się nie domyślał, szedł na lep jej przymilnych słówek, a nawet - szarmancko, on, taki nieuważny, podawał jej płaszcz, depcząc przy tym po nogach. I to przekonało Maryśkę ostatecznie, bo nauczycielka zamiast krzywić się z bólu,

szeptała zalotnie: - To nic, to nie szkodzi, pan sędzia jest taki niesłychanie uprzejmy.

Nauczycielka została odprawiona po paru dniach. Na nic zdała się jej nieśmiała propozycja: - A może państwu potrzebna guwernantka do dziecka?

- Tak, Marysiu, tak, bardzo nam potrzebna - pospieszył z odpowiedzią Kazik, ale Maryśka zmroziła go spojrzeniem. Nauczycielka jeszcze raz uniosła zalotnym gestem rękę ku upiętym wysoko włosom i z westchnieniem poszła spakować swój kuferek.

- Nie chcesz guwernantki? - dziwił się Kaziczek. - Przecież sama mówiłaś, że doradzają ci to znajome panie.

- To nie żadna guwernantka, to zwyczajna żmija! Wierz mi, Kaziczku - znam ja takie guwernantki, amatorki cudzych mężów. Widziałam, jak jej podawałeś płaszc - powiedziała Maryśka. - Chcesz, żeby dziecko zostało bez matki? Chcesz?

- Jezus Maria! A co z Geniusia? - przypomniał sobie nagle Kazik.

Ale mała bawiła się spokojnie, bo przez te parę dni zamieszania poczuła, że nie jest już „pępkiem świata”.

ROZDZIAŁ XX

Kiedy mała miała iść do szkoły, Lulewicze przenieśli się z Lidy do Wilna. Mieli pieniądze za sprzedane hektary po ożenku Bronisia i postanowili kupić w Wilnie dom. Po długich rozważaniach, na przekór pośrednikom, którzy wtykali im domki z ogródkami przy kościele Piotra i Pawła, ale z opinią nietrwałych, wybrali małą kamieniczkę, czteromieszkaniową, bez wygód, na ulicy Derewnickiej róg Artyleryjskiej, naprzeciwko koszar. Zapożyczyli się u lichwiarza, bo pieniędzy zabrakło, ale w 1937 roku można już było zamieszkać we własnym domu. Były spory przy umeblowaniu mieszkania, bo Kaziczek wolał stare, ciemne meble, a Maryśka przepadała za jasnymi, prostymi, ale wszystko w końcu jakoś się ułożyło i Maryśka pozwoliła mu na kupno starej szafy z rzeźbioną paszczą lwa na drzwiach, przepastnej i tajemniczej. Geniusi się podobała. W szafie można było się chować, a do paszczy lwa wsadzać rękę i czekać ze strachem, czy nagle się nie zamknie.

Wszystkie te przejścia i przenosiny tak podziały na Kaziczka, że kiedy poszedł po poradę do znanego wileńskiego specjalisty, ten długo go osłuchiwał, a kiedy skończył, zapytał obcesowo: - Ma pan żonę i dzieci? - Kazik przytaknął, błądzący ze strachu, bo wielka twarz specjalisty nie wróżyła nic dobrego. - To dobrze - zabębnił palcami po stole doktor. - Powiem krótko: niech pan robi testament.

Kazik wyszedł stamtąd załamany i ledwie dowlókł się do domu. Od tego momentu z sercem znacznie się pogorszyło. Teraz bez przerwy badał puls, przestał nawet zwracać uwagę na dziecko. Na nic zdały się przekonywania znajomych, że specjalista to człowiek humorzasty, nie wylewający za kołnierz i stąd te nieoczekiwane ataki na pacjentów. Zresztą miał już taką metodę, że lepiej porządnie nastraszyć niż uspokoić. Dla Kazika okazała się ona fatalna. Od tego momentu rozchorował się na dobre, przeszedł na emeryturę i obsesyjnie stosował się do wskazówek lekarza, to znaczy większą część dnia spędzał na leżeniu. Wyszło to na dobre tylko małej, bo zgrzeczniała, będąc częściej z matką. Znikły służące, bo nie było z czego im płacić. Okazało się też, że „raróg” za nic ma ojcowską miłość i oddanie. Ten mówiący do siebie na

spacerach tatuś, wpadający w szal w małżeńskich kłótniach, nieważny i bezradny, stał się szybko kimś nieważnym, kimś, kogo można lekceważyć.

Dziecko szybko pojęło, co znaczą lawirowania znajomych, żeby tatusia nie było na przyjęciu - Najlepiej byłoby, żeby pani sędzina przyszła sama, bo pan sędzia taki chory, większe towarzystwo może mu zaszkodzić. - Doszło do tego, że kiedy Kazik czekał na małą pod Nazaretem, bo tam poszła do pierwszej klasy, to wstydziła się przed dziewczynkami. Wystarczyło czyjeś stwierdzenie: - Po Genię przyszedł dziadek, taki śmieszny - ażeby wymóc na matce obietnicę, że tatuś nie pokaże się więcej przed szkołą.

- Szanuj swego tatusia - nakazywała Maryśka - bo to porządny z kośćmi człowiek, choć trochę dziwaczny.

Ale dziewczynka zaczynała właśnie cenić rzeczy zabawne, te przez wszystkich akceptowane, a słowo „porządny” nic jeszcze dla niej nie znaczyło. I tak powoli ta córka ta jedyna wielka miłość Kaziczka stawała się coraz bardziej obca, a nawet wroga bo choć nie było już krzyków i tupania nogami, to ich miejsce zajęły teraz dąsy i kręcenie nosem na wszystko, co robił i mówił ojciec. Teraz najważniejsza stawała się matka, bo gdziekolwiek się pojawiała, potrafiła wszystkich rozruszać, a tatuś siedział w kącie, mruzczał coś do siebie i wszyscy go omijali. Udręką były spacerzy z nim, jedzenie, odrabianie lekcji.

- Tatuś jest chory - tłumaczyła matka.

- To dlaczego on choruje, a ty nigdy? - odymała usta mała.

Kazik skarżył się na nią do Maryśki, wymagał dla siebie szacunku.

Teraz kłóćdzi się o to, że mała go nie słucha, że ma go za nic.

A Geniusia była uparta i tchórzliwa, z dużymi ambicjami, żeby błyszczeć w klasie, i bez żadnych na to widoków. Uczyła się miernie, mUcząca i nieśmiała, nie potrafiła zjednać sobie koleżanek, siedziała z racji wysokiego wzrostu na ostatniej ławce i zazdrościła klasowym pięknościami ich naturalnego wdzięku. Zapraszano ją z łaski na kinderbale, z których zawsze trzeba było ją wyciągać siłą. Nie dawała się wyprowadzić, choć inne dziewczynki dawno już poszły do domów i choć pani domu dawała rozpaczliwe znaki, żeby zabrać małą. Czekająca na nią matka zwi-

jała się ze wstydu, ale przy obcych musiała używać łagodnej perswazji. Awantura zaczynała się dopiero na ulicy i trwała do samego domu. Tam wdawał się w nią Kazik i sprawa balu urastała do niebotycznych rozmiarów, zagarniając po drodze inne powody małżeńskiej obrazy. Mała milkła przerażona. Teraz oboje doskakiwali do niej, Kazik bijąc pięściami w stół krzyczał, że od tej pory jego dziecko nie będzie chodziło tam, gdzie go nie chcą. Dziewczynka znów protestowała płaczem.

- Jezus Maria, ja zwariuję! - wołała matka. - To czego ty w końcu chcesz?! Chodzić czy nie chodzić na bale?!

- Chcę chodzić - wykrztuszyła w potokach łez. - Ale żeby one chciały cały czas się ze mną bawić.

Awantury w końcu wygasały, Maryśka kazała małej przeprosić tatusia, całować go w rękę i dom pograżał się w błogostawionej ciszy.

Było to jednak szczęśliwe dzieciństwo. Potrzebę przyjaźni zaspokajała tymczasem Nelka, mała suczynka o troskliwych oczach, przywieziona przez babcię z Juryszek. Kosmata, żywa zabawka. Głaskało się ją najpierw delikatnie, potem aż do bolesnego tarmoszenia, a kiedy kładła się pokornie na grzbiecie, masowało się jej ciepły brzusek, mocniej, jeszcze mocniej, podniecająco mocno. Weszła na to kiedyś matka i zakazała kategorycznie takich zabaw, od których policzki paliły jak ogniem. Życie było takie ciekawe, rodzice czasem rozpozgodzeni, a szkoła przyniosła w końcu nieoczekiwanie wielką niespodziankę - przyjaciółkę, którą pokochało się ponad wszystko. Krysia Zastrzeżyńska, córka wileńskich aktorów, mieszkała niedaleko, na Zarzeczcu, w małym drewnianym domku z ogródkiem. Teraz chciało się być tylko z nią. Krysia była ładna, pełna fantazji i pomysłów, i cud doprawdy, że zaprzyjaźniła się z kimś tak niewydarzonym, jak Genia. Zaczęły się godzinne odprowadzania, chichoty bez żadnego powodu. Przyjaciółka bawiła się ciągle w teatr, miała w domu gramofon i bez końca mogły słuchać jednej i tej samej płyty. „I od tej chwili będziemy żyli wśród śmiechów szczęścia, kwiatów i motyli, co noc szaleni, co dzień stęsknieni...” - chrząkał zdarty przez częste używanie głosu.

W lipcu 1939 roku Lulewiczowie zjechali z Wilna do Juryszek,

na świeże mleko i zdrowe powietrze. Maryśka zastrzegła sobie z góry, że mała musi mieć codziennie kubek śmietanki spod centrifygi i jajka na kogel-mogel. Były to dość wygórowane żądania, ale kury gubiły jajka po wyżkach i żłobach, a śmietanki było pełno. Rankami sam Kazik pilnował, żeby mała piła mleko prosto od krowy, ciepłe i pienne.

W juryskiej rodzinie zaszły duże zmiany. Umarł Adam. Wierna mu do końca ogrodniczka wyjechała, Kostuś wziął za żonę zwykłą, ale podszywającą się pod szlachectwo chłopkę, Bogdan ożenił się z rudą nauczycielką, która już zaczynała pokazywać rogi i mieć wszystkich w pogardzie. Przekonanie co do rudych i Galileuszki spełniło się co do joty. Nauczycielka otoczyła się swoją sprowadzoną z Galicji rodziną i wieści z Zalesia dochodziły coraz bardziej niepokojące. Chude i rudawe siostry Galileuszki wraz z teściową całkowicie opanowały Bogdana, tak że ganiał jak fryga, żeby zadowolić ich zachcianki i, jak to określały siostry, stał się służącą do wszystkiego.

W Juryszkach wędła w staropanieństwie Janeczka i choć co jakiś czas zjeżdżali tu jacyś młodzi ludzie z Wilna, to niestety zakochiwali się w pannach z okolicznych dworów. Janeczka prowadziła pasiekę i polowała na zające, ale wyglądało na to, że mimo energii i dzielności nie doczeka się poważnego adoratora. Z mieszkającej nie opadał, w Zaosiu Józi też nie było wielkiego pożytku, bo choć gnębiona przez męża, brała zwykle jego stronę i rzadko bywała w rodzinnych Juryszkach. A tutaj na każdym kroku było widoczne, że folwark chylił się ku upadkowi. Jeszcze wszystko starała się trzymać słabnącą ręką Maria, ale jej rozkazy brzmiały coraz ciszej i nikt nie brał ich sobie do serca.

Okazało się, że młoda żona Bronisia, Wandzia, nie ma zielonego pojęcia o gospodarce, a jej jedynym pragnieniem jest rodzenie dzieci. Już dwoje ich spoczywało na juryskich mogiłkach, ścięte w niemowlęctwie przez biegunki. Uchowało się jakoś trzecie dziecko, syn Janek. Ten przeżył szczęśliwie pojenie utrzymanym przez cały dzień w pieczurce mlekiem, które od długiego parzenia nabierało brunatnej barwy. Tylko jemu jednemu udało się przetrzymać brudne smoczki, dawany do cmokania ugnieciony chleb z cukrem i temu podobne praktyki. Janek poradził sobie jakoś z wyniszczającym odwodnieniem i bólami brzuszka. Rósł i męźniał.

Maryśce opowiadano straszne *rzeczy* o lenistwie i głupocie Wandzi, ale ta brała jej stronę przed siostrami. - A cóż ona winna? - wołała, zagłuszając w sobie głos sumienia, bo to ona w końcu wyswatała Bronisia. - Dlaczego wy, takie mądre, nie pomogłyście jej, trzeba było ją nauczyć, jak się karmi dzieci. Ona młoda, niedoświadczona. To tylko wasza wina! Wasza i niczyja więcej! - dopiekała do żywego siostrom.

Broniś na to wszystko naciskał czapkę na uszy i szedł do Kaśki na bliny, co było dla Wandzi nieustającym cierpieniem, bo najadłszy się tam, pochrapywał w domu znużony i nic a nic nie reagował na jej prośby i przymilania, że przydałby się Jankowi braciszek albo siostrzyczka. - Pozbieraj te, co pomarnowałeś - dogadywał odwracając się do niej plecami. Wandzia na swój sposób starała się przypodobać mężowi, ale na nic zdało się malowanie burakiem policzków, na nic rozplatanie długich ciemnych warkoczy. Broniś miał ją za nic.

- To też wasza wina! - krzyczała Maryśka - mówiliście jej, że jest niedorozwinięta, i ona w to uwierzyła.

Wandzia przyłgnęła teraz do Maryśki i tylko jej jednej z rodziny zwierzała się ze swoich zmartwień i pragnień. A tych miała niewiele: żeby Broniś jej nie zdradzał i żeby mieć jak najwięcej dzieci. Radziła się też w tych sprawach wszystkich parobkowskich bab, a potem zaczęła jeździć po okolicznych znachorach i lekarzach i stosować się do dziwacznym nieraz zaleceń.

Baby, jak to baby, radziły:

- A pani, mileńka, trzeba, żeby pan Broniś zazdrował, jak chłopt zazdruje, to i ochota się u niego najdzie.

Wandzia wzięta to do serca i wychodziły z tego rzeczy gorszące. Za oborą rosły zwykle wysokie konopie. Z nich to wyskoczył kiedyś pod wieczór parobek Antośka, a za nim wyszła Wandzia, przystrojona w niedzielną sukienkę, którą nosiło się tylko do kościoła. Wszystko to rozegrało się na oczach pilnującego wieczorego udoju Bronisia. Wandzia podeszła do niego z potarganymi włosami, krzywym buraczanym rumieńcem na twarzy, a Antośka pognął w kierunku czworaków, aż się kurzyło.

- Gdzie była?! - huknął Broniś. - Badzia się, czort wie gdzie, a tu mleko trzeba nieść do centryfugi!

Wandzia uśmiechnęła się zalotnie i podrapała po łydce.

- W konopiach my byli z Antośka - wyznała - robili, co chcieli.

- Tfuu! - splunął na bok Broniś - tfuu! Trzeba Antośce worek żyta dać i jeszcze czego dołożyć za takie męczarnie. Musi dobrze mu dogodziła, bo poleciał jak podsmalony! - rechotał.

Tego już trudno było spokojnie słuchać i Wandzia płacząc rzewnie uciekła do domu. I tak niefortunna próba wywołania w mężu zazdrości spełzła na niczym. Trzeba było stosować inne podniety, a były, na szczęście, różnego rodzaju: a to dodawanie do jedzenia kropli krwi miesiączkowej, a to ugniatanie z czymś tam chleba. Śmiały się z tego same radzące jej te sposoby baby i powoli wszyscy dowiedzieli się, że z młodą panią coś nie tak.

- Jezus Maria - narzekała Maria - co to za stołbun! Niczego jej nie nauczysz, głowa jak sito, wszystko przez nią przeleci. Onegdaj poszła siał jarzynki, ja pytam: „A co ty na tej grządce przy płocie posiadaś, Wandzia?” A ta mówi: „Ja tam wiem, coś drobnego”. Niedorozwój, co tu dużo gadać.

- Tak, tak, wmawiajcie jej to, wmawiajcie! Już jednej tu mówili - bronił jej Maryśka - i żebym nie wyszła za Kazika, to nigdy bym nie wiedziała cojestem warta. U was wszyscy durnie!

- Marysiu, Marysiu, ty mnie jedna rozumiesz - sepleniła Wandzia. - Jak myślisz, czy wieczorem Broniś położy się przy mnie? Bo Szumiatowa gadała, że to dobry czas, księżyc w nowiu, nad mogiłkami jak sierp wisi.

- Ładnie mówisz - spojrzała na nią Maryśka - „wiszący sierp”. Pluń ty na Bronisia! Daj sobie spokój - poradziła.

- Jak: daj spokój? - obruszyła się Wandzia. - To mój mąż! W kościele my ślubowali. Tak chce się - zajęczała - tak chce się jeszcze dzieci mieć, że prosto nie do wytrzymania.

Z czasem młoda pani przybladła, coś tam ją cisnęło w dołku, tak że zawsze można ją było widzieć, jak trze to bolące miejsce o róg stołu. Janek biegał zaniedbany i brudny, a ona coś tam warzyła, pichciła dla Bronisia co służąca często wylewała przez pomyłkę do pomyj. Jedyną radością Wandzi stał się teraz kościół. Biegała tych kilkanaście kilometrów boso, z pantoflami w rękach, kładła się krzyżem przed ołtarzem, spędzała tam długie godziny.

- Gdzie Wandzia?! Czemu blinów nie piecze?! - szukała jej

w niedzielne popołudnia Maria. - Broniś, gdzie ona?

- A czort z nią - spluwał na bok Broniś - poleciała z jajkiem do kościoła.

- Jak: z jajkiem?

- A podebrała spod kur ze świronka i księdzu poniosła na ofiarę, żeby dzieci mieć.

- Lepiej by tobie jajecznicę zrobiła - śmiała się Janeczka - to by lepszy skutek odniosło.

- A o! Figa z makiem! - zwinął palce Broniś. - Jajecznicę ja by zjadł i na baby poszedł.

Maryśce ścisnęło się serce, kiedy Wandzia, zaplatając długie warkocze, siedziała pod oknem i śpiewała coraz cienie i rzewniej.

- Źle ci tu, Wandziu, mój Boże, co ja zrobiłam - mówiła ze skruchą. - To moja wina.

- Nie, nie źle, ja, o, siedzę sobie i myślę o mojej Waci. Ona, biedna, dzieciuka nie miała, bo niezamężna była, a ja jeszcze mogę mieć, podobnież takie zastrzyki są, całe czarne, jedna baba w Naczy mnie poradziła. - Broniś! Broniś! - machała nagle na przechodzącego męża ręką. - Chodź tu! Chodź! Czas już położyć się!

- A niech się czort z tobą kładzie, a nie ja! - odkrzykiwał Broniś.

Copyrighted material

ROZDZIAŁ XXI

Maryśka, Kazik i Genia wyjeżdżali z Juryszek tuż przed samą wojenną zawieruchą, w sierpniu 1939 roku.

- Jakoś niespokojnie. Może by zostali, tu tak na uboczu - radziła Maria.

- Ach, to są strachy na lachy - machała rękoma Maryśka. - Dziecko musi iść do szkoły, dom musimy remontować, pospłacać długi, tyle jest w Wilnie do zrobienia.

- A jeżeli rozpęta się wojna? - kręciła głową matka. - Twój Kazik słaby, chorowity, to jak sobie poradzisz?

- Ma dobrą emeryturę - uspokajała matkę Maryśka - całe pięćset złotych, i to tylko dzięki mnie, bo chcieli mu dać połowę.

W Wilnie rzeczywiście wszyscy mówili o wojnie.

- Ale jeżeli nawet będzie, to potrwa krótko - pocieszali się. - Niemcy się przekonają, na co się porwali.

Z radia płynęły zapewnienia o nieoddaniu nawet guzika.

A jednak wybuchła ta wojna i ziemia zadrżała pod nogami. Sowietci „wbili nóż w plecy”. Niedługo wkroczyli do Wilna. Zaroiło się od szarych szyneli, cuchnących ostrym smrodem dziegciu. Widoczne z okna domu koszary na Artyleryjskiej rozbrzmiewały teraz ochrypłą musztrą. - Cóż to za czubaryki - wznosiły oczy do nieba znajome panie, wychowane w kulcie wojskowego szyku. - To też ludzie - mówiła Maryśka im na przekór - pomęczeni, biedni.

Po wyludnionych ulicach niósł się wysoki głos zapiewający: „Moskwa moja, moguczaja, ty samaja lubimaja...” Szeregi podchwytwały gromko pieśń, aż w domach drżały na półkach delikatne porcelanowe pasterki.

- To barbarzyńcy! - złościła się bogata stryjenka z Portowej, chroniąc siedzące przed kominkiem krasnale, bo jednemu z nich od tupotu sołdackich nóg wypadła właśnie fajka.

- Stryjence zabiorą na pewno kamienicę - straszyla ją Maryśka, mszcząc się za dawne niepochlebne uwagi o jej głowie.

- Boże broń! Do tego to nigdy nie dopuszczę! - hardo uniosła głowę stryjenka. Ale tak na wszelki wypadek, jeżeli by tu wpadli, kazała służącej, Waci, mówić, że jest jej kuzynką. - Bo oni podobno nie uznają żadnej służby - trzęsła z irytacją potrójnym podbródkiem.

- Widzisz, Waciu, przyszedł nareszcie twój czas - śmiała się Maryśka, budząc tym zgorzenie.

- Nie dość, że nieudała, to jeszcze bolszewiczka - wzdychała stryjenka. - Nie całuj mnie, durniu, w rękę - sztorcowała ogłupiałą służącą. - Oducz się tego!

A szara masa przewalała się ulicami, wdzierając do sklepów, nie dowierzająca, że tak tu wszystkiego mnogo.

- Grabią i wywożą, co się tylko da - jęczały panie.

- A tam, przesada - mówiła Maryśka - ja tam chodzę po nocy, de chcę, i nikt mi nic złego jeszcze nie zrobił - przekonywała.

- Pani sędzina ma takie dziwne poglądy - wrzeszczały ramionami panie - po prostu ręce opadają.

- Bo to też ludzie, tacy sami jak wszyscy - upierała się Maryśka.

Kazik nie brał udziału w dyskusjach. Zupełnie skapcaniał. Całymi dniami albo siedział z nosem w prawniczych książkach, albo targał czuprynę i przepowiadał, że on, Maryśka i dziecko pomrą niedługo z głodu.

- Nic się nie martw, Kaziczku - pocieszała go Maryśka i biegła sprzedawać coś tam ze złota. W ogóle pełna była teraz kipiącej energii. - Nic się nie bój - zapewniała wracając - jakoś sobie poradzimy. Pójdę gdzieś pracować, bo oni mówią, że kto nie pracuje, ten nie je. Widzisz, to nawet sprawiedliwie, bo tylu było panów w tej naszej Polsce, tylu obiboków.

Wszyscy gdzieś coś chowali, zakopywali po piwnicach, zabezpieczali, jak mogli, a Maryśka właśnie wtedy zaczęła wielką wojenną wyprzedaż. Okazało się, że w domu jest pełno niepotrzebnych rzeczy: a to wisiorek z brylantem, a to pyszne, wcale nie używane holenderskie koce. Kiedyś nawet stwierdziła: - Kaziczku, wiesz, ta szafa z paszczą lwa nam niepotrzebna, taka zawalidroga, nigdy jej nie lubiłam, może by tak sprzedać, jak myślisz?

Kazik wybuchnął gniewem, zabronił ruszać czegokolwiek, ale na niewiele to się zdało. Z tego wszystkiego był tylko taki pożytek, że podczas kiedy w innych domach wiało grozą, Maryśka biegała beztrzesko po pokojach w zawiązanej na włosach gazowej chusteczce, wypatrując, co by tu jeszcze było kompletnie niepotrzebnego.

A czasy szły coraz gorsze, zaczęły się pierwsze wywózki na Sybir i po nocy okazywało się, że po jakiejś znajomej rodzinie

zostawało puste mieszkanie z porzuconymi zabawkami i miauczącym, przerażonym kotem.

- Kaziczku, musimy mieć pod ręką najpotrzebniejsze rzeczy, bo w każdej chwili mogą przyjść po nas - zarządziła Maryśka. Ręce jej opadły, kiedy Kazik zapakował do walizki parę prawniczych książek i jej balową suknię koloru czerwonego wina.

Ale po nich nie przyszli. Znajomy Żyd odwiedził ich i zapewnił Kazika, że może spać spokojnie, bo nie ma ich na liście wywozów.

- A widzisz, Kaziczku, a widzisz! - cieszyła się Maryśka. - Zawsze sądziłeś sprawiedliwie, nigdy nie brałeś łapówek, ludzie ciebie szanowali, a teraz spotkała cię za to zapłata.

- Co ty opowiadasz! - zdenerwował się Kazik. - Wszystkich biorą, wszystkich!

- Ja już wiem swoje - upierała się. - Oni nie lubią jaśniepaństwa, a ty nigdy nie darłeś nosa. A skąd pan Szymon wie, że nas nie ma na liście?

- Sza - położył palce na ustach Szymon - ja mam taką swołocz, mój rodzony brat, to wiem od tego drania. On miał u pana sędziego jakąś wygraną sprawę, to ta szuja powiedziała mnie, że pan sędzia Lulewicz może spać spokojnie.

- A widzisz! A widzisz! Nie mówiłam! Oni wiedzą, kogo brać - zapewniła jeszcze raz Maryśka. - Geniusiu, rozpakuj swoją teczkę. Nigdzie nie jedziemy!

Wojna niemiecko-sowiecka wprawiła wszystkich w euforię. Czubaryki wycofywali się pospiesznie, ciągnąc za sobą zagrabiony dobytek. Jedna z mieszkających w sąsiednim domu oficerskich żon przybiegła do Maryśki błagać o jakiś czemadan. Maryśka dała jej stary drewniany kuferek, z którym Kazik przyjechał z Petersburga.

- Dałaś ten mój kuferek?! Jakim prawem! - krzyczał Kazik. - Przecież to wielka dla mnie pamiątka!

- Ale pamiątka! - drwiła Maryśka. - On mnie zawsze męczył, bo to z nim zjechałeś do Grajewa. On mi zawsze przypominał Marię Chmurę, twoją kochanicę - wyznała ze złością.

Sprawa kufereka została szybko zapomniana, bo na Wilno zaczęły spadać niemieckie bomby. Na pustym placu przy Artyleryjskiej, tuż za ich domem wykopano podłużne rowy, w których

można było kłaść się i kucać. Ludzie zadzierali głowy do góry, wypatrywali, ile leci samolotów, liczyli spadające bomby: „raz, dwa, trzy!” Kazik z Geniusia siedzieli w rowie trzęsąc się ze strachu, a kiedy po nalocie nastawała cisza, oni ciągle słyszeli nadlatujące samoloty. Doszło do tego, że Maryśka biegała tam do nich z jedzeniem, a dziewczynka czepiała się jej rozszlochana, nieprzytomna: - One warczą, słyszysz?! One znowu lecą! Mamusiu! Mamciu!

Maryśka wyfruwała beztrzesko z jamy, pędziła przez plac w przekrzywionej na głowie chusteczce, aż dziwiły się znajome panie: - Skąd u pani sędziny tyle werwy i optymizmu? - Bomby?! Cóż tam takiego - śmiała się - niech sobie lecą. Co sążone, to czło-wieka nie minie.

- Maryśka!!! - krzyczał Kazik, nie wystawiając głowy z rowu
- Maryśka!!! Wracaj do dziecka!!! Maryśka!!!

Nabożna pani z sąsiedztwa poradziła wypróbowaną modlitwę świętego Bernarda. Genia klękała w schronie, zmuszała do tego ojca i razem powtarzali głośno: - „Pomnij, o najdobrotliwsza Panno Mario, iż od wieków nie słyszano, by ktokolwiek uciekając się pod Twoją opiekę został przez Ciebie opuszczony. Tą ufnością ożywiony...”

- Jezus Maria! Znow lecą! Geniusiu, kładź się! - krzyczał Kazik.

Aż w końcu stało się jasne, że trzeba coś zrobić, bo nikt już w schronie nie mógł tego wytrzymać dłużej.

- Wychodźcie - zdecydowała któregoś wieczoru Maryśka - trzeba uciekać z miasta.

- Mam już spakowaną walizkę - ucieszył się Kazik. - To jeszcze od czasu wywozów.

Noc była ciepła, cicha, lipcowa. Od Artyleryjskiej i Derewni-ckiej szedł dum ludzi niosąc ze sobą w pośpiechu walizki, wężełki, ktoś ciągnął na sznurku opierającą się, beczącą żałośnie kozę. Włączyli się w ten nurt potykających się, szepczących modlitwy, przyspieszających kroku, byle dalej od miasta, byle za rogatki, byle w pole. Kazik wyrwał do przodu, ciągnąc za rękę Geniusię.

- Kaziczku, tyś chyba wyzdrowiał na serce - krzyknęła radośnie Maryśka. - To cud boski, że możesz tak biec.

- Ciszej tam! - syczeli ludzie. - Oni wszystko słyszą. Mają

takie urządzenia, że słyszą każdy szelest. Musi panować bezwzględna cisza!

- Mamusiu, leca! - piszczała Genia.

Ale to były tylko grające po rowach świerszcze. Jakiś ptak krzyknął spłoszony. Spod nóg wyskakiwały żaby. Szli drogą na Werki, tak dobrze znaną z niedzielnych wypraw.

- Powąchaj, Geniusiu, to cząborek. Czujesz, jak pachnie? - Maryśka podtykała córce pod nos rękę pełną pachnącego ziela. Zamajaczyła przed nimi zagroda, drewniany, upleciony płot. W ogrodzie pasący się, spętany koń uniósł głowę, zarżał.

- Niech ktoś go uciszy! - wołali ludzie. - Sprowadzi na nas samoloty! - I znów zafalowało. Ludzie weszli do zagrody. Drzwi od stodoły były otwarte, już tam siedzieli inni uciekinierzy. - Tu już zajęte! - krzyczeli. - Do ostatniego miejsca!

W otwartych drzwiach domu ukazała się kobieca postać. - Niechaj tu zachodzą! - machała przyjaźnie ręką.

- W domu bardziej niebezpiecznie - przekonywał Maryskę zasapany Kazik - najlepiej pod gołym niebem.

- Nigdy w życiu! W krzakach, albo najlepiej nad rzeką - przekonywał ktoś gorąco.

Okazało się, że tuż za zagrodą płynie Wilia.

- Chodźcie na plażę! Na piaseczek! Plaży nie zbombarduje! - nawoływał jakiś kobiecy głos.

- Zwariowałaś, tam jak na patelni! Widoczne z góry! - ostrzegał ktoś.

Kazik pociągnął Maryskę i dziecko nad wodę. Na wysokiej skarpie było trochę zarośli, krzaków. Wsadzili pod nie walizki, węzełek. Wyciągnęli nogi.

- Co dziecko będzie jadło? - zatroskał się Kazik.

- To, co wzięłaś - śmiała się Maryśka. - Masz tego pełną walizkę.

Ale Genia już spała, nad nią księżycowe srebro przesiewało się przez gałęzie jak przez sito.

Wtedy właśnie nadlecieli. Ciężki grzmot przewalił się po rzece raz, drugi. Nikt nie zdążył krzyknąć. Nagle wystrzeliła do góry fontanna wody. Błysk - i cała rzeka podniosła się do nieba! I jeszcze raz, i jeszcze!

Nikt nie zdążył nawet krzyknąć, nikt nie zapłakał. I nagle wszystko ucichło. Odlecieli.

- Geniusiu, klęknij, moje dziecko - powiedziała Maryśka - trzeba podziękować Panu Bogu za szczęśliwe uratowanie. Bomby spadły do Wilii. „Pod Twoją obronę - szeptała - uciekamy się...”

- Mamusiu, już nie trzeba się modlić, bo już polecili, mamusiu, słyszysz! - szarpała ją za sukienkę Genia. I nagle Maryśka poczuła całą sobą, że to, co się tu dzieje, i ta woda, i ciche już niebo, i rzenie spętanego konia - to wielkie szczęście, musujące jak czerwone wino, i zachciało jej się krzyżeć z radości, może nawet tańczyć. Wstała, wytrzepała z piasku sukienkę, pokłoniła się rzece, nocy, wysokiemu niebu i zakręciła raz, drugi w kółeczko, taka lekka, taka ważna, taka najmądrzejsza.

- Mamusiu, nie tańcz - prosiła Genia - nie tańcz.

- Marysiu, co robisz? - zakrzyczał Kazik.

- To, co chcę! - odkrzyknęła wirująca na wysokim brzegu.

- Jakaś kobieta zwariowała ze strachu - szeptali ludzie.

- Nie ze strachu, tylko z radości - odkrzyknęła głośno.

Wrócili do Wilna po dwóch dniach tułaczki, a tam już wkraczali Niemcy. Wszyscy spieszyli na ulicę Mickiewicza, żeby ich obejrzeć. - Ach, to zupełnie inne wojsko! Cywilizowane! - szeptały panie. Czołgi sunęły z łoskotem po ulicy, na nich nieruchomo, jakby wycięci z tektury stali żołnierze. Ktoś zamachał rękoma, ktoś rzucił kwiaty, ktoś krzyknął: Niech żyją! - Jaki porządek, jakie zdyscyplinowanie! - podziwiali ludzie. - Samo żelazo i stal. Zaprowadzą tu ład - mówili.

Teraz koszary na Artyleryjskiej tupały w takt: „Haj-li, haj-la, haj-li, haj-la, haj-li haj-la-haj-la!...” Już od świtu cały plac rozbrzmiewał ostrymi komendami. Nie było żadnych żon ani rodzin. Żydzi ostrożnie otwierali sklepiki. Niemieccy żołnierze przyglądali się wszystkim chłodno, obojętnie. - Z tamtymi to choć człowiek mógł się dogadać - mówiła Maryśka - a ci chodzą sztywno, jakby kij połknęli, patrzą na wszystko z góry, nie wiadomo, co myślą.

- Pożyjemy, zobaczymy, ale już nikt pani nie wywiezie - szeptały panie.

Polacy mogli na razie spać spokojnie. Teraz przyszła kolej na Żydów. Sklepiki zamykały się z traskiem okiennic, a całe miasto czytało nowe zarządzenia. Któregoś dnia pojawili się na ulicy ludzie z żółtymi gwiazdami na ubraniach. I wiadomo już było, kto jest Żydem, a kto nie. Maryśka odszukała tego, który upewnił Lulewiczów, że ich nie wywożą.

- Boże, to pan nie uciekł razem z Sowietami? - zdziwiła się zastając go z całą rodziną w mieszkaniu. - Panie Szymonie, proszę stąd uciekać, proszę przyjść do nas, do naszego domu, wyrzucić tą gwiazdę, ja pana uratuję - zdecydowała.

- Ach, nie, nie - zamachał rękoma - nic nam się nie stanie. Niemcy to cywilizowani ludzie, a te gwiazdy to tylko tak dla porządku. U nich ordnung przede wszystkim.

- Czy ty rozum straciłaś?! - krzyczał w domu Kazik. - Czy wiesz, że za to grozi kara śmierci? Ja i ty możemy się narażać, głupstwo, ale dziecko! Co za wyrodna matka! Po moim trupie! Wybij to sobie z głowy!

- I tak zrobię po swojemu - odpowiedziała Maryśka.

- To ja zabiorę moje dziecko i wyjadę z domu! - krzyknął.

Niemcy oddali Wilno Litwinom. Zaroiło się na ulicach od litewskiej policji i zaraz wymyślono na nich nazwę „kałakutasy”, z powodu wysokich czapek z czerwonym otokiem. Maryśka za namową znajomych pań kupiła kozę. Trzymano ją w komórce. Miała ona bardzo mało jeść i zapewnić Geni zawsze świeże i zdrowe mleko.

Ale koza nie zawsze chciała mleko dawać i łypiąc chytrym okiem cały czas kombinowała, jak by tu wrócić do dawnych właścicieli. Wybrała sobie odpowiednią chwilę i udając, że pasie się spokojnie, przywiązana na pustym placu za domem, wyrwała wbity w ziemię kołek i uciekła. Tylko Maryśka przeczuła, gdzie koza może być. Pobiegła tą drogą, którą koza tu przybyła - ulicą Derewnicką i Kalwaryjską. Dalej był Zielony Most. Przed mostem stał nieruchomo „kałakutas”.

- Przepraszam pana - zaczęła go grzecznie Maryśka - czy nie widział pan tu przechodzącej kozy?

Rosły litewski policj ant wytrzeszczył na nią oczy - Nesuprantu - odął się.

- Koza, taka biała, z brodą, ciągnęła za sobą sznurek. Czy nie

szła przez most? Kupiłam dziecku, żeby miało zawsze świeże mleko. Kozie mleko jest bardzo zdrowe.

Żandarma zatkało ze złości, myślał, że to kpiny, ale Maryśka patrzyła mu ufnie w oczy i tak prawdziwie była zatroskana.

- Niewia - przeciągnął - nie było żadnej kozy. - Odwrócił się od niej plecami.

Maryśka podziękowała uprzejmie i dławiąc się ze śmiechu poszła Zielonym Mostem. Kozą pasła się spokojnie na swoim dawnym podwórku. Maryśka ciągnąc ją na sznurku przemaszerowała przez most. „Kałakutas” sterczał tam nieruchomo.

- O, widzi pan, to ta koza. Bardzo chytra. Nazywamy ją Mecką. Kozą, a wszystko rozumie - tłumaczyła żandarmowi. Ten szczerwieniał ze złości i chwycił za kaburę pistolem.

- Co pan, do kozy będzie strzelał? - zamachała mu wesoło ręką na pożegnanie Maryśki.

Koza miała jeszcze parę ucieczek, ale w końcu dała za wygraną. Czasem tylko protestowała zatrzymując mleko i wtedy Genia oddychała z ulgą, bo nie musiała go pić.

Ulicami przeciągały teraz tłumy Żydów. Pilnowali ich litewscy szaulisi, niedbale ciągnąc za sobą karabiny. Mało było tych żandarmów, a kobiety, mężczyźni i dzieci szli karnie w szeregach, sami pilnując porządku. Maryśka wypatrywała w tym tłumie znajomych twarzy, dopadła do jakiejś sklepikarki.

- Gdzie was prowadzą? - krzyknęła.

Sklepiarka rozłożyła bezradnie ręce, coś chciała powiedzieć, ale doskoczył do niej leniwy do tej pory żandarm, zdzielił kolbą przez plecy. Maryśka zapamiętała oczy tej kobiety, białe i puste.

Zaczęto mówić o Ponarach, pięknym podmiejskim lesie. Tam ich podobno pędzono i zabijano, ale nikt nie chciał w to wierzyć, nikt nie chciał zrozumieć, że to aż tak.

- To niemożliwe - mówili ludzie - niemożliwe, żeby tak dali się prowadzić kilku żandarmom jak stado baranów. Może ich zabierają w jakieś jedno miejsce? Może gdzie wywiozą czy jak?

- Zabijają, pani, wszystkich zabijają - przekonywała jakaś mieszkająca niedaleko Ponar kobiecina - kopią wielkie jamy i do tych jamów wrzucają. Tam też podobnie można kupić od szaulisów, co chcesz, za bezcen, za samogonkę.

Kazik zaczął pracować w tartaku, żeby zarobić na życie. Wraczał

wieczorem ledwo żywy ze zmęczenia, ale przestał mierzyć puls, słuchać bicia serca, zapomniał o chorobie.

- Widzisz, nie miał racji Odyniec. Tak ciebie nastraszył, a ty, proszę, nawet możesz piłować drzewo - cieszyła się Maryśka.

Wychodziła teraz gdzieś wieczorami, znikwała na całe dni. Wracała ożywiona, pełna energii. Czymś tam handlowała, odwiedzała znajomych, kręciła się po mieście jak fryga. Kiedyś wracając natknęła się na litewski patrol. Kazali jej iść ze sobą na posterunek, tam wepchnęli do jakiegoś pustego pomieszczenia.

- Rozbieraj sia! - zarządził jeden z litewskich policjantów.

- Co? - nie zrozumiała. - Co mam robić?

- Rozbieraj sia! Prendko, prendko! - ponaglał szturchając ją gumową pałką.

Maryśka rozpięła guziki bluzki. Kazali jej zdjąć wszystko aż do majtek. Macali pończochy, pasek do pończoch, stanik, sprawdzali każdy szew, każde załamanie.

- Czego szukacie? Co ja wam zrobiłam? - pytała zasłaniając się bluzką.

- Spisek do pończochy pałazyła - powiedział policjant. - A co tam w majtkach masz? - spytał.

- Co mam, to mam, moja sprawa! - krzyknęła Maryśka i pod ich czujnym okiem drżąc ze wstydu i upokorzenia zaczęła się pospiesznie ubierać. Pozwolili jej odejść. Było to akurat niedaleko domu stryjenki z Portowej. Wpadła tam jak bomba, płacząc ze złości. Drzwi otworzyła jej sama stryjenka. Zza jej pleców wyglądał stryj i służąca Wacia.

- A tobie co się znowu stało? - huknęła na nią stryjenka.

- Jezus Maria - jęknęła służąca - może dać wody?

- Nic nie dać! - krzyknęła Maryśka. - Przyszłam tylko zapytać, czy stryjenka jest Litwinka?!

- A pewnie, że tak - z dumą powiedziała stryjenka, która od wejścia Litwinów podkreślała swoje z nimi powinowactwo.

- To niech stryjenkę diabli wezmą! - krzyknęła Maryśka.

Stryjenka zdębiała a stryj wycofał się przezornie do pokoju.

- Wacia! Wyrzuć tego durnia z mojego domu - rozkazała stryjenka służącej.

- Sama pójde! Noga moja tu więcej niepostanie! Wie stryjenka,

co oni mi zrobili, wie?! Kazali mi się rozebrać na posterunku do naga! Szukali spisku w pończosze!

- No i dobrze, latała, latała, aż się dolatała! - warknęła stryjenka, a jej trzeci podbródek, opierający się o koronkowy zabocik, zatrzęsł się z irytacji.

- A pani, jak tak można - jęknęła służąca. - Nich pani sędzina wejdzie, odpocznie.

- Jaka pani?! Jaka pani?! Toż Wacia₁₄na ty" miała za Sowietów do swojej pani mówić?! Toż to nie żadna pani, to kuzynka! - drwiła Maryśka.

- Won z mojego domu, bolszewiczkajedna! - pisnęła cienko stryjenka i trzęsąc całą głową zatrzęsnęła Maryśce przed nosem drzwi.

Stryj pobiegł do okna i zamachał rękoma za wychodzącą Maryśką.

Odmachała mu wesoło, bo przeszła jej już cała złość i śmiać się jej chciało z tej niedorzecznej sceny.

Po jakimś czasie stało się jasne, że w Wilnie trudno będzie przeżyć. Praca Kazika w tartaku dobiegała końca, bo nie mógł dorównać młodym i silniejszym. Niewiele też było już do sprzedania. Maryśka pozbyła się bez żalu ślubnych obrączek. Sprzedała je za kawałek słoniny i worek kaszy.

- Ach, to straszne - współczuły jej znajome panie - obrączki to coś świętego, my to chowamy na czarną godzinę - wzdychały.

- Ot, wielka bieda. Zasadniczo to ja nie lubię złota, wcale nie żałuję - mówiła beztrzesko Maryśka. - Co mi tam po obrączkach. Proszę tylko nic na razie nie mówić mojemu Kaziczkowi.

A Kazik desperował: - Dziecko małe, Maryśka lekkomyślna, ja stary i chory, to z czego my będziemy żyli? Z czego?

Na taki właśnie nastrój przyjechała nieoczekiwanie z Juryszek Janeczka.

- Janeczko, musicie nas ratować - zdecydowała Maryśka. - Czy wiesz, że ja już wszystko posprzedawałam na życie?

- To do ciebie podobne - bąknęła Janeczka. - Jak my wam pomożemy, kiedy tak trudno teraz dojechać do Wilna, przecież to całe sześćdziesiąt kilometrów?

- A jak tam jest? Jak z jedzeniem? - dopytywał się Kazik.

- Na razie niczego nie brakuje, ale nie wiadomo, co będzie dalej - zastrzegła się Janeczka. - Niemcy wzięli Juryszki pod swoją administrację, ale ten administrator to porządny Austriak, też nie lubi Niemców, popijają z Bronisem samogonkę, a Wandzia, wiesz, jak to Wandzia, ciągle lata po znachorach, żeby mieć dzieci. W Zalesiu Bogdan ma już drugie dziecko, syna, ale tam siedzi mu na karku teściowa. Nazywają ją „Pusia”, cała ruda i piegowata jak indycze jajo, taka sama jak Nusia, Bogdana żona. I ona, i jej matka nic nie robią, biedny Bogdan dwoi się i troi, atu dom pełen darmozjadów, bo jest jeszcze taki brat Niusi, student, Bolek. Przyjechał z Warszawy na wakacje i został, jak wybuchła wojna.

- Student? A jaki on jest?

- Typowy Galileusz - powiedziała Janeczka - chudy i rudy. Wszyscy się z niego podśmiewają. Też nic nie robi, tylko na wszystko nosem kręci, mówi, że chamstwo ich zalewa, a to chamstwo to my, cała nasza rodzina.

- A nie zrobił on czasem na tobie jakiegoś wrażenia? - dopytywała się Maryśka.

- No wiesz! - obruszyła się Janeczka. - On nawet nie umie strzelać. Na niczym się nie zna.

- Ale ty pietruszkujesz, a on młody.

- Nawet żebym była sama na świecie, tobym go nie chciała. Za kogo ty mnie masz?! Rudy i Galileusz! Ty już jakoś powiesz, to nie wiadomo, śmiać się czy płakać!

- Zabiorę tylko kożę i trochę rzeczy - zdecydowała Maryśka.

- Gdzie zabierzesz? - zdziwiła się Janeczka.

- Do Juryszek. Kaziczku, pakujemy się! Przecież nie dacie nam tu umrzeć z głodu. Jaka by ta rodzina była, to zawsze rodzina - u was jakoś przeżyjemy. Zawsze jest świeże mleko i chleb, gorzki, bo łaskawy, ale chleb. Widzisz, jaka nasza Geniusia blada, widzisz?

I choć Janeczka odradzała, jak mogła, Maryśka już ganiała po mieszkaniu z walizką z nieprawdziwej krokodylej skóry.

- To my stąd wyjeżdżamy na zawsze? - pytała Genia.

- Jak tylko wojna się skończy, wrócimy - zapewniała Maryśka.

- Nie zwracaj mi teraz głowy! Nie widzisz, że się pakuję?!

I pojechali. Z kożą, z walizkami i nadętą Janeczką. Pociąg

dojechał do Oran, stamtąd wynajęli furmankę. Wjechali do Juryszek od strony Krzywil. Chwycił już pierwszy przymrozek i dymy stały na sztorc nad słomianymi dachami, zapowiadając większe mrozy. Droga od Krzywil pełna była głębokich kolein, na dnie których szklił się lód. Z chat wychodzili ludzie, kłaniali się rozpoznając dawną panienkę Marysi.

- Ach jej - mówili - patrzajcie! Juryska panienka przyjechała! Musi już ze wszystkim przyjechali, bo i z panem sędziem, i z dzieciukiem?

- Jak tylko wojna się skończy, to wrócimy do swojego domu!
- machała im ręką Maryśka.

Koza łypała na wszystko ciekawym, chytrym okiem.

- A to co za czort brodaty na wozie? - śmiali się ludzie.

- To nasza koza - wyjaśniała Maryśka - wybitnie mądra.

- Ale jakaści przeciwna - kręcili głowami. - A pan sędzia to musi mocno przeżywa - szeptały baby. - Pan całą gębą, nawet nie zagada ani nic.

- Cipun wam najęzyk! - zgromił ich jeden z chłopów. - Jak ma nie przeżywać, kiedy sąd rzucił i pomiędzy prostymi ludźmi przyszło mu żyć.

- Broniś to będzie zaskoczony, jak was zobaczy - uprzedzała Janeczka.

- Ja myślę - westchnęła Maryśka. - Tyle darmozjadów wiesz. Ale nie bój się, ja stanę do pracy, a i Kazik, co będzie mógł, to pomoże, koza da mleka i jakoś tam przebidujemy, prawda, Kaziczku?

Spojrzał na nią osowiały, poczerniały jakiś na twarzy. Boże, pomyślała ze strachem, jaki on już stary. Jak my tu sobie damy radę?

I już były czworaki, parobkowskie chaty pod nisko nawistłymi strzechami, żuraw nad studnią, głębokie koryto. Piły z niego krowy. Jedna uniosła łeb, zamuczała żałośnie. Zajechali przed juryski ganek. Z domu wyszedł Broniś, przyglądał się niedowierzająco.

- To my! To my! - zamachała radośnie ręką Maryśka, zeska-
kując z furmanki. - Przyjmiesz nas, Bronisiu?

- Patrzajcie, to Maryśka. Wróciła do Juryszek.

- Ale nie sama, nie sama, z Kazikiem i Genią. Przyjmiesz nas?

- Nie miałam was jak zawiadomić, że rodzinka zjeżdża, wiesz, że Maryśka zawsze w gorącej wodzie kąpana. Szast-prast i już postanowiła - tłumaczyła kwaśno Janeczka.

- No i dobrze - powiedział Broniś - niech zsiadają z wozu, a ten łebaty czort zaraz pod nóż pójdzie. Widziałas, jaka u niego biała broda, jak u Żyda! - zaśmiał się i pociągnął kozę za ucho, aż tupnęła nogą i uskokczyła w bok.

- My ją nazywamy Mećką - powiedziała Genia.

- Nie masz nawet pojęcia, co to za mądre stworzenie - zapewniała Maryśka zdejmując walizki - sama potrafiła wrócić przez Zielony Most.

- A Kazimierz to niezdrowy czy jak? - spytał cicho Broniś. - Co tak milczy?

- Nie, nie, on taki przez tą wojnę.

- Komu wojna, a komu krowa dojna - zarechotał Broniś. - Znaczy, że darmozjady zjechali na nasz chleb - skwitował żartobliwie. - No, zachodźcie do domu.

A tam już w progu stała Wandzia, w długim fartuchu zrobionym z szarego worka. Żuła coś pospiesznie. Na ich widok klasnęła w ręce. - A mówiłam, że będą goście, bo sraka siedziała na płocie - zasepleniła. Wszyscy mimo woli wybuchnęli śmiechem, tylko Broniś nasrożył się i szcerwieniał cały.

- Jaka sraka, jaka sraka?! Niedorozwój jeden! Gada, jakby kluski w gębie miała! Nie umiesz powiedzieć: „sroka”?! No co, zamurowało ciebie czy jak?! - huknął.

- To nic, to nic, Wandziu - ucałowała ją Maryśka - nie zwracaj uwagi na to, co on tam gada, to nic, pogada i przestanie, to dobry człowiek.

- Niechaj sobie gada, niechaj. Najgorsze, co dzieciuków więcej nie mamy, tylko samiuteńki Janeczek. Powiem ci, Marysiu, że Broniś nigdy mnie nie przytuli, nie popieści ani nic - pożaliła się.

ROZDZIAŁ XXII

I tak zaczęło się to ich życie na łaskawym chlebie. Maryśka stanęła do sprzątanania i gotowania, a Kazimierz starał się jak najmniej nawijać przed oczy domownikom. Zresztą niewiele mu było potrzeba. Całymi wieczorami czytał przy karbidówce, która paliła się parszkając jasnym, wysokim płomieniem.

Przyjechała ich obejrzyć Józia, zasuszona przedwcześnie, płaska jak deska.

- Wzięłabym was trochę do siebie, ale Feliks nigdy by na to nie pozwolił, Geniusia taka rozpuszczona - mówiła.

- Jak to dziecko - broniła córki Maryśka. - A u ciebie i tak by nikt nie wytrzymał - stwierdziła. - Nam tu dobrze u Bronisia.

- Coś podobnego! - parsknęła Józia - kiedyś tu na wszystko kręciłaś nosem, wszystko *tu* tobie śmierdziało. A teraz, jak bieda przycisnęła to i Juryszki pachną - dopiekła.

- Broniś ma złote serce. Przygarnął nas. Nigdy mu tego nie zapomnę.

- No wiesz, tak go dobrze ożeniłaś, że to on tobie będzie wdzięczny do końca życia - zadrwiła Józia.

Zabulgotało, zasyczało między siostrami. Nawet nie zauważyły, że Broniś też jest w pokoju. Kazik uciekł w popłochu do kuchni, a matka uniosła się z krzesła, uchwyciła oburącz brzeg stołu dusząc się, nie mogąc złapać tchu.

- Jezus Maria! Co mamie?! - skoczyła do niej Maryśka.

- Zostawcie mnie - dyszała Maria - zostawcie!

- Odejdź od matki! - rozkazała Józia - Niech mama założy kaftanik, uszyłam dla mamy z flanelki, w tym stanie się zaziębić to koniec.

- Co mamie jest? - spytała jeszcze raz Maryśka.

- To nie wiesz, że ma dychawicę? - powiedział siedzący przy stole Broniś. - Trzeba było tyle papierosów nie kurzyć. Całymi nocami spać nie daje, duje i duje...

- Ja... jakasz-lę wpo-dusz-kę - dyszała Maria. Mały koczek na jej głowie trząsł się rozpaczliwie. - Geniuleńka - poprosiła wnuczki - pomóż zająć do łóżka...

Dziewczynka podeszła przestraszona, niepewna, bo to była

przecież ta sama babcia, która moczyła kiedyś dla niej różgi, obiecując porządne rżnięcie skóry. Ale teraz ręka Marii poszukała jej ręki. Czepiając się po drodze sprzętów, stara kobieta ruszyła do sypialni.

- Podszysy i przestanie - skwitował spokojnie Broniś. - Mało to już razy tak było? - dodał i wyszedł z pokoju.

- Widzisz! Znów gdzieś polazł - wyrzekała Józia - dookoła wszystko się wali, cała gospodarka leży w gruzach, a ten czapkę na uszy i do Kaśki idzie. Czy ty myślisz, że tu ktoś pamięta o naszej mamie? Tylko ja! Co mogę, to jej uszyję.

- Józiu, ty jednak jesteś poczciwa - rozczuliła się Maryśka - a ja zawsze myślałam, że ty nie masz serca dla nikogo. Sama masz takie ciężkie życie z tym twoim Górnym.

- Z Górnym? - zachnęła się Józia - z Górnym?! Jemu tu nikt nawet do pięt nie dorasta! Wiedz o tym.

- A straszny pies? A dziki koń? Przecież on ciebie podobno psem szczuje? Jak możesz go bronić? - oburzyła się siostra.

- To wszystko plotki i tyle - zasznurowała usta Józia - nikomu tego nie powtarzaj - dodała surowo.

Jak zwykle, tak i tego dnia Genia zastała ojca w pokoju nad książką. Kazimierz siedział blady, wymizerowany, w okularach w drucianej oprawce, z rękoma zanurzonymi we włosach. Spojrzał na wchodzącą córkę nieprzytomnie. Zamknął książkę.

- Nie mogę czytać - poskarżył się. - Maryśki nie ma. Gdzie ona tak ciągle lata?! Jak tak można?! Nie wiadomo, gdzie jej szukać. Dziecko zaniedbane, niedożywione, a ona lata jak kot z pęcherzem. Nie wiesz, gdzie matka? - spytał wichrząc gwałtownie włosy.

- Matka? To jest moja mamusia - powiedziała hardo dziewczynka. - A dlaczego tatuś tak ciągle drapie głowę?

- Co? - zdziwił się nieprzytomnie. - Aa, to ona ci to powiedziała, tak?

- Nikt mnie nie powiedział. To każdy widzi, a potem śmieją się z nas za tatusia plecami.

Kiedy Maryśka wróciła, wybuchła z tego powodu wielka awantura.

- Widzisz, jak nastawili dziecko przeciwko mnie?! Widzisz?!

- krzyczał Kazimierz. - Bo to ty masz mnie za nic! To tylko twoja wina! Tylko twoja! Ty jej na wszystko pozwalasz!

- Ja? Bój się Boga! - przeżegnała się Maryśka.

Zatargał czuprynę, okulary spadły mu z nosa, szukał ich macając po podłodze rękoma.

- Masz! Tu są - podała mu. - Przecież to prawda, że drapiesz się całymi dniami w głowę, że chodzisz zamyśTony, nieprzytomny albo siedzisz z nosem w książkach.

- A ty! Tylko patrzysz, jak by tu uciec z domu! I gdzie tak latasz?! Powinnaś tu być i bronić mnie przed tą dżiczą!

- Dżicz?! Moja rodzina to dżicz?! Bądź co bądź przyjęli nas, przygarnęli. A wiesz, że ja przed nimi bronię ciebie jak lwica? I powiem ci, że żeby nie oni, to ta twoja przenajświętsza Geniusia umarłaby w Wilnie z głodu i ty też, i ja! Bo z czego byśmy żyli?! Z czego?!

Kazik chwycił się za głowę, a ona nagle ochłonęła z gniewu. Widziała przed sobą nieporadnego starego człowieka, który trzęsącymi się rękoma usiłował założyć za uszy druciane hołobelki okularów.

- Kaziczku - podskoczyła do niego przejęta - Kaziczku, nie kłóćmy się! Dookoła straszna wojna, ludzie giną jak muchy, pogódźmy się, mój ty biedny, mój ty jedyny - przygarnęła do piersi tę jego skołatana, biedną głowę - drap się, drap, ile chcesz - mówiła. - Daj, pocałuję cię w czoło, takie mądre.

Ale osad po tej kłótni pozostał, choć zapowiedziała Geni, że ma ponad wszystko szanować i kochać ojca, bo on na to jak najbardziej zasługuje.

- Mamo, co mama na to? - żaliła się potem do Marii. - U Kazika zawsze wszystkiemu ja jestem winna. A czy to moja wina, że jest wojna? No, niech mama sama powie.

- Nie trzeba było wychodzić za Kazimierza. On dla ciebie za stary i za spokojny, ale widziały gały, co brały - powiedziała Maria.

- Chciałam stąd wyjechać jak najszybciej. Mnie *tu* nikt nie kochał, mama sama wie.

Maria zakaszła się, chwyciła rękoma za brzeg stołu, trwała tak pochylona nad nim, dysząca.

- Nie, nie pomagaj! - Łapała oddech otwartymi ustami. -

Nie pomagaj! Ja... sama... Ty masz dla niego za duży temperament, ot co - powiedziała.

- Co mama opowiada?! - obruszyła się Maryśka. - Za duży temperament! Nasz ojciec to latał jak pies za babami. Takiego męża mieć to krzyż pański!

Maria oderwała dłoń od stołu, zręcznie, z dawną wprawą, chwyciła lecącą muchę, zadusiła w dłoni, rzuciła pod piec.

- Zamilcz - nakazała. - Nic o tym nie wiesz!

- Aa, tak, w naszej rodzinie zawsze wszystko wkładało się pod teczkę - drwiła Maryśka.

- Zamilcz! To ja go chciałam, a nie on mnie! - Ręka matki cychała znów na bzyzczącą muchę. - I to była cała moja radość, cała radość mojego życia - dodała.

- Co? - nie zrozumiała Maryśka - to, że on latał za spódniczkami?

Maria z rozmachem rzuciła muchę w kąt.

- To, że ja mu dawałam z siebie wszystko, aż do samej śmierci - powiedziała twardo.

- I po co to było? Na co? Narobili tyle dzieci! Czy to warte było takiego poświęcenia?

- To tylko z nas i po nas zostaje - powiedziała Maria. - Zawołaj Geniusię - zmieniła temat - niech mnie pszennej zacierczki ugotuje, takiej nie za gęstej, nie za rzadkiej, w sam raz, żeby każda kluseczka była osobno. Słyszysz?! - zadysponowała tonem dawnej pani na Juryszkach, której bały się zawsze wszystkie słuchające.

Tej zimy 1942 roku zaczęły dziać się w Juryszkach dziwne rzeczy. Rozprzęgli się parobcy, z trudem można ich było wypędzić nawet do codziennej młócki. Winiono za to głównie Wandzię, że podrywa autorytet dziedziczki, ganiając do czworaków po porady dotyczące sposobów postępowania z mężem. Ten zresztą więcej teraz przesiadywał w domu, ale bynajmniej nie z powodów, o które chodziło żonie. Zawdzięczał to siostrze Janeczce, która namówiła go do pędzenia samogonki. Ta była tu bardzo potrzebna. Nocami łomotały w okna „bandy”, a to litewskie, a to ruskie, a w końcu sam czort wie jakie. Jedni szukali Żydów, inni słoniny i jajek, a wszyscy machali przed nosem obrzynkami czy inną byle jaką bronią, która jednak potrafiła zabijać. W Juryszkach wiedziano już, że najlepiej było takich spoić. Wtedy zapominali o bożym świecie. Spici walili się na słomę, a w całym domu smród szedł od nich jak z wilczej jamy. Nie wystarczyło zresztą tylko spoić, trzeba było rozwinąć cały kunszt przebiegłej chytrności. Do tego właśnie świetnie nadawała się Janeczka. Ta znała się na zabijaniu i nie bała się niczego. Tak więc te wielkie kadzie przykryte workami, pełne kwaśnego zaczynu, to był teraz jedyny ratunek. Coś tam w nich bulgotało, coś ciurkało - najpierw wypływał zatykający dech ciepły spirytus, a potem coraz to słabsza i słabsza samogonka.

- Geniuleńka! - piszczała teraz z sypialni przez nikogo już nie słuchana babcia. - Geniuleńka! Gdzie moja zaciereczka?!

- Zaraz, babciu! Zaraz! - wołała dziewczynka.

- Niech mama głowy byle czym nie zawraca! Nie widzi, że Geniusia siedzi przy becze? - odkrzykiwał Broniś.

- Przyjakiej becze? - zaglądała do spiżarni babcia w czarnej welwetowej sukience. - A cóż ona tu robi? - dyszała.

- Pilnuje, kiedy spirt przestanie lecieć. Ciekawość, ile on gradusów ma - zastanawiał się Broniś, mlaskając ze smakiem.

- Broniś! Broniś! - sepleniła Wandzia. - Może tobie świeżeninki z cebulką spiec na patelni?

- Wiadomo, że na patelni - rechotał podochocony samogonka Broniś - na tyłku nie spieczesz, bo zimny jak lód.

Wandzia żegnała się i uciekała do czworaków.

- Janeczka tak naumyślnie robi, mnie na złość - wyrzekła. - Jej chodzi o to, żeby Broniś o mnie zapomniał. Kiedyśi przytulał się do mnie, a teraz z samego ranią pijaniutki.

A Broniś nie mógł nachwalić się Geniusi, że taką ma z niej pomoc przy pędzeniu bimbru.

- Kazimierz! - wpadał do pokoju rozochocony - maladziec z tej waszej Geniusi! Jak można, to mnie pomaga, nie to, co niektóre, co po całych dniach bzdą tylko i jedzą. A Genusia, o, dziecko jeszcze gorzkie, a do wszystkiego dochodna. Ze taką udało się Kazimierzowi zmajstrować, no, no! - cmokał z podziwem.

Genusia pęczniała z dumy, a Kazimierz zrywał się od książek i biegł szukać żony.

- Maryśka! - wołał. - Gdzie ona znów przepadła?! Jezus Maria! Dziecko nam w tej diczcy zmarnują! Maryśkaaaa! Czy ty wiesz, co nasza Genusia tam robi w spiżarni?! Gdzie ta wyrodna matka się znowu podziała?!

Nie mógł czytać, co chwilę zrywał się gwałtownie, gadał do siebie, szukał spadających z wychudłej głowy okularów, a kiedy Maryśka w końcu wracała, gderaniu nie było końca.

- Co chcesz, Kaziczku, wiecznie nie można jej trzymać pod kloszem. Niech pozna życie.

- To jest życie?! Dziewczynka powinna się uczyć, a nie samogonki pilnować! Czy ty tego nie rozumiesz?! Taka sama jesteś jak oni wszyscy tutaj!

- To ją ucz - mówiła Maryśka na odczepne.

I tak któregoś dnia zaczęło się to uczenie Geniusi, przerabianie starych matematycznych zadań, ale nic z tego nie wychodziło, bo Genusia siedziała tępo nad zeszytem, myśląc tylko, gdzie by tu uciec od nudnego ojca.

- Widzisz, widzisz, dziecko mnie nie słucha! Nie mam u niej żadnego autorytetu. To wszystko twoja wina! - krzyczał Kazimierz.

- At! - machała lekceważąco ręką Maryśka - czy ja tobie kiedyś w czymś dogodziłam? No, powiedz sam. Tobie, Kaziczku, i sam diabeł nie dogodzi.

- To dlatego, że taki tu jestem nieszczęśliwy - skarżył się. - Kiedy to się wszystko skończy?

- Nie wiem - wdychała udobruchana - wiem tylko, że nie

mogę tak siedzieć z założonymi rękoma. Mnie ten łaskawy chleb kością w gardle staje.

Ale to nie było tak, jak mówiła. Coś się z nią działo. Była w niej jakaś dziwna skłonność do śmiechu albo chwile bolesnego szczęścia, które kończyły się łzami.

Któregoś dnia wybrała się jak zwykle, z torbą wypchaną drobnym handelkiem, do Soboluńc, szlacheckiego zaścianka. Niosła tam, pomiędzy kamieniami do zapalniczek, sacharyną i nićmi, lizeskę z różowej włóczki wykończoną atłasową wstążką. Sprzedająca jej to cudo podejrzana baba kręcąca się przy szaulisach. Lizeska została zrobiona przez kogoś z puszystej, różowej jak obłok włóczki zapewne na krótką chwilę przed wojną i nikt jej nie zdążył ponosić.

Ile będzie za nią mąki? - myślała idąc Maryśka - a może nawet dadzą poćć słoniny? Ta Kamińska, szlachcianka z Soboluńc, czegoś takiego w życiu pewnie nie widziała, takiego puchu, takiego jaśniepańskiego koloru. Czy to ta droga przez las, czy trzeba skręcić na lewo, pomiędzy podmokłymi łąkami ściętymi teraz lodem? Spod niego - czy to możliwe? - od spodu przebija się zielona trawa. Kamińska mówiła, że chce dla córki Walerii coś ładnego, ale ta lizeska jest piękna, a Waleria ma na twarzy pełno ciemnych plam. Kamińska tłumaczyła wszystkim, że to z tego powodu Waleria nie wyszła za męż. Do niej ta lizeska pasuje jak kwiatek do kożucha.

Ale to wszystko to było takie myślenie po wierzchu, a gdzieś w głębi, jak trawa pod lodem, rozsadzała Maryskę radość z byle czego. W końcu jest jeszcze młoda i tyle przed nią. Niedługo będzie wiosna, zakupi w Wilnie więcej towaru i będzie mogła z tą torbą wędrować znanymi sobie dobrze ścieżkami po wszystkich okolicznych zaściankach i wioskach.

Soboluńce, kilka blisko siebie położonych zagród, dymiły sterczącymi w niebo kominami. Psy wyskoczyły z ujadaniem. Maryśka zawsze się ich bała, przeżegnała się więc i odmówiła chroniącą przed nimi modlitwę, której nauczyła ją kiedyś stara juryska służąca: „Szedł Pan Jezus przez trzy wsi, nie kasałi jego psi - daj Boże i mnie nie kasają.” Powtórzyła parę razy. Pomogło. Jeden z najbardziej zajadłych kundli zaczął obwąchiwać żerdkę w

plocie, a potem podniósł nogę, znacząc śnieg na żółto. Już też na ganku stała Kamińska i robiąc daszek nad czołem, choć nie było słońca, patrzyła, kto tam do niej idzie.

- A pójdziesz ty do budy!!! - wrzasnęła. - To musi juryska panienka? - Wiciuk! - krzyknęła w głąb domu. - Idzi skarej! Panienska z Juryszków do nas przyszła!

Wiciuk? - pomyślała Maryśka - a któż to taki?

- Zachodzić! Zachodzić! - robiła zapraszający gest Kamińska. - Waciuk - rozkazała - weź torba od panienki! Żeb znów sobaki jej nie obskoczyli!

Ale sobaki zajmowały się już czymś innych. Wiciuk, młody, rosły mężczyzna, szastnął przed Maryską nogą.

- Panienska z Juryszek? - zdziwił się. - Patrzajcie, państwo, a skąd to do naszych biednych progów?

- Toż mówiłaja tobie, że panienska Marysia chodzi po wsiach, kamyczkami i sacharyną handluje. Boże, co to porobiło się!

- Mama, toż nie żadna panienska, to pani Marysia, co za sędziego poszedłszy - zawołała z kuchni Waleria. - Ciekawość, czy mnie to przyobiecane przyniosła?

Wiciuk zdarł z pleców Maryśki kożuszek, posadził ją za stołem. Jaki grzeczny - pomyślała Maryśka - tylko kto to taki?

- Nu, musi nie zna do tych pór mojego Wiciuka, syneczka? - zapytała Kamińska. - Czy to czasem koni na wygonie razem nie paśli z juryskimi?

- Mama co takie głupoty gada?! Dalbóg, jak co powie, to nie ma czego słuchać - zaciągnęła Waleria. - Jakże konie mieli paść? Tożjak panienska Marysia za mąż szła, to nasz Wiciu koszula w zębach nosił.

- Dajmy na to, dajmy na to - uciął rozmowę Wiciuk. - Można powiedzieć, co my prawie w jednych latach.

Przy oglądaniu różowej lizeski spotkały się ich ręce, bo on też chciał sprawdzić, czy ta włóczka tak miękka w dotyku, jak na to wygląda. Trwało to dłuższą chwilę, tak że nawet nie zauważyli, że Waleria zabrała lizeskę do komory, żeby ją przymierzyć. Wysła też zaraz z różową łuną na twarzy.

- Mama! - krzyknęła - patrzaj! Musowo my ją weźmiem, mama!

- Aha, weźmiem - sieknęła Kamińska nakrywając stół obrusem. - Możem wziąć, tylko ciekawość, kto za nią zapłaci?

Wiciuk sięgnął za pazuchę samodziałowej marynarki i rzucił na stół zwitek banknotów.

- Starczy? - zapytał. - Niechaj szanowna pani sędzina powie, bo może przymałowato?

Kupił też wszystkie kamyczki i całą sacharynę, tak że Maryśka nie musiała już nigdzie dalej chodzić. Zaraz na stole pojawiły się talerze z wędzonką, kiszonymi ogóreczkami i butelka samogonki. Maryśka wykręcała się, że nie będzie pić, bo droga przed nią daleka, ale Wiciuk nalegał i w końcu wypili wszyscy po kieliszku, żeby lizeska dobrze się nosiła.

- Powiedz, pani - zagaiła Kamińska - co to na świecie porobiło się. Kiedyż ta wojna skończy się, aaa?

- Ja tam nie szkoduję, mama - ruszył ramionami Wiciuk. - A co to, mnie źle? Komu wojna, a komu krowa dojna - zaśmiał się i Maryśka dostrzegła dopiero teraz, że ma zwykłą, pospolitą twarz wiejskiego chłopaka, że trzyma kieliszek odginając w bok mały palec i krygując się przed każdym łykiem. Przechwycił jej spojrzenie, postanowił błysnąć żartem.

- A wie pani Marysia, jak muzyki gadają? - zapytał. - „Wódeczka ty, wódeczka, papała ty durakowi w zuby, wot tobie wieczna niewola!” - przechyld kieliszek.

- Ach! - plasnęła rękoma Kamińska - tyle tu tego chłopstwa dookoła - pożaliła się - ciemnota prosto taka, że mój Wiciuk nie ma nawet z kim zarozmawiać. A nasza Walercia także samo. Przyjdzie taki muzyk, wysmarka się w palcy, nogo jeszcze zatrze, nu i za kogo tu iść za mąż? Wiciuk także samo. Dla niego tu panienków nie ma.

- Ja nie szkoduję, mama! - prychnął Wiciuk i puścił oko do Maryśki.

Śmiać się jej w duchu chciało z tych wywodów, ale potakiwała grzecznie, rada, że tak dobrze poszedł jej handel. Co mi się stało, pomyślała, że nie razi mnie ten jego odgięty palec, to żulikowate mrużenie oczu. „Krowa dojna”, no, no, pewno handluje z Niemcami, gdzie się da. Po miasteczkach tłuką Żydów, wszelakiego dobra teraz pełno, wystarczy tylko bezczelność i spryt, żeby

zgarniać do siebie. Kamińska narzeka na biedę, ale po kątach pełno ma nowych rzeczy, a na łóżku z wysokimi pod sufitem poduszkami leży piękny, puszysty koc, taki jak miała w Wilnie Maryśka. Wstała, podziękowała za poczęstunek, Wiciuk zerwał się od stołu, żeby ją odprowadzić, ale odmówiła grzecznie i stanowczo.

- Pójdzie tu, pójdzie - zawołała ją z głębi domu Kamińska. Zaciągnęła do spiżarni, gdzie pod sufitem wisały pięta kiełbas i półcie wędzonej słoniny, odkroiła kawałek, zawinęła w czystą, lnianą szmatkę. - Ma! - powiedziała - niechaj włoży do torby.

- Ależ pan Wiciuk mnie już zapłacił - wzbraniała się Maryśka. - Już wszystko uregulowane.

- Niechaj bierze, niechaj! - wciskała jej słoninę Kamińska. - A co do Wiciuka, to ja by chciała, żeby pani Marysia jemu ta krawcowa z Ejszyszek wybiła z głowy.

Z dalszych wywodów wynikało, że Wiciuk zaplątał się w jakiś nie chciany przez matkę romans z krawcową.

- Co to mnie obchodzi?! - zachnęła się Maryśka, ale jednocześnie wciągnęła się w tę opowieść, pełną niejasności i dziwnych planów. Ona ma odmawiać krawcową Wiciukowi! Maryskę ubawiła ta myśl. Gdzie by kiedyś w Soboluńcach ośmielił się ktoś prosić o coś podobnego panienkę z Juryszek.

- I wszystko, co od Niemców wykombinuje, sady tej szmacie pod ogon - syczała czerwona z irytacji Kamińska. - Jakby tak pani Marysia słówko jemu szepnęła to może by się opamiętał, a tak wszystko na zmarnowanie pójdzie.

Wracała z tych Soboluńc lekko i radośnie. Wiciuk dogonił ją tuż przed samym lasem.

- Co pan tu robi?! - zezłościła się. - Kto panu pozwolił?!

Zabrzmiało to śmiesznie, bo to nie był spacer po ulicach Lidy czy Wilna. W lesie już ciemniało, a on wziął ją pod rękę i przyciskając się do jej ramienia zażartował głupio: - Ja kawalir, ty panienka, pójdziem z sobą za podręka.

- Niech pan mnie puści - szarpnęła się Maryśka - i niech pan wraca do domu. Nie życzę sobie żadnych odprowadzań.

Puścił jej ramię, ale nie odszedł. Szli przez chwilę sztywno, w milczeniu. Droga wyżłobiona w śniegu biegła teraz zakosami przez młodniak, gdzie jesienią najwięcej zbierało się podosowików z czerwonymi łebkami i gdzie Janeczka lubiła się zasadać na zające.

- To ja już sobie pójdę - powiedział zmieszany czemuś Wiciuk.

I dobrze, pomyślała, niech sobie idzie, nareszcie zrozumiał, gdzie jego miejsce. Ale wtedy właśnie padł strzał. Rozniosło się echem po całym lesie. Wiciuk podskoczył do Maryśki, przyciągnął ją do śniegu.

- Co pan robi?! - krzyknęła. - Jak pan śmie?!

- Niechaj położy się i nie krzyczy! - syknął jej do ucha.

- No wie pan! Coś podobnego! - gramoliła się oburzona. -

Dlaczego mam leżeć?

- Nie słyszy, że strzelają?

- To był strzał? - szepnęła zdziwiona. - A ja myślałam, że to gałąź trzasnęła.

- Cicho! - zasyczał tuż przy jej twarzy.

Miała przed sobą jego skośne, ciemne oczy Tatarczuka, czerwone, lekko spierzchnięte usta. Wstała gwałtownie, otrzepała się ze śniegu.

- Pewnie do Żydków strzelaj o - powiedział.

- Tutaj? Do **Żydków**? A skąd oni tu?

Zdjął czapkę z nausznikami, nadśłuchiwał przez chwilę.

- To nie wie, że oni siedzą w jamie w soboluńskim lesie?

- O Boże! Zimą w jamie?! Co pan Wiciu mówi?

- To, co słyszy - ruszył ramionami. - Wykurzyli ich z dubickiej puszczy, przetrzebili, to tu teraz załęgali się. Idziem! - zawyrokował. - Może to oni sami strzelali?

- A gdzie oni są?! Trzeba im donosić jedzenie, kożuchy im dać, bo zmarzną.

- Jeszcze czego! Kożuchy! Mają tam jakieś szmaty, sam widziałem. To aptekarz z Ejszyszków i jego syn, co młyn miał. Ich tam nie ma co szkodować. Daj Boże nam wszystkim tyle złota, co oni mają zakopane.

- Niech pan już sobie wraca do domu. Mamusia tam będzie się denerwować. Ja już sobie sama poradzę. Prosta droga, jak strzelił, do Juryszek - powiedziała.

Ściągnął czapkę, szurnął nogą niezgrabnie po śniegu, pocałował w rękę.

- Jakby co - powiedział - to ja by podskoczył do Juryszek. Mogliby my razem zahandlować czym niebądź - błysnął uśmiechem, nasunął mocniej czapkę na uszy.

W nocy przytuliła się do Kazika. - Odwróć się do mnie - poprosiła.

- Daj mi spokój - sapnął. - Wiesz, że nie mogę zasypiać na lewym boku, przy moim sercu.

Rzeczywiście pilnował tego bardzo i tak się oszczędzał, tak się oszczędzał, ale nie dla niej, nie, sam dla siebie, a może najbardziej dla Geniusi. On, który tak nie umiał żyć, tak jednocześnie drżał o to swoje życie.

- Kaziczku - szepnęła - a co byś zrobił, żebyś tak siebie zdradziła?

- Co? - nie dosłyszał.

- Ach, już nic, śpij na tym swoim prawym boku, śpij!

Od łóżka matki niósł się cichy szepet zdrowasiek, co jakiś czas przerywany duszącym kaszlem. Matka siedziała podparta poduszkami, bo tak mniej dusiło. Maryśka wstała, podeszła do niej. - Może mamie co podać? - spytała.

- Nic - szepnęła matka - nic mnie nie trzeba. Jakoś doczekam świtu.

- A kto jest w paradnym pokoju, bo słyhać głoso?

- To nie wiesz, że przyjechał Bolesław, brat Niuński?

- Ten rudy Galileusz? A po co on tu?

- Zmawiają się z Bronisem, żeby gdzie do partyzantów przystąpić. Okazuje się, że on wielki patriota - szeptała matka, która siedząc całymi dniami na łóżku zawsze wiedziała o wszystkim, co się dzieje w domu.

Maryśce zachciało się pić. Wstała, cisza była wszędzie, tylko myszy chrobotyły pod podłogą. Otworzyła drzwi do paradnego, żeby przejść do kuchni. Geniusia spała na małym połowym łóżeczku cała odkryta. Naciągnęła na nią kołdrę. Na kozetce spała Janeczka; widocznie, pomyślała Maryśka, Galileuszowi posłała w kuchni, ale nagle wydało jej się, że na kozetce ktoś jeszcze leży. Nie, to niemożliwe? Podeszła bliżej i w świetle księżycy dojrzała zarys dwóch postaci. Na poduszce obok głowy Janeczki jaśniały rude włosy. To Bolesław, Galileusz, uprzytomniła sobie Maryśka. Odechciało jej się pić. Ktoś zajęczał przez sen. To Geniusia. O Boże! Położyli się tak bezczelnie przy dziecku; ale Geniusia miała mocny sen. Nie obudzi się do rana, to pewne. A rano Maryśka

powie Janeczce, co o tym myśli. I to zkim! Z tym rudym studentem, z którego kpiły całe Juryszki, a najwięcej sama Janeczka. Z tych jego czerwonych pukli, z tej bladej chudości, z rozsianych wszędzie piegów, ze świńskich, jasnoniebieskich oczu za okularami. I żeby jeszcze był poczciwy, ale skąd! Wszystko tu krytykował, wszystko wyszydzał, podkreślając na każdym kroku, że on, student z Warszawy, prawie już dziennikarz, musi tu tkwić w tej dziczy. Wielu tu przyjeżdżało do Juryszek kuzynów, nawet z dalekiej Gdyni czy z Wilna, i wszystkich zawsze zachwycała kresowa gościnność, rubaszne powiedzonka Bronisia, a ten Galileusz kręcił tu na wszystko tym swoim zadartym nosem.

Maryśka wróciła cicho do Kazimierza, a rano specjalnie leżała dłużej, żeby nie spłoszyć siostry. W końcu weszła do paradnego pokoju w swoim szlafroczku, uszytym z pofarbowanego prześciera-dła.

- Kogo ja widzę? - zdziwiła się obłudnie na widok siedzącego za stołem Galileusza z Janeczką. - O, jakie przyjęcie! Jak na Wielkanoc - zaśmiała się na widok zastawionego stołu.

- Bolesław przywiózł bardzo ważne wiadomości - zmieszała się po raz pierwszy w życiu Janeczka.

- Prosimy do nas - powiedział kwaśno Bolesław. - I wyobraź sobie, Ninuś - kontynuował przerwany wejściem Maryśki monolog - że ten wieczór w kabarecie był dla mnie niezapomniany. Ogłoszono konkurs na najlepsze hasło reklamowe i ja je wymyśliłem. Od ręki napisałem na serwetce: „Chcesz odwiedzić jedną z dziur - przyjdź na rewię, na chór piór”. Bo ta kawiarnia nazywała się „Dziurka” i tańczyły tam girlaski całe w piórach. - Janeczka chłonęła te słowa nakładając mu na talerz szynkę.

Galileusz przyjeżdżał do Juryszek coraz częściej, a Janeczka coraz bardziej traciła dla niego głowę. Nawet Marię ujął pytaniami ojej samopoczucie. Nikt nią się tu nie przejmował. Wiadomo było, że Maria jest stara, że męczy ją dychawica - jakie tam mogła mieć samopoczucie. Już samo to słowo było niezrozumiałe. Galileusz wprowadził do Juryszek więcej takich słów, Janeczkę nazywał: Pumcią, Żabcią, Ninetką. Śniadaniom z szyneczką nie było końca.

Dla Galileusza był poza szyneczką bezcenny miód, który chowano zwykle w spiżarni przed Wandzią. Galileusz pojadał go

niedbale łyżeczką, aż wszyscy łykali na ten widok ślinę. Pojadając cytował Janeczke swoje złote myśli, które, jak twierdził, krążyły w odpisach po całym warszawskim uniwerku.

- Posłuchaj, Ninuś - mówił - to napisałem na pierwszym roku studiów: „Bogowie wzrosli na ciemnocie - Bóg na niedocieczonym”.

- Co on gada? - denerwował się Broniś.

- Czy to czasem nie jest coś złego o Bogu? - niepokoili się Maria. - O, miodek się znalazł - ucieszyła się - daj i mnie kapeczkę.

Janeczka kapała jej na spodeczek i wynosiła miód pod klucz, do bieliźniarki, aż Marii trzęsa się broda z oburzenia i szła dyszeć i kaszlać do swojego pokoju.

- A ta moja sentencja, Ninuś! Słyszysz mnie? - tokował Bolesław. - „Twórczość to pęd pod wiatr - kto wichru nie czuje na skroniach, niech zmieni pióro na żagiel”.

Słowa to jeszcze było nic, słowa się szybko zapominało. Gorsze były inne zmiany. Parobcy za sprawą Bolesława przestali jadać w kuchni, a zamiast wspólnej glinianej miski wprowadzono osobne talerze z dawnego serwisu Marii. Owieczki kociły się teraz w oborze, gdzie jagniątka beczały żałośnie z zimna, ale Bolesław zabronił kategorycznie brać je, jak co zimy, do sieni. To on też wydał walkę brzydkim wyrazom. - Job twoju mać - zaczynał z rozpędu Broniś. - Nie wyrażaj się! - krzyczała Janeczka, więc urywał w pół zdania i milkł osowiały. Ale jedno było pewne. Bolesław działał na wszystkie kobiety. Janeczka kręciła włosy na papierki, a Maria kazała wnuczce poprząszysywać do swoich burch welwetowych sukienek białe kołnierzyki. Tylko Wandzia po staremu wycierała nos w dwa palce, a kiedy czuła naturalną potrzebę i sądziła, że nikt jej nie widzi, rozstawiała szeroko nogi i wzorem parobkowskich bab susiała na stojąco w ogródku czy gdziekolwiek na dziedzińcu. Wybuchła o to kiedyś piekielna awantura, bo zauważył to Bolesław i pognął oburzony do Janeczki.

- Jeżeli to jeszcze raz zrobisz - syczała Janeczka - to Broniś nie będzie już nigdy z tobą spał! Bolesław mu zabroni!

- Jezus Maria! - załamała ręce Wandzia. - Jania mUeńka, rodnieńka, nie róbcie tego! Ja by dzieciuka chciała mieć jeszcze jednego albo i więcej.

- To pilnuj się i chodź do wygodki! - nakazała Janeczka bratowej.

- „Lubczyk to tylko przyprawa do potraw, a nie miłosne ziele” - czytał kolejną sentencję Bolesław, a Janeczka, ta sama, której ulubionym zajęciem było polowanie i która jednym pchnięciem noża trafiała prosto w serce parsiuka, a zedrzeć skórę z baranka było dla niej tyle co splunąć, uśmiechała się teraz i biegła do kuchni po nową potrawę, bo Bolesław musiał bezwarunkowo przytyć.

I kiedy już w Juryszkach wszystko było pozornie ugłaskane, prostactwo ukryło się po kątach, przyszła kolej na wyższy stopień edukacji.

- W Warszawie na studiach odkryłem cały świat zmysłów. Wyobraź sobie - szeptał poufnie Bolesław do Bronisia - najlepiej się czułem mając dwie kobiety jednocześnie: matkę i córkę. Znakomicie się uzupełniały.

- Jak? - nie rozumiał Broniś. - Znaczy się, że ta matka miała córkę czy jak?

- Ja je miałem - zniecierpliwiał się Bolesław. - Tylko ani słowa o tym Ninusi. A propos - kontynuował - jeżeli podejdziemy do tego w sposób odkrywczy, to odsłonią się przed nami wspaniałe horyzonty. Bronisław rozumie, co mam na myśli. Taka na przykład Kaśka, do której chadza Bronisław. Ciekaw jestem, jak ona pojmuje pewne sprawy?

- A czort ją wie - drapał się po łysinie Broniś. - Ona to przeważnie piecze najlepsze bliny, takie w sam raz podsuszone po brzegach.

- Czyżby? - błyskał zza okularów bezrzęsymi oczami Bolesław. - Uważam, że warto wprowadzić w wasze wzajemne stosunki trochę innowacji.

- A kto jego tam wie, może i warto - wrzeszczał ramionami Broniś, bo było mu wstyd, że nie rozumie, o co tamtemu chodzi.

Ale fakt faktem, że jego kolejny pobyt u Kaśki przedłużył się aż do rana, a Wandzia biegała po parobkowskich chatach jak oszalała, szukając męża.

Bolesław próbował też swoich sztuczek z Maryską. Wracali akurat furmanką z Ejszyszek. Powoziła Maryśka, zacinając konia batem, bo chciała jak najszybciej być w domu. Zbijała lejcami

muchy z końskiego zadu, a Bolesław obserwował ją z ukosa, ssąc długą słomkę.

- Wspaniale - nachylił się do niej, aż poczuła zapach jego potu, ostry, przenikliwy - wspaniale poruszają się biodra Marysi. Tak rytmicznie, tak podniecająco.

Ogarną ją śmiech z jego zapoconych okularów, z tej czerwonej czupryny, płonącej w pełnym słońcu. Świsnęła batem.

- Niech Bolesław na nic sobie nie pozwala! Bolesław jest dla mnie niczym, tylko narzeczonym Janeczki - osadziła go.

- Ach, Marysia ma niepowtarzalne te swoje dołeczki - jeszcze nie zrezygnował. - Myślę, że tu, gdzie kończą się plecy, są takie same. Rozbrajające, a jednocześnie takie agresywne.

- Bo świsnę batem! - zagroziła oburzona.

A jednak wieczorem usiłowała obejrzeć swoje plecy w kawałku wyszczerbionego lustra.

I nic by nie było z tego gadania, gdyby nie przyzwalająca na wszystko pora, gdyby nie ta wojna. Dawniej na takie tam galileuszowskie gadanie każdy by machnął ręką. Dawniej broniłoby przed tym zwykłe zsiadłe mleko z kartoflami, kazanie księdza czy wieczorne zorze, a teraz ta wojna przewróciła tu wszystko do góry nogami. Odurzający smród szedł z tego powszechnego zabijania i wszystko stawało się możliwe i prawdopodobne.

Co noc budził Juryszki łomot do okien i drzwi. Raz to byli bandyci, raz partyzanci, a jedni podobni do drugich. Walili się w rozesłaną po całym domu słomę, znacząco bawili się bronią. Siedząca w kucki na łóżku Maria mówiła litanie do Matki Boskiej, a w kuchni Broniś dolewał co raz samogonki, tak żeby zapomnieli o bożym świecie, żeby już tylko spali, nic więcej.

- Wszystkich Żydów trzeba bach, bach! - machali naganem przed nosem Bronisiowi litewscy żandarmi. - A u was ich nie ma? Gadaj pan!

Żandarmi byli znajomi z dawien dawna, sąsiedzi z litewskiej wioski.

- Co ty, Michna, rozumu nie masz czy jak? - wykrzykiwał Broniś. - Schowaj ty ta swoja pukawka! Mnie nie zleknieisz, nie ma obawy - oganiał się od nagana. - Czyja głupi, żeb tu Żydków trzymać, pod samym twoim nosem?

Przyjeżdżali też sowieccy partyzanci w białych kombinezonach, pytali o Niemców, też straszili, też pili tęgo. Samogonka łała się strumieniami, ale Broniś pił mało, pilnował się, żeby czasem czegoś za dużo nie powiedzieć. W tym lawirowaniu pożyteczny okazał się Bolesław, który doradzał Bronisiowi, co i jak komu gadać. - Sam gadaj! Wyleź z tej swojej przybudówki i gadaj! - denerwował się Broniś, bo Bolesław starał się nie nawijać na oczy zbrojnym.

- Coś ty?! Zdumiał?! - krzyczała na Bronisia Janeczka. - Bolesław nie może się pokazywać. Nikomu! On tak się różni od nas wszystkich, on taki młody, taki lekkomyślny - dodawała łagodząc - wzięliby go natychmiast. A jakby jemu coś się stało, to i ja nie mam po co żyć.

W takich chwilach Bronisia korciło, żeby powiedzieć jej o tej matce i córce, o której opowiadał, Bolesław, ale w końcu machnęła ręką, bo ona i tak by w nic takiego nie uwierzyła.

Do Juryszek przyjechał nieoczekiwanie Wiciuk. Niby to przywiózł na sprzedaż cały worek niemieckich cukierków z ciemną masą w środku, ale zamiary miał niejasne i pytał o panią Marysię. Przedstawił się wszystkim podając rękę, powiedział: - Jestem pan Wincenty Kamiński. - Wzbudziło to pogardliwy uśmieszek Bolesława, bo Kazimierz nawet nie podniósł oczu znad książki. Przyjechał dla Maryśki, to było jasne. Wyszła z nim, żeby go odprowadzić do bramki, bo psy były ostre, znarowione wojną.

- Jutro wieczorem wyjdzie za stodołę, będę czekał przy maliniaku - powiedział na odchodnym.

- Co pan Wincenty sobie wyobraża?! - oburzyła się.

Ale na drugi dzień z samej ciekawości, tak przed sobą to tłumaczyła, czekała przy maliniaku. Za stodołą marcowe słońce topiło twardą śniegową skorupę, przekrzykiwały się wróble szukając miejsca na noc, malinowe różgi nie dawały żadnej osłony, a Maryśce nie wiadomo dlaczego przypomniała się Antolka i jej pożegnanie w tym maliniaku z Kostusiem, które podpatrzyła w dzieciństwie. Ożyło to wszystko nieoczekiwanie. A on stał, nie bardzo wiedząc, co ma robić z rękoma, i coś tam gadał, że niby to przysłała go mamusia, że krawcowa z Ejszyszek pili do ślubu.

- A pan Wiciuk to nie ma własnego zdania czyżak? - spytała.

- Jak by to powiedzieć - zająknął się - mnie do niej nie za bardzo ciągnie, nie tak jak do pani Marysi.

I słowa były nie te, i maliniak wyschły od zimowych mrozów, ale zanim był czas pomyśleć, już to się stało, buchnęło warem na szyję, iskrami przeleciało przez plecy.

- Ojej - wystękał - ojej! Gdzieżby ja się czegoś takiego spodziewał?

Zwęszyły ich psy i Budrys rozszczeakał się na intruza, wtórowała mu Juna wysokim, lamentliwym głosem.

- Niech pan już idzie - oprzytomniała Maryśka - i więcej nie przychodzi.

- Na drugi raz - błysnął uśmiechem - przyniosę im kiełbasy albo kość jaką, niech ciągną.

- Nie będzie drugiego razu! - krzyknęła za odchodzącym, ale

wiatr rozwiął jej słowa, a on odkrzyknął, że niezaprawdę przyjdzie. Wychodziła do niego za każdym razem, biegła w gorączce jak młoda dziewczyna, zapomniała o łasce u rodziny, o wojnie, o gderliwym Kaziku, nawet o córce. Mimo marcowych chłodów nosiła pod kożuchem te swoje szlafroczyki uszyte z farbowanych prześcieradeł. Wszystko przez tę wojnę, myślała, i przez tego Galileusza. Te jego dziwne sentencje, te lubczyki i - jak to było? - „agresywne dołączki”. - I cóż, Marysiu - zaczepił ją kiedyś w przejściu - czyżniemamracji, że to jesteś encją życia, cała treścią? - zaśmiał się domyślnie.

- To nic nie jest - szepnęła bezradnie - leci się gdzieś, zapada, to jak śmierć.

Uniósł nos do góry, jakby węszył. Usta miał delikatne, różowe jak całą skórę. Nieprzyzwoite, pomyślała.

- Szkoda, że to nie ze mną to umieranie - zaśmiał się.

- Czy... czy Bolesław nie boi się kary? - spytała.

- Kary? - zdziwił się. - Cóż to za magiczne myślenie. „Bogowie wzrosli na ciemnocie - Bóg na niedocieczonym”. Tam, Marysiu - powiedział przyjaźnie - będziemy tylko rozłożonymi pierwiastkami, niczym więcej. Wodór, azot, nic więcej.

- Nie chcę tego nawet słuchać - obruszyła się - niech tylko Bolesław nie opowieda takich bzdur mojej Geniusi - prosiła.

Wiedziała, że źle robi, że nie powinna, ale biegła na spotkanie, a nogi niosły ją jak skrzydła. Wychodziła z Juryszek z tą swoją torbą pełną sacharyny, nici, kamieni do zapalniczek. Torba leżała przy nich na zacisznej polanie, gdzie najmocniej przygrzewało wiosenne słońce. Kiedy przychodził, dziwiła się sobie, że to na niego czekała. Oczy miał chytrawe, czujne, jego odmrożone, grubawe palce nie mogły się uporać z guzikami przy bluzce. Słuchał jej z otwartymi ustami, ale to nic nie znaczyło. Poganiała go niecierpliwie, gorąco, aż topniał pod nimi śnieg. Rozmawiać też nie było o czym. Chodził po świecie jakimiś krętymi ścieżkami, kieszenie miał zwykle wypchane pieniędzmi, handlował z szaulisami, Niemcami, gdzie się dało. Ale były też lepsze chwile, kiedy śmiał się, dokazywał, taki szczęśliwy, że przyszła na spotkanie. Wtedy opowiadał jej o swoim krótkim życiu, o czekaniu na jakąś zmianę. I na szczęście, jak mówił, przyszła ta wojna i

zaczęły się dobre interesy, liczne biesiady przy samogonce po okolicznych miasteczkach. Żeby nie wojna, kiłby przy mamuśce i siostruni. Przedrzeźniał je z aktorskim talentem, pokazywał, jak chodzą, jak mówią. Maryśka zaśmiewała się. W końcu on pierwszy przytomniał, narzucał kozuch.

Trzeba z tym skończyć, myślała któregoś wieczora wracając do Juryszek. Najwyższa pora. Zmierzczało. Gdzieś daleko rozległ się strzał. Las odpowiedział echem. Zaczęła biec. Nie, nie, to nie ma żadnego sensu, za to może być tylko kara jak za najcięższy grzech. Ale jeżeli tam jest tylko ten wodór czy azot, a to tutaj jest takie przyjemne, to co robić? Parę razy spotkać się i przestać, bezwarunkowo przestać. Na szczęście już niedaleko do domu, a tam Kazik, Geniusia. Kto to strzelał? Może ktoś do niego, bo to tak jakby od strony soboluńskiego lasu. Boże, przebac mi, myślała, już nigdy więcej, no możejeszcze ten jeden, jedyny raz. Posłyszała za sobą szorujące po lodzie sanie, jakieś głosy, trzaskanie z bicia. Zeszła z drogi. Może nie zobaczą mnie w tej szarówce, trzeba kucnąć albo położyć się przy krzaku. Ale już nie zdążyła. Dogondi ją-

- Stój! - usłyszała szcęk repetowanej broni.

- Ty! Nie widzisz, że to baba?! - krzyknął ktoś. - Zdumiał czyjak?

- Chodź tu! - machnął na nią z sań woźnica. - Kto ty taka?

- Ja z Juryszek - powiedziała podchodząc.

- A gdzie Juryszki?

- Tam w dole - machnęła ręką.

- Siadaj, pokażesz! - rozkazał któryś.

Zrobili jej miejsce pomiędzy sobą. Było ich około dziesięciu, wszyscy młodzi, z bronią.

- Czy panowie są polskimi partyzantami? - spytała nieśmiało.

Zarechotali radośnie: - Komendancie! Powiedz pani, kim jesteśmy. Nie wstydź się. Nie słyszała pani o bandzie Krysi?

- A ja z kim mam przyjemność? - powiedział z przesadną galanterią ten zwany komendantem.

- Lulewiczowa, z domu Jurewiczówna - przedstawiła się.

- O - skwitował komendant - to dobrze trafiliśmy. Mój ojciec przed wojną kupował u pana Jurewicza klacze. Znali się, można powiedzieć, jak łyse konie.

Minął strach. Jacy oni piękni, pomyślała; po tych obdartych bandach, pijanych żandarmach, obcych ruskich partyzantach ci tutaj tacy swoi i tacy grzeczni, i jacy młodzi, prawie dzieci.

- A pan, można wiedzieć, z jakich pan stron? - spytała.

- Ze wszystkich - uciał krótko. - Nas nie ma co o to pytać - złągodniał.

- Komendancie, ciekawość, czyjajego trafił, czy nie? - powiedział czerniawy, o smągłej twarzy - po mojemu trafił.

- Ty, Cygan, nie strasz kobiety - powiedział młody chłopak z jasnym czubem włosów. - Ale skikał od krzaka do krzaka jak zając.

- O Boże! - przestraszyła się. - O kim panowie mówią?

- O takiej jednej gadzinie - uciał ten czerniawy.

Przy juryskim płocie zatrzymali sanie.

- Pani wysiądzie - powiedział komendant - i pójdzie do domu jakby nigdy nic, a ty, Cygan, zajdź od tyłu, od sadku, sprawdź, jak tam, czy spokojnie.

Wbiegła do domu od kuchni. Psy pognały do płotu, zawodząc szczeniakiem, alarmująco. - Janeczka! Broniś! - krzyknęła Maryśka - jadą do nas polscy partyzanci!

A oni już zajeżdżali przed paradne wejście, trzymając broń w pogotowiu. Zeskoczyli z sanek.

- Prosimy - otwierał szeroko drzwi Broniś. - Prosimy do środka.

Zawirowało w całym domu. Kobiety pobiegły do spiżarni po wędzoną słoninę, marynowane grzybki, borówki i wszystko, co najlepsze, chowane tylko dla siebie.

- Marysia! Gdzie Marysia? - pytał bezradnie Kazimierz.

- O co ci chodzi? - rzuciła zaczepnie, biegnąc z talerzami.

- Co ty robisz?! Co ty robisz?! - zatargał czuprynę. - Ja tu wariuję ze strachu o ciebie, serce bije jak szalone. Gdzie byłaś?! To musi się skończyć! Nieodwołałnie! Gdzie byłaś?!

- Czego ten stary chce? - spytał jeden z partyzantów. - Kto to jest?

- Ja, panowie, rozmawiam z moją żoną - powiedział z godnością Kazimierz.

- Nie marudź, staruszkule! - zaśmiał się któryś. Nalał do szklanki samogonu. - Masz, napij się z nami!

- Nie, nie! - machał rękoma Kazimierz. - Ja nie piję, jestem chory na serce - tłumaczył się.

- Nie zmuszaj go, Niedźwiedź - powiedział komendant. - Zostaw.

- Geniuleńka! - wołała z sypialni babcia - podprowadź mnie, duszko, do salonu, chcę ich zobaczyć z bliska, bo podobnież ten Krysia czy jak mu tam - dyszała trzymając się poręczy łóżka - to piękny mężczyzna nad podziw. Daj rękę - prosiła.

W salonie śpiewali:

Gdy różą na koszuli, szkarłatem krew wykwitnie,
To ziemia go przytuli, bo żył i umarł szczytnie.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - zaskrzeczała w drzwiach babcia - gość w dom, Bóg w dom.

Broniś poderwał się od stołu.

- A mama tu czego? - huknął. - Iść spać! Wracać do łóżka! - zamachał rękoma.

- Zamilcz! - krzyknęła Maria, zebrawszy ostatnie siły - nie będziesz mnie tu rozkazywał! Dopóki co, ja tu rządę!

Wincenty nie przyszedł tam, gdzie zawsze. Nie było go na polance, nie było przy sośnie ani przy kruszni, tak, że Maryśka postanowiła wybrać się do Soboluńc. Wzięła tę swoją torbę z handelem i któregoś dnia zastukała do domu Kamińskiej.

- Czort wie, kogo tam niesie? - postyszała mruczenie w głębi sieni.

Na widok Maryśki Kamińska uśmiechnęła się krzywo.

- O - zastawiła sobą wejście - co za gość! Można powiedzieć, całkiem niespodziewany. A gdzież to zapisać? Chyba w kominie? - zapięła.

Maryśka coś tam bąknęła o igłach i niciach, Kamińska udawała, że ją to interesuje, ale rozmowa kulała, pełna jakiś niedomówień.

Weszły do kuchni, Kamińska nie poprosiła do pokoju. - Bo tam nieporządku takie - wyjaśniła, ale raz po raz zerkała w głąb domu, kręciła się niespokojnie na ławie. Na płycie dymiły czarne, duże sagany, pełne parujących kartofli.

- Parsiuki już tam z głodu koryta gryzą. Pani Marysia to mia-

stowa, musi nie wie, jak koło gospodarki chodzić, nie to co my, proste ludzie - fałszywie ciągnęła Kamińska wycierając nos w końce związanej pod brodą chustki. O synu nie było mowy, ale w kącie wisiął jego kozuch. On sam stanął na progu rozebrany do koszuli. Na widok Maryslci chciał cofnąć się w głąb pokoju.

- Wincenty, a ty leż, leż, nie wstawaj. On, biedny, chory - wyjaśniła Kamińska.

- Co panu jest? - spytała Maryśka.

Uśmiechnął się krzywo, chowając za plecami owiniętą w lniane szmaty rękę.

- Ach, pani, jakie ludzie zawidne. Z gówna by, z przeproszeniem, plewkę zdarli, zazdrują nam, że my, o, nie biedujem, wszystkiego u nas pełno - lamendiwie zawiodła Kamińska. - Pani nie powierzy, ale somsiady jemu drogę zastawili nazumyślnie i, patrz, pani, w rękę jego dziabnęli, zabić mogli. Powiedz, jak było, Wiciuk, toż pani Marysia swoja i dla ciebie nadtoż łaskawa O, patrzaj, aż cała, biedna, pobladła - dodała znacząco.

Odprowadził Maryskę do płotu.

- Jak to było z tą ręką? - spytała. - Co się stało?

- Nie słuchać mamuśki - powiedział. - Żadne tam somsiady, rąbał ja drzewo i siekierko ciachnął. Tu do mnie nikt nie podskoczy, bo jakby co, to kontygentjemu naznaczo taki, że się nie podniesie - pochwalił się.

Pożegnał się sztywno. I nagle, nie wiedzieć czemu, na widok tych lnianych owiniętych wokół ręki szmat zemdlilo ją ze wstrętu. Odeszła gdzieś cała bliskość. Jakie to szczęście, myślała może jestem przed tym uratowana. Ale jeżeli ktoś z góry to wszystko widzi i wszystko o nas wie, to nic nie zostanie zapomniane. Na drodze słońce topdo resztki śniegu, wrony kołowały nad lasem z głośnym krakaniem. Życia nie starczy, żeby to odpokutować, myślała. Wróciła do domu odmieniona. Kazik niezdarnie rąbał drzewo przy drewni, przetaił na jej widok zapotniałe okulary. - Jak dobrze, że wróciłaś, Marysiu - powiedział.

- Nie rób tego - poprosiła - to nie na twoje siły, Kaziku. Dlaczego ty?

- Bolesław tak zarządził. Nikt tu darmo chleba jeść nie będzie, tak powiedział - poskarżył się.

- Bolesław?! - zawrzała. - O, nie, tego już za wiele!

Zastała go przy stole w salonie: tylko on tu jadał, reszta w kuchni. Stała przed nim jakaś papka z pszennej mąki, którą Janeczka zrobiła mu na przytycie.

- Jak Bolesław może?! Jak tak można?! Rozkazywać staremu, choremu człowiekowi?! To nie Bolesława Juryszki! Ja tu mam większe prawa! - krzyknęła.

Wbiegła na to Janeczka, wyjrzała z sypialni matka.

- Jakie ty masz prawa?! - syknęła Janeczka. - Żadnych! Niech mama sama powie!

- Dziecieńki - zaszemrała Maria - dziecieńki, nie skaczcie sobie do oczu. Starczy tu miejsca dla wszystkich.

- Ale ten! - pokazała na jedzącego spokojnie Bolesława Maryśka. - On stąd wszystkich wykurzy! Rozpanoszył się tutaj! Rządzi się jak szara gęś!

- Jak śmiesz?! - poderwała się Janeczka. - Żeby nie Bolesław, dawno by nas bandyci wykończyli. Żyjemy tylko dzięki jego mądrości. Zapamiętaj to sobie raz na zawsze!

Maria przeżegnała je szeroko: - Boże, dzieci moje, za co wy się tak nienawidzicie? - dyszała. - Czy ja was na to chowałam?

- Pewnie Marysi nie udało się spotkanie? - zakpił Bolesław z ustami pełnymi gęstej papki. - Nie przyszedł dziś tam gdzie zawsze, co?

Nagle otworzyły się szeroko drzwi, wpadła Wanda, cała pobielona mąką.

- A ta co, we młynie była? - zdziwiła się Maria.

- Mąkę ja przesiewała - zasepleniła Wanda - patrzę przez okno, czy Broniś czasem od Kaśki nie wraca, a tu Kazimierza prowadzą we dwóch, jeden taki czemiawy, a drugi coś tak krzyczał, ręką na parobkowskie chaty pokazywał...

- Boże! - doskoczyła do niej Maryśka. - Kto?! Co?! Czemu nic nie mówisz?!

- Toż mówię - dmuchnęła spod nosa mąką Wandzia - toż mówię, że wzięli i prowadzą!

Za chwilę załomotali do paradnych drzwi. Zamarli wszyscy. Wtargnęli do pokoju z bronią na sztorc.

- Stawać twarzą do ściany! - rozdarł się jeden, machając pepeszą.

- Nie! - krzyknęła Janeczka, zasłaniając sobą znieruchomiałego przy stole Bolesława. - Nie zabijajcie go! - poprosiła.

- A kto on dla ciebie?

- To mój brat. Zabijcie lepiej mnie.

Krzyczeli, machali bronią, grozili. Maria próbowała uklęknąć, płacząc się w długiej welwetowej sukience. „Pod Twoją obronę - zaczęła głośno - uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko...”

Zabili wtedy tylko dwóch zakluczonych z Krzywil, dwóch młodych mężczyzn przysłanych tu przez Niemców do roboty. Tak ich nazywano, zakluczonymi. Pochodzili z głębi Rosji. Jeden ponurawy, Miszka, zachodził często do Juryszek na bliny. Odrabiał za to coś tam przy młocce czy przy wyrzucaniu gnoju z chlewa. Wieczorami grywał na bałałajce, śpiewając tęskne zawołzańskie pieśni. Błyskał wrogo znad tej bałałajki oczyma bo, jak mówił, tu dookoła były same pomieszczyki. Na widok paniczykowego Bolesława jeżył się cały, przestawał grać.

- Miszka, mileńki, graj! - prosiła rozmarzona Wandzia. - Taka piękna pieśń, tak na sercu rzewnie, tak czule.

Miszka pokazywał oczyma na Bolesława, że przy nim nie będzie.

Drugi z zakluczonych, wesoły Dimka, oglądał się za parobkowskimi dziewczynami, zwłaszcza za Stasia, zalotnicą. „Doprawdy”, dziwiła się na wszystko Stasia, a w pokraszonych burakiem policzkach robiły się jej dwa piękne dołeczki. Dimka nie spuszczał z nich oczu.

Parę dni wcześniej Miszka przyszedł do Juryszek nieoczekiwanie, siadł w kuchni za stołem, rozpiął kożuch. - Pani! - krzyknął na Wandzię - dawaj śniadanie!

Wszedł na to Bolesław. - A ten tu czego? - obruszył się.

Zwarli się oczyma. Miszka przetrzymał, nie ruszył się z miejsca.

- Co za bezczelność! - powiedział potem Bolesław. - Przecież on tylko na to czeka żeby przyszli bolszewicy. Wtedy wbije nam nóż w plecy.

I teraz właśnie gnano Miszkę przez juryskie podwórze. Kazali mu iść przed siebie jeszcze i jeszcze. Strzelili w plecy. Przewrócił się, ale żył, trzeba go było dobić już z bliska.

Maria była w połowie „Pod twoją obronę...”, kiedy to się stało.

Kiedy skończyła modlitwę, Miskajuz nie żył. Zabili też pod czworakami Dimkę.

- A czemuż to? - spytał Broniś dobrodusznie. - Czemuż to? To byli porządni ludzie. Po co zaraz zabijać? Szkoda.

- Porządni?! - rozdarł się któryś. - A ty chcesz z nimi?! - zamachnął się trzymanym w rękach karabinem.

Maryśka złapała Bolesława i tego z karabinem na szybkim, porozumiewawczym spojrzeniu. Zrozumiała, że te krzyki i groźby to była tylko taka gra.

- Więc to tak - powiedziała, kiedy już było po wszystkim, a Miskę i Dimkę wywieziono do pobliskiego lasku, do dołów po kartoflach. - To wszystko było przez Bolesława zaplanowane!

- Czy Marysia wie, co znaczą wyższe racje stanu? - zapytał z wyższością. - To są prawa wojny - dodał - i, radzę, nikomu o tym ani słowa.

Kazimierz wrócił po jakimś czasie pobladły, trzymając się za serce.

- Boże! Co oni z tobą zrobili?! - załamała ręce Maryśka.

- Kazali, żebym im pokazał drogę na Koleśniki - ledwo mógł mówić ze zmęczenia. - Nic, nic, Marysiu, już dobrze, to nic, to przejdzie.

Pomogła mu się rozebrać, położyć do łóżka. Przyłgnęła do niego cała, żeby go osłonić sobą, rozgrzać.

- Rób, co chcesz, Marysiu, rób, co chcesz - szeptał. - Tylko mnie nie opuszczaj nigdy.

Zdrętwiała. Więc jednak wiedział. Wiedział o wszystkim.

- Nawet o tym nie myśl - obruszyła się - nawet nie myśl. Teraz śpij, odpocznij.

W 1943 roku jesienią było wesele Janeczki. Bez gości, bez muzykantów, cichy wojenny ślub. Zanim pojechali do kościoła, Maria zawołała Bolesława do swojego pokoju. Siedziała podparta poduszkami, z różańcem owiniętym wokół ręki.

- Babcik mnie wołał? - spytał lekko Bolesław.

- Chodź tu, dziecinki, chodź do mnie - poprosiła.

Staął koło łóżka. W porannym słońcu buchnął płomień rudych włosów.

Jezus Maria! - wzdrygnęła się w sobie Maria - ale przedziwne te jego włosy. - Dzieťańki - zaszemrała - nachyl się do mnie.

Poszukała swoim wychudłym piszczelem jego ręki, przycisnęła ją do ust. Szarpnął się zdumiony, ale trzymała nad podziw mocno.

- Przysięgnij, dzieťańki, że nigdy nie skrzywdzisz Janeczki. Ona... ona ze wszystkich najszabsza.

- Ninuś? - zdziwił się. - Ależ skąd! Przecież to rączka Diana, która z łukiem przebiega knieje.

- Z czym biega? - nie zrozumiała Maria.

- Nic, nic, tak sobie żartuję, babcik - zaśmiał się. Zmarszczył mu się różowy nos, bo śmierdziało tu lekarstwami i starczą pleśnią.

Maria odmotała z ręki różaniec. - Pocałuj krzyż - poprosiła - przysięgnij na Pana Jezusa.

Musnął krzyżyk ustami.

- Ja... ja ciebie polubiłam, prawdziwie - powiedziała Maria - a Janeczka potrzebuje dobrego człowieka. Ty nic nie wiesz, aleja te moje dzieci za mało kochałam. Tak, Bolesławie, tak - zapewniła gorąco.

- Czy to wszystko, babcik? - uciął grzecznie. Nie mógł znieść więcej tego zapachu i tej typowo juryskiej wylewności. Wyszedł szybko.

Ogarnął ją wielki niepokój, jakby przez chwilę, w krótkim błysku, ujrzała całe przyszłe życie Janeczki. Jak to będzie, przeraziła się, przecież on kpi z nas wszystkich, z całych Juryszek? A cóż on sobą reprezentuje? - zawrzała. Hołyszjeden. Przypomniało się jej ironiczne Andrzejowe powiedzenie: „książę, co psy wiąże”. Ta wojna tak wszystko poplątała, kiedyś taki Galileusz nie zagrzałby tu długo miejsca ani Bogdan nie wziąłby jego siostry za żonę. Ach, to jeszcze było przed wojną, przypomniała sobie, ale Andrzej już chyba nie żył? Jak to przeleciało, całe życie w jednym mgnieniu oka. Na weselu Elżuni, przed pierwszą wojną, tańczyła mazura i Leoś prawił jej komplementy. Czy można dobrze wspominać to życie, kiedy się odchodzi od stołu tylko trochę skosztowawszy, tylko odrobinę? Czy to wszystko było naprawdę, czy tylko we śnie? Tak lubiła kiedyś czytać. Książki były prawdziwsze od życia. Nie chcę z nim leżeć po śmierci, zdecydowała nagle, chcę tam, przy rodzicach, w Żukanach. Nie, ten postawiony przez nią pomnik na

juryskich mogiłkach kryje tylko jej wielki ból po córce Anusi, nie więcej.

- Janeczka! Janeczka! - krzyknęła. - Chodź tu do mnie szybko!

Weszła Janeczka, biedna, choć taka niby szczęśliwa, ale ona, Maria, już wie, już wie dobrze, jak to się skończy.

- Pochowajcie mnie - wyszeptła do pochylonej nad nią córki - pochowajcie mnie daleko od Andrzeja. W Żukanach, przy rodzicach.

- Co mama o pochówku? W takim dniu?

- Co się tam dzieje? - zmarszczył niechętnie nos Bolesław. - Co się tam dzieje, Nineczko? Coś z babuliną? - krzyknął.

- Ach, mama jakieś bzdury opowiada, już jej się wszystko myli - odkrzyknęła. - Musimy już jechać, Bołeczku, żebyśmy się czasem nie spóźnili - zatroskała się.

Siedli na wydobytą spod słomy bryczkę, którą już tu nigdy nikt nie jeździł. Maryśka i Wandzia machały za nimi długo. Wandzia głośno wycierała nos w fartuch. Potem ni z tego, ni z owego obejrzała się na boki, rozstawiła szeroko nogi. Zaszemrało pod nią w trawie. Zaśmiała się zadowolona: - Nareszcie te żandarmy pojechali, to można robić, co się komu podoba - i machnęła energicznie spódnicą.

Tej jesieni Bolesław wstąpił do AK i jako niedoszły dziennikarz wziął się do redagowania pisma „Szlakiem Narbutta”. Pisywał patriotyczne artykuły, po które przyjeżdżały piersiaste, dorodne łączniczki, panny z okolicznych dworców. Przemykały pospiesznie do przerobionej z chlewika przybudówki, gdzie mieszkali Bolesław z Janeczką. Ta pilnowała pod drzewami, żeby nie wszedł nikt niepowołany, ale głównie podsłuchiwała, co też tam się dzieje, bo z przybudówki rozlegały się przeważnie tłumione chichoty.

Zmieniło się też u Lulewiczów, bo Kazimierz zajął się uczeniem okolicznych dzieci. Wojna się przedłużała, nie było żadnych szkół w tej głuszy, a co ambitniejsza szlachta bolała nad tym, że jej synowie i córki rosą nie znając nawet liter. Tak więc Kazimierz brał do torby stare podręczniki, które walały się gdzieś po juryskim strychu, i ruszał w drogę. Opłaty za to uczenie dostawał w naturze.

Przynosił do domu a to woreczek mąki, a to kawał słoniny, a to pęto kiełbasy. Maryśka zaczęła gotować swojej rodzinie osobno, kłopot był tylko z tym, że garnki opróżniała zwykle nienasycona Wandzia. - Wiesz, Marysiu - sepleniła z pełnymi ustami - jak sobie dobrze podjem, to taka mocna jestem, że nie masz nawet pojęcia. Mogę jeszcze dzieciuka urodzić albo i dwoje. - A jedz, niech ci tylko idzie na zdrowie - machała ręką Maryśka.

Był listopad 1943 roku, kiedy zima uderzyła nagle pierwszym mrozem. Dochodziły tu skape, łapanie przez kryształkowe radio wieści z wojny. Ważyły się jej losy gdzieś daleko, w śniegach wschodniego frontu, a do Juryszek coraz częściej zjeżdżali saniami ruscy partyzanci w białych kombinezonach.

- Jakby z nieba anieli - składała ręce Maria.
- Durna mama, toż to bolszewicy - złościł się Broniś.
- A dziateńki - mówiła łagodnie Maria - też młodzi i też piękni, trzeba i ich przygarnąć.

Ale Juryszki wiedziały, że tym w bieli nigdy nie można wierzyć. Niby to klepali Bronisia przyjaźnie po plecach, pili samogonkę, jedli słoninę z cebulą na zakąskę, ale oczy mieli czujne i pepesze trzymali blisko przy sobie. Psy podkulały na ich widok ogony, a Broniś, sztywny w środku, z przyklejonym do twarzy dobrodusznym uśmiechem, pilnował się przez cały czas, żeby się w niczym nie dać podejść.

Choćby taki Saszka, sam ich główny komandir. Niby to siedzi rozwalony niedbale za stołem, niby to je i pije, i wodzi oczyma za uwijającą się przy stole Janeczką, ale nagle ni z tego, ni z owego pyta między jednym kęsem a drugim: - A wy nie znajecie, kto zakluczonych ubił?

- A otkuda my mieli znać? - drapie się niepewnie po łysinie Broniś.

- Nu, ładno, nie pугajties, chozjain, my wsio znajem. Zdieś wo wriemia pierwoj wojny toże naszych ubili.

Bronisiowi kawałek słoniny stanął w gardle. W wojnie bolszewickiej tych dwóch zabitych przez kuzynkę i Kostusia? Skąd oni o tym wiedzą? Ktoś się wygadał, ale kto?

- Kuszaj, chozjain, kuszaj - zachęcał go dobrodiwe Saszka - nie pугajsia, ot, tak rozgowariwajem, niczego, nie pугajsia.

- Nu, ładno, wypjem - napełnił któryś szklankę samogonka.
- Wypił riumku, wypił dwie, zaszumieło w gołowie - zrymował któryś i szcęknął zamkiem pepeszy. - A tu kuda, dziewczoczka? - przyciągnął do siebie Janeczkę, bo zerwała się od stołu, żeby pobiec do siedzącego w świronku Bolesława, ostrzec go, aby nie nawijał się im przed oczy.

Tylko nieświadoma niczego Wandzia szeptała w nocy do Bronisia: - Niczegowaty ten ich Saszka. Choć bolszewik, to i zagada, i podziękuje.

- Idry twoju pałku! - zdenerwował się Broniś. - Już on tobie podziękuje! Popamiętasz! Za co mnie Pan Bóg pokarał takim durniem? - pożalił się cicho, bo partyzanci spali za ścianą. - Co ja komu zrobił w swoim życiu złęgo?

Wandzia urażona odwracała się do ściany i zaraz chrapała spokojnie. A Broniś leżał i rozmyślał: co też oni wiedzą i kiedy skoczą do gardła; bo że skoczą, to pewne, tylko kiedy?

ROZDZIAŁ XXV

Był koniec listopada i któregoś wieczoru Kazimierz nie wrócił na noc do domu. Czekąca na niego Maryśka z przyklejonym do szyby nosem, ale w ciemności rysowały się tylko na horyzoncie kontury sosen na mogiłkach. Zjedli kolację, pogasili karbidówki, psy czekały leniwie gdzieś za stodołą. Maryśka leżała w ciemności i rozmyślała: ile wzięł książek, u kogo dziś uczył dzieci, czy w Hryszaniszkach, czy w Dowgiedańcach? Tak mało o nim wiedziała. **Żył** swoim życiem, coś tam pisał, poprawiał jakieś kartki pokryte kulfonami. Czy wczoraj wrócił na kolację, czy nie? Może gdzieś dawali mu jeść? Trzymał się ostatnio za serce? Wyszedł po obiedzie? Tak, chyba tak. - Nie wiesz, kiedy nasz taftis wraca z **tych** lekcji? - obudziła Genię, ale i ta nie wiedziała. Gdzieś daleko w lesie rozległy się strzały. Psy rozszczękały się lamentliwie, przejmująco bliżej domu. Maryśka nasłuchiwała siedząc na łóżku. Boże miłosierny, gdzie on po nocach chodzi z tym chorym sercem, z workiem pełnym książek? A może ktoś go zatrzymał na noc? Tak niespokojnie, może już kiedyś tak gdzieś zanocował? - Nie pamiętasz, Geniu, czy tatuś kiedyś nie wrócił na noc? - Tatuś? Nigdy. To ty nie wracałaś - powiedziała Genia - i ja wtedy czekałam całą noc. - Przy czym tu ja?! - wybuchnęła. - Chodzi o tatusia! Co robić?

Poszła do Marii, zwinęła się w nogach łóżka. - Mama wie, że Kazimierz nie wrócił do tej pory, coś się musiało stać. - Dzieciątki - zaszemrała matka - ta dychawica nie odpuszcza, dusi i dusi. - Niech mama zmówi: „Pod Twoją obronę...”. Tak strasznie. „I nie wódź nas na pokuszenie...” nie, to nie to. A może modlitwę św. Bernarda? „Pomnij, o najdobrodiwsza Panno Mario, iż od wieków nie słyszano, żeby ktokolwiek uciekając...” - Chyba z tym zasnęła.

Ranek wstał zimny, listopadowy. Matka wyglądała jak umarła, podparta wysoko poduszkami, z dziurą po ustach. Może wrócił w nocy i położył się po cichu? Ale ich wspólne łóżko było puste. Nieszczęście - coś w niej krzyknęło. Jezus Maria! Co ja bez niego zrobię? Zginę ja i dziecko.

Do pokoju wszedł Broniś. - Gdzie Maryśka? - zapytał od progu. - Przywieźli Kazimierza. - Jak to: przywieźli? - skoczyła

do Bronisia. - Jak to: przywieźli?! Chory?! - Nie żyje - powiedział Broniś. - Znaleźli go jacuńskie na drodze do Dowgiedańc. - Zabity? - spytała bez tchu. - Nie zabity, zmarły.

Obudziła Genię. Otworzyli szeroko frontowe drzwi. Wnieśli go na deskach, stężałego od mrozu. Szron był na włosach, na brwiach. Kołnierz od samodziłowej kurtki srebrzył się płatkami śniegu. Twarz miał spokojną. Niosło go kdku parobków. - Gdzie jego położyć? - pytali. - W pokoju Bronisia - rozporządziła Janeczka.

Znalazły się skądś parobkowskie baby, napełniły dom gwarem. Ktoś szukał nożyc, żeby rozciąć koszulę, podkoszulek, bo kurtki było szkoda, jakoś ją ściągnięto. Do siedzącej bez ruchu w salonie Maryśki co chwila ktoś przybiegał zaaferowany. Trzeba było wstać, szukać czystej bielizny, ślubnej marynarki, porządniejszych butów. - A skarpetki? - pytała Szumiatowa, główna od ubierania. - Skarpetki? Tak, są, jedne jedyne zachowane z Lidy, bo tu *nośi* grube, robione z wełny.

Maryśka uchyliła drzwi do pokoju, gdzie go ubierano. Leżał na środku na ławie nagi. Jak pięknie zbudowany, jak harmonijnie. Wąskie biodra, kształtne nogi. Nigdy jakoś tego nie zauważyła. Nie było w zwyczaju przyglądać się swojej nagości. Dopiero teraz patrzyła jakby po raz pierwszy, kiedy tak leżał bez ruchu, bez gestu zawstydzenia. - Patrz, pani - powiedziała Szumiatowa - patrzaj, pani, na jego lewy bok. - Była tam wielka sina plama. - Znaczy się, od serca - szeptała baba. - Nie od kuli? - Nie, żadnych innych znaków nie ma. A pani, mileńka, rodnieńka, pienkny był menżczyzna, patrzaj, pani, choć stary, to pienkny był nad podziw.

I tak było. Gdzieś się podziała cała jego nieporadność, nie było wiecznie spadających okularów, tylko sina po nich żyłka na nosie. W spodniach wyglądał zwykle źle, bo zwijały mu się fałdy, marynarki wisały jak na kołku, a teraz, goły i wyniosły, wyzwolony z niezgrabnych ubrań, był nie do poznania. - Idziem, Iwan-czykowa, idziem - pogoniła drugą babę Szumiatowa. - Niechaj pani Marysia pożegna się z nim na wieki. - Na wieki? - Stała nad nim chwilę, potem wzięła w obie ręce jego skołataną, biedną głowę. - Kaziczku - szepnęła. - Kaziczku, Geniusia płacze po tobie. - Coś jakby łza zalsniła w kąciku jego oka, a może to odtajał na rżesie szron?

Wyniesiono wszystko z salonu. Teraz Kazimierz był tu najważniejszy. Na środku postawiono ozdobną ławę. Miała wysokie rzeźbione oparcia w nogach i głowie. Ręce Kazimierza spleciono na piersiach, omotano różańcem. - Patrzajcie, jak Kazimierz dobrze wygląda, jak nigdy zażycia - szepnął Broniś i przykleknął na jedno kolano, za nim inni. Bolesław przemknął się przez pokój pospiesznie i więcej już tu nie przyszedł. - Nie pożegnasz się z Kazimierzem? - spytała Janeczka, przynosząc mu do przybudówki jajka na miękko. - Nie lubię tego rodzaju demonstracji - uciał chłodno, rozbijając skorupkę. - Jak to jest być niewierzącym? - spytała. - Wtedy śmierć jest czymś strasznym? - Spojrzał na nią małymi, otoczonymi rudymi rzęsami oczyma. - Nie, może dlatego, że nie wierzę w te przesady, śmierć jest dla mnie czymś naturalnym. To wy się jej boicie, nie ja. Jesteśmy tylko częścią natury i do niej po śmierci wrócimy.

- A miłość? - spytała. - Czym jest dla ciebie nadzieja, miłość?

- No cóż; przyjemnym stanem. Ajajka są odrobinę za twarde, Ninuś. Trzeba gotować dokładnie pięć minut - upomniał ją łagodnie.

Śmierć Kazimierza szybko została zapomniana. Tyle było tych śmierci dookoła. Chodziły bandy, partyzanci, akowcy, a dom co parę dni pełen był zbrojnych. Tylko Maryśka siedziała odrętwiała, tam gdzie zwykle on czytał te swoje prawnicze książki. Przestała jeść, spać, obojętna na wszystko, nieruchoma. - Młoda jesteś - pocieszały siostry. - Skończy się wojna, wyjdiesz jeszcze za męża. - Surowa Józia mówiła, że to wszystko z beczynności. - Trzeba coś robić, zająć się czymś, to przejdzie - radziła. Nie przechodziło. Siadło na piersiach jak zmora, dusiło, nie dawało żyć. Przyjechał parę razy Wiciuk z Soboluńc, błyskał złotym zębem, przywiózł pełen worek niemieckich cukierków, ale ona siedziała z rękami splecionymi na podołku, z opuszczoną głową, nawet nie podniosła oczu. Wszystko odbijało się od niej jak od ściany. - Czegóż tak mocno przeżywa? - dziwiły się parobkowskie baby. - Żeby za starym mężem tak od rozumu odchodzić? - Musi to nie od tego - powątpiewała Maria - musi to tak samo z siebie, jakaś zmora albo co?

Każdy smutek ma swój czas, swoją miarę, ale tu zatraciło się wszystko, zatonęło w nieszczęściu nie do nazwania.

I tak przeszła zima. - Patrzaj, Marysiu - dyszała Maria - już wiosna. Może i tobie przyniesie odmianę, bo ciężko na ciebie patrzeć. - Co mi tam wiosna - machała ręką Maryśka - nic mnie nie obchodzi.

Aż któregoś dnia, chyba na początku marca, przyjechał ktoś konno z wiadomością, że akowcy pobili się z Litwinami. W parę godzin potem zajechały na dziedziniec furmanki, jedna, druga, trzecia, wymoszczone słomą, wyładowane po brzegi rannymi. Wszyscy wybiegli do nich przed dom. Tylko Maryśka nawet nie podniosła głowy. Przyszła po nią córka, opierając się zaprowadziła do stodoły. Leżeli na słomie - kilkunastu młodych mężczyzn. Podeszły do leżącego na brzegu. Miał owiniętą płóciennym ręcznikiem głowę, był nieprzytomny. Ruszał tą głową w prawo, w lewo, jak wahadłem.

- Pić! - krzyknął któryś z leżących. - Dajcie wody, do cholery! Długo tak będziecie nad nami stały?!

- Ja pójde - powiedziała nieoczekiwanie Maryśka.

- Ojej - zdziwiła się Genia - mamusia poszła po wodę? To chyba cud.

- Cud, że poszła po wodę? Radom, słyszysz mnie? Gdzie oni nas przywieźli? - zaniepokoił się czarny, cyganowaty, tuląc do siebie rękę owiniętą w szmaty.

- Panowie są w Juryszkach, w folwarczku, tu sami swoi - uspokoiła go Janeczka. - Niech pan trzyma rękę do góry, bo krwawi.

- Jest tu jaki lekarz? - zajączał ten zwany Radomem.

- Nie, tylko my - powiedziała Janeczka. - Wandzia! - krzyknęła. - Leć po lniane ręczniki! Szybko! Albo przynieś całe prześcieradło, to potniemy na kawałki.

- Boli, kurde! Boli, psiamać - zapiszczał cienko ten cyganowaty, tuląc do siebie rękę.

- Gówno tam boli! Patrz, Cygan, ile tu pięknych kobiet - cieszył się gorączkowo inny, leżący na brzuchu, unosząc kędzierzawą głowę. - Widziałeś kiedy taki biust? - pokazał głową na Wandzię.

Ta pokraśniała i schowała się za Janeczkę, pochyloną nad nieprzytomnym, rannym w głowę.

- Cygan, ale fest dołożyliśmy tym Litowcom! Długo się nie wyliżą - cieszył się kędzierzawy.

- Aha. Dziękuj Bogu, że w tyłek ci przysolili, bo jakby tak z przodu co urwali, to wiesz, kurde, koniec pieśni!

- Wandzia! Ty jeszcze tu?! - krzyknęła Janeczka.

Wandzia zakręciła się jak bąk, potknęła o nogi jednego z rannych, aż zajęczał, ale pozbierała się jakoś i wypadła na podwórze. Sadziła jak zajac.

- Wandzia! Co się stało?! - krzyknął za nią Broniś. On i paru mężczyzn poili konie przy studni.

- A stało się! Stało! - zabełkotała radośnie. - Janeczka kazała mnie po coś lecieć, ale nie wiem, po co! Zapomniałam! Dalbóg! O, w tej chwili wypadło z głowy!

- Ot, tak, panowie - splunął w bok Broniś. - Widzicie, jaki los. Trafda się taka żonka, że jak to mówią: ni Bogu, ni ludziom.

Wandzia pobiegła w stronę domu. Konie nie wyprzęgnięte z furmanek piły łapczywie wodę, szorując po korycie chomątami. Maryśka niosła z domu wiadro wody, weszła do stodoły, dała pić z kubka pierwszemu leżącemu, ale nie mógł przełknąć. Woda ściekała mu po brodzie różową pianą.

- Jezus Maria! - podskoczyła do siostry Janeczka. - Ratuj go, on umiera!

- Trafili Ponurego w brzuch - powiedział któryś - sukinsyny!

- Co robić? - przeraziła się Janeczka. - Trzeba jechać do Naczy po lekarza. Tylko kto pojedzie? Broniś nie może, bo przyuwają, Bolesław też nie, to niebezpieczne, znają ich tam...

- Ja pojedę - powiedziała Maryśka. - Wezmę torbę, powiem, że z handelkiem. - Janeczka spojrzała na nią ze zdumieniem. - Wiesz, Janiu, wiesz, ja już jestem zdrowa, już zmora nie ciśnie, chce się żyć! - mówiła gorączkowo Maryśka, aż siostra przyciągnęła ją do siebie, ucałowała.

- Marysiu - szeptała - Bogu dzięki, aja tak się o ciebie martwiłam, tak mnie to gryzło, nie masz pojęcia...

Stały tak przez chwilę blisko siebie, pojednane jak nigdy. Maryśka przywiozła learkę od dzieciennych chorób, bo lekarz bał

się jechać. Lekarka, stara panna z ogromną twarzą i kilkoma podbródkami, pochylała się nad rannymi, ale ręce miała lekkie, współczujące, tak że już sam dotyk przynosił ulgę.

- Ty, Cygan - zaszeleścił słomą leżący na brzuchu - brzydszej już tu, kurde, nie mieli?

Lekarka usłyszała szept, zaśmiała się, aż przysiadła z rozbawienia.

- Niestety nie - powiedziała - długo szukali, ale nigdzie nie znaleźli.

Wszyscy parsknęli śmiechem i wiadomo już było, że to jest najlepsza lekarka, jaka może być. Postrzelony w brzuch poszukał jej ręki, przytrzymał, coś do niego długo szeptała. Chciał się uśmiechnąć, ale skrzywił się i tak umarł. Pochowano go na drugi dzień na nackim cmentarzu, niedaleko zieleniejącej już z pierwszą wiosną mogiły Kazimierza

- Co mu pani powiedziała? - spytała Maryśka lekarki. - Co to było, że on tak spokojnie umierał?

- Ach, nic - zmieszła się lekarka. - Nawet nie pamiętam, chyba coś o Bogu.

- Wszystkie brzydkie kobiety zostają z konieczności dewotkami - skwitował to potem Bolesław, aż Maria sapnęła z oburzenia, rozkaszała się. - Dobrze, że moja Ninuś temu się nie poddała. Za to ją właśnie cenię - dodał.

Wszystkich rannych umieszczono na kolonii. Przyjeżdżała do nich lekarka, Janeczka robiła opatrunki, a Maryśka podjęła się gotowania.

- A widzisz, wyleczy cię praca - zauważyła Józia - praca to jedyne lekarstwo.

- Co ty tam wiesz - złościła się Maryśka. - Czy ty wiesz, jak ja przeżyłam śmierć mojego Kazika, przecież ja go tak kochałam.

- Zawracanie głowy - powiedziała Józia. - Puszczając się z tym Wincentym, wszyscy o tym gadali.

- Ale Kazik był dla mnie wszystkim, ach, nic z tego nigdy nie zrozumiesz - machała ręką.

Maryśka wracała do życia. Wróciły szlafroczyki ze starych przescieradeł, zapinane od góry do dołu na guziczki, wróciło spanie w papierowych papilotach, mycie się co dzień zimną wodą, bo to

robi dobrze na cerę. - Pamiętaj, Geniusiu - radziła córce - zawsze splukuj zimną wodą.

Uwijała się w tym szpitaliku dla partyzantów, dogadzała wszystkim. - Co to tak pięknie pachnie? - pytała córka. - To krokieciki dla Cygana, on je bardzo lubi, dam ci parę, ale on jest ranny i daleko od domu. - A co to jest w tym rondelku? - Pulpeciki. Radomje sobie wymarzył, bo takie robiłajego matka w Wilnie.

Coś jednak było nie tak. Pracowitość i krzątania Maryški, żeby dogodzić rannym, przekraczała rozsądne granice. Akowcy zwozili na kolonię pełno produktów. - Rannym ma niczego nie brakować - zalecił komendant. - Tak, tak, panie komendancie, kiedyś moje przyjęcia były słynne na całą Lidę - zapewniła Maryška. - Czy pan wie, jaką ja umiem robić faszerowaną cięcinę? Warstwa jajek, warstwa farszu, paluszki lizać. - Tak, mówią mi chłopcy, że pani wspaniale gotuje - mruknął nad rozłożonymi na stole papierami. Stała przed nim zaróżowiona z pochwały. Nareszcie znów ktoś ją docenił. Uniósł głowę: - Piękne ma pani doleczki na policzkach. Jak pani to robi? - Ach, to moja tajemnica - śmiała się radośnie.

Cygan i inni wylizywali się szybko z ran, rozleniwieni na placuszkach, krokiecikach, naleśnikach, flirtowali z młodymi łącznikami, nocami gdzieś przepadali, aż Maryška poskarżyła się na to komendantowi. - Mają się leczyć, a nie bisurmanić - burknął groźnie - to się więcej nie powtórzy, pani Mario. - Jestem Marianną - sprostowała - ksiądz nie zgodził się na Marię. A czy pan wie, że ja byłam siedmiomiesięczna, że to widać po mojej głowie, że rodzina mnie w ogóle nie chciała? - Przyglądał się jej spod oka, badawczo. Potem wstał i pocałował w rękę. - Wspaniała z pani kobieta - powiedział - proszę zawsze o tym pamiętać.

I tak leciały dni lekkie, jasne, wiosenne. Parę razy był alarm w szpitaliku, trzeba było chować rannych przed Niemcami, ale akowców było w okolicy coraz więcej i Niemcy bali się tu podchodzić. Maryška wciąż robiła krokieciki, racuszki z serem, kluski na samych żółtkach, bo jajek po wsiach nie brakowało. Gdzieś dalej były potyczki z Niemcami, przywożono nowych rannych. - Będziecie m siedzieli jak u Pana Boga za piecem - mówił Cygan

- w życiu tak nie pojadłem jak tu - przechwalał się. Na drugi dzień, kiedy mył się w miednicy na dworze, Maryśka uszczypnęła go w piersi. - Cycuszki jak u świnki - zażartowała. Zgłupiał ze zdumienia, odpowiedział jakimś zuchwałym gestem, ale trzepnęła go po rękę, osadziła: - Co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie.

Coś w tym wszystkim było nie tak. To pulsowało w ruchach Maryśki, w gwałtownych gestach, wybuchach śmiechu. - Smakowało wam, chłopcy? - dopytywała się po obiedzie. - Tak - przeciągali się na łózkach - gdzie nam będzie lepiej? - To teraz czas na zabawę - oznajmiła. I po tej zapowiedzi wkroczyła na scenę, czyli na środek pokoju. Posypały się zabawne dykteryjki, że tylko boki zrywać. Pokazy wala jak drobi Elżunia, jak cedzi słowa Józia jak dobiera się do bab Broniś. Były krótkie aktorskie etiudy, ożywali, dziwni ludzie, jak taki Półtorak czy durna Zośka, aż nagle przy durnej Zośce śmiech przeszedł w płacz. - Nie ubliżajcie mnie! - wołała. Chłopcy patrzyli ze zdumieniem po sobie. - „O Boże, nie daj mi zwariować, głodować raczej z żebraczym kije będę...” To Puszkina, ach, co wy o tym wiecie - zbiegła ze sceny i skryła się w kuchni. - To nic, Geniu, to nic - uspokajała córkę. - My sobie tak tylko żartujemy, nic więcej.

Chłopcy rechotali, tylko jeden był student w okularach, lekko ranny, poszedł za nimi do kuchni, potem powiedział do Geni zatroskany: - Nie wiem, czy zauważyłaś, że z twoją matką coś nie tak. - Ale mamusia zawsze była wesoła całe życie. - Tak myślisz? Mnie to nie przeszkadza ale Cygan i Radom takie prostaki, to się może źle skończyć. - Mamusiu, nie bądź za wesoła - prosiła córka. - A widzisz, a widzisz, już ci ciotki coś nagadały. Nie wierz im. To marmuzy, sztywne kije! One mnie nienawidzą. A ja a ja nareszcie jestem sobą, nareszcie na coś jestem potrzebna. Jestem taka szczęśliwa - zapewniała - taka szczęśliwa. Nie słuchaj tych skwaszonych cnotek. One mnie nigdy nie rozumiały.

Aż któregoś razu, kiedy Janeczka przyjechała do szpitalika Maryśka zaczęła ni z tego, ni z owego tańczyć na środku pokoju. Owinięta w starą firankę wirowała od łóżka do łóżka. Cygan wyciągnął do niej rękę, zaczepił o firankę, firanka opadła. Tym lepiej jej się tańczyło, tym pewniej. Wyrwała firankę z rąk Cygana,

udrapowała ją sobie na głowie jak turban. Chłopcy klaskali na łózkach do taktu, wpadła na to Janeczka, stanęła jak wryta. Maryśka zagrała jej na nosie palcami. Janeczka krzyknęła na nią, a potem zdarła koc z łóżka i biegała za Maryską po pokoju. I po co to było, na co, kiedy wszyscy się tak świetnie bawili. Chłopcy pokładali się ze śmiechu, bo to były tylko żarty, nic więcej. - A pan, panie studencie, dlaczego się pan nie śmieje, tylko też biega za mną razem z Janeczką w kółko? Janeczka, to wiadomo, zawsze była sztywna, ale pan? Mina jak z komina! Mina jak z komina - śpiewała Maryśka.

Dopadli ją w końcu z tym kocem, zawinęli w niego i skończyła się zabawa, a była pyszna. - Niech chłopcy powiedzą! Prawda, chłopcy?

- O Jezu! Aż mnie kolka sparła - piszczał Cygan.

- Tańcz ze mną! - poprosiła Maryśka spod koca.

- Chodź, Marysiu, chodź - prosiła jak nigdy łagodnie Janeczka. - Pojedziemy sobie do domu, do Juryszek, tam się uspokoisz.

- Sama jedź sobie do Juryszek, do tego twojego rudego psa! - parsknęła Maryśka. - Kesekese komar muche ukąse, a mucha się odwróciła i komara odkaśiła.

- Chodź, Marysiu, chodź - błagała ją czerwona ze wstydu siostra.

- Nie! - wyrwała się jej Maryśka - będę tu tańczyć do upadłego! „Chryzantemy złociste - zaśpiewała wspinając się na palce - stoją na fortepianie...” A niech sobie stoją, ja nie bieduję! Jak chcą, to stoją! Prawda, chłopcy?

- Niech mi ktoś pomoże - prosiła Janeczka.

Podszedł niepewnie były student w okularach.

- O, nie! - tupnęła nogą Maryśka. - Z tym nie pójde, bo za brzydki. Ten to dla Janeczki.

Zlazł z łóżka Cygan, podszedł krygując się, podał Maryśce ramię.

- A ze mną pójdzie pani pod de pachę? - spytał.

- Z tobą tak, z tobą na koniec świata! - krzyknęła Maryśka i zawirowała w tańcu.

Wsadzono ją na furmankę. Śpiewała i krzyczała przez całą drogę. Wjeżdżała najuryski dziedziniec stojąc na wozie wyprost-

wana, zwycięska. Już się niczego i nikogo nie bała, już nie była siedmiomiesięczna, nie miała stołbunowatej głowy. Wszystko miała udane, wszystko, a na dodatek umiała wspaniale śpiewać i tańczyć. Potrzebowała tylko widowni, niczego więcej.

Zeskoczyła z wozu, pognała pod studnię. Stało tam kilku parobków, émiących machorkowe skręty. - Patrzajcie - cmokali - a cóż to takiego porobiło się?

Od strony Koleśnik jechały furmanki pełne radzieckich partyzantów, zaniepokoił się zgromadzeniem przy studni, zeskoczył z furmanek, podeszli z dyndającymi na plecach pepeszami.

- O, pan Szaszka! - krzyknęła radośnie na ich widok Maryśka. - Tylko dla pana jednego zatańczę! - i lekkajak piórko, radosna jak szczygiełek zawirowała w kółeczko.

- Czo eto takoje? - poprawił pepeszę komadir - otkuda ona? konieszno giermancy jejo nasłali. Szpion?

- Jakie tam Germańcy - wystąpił jeden z parobków - to nasza bywsza panienska Marysia, co poszła za sędziego do Lidy.

- A zaczem ona tak?

- A chto to wie - podrapał się po głowie parobek. - Muż jej niedawno pomarł, a ona wydzicza się, nic więcej. Nikomu krzywdy nie robi.

- Ach, komandirze, złoty panie komandirze - uczepiła się rękoma partyzanta Maryśka - tylko dla pana zatańczę fandango, chce pan? Oni tu wszyscy mówią o was „czubaryki”, ale ja lubię pana naród, bo to serdeczni ludzie i nosów nie drą jak nasze jaśniepaństwo. A teraz, o le! - I Maryśka zawirowała przed nim w tanecznym pas. Mężczyźni zarechotali niepewnie.

- Nu, ładno - ruszył ramionami komandir - ona umnaja żenszczina, no wsio-taki ona bolnaja. Pojdziom, riebiata! - machnął ręką. Wsiedli na furmanki, odjechali.

Od strony domu biegli Broniś z Janeczką z pościłkami, sznurami w rękach. Biegła też z nimi Genia.

- Nu, pani Marysia, zawinąć się w koc, bo juryskie tu leco - poradził parobek.

- A niech lecą, ja nie bieduję! - krzyknęła wirując, ale na widok córki chwyciła koc, owinęła się w niego szczelnie, skuliła zmalą, przykucnęła cicho przy korycie.

- Mamusiu - płakała córka - nie rób tak, tak nie można.

- A co ja robię? Nie widzisz, że wodę sobie piję. Jaka pyszna, jaka zimna - zanurzyła rękę w korycie. - Pamiętaj, Geniu, zawsze się spłukuj zimną wodą, to będziesz wiecznie młoda - napominała. - O, już ci ciotki na mnie nagadały. Czego ty płaczesz? Nie słuchaj ich! Nigdy! One od dziecka mówiły, że moja głowa nie w porządku. A ja i głowę, i wszystko mam na swoim miejscu. Nie płacz, chodź na łąki, nad sadzawkę, wykapiemy się. „I od tej chwili będziemy żyli wśród śmiechów szczęścia, kwiatów i motyli. Co noc szaleni, co dzień stęsknieni...” - zaśpiewała nagle. - Patrz na Janeczkę, jak skrada się z tą pościółką - zachichotała. - Niech siebie pilnuje, nie mnie. Ja zawsze byłam w całkowitym porządku. A rudego tu nie ma? Geniu - objęła za szyję córkę - oni wszyscy tu mnie mieli za bożą podszewkę. Zawsze. Już od dziecka. Ty ich nie słuchaj.

Dopadli do niej Broniś z Janeczką, zaczęli nią szarpać, zawijać w pościółki. Parobcy przyglądali się temu z boku obojętnie.

- Ludzie, pomóżcie - prosiła parobków zdyszana Janeczka.

Ale nikt się nie ruszył z miejsca. Starszy parobek Szumiata niepewnie zsunął czapkę z głowy, podrapał się pod nią. - Sprawiedliwa była panienka Marysia. Musi, co od tego zwariowała - powiedział.